NIHILIŚCI

TEGOŻ AUTORA:

UGODOWCY. III. wydanie.

KRÓLOBÓJCY. II. wydanie.

ANARCHIŚCI. II. wydanie.

FINIS POLONIAE. II. wydanie.

WIESŁAW SCLAVUS

NIHILIŚCI

LWÓW 1908 • NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
BERNARDA POŁONIECKIEGO

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

I.

Hen, od zatoki fińskiej, zerwał się wicher, ruszył korytem Newy, zjeżył jej ołowiane fale, wpadł w szare ulice Petersburga i zakotłował się w sieci rzeczek i kanałów stolicy białego cara.

Petersburg, zabierający się właśnie do wieczornego spaceru po Newskim Prospekcie a do gwarnych wycieczek na „Striełkę“ i na „Ostrowa“, — zdumiał się wichrowi i, jako urodzony biuralista, z całą pasyą, chciał, zda się, dowodzić, że wicher taki, w drugiej połowie września, jest uchybieniem ładowi kalendarzowemu. Lecz, że wicher, snać trzymający się „nowego stylu“ a więc pewny przywilejów nadbałtyckiego października, utorowawszy sobie drogę, dął z coraz większą zajadłością, tedy Petersburg, rad nie rad, jął zmieniać pośpiesznie front a w jesienną stroić się sukienkę.

I gramolili się z siedzeń izwoszczycy i, klnąc, zapuszczali budy nad kibitkami i tłumy spacerowiczów przyspieszały kroku, i przekupnie obciągali płachtami swe stragany, i smutniały twarzyczki panien, które dopieroco w altanach i namiotach ogrodowych gotowały się do zdobienia chłodzących napojów gorącemi spojrzeniami, i rozchmurzały się oblicza właścicieli herbaciarni, myślą podwojenia porcyj samowarów i marł rozgwar

uliczny a w zamian kadłuby domów żywszemi rozpalały się światłami.

A wicher od Bałtyku dął zawzięcie, wył, do najzaciszniejszych sięgał zakamarków, wzbijał tumany pyłu, podrywał i sypał nim na to, aby go znów podjąć i znów w wirujący obłok zamienić. Aż wichrowi naprzykrzyła się ta zabawa, bo ustał raptem, zaparł rozszalały dech i bluznął dżdżem.

Petersburg podówczas wyludnił swe arterye, pozamykał drzwi i okna domów, rozpostarł parasole, ba, już zdążył co delikatniejsze nogi kaloszami opatrzeć, policyantów ceratowemi okryć pelerynami, a lotnemi kibitkami możniejszych rozwieźć. Tak, że, zanim deszcz zdołał rozbłyszczyć wilgocią chodniki Newskiego Prospektu, już na nich zastał tylko dobrych znajomych, tylko tych, którym od powijaka nieomal urozmaicał doczesną wędrówkę.

I deszcz na tą pustkę i na te niewyraźne, szare sylwetki szybko idących przechodniów czegoś zawahał się, lecz, towarzyszący deszczowi, wicher gwiznął przeciągle i, niby chcąc pouczyć kamrata, rzucił się na babę, tuż pod Kazańskim soborem, zerwał jej chustkę z głowy, splątał spódnicę i podał deszczowi. Ledwie deszcz rozprawił się z babą, wicher już znalazł niedaleko, na Newskim, popa w wyszarzanej rewerendzie i obszedł się z nim nie lepiej. Ale wicher pragnął okazać, że nietylko starym umie dać się we znaki, bo, pominąwszy kilku leciwych przechodniów, wpadł tuż pod Gościnnym dworem na studenta, którego całem opatrzeniem był lichy mundurek, podkasane jedenastki, koszlawe

buty i czapka, nasunięta na uszy. Rozprawa tu była krótka, lecz zawzięta, bo na wysmukłej a opiętej figurze napastowanego nic nie dało się poderwać a czapa wyszarzana a mocno przylegająca ani myślała się ruszyć. Wicher atoli poznał, z kim ma do czynienia, i, miast z nieruchliwą „skórą“ studencką się porać, sięgnął wprost, kędy pod pachą, w kieszeń od spodni wciśniętej ręki sterczała pstrokata paczka książek i papierów, zaszeleścił papierami i wyrwał jedną kartkę. Student wyciągnął pospiesznie ręce, aby chwycić uciekinierkę. Wicher zaś ponowił atak i papiery a za nimi i książki posypały się na chodnik.

Student z widoczną alteracyą i z niemałym trudem pozbierał unurzane w błocie książki i papiery i, nie próbując stawiać oporu wichrowi, który, sekundowany przez deszcz, do powtórzenia ataku się gotował, ruszył wprost pod galeryę Gościnnego Dworu. Tu dopiero, upatrzywszy kącik za filarem, przystąpił do siakiego takiego uporządkowania swej obłoconej a potarmoszonej paczki. Juści nie było ani mowy, aby kartki pomieszane należycie ułożyć, lecz byle je za świeża z błota nieco obetrzeć. Jakoż student zabrał się do tej czynności z nielada wprawą i wynalazczością. Zdjął czapkę, ujął za daszek i otrzepał ją z wilgoci, uderzając o mur filaru, otrzepał z wilgoci a raczej wbił ją w mięsiste sukno. Zaczem, zwinął czapkę i z całem namaszczeniem otarł kartkę po kartce, książkę po książce. Aż, oczyściwszy w ten sposób zawartość paczki, znów wytrzepał czapkę na murze i nacisnął ją na

uszy. Czapka ułożyła się posłusznie, boć, jako prawdziwa, szanująca się czapka studenta Medyko-chirurgicznej akademii rozumiała, że obowiązkiem jej jest być nietylko czapką ale i kubkiem do wody, i jaśkiem pod głowę, i umbrelką na oczy, i torbą na śliwki, i pociskiem i szapoklakiem, i krążkiem łagodzącym twardość siedzenia, a choćby i szczotką.

Czapka bodaj zdawała się być zadowoloną z siebie, bo ułożyła się w też same, co i przedtem, załamy, ani jedną nową zmarszczką nie wypominając odebranych razów na filarze; — za to student skwaśniał i zasępił się. Krople deszczowe zamieniły się w sznury wody, kałuże na chodnikach łączyły się w jeziora.

Student spojrzał żałośnie na wykoszlawione buty, na strugi dżdżu, na wskazownik zegara na rysującej się w pobliżu wieży ratuszowej i niechętnie zawrócił pod galeryę Gościnnego Dworu.

Pod galeryami snuły się gromadki przechodniów, równie jak i student szukające schronienia przed deszczem, bo z całą bezmyślnością ludzi nie wiedzących, co robić z czasem, włóczyły się od jednej wystawy sklepowej do drugiej.

Student mimowoli poddał się tłumowi i zagapił się na sklepy. Lecz czy że znudziły go nowości damskiej garderoby, czy że wybrylantowane wystawy jubilerskie własną mu przypominały nędzę, dość, że odwrócił głowę od sklepów ku ciemni ulicznej i przystanął między filarami w pobliżu dorodnego, wyelegantowanego młodzieńca, upatrującego wolnego izwoszczyka dla swego nieskazitelnie

lśniącego cylindra. Ale jakoś plucha i izwoszczyków z pod Gościnnego Dworu wymiotła, a tych znów, którzy przejeżdżali w pobliżu, natchnęła dumą, bo ani raczyli odpowiadać na zawołania eleganta.

Elegant wymachiwał przez czas jakiś laseczką, rozglądał się, jeszcze dwakroć zawołał ku sunącym tuż kibitkom — aż, dla zabicia nudy, dobył papierosa i z namaszczeniem jął go zapalać. Zapałka podczas pyrchnęła raźno i oświetliła na mgnienie ściągłą twarz eleganta. Tego mgnienia starczyło stojącemu tuż studentowi, aby rozeznać znajomego, bo, zanim elegant dobył pierwszy kłęb dymu z papierosa, student zakrzyknął raźno:

— Murawiew — Szczotka! Jak się masz!

Elegant na to zawołanie drgnął i bąknął niechętnie:

— Przepraszam, nie wiem z kim mam przyjemność!?...

Student w odpowiedzi ujął bez ceremonii eleganta za rękę.

— Murawiew, szczecina na łbie, cóż, kapelusz zawaliłeś a Koli nie poznajesz?...

— Kibalczyc!

— No ten sam! Patrz, choćbym tu wiek stał nie byłbym cię poznał, gdyby ci zapałka oczu nie rozbłyszczyła. Phi! Na szykowca takiego wyszedłeś!...

— A cóż ty? — zagadnął ociężale Murawiew.

Kibalczyc roześmiał się dobrodusznie.

— Ot, widzisz, po staremu, rzuciłem filozofię i siedzę na trzecim medyko-chirurgicznym...

— I myślisz pewnie o matematyce? — wtrącił ironicznie Murawiew.

— Zgadłeś — przyznał poważnie Kibalczyc — bo właściwie jedna matematyka, która dać może człowiekowi szerszy horyzont...

— Niezawodnie, masz wszystkie dane po temu, aby zostać wiecznym studentem!

Kibalczyc i tej wtórej przymówki nie wziął Murawiewowi za złe.

— Właściwie, chcąc umieć cośkolwiek trzeba nim być. Gdzie się obrócisz, mrok jeden... Ot masz głupstwo, śledziona... myślisz powiedzą ci o niej co trzeba?!... Dźwigasz pod bokiem taki aparat, zęby zjadasz na anatomii, na fizyologii a o śledzionie tyle wiesz co nic... Wiesz, że ją masz, ale gdzie się zaczyna a gdzie kończy jej racya bytu — nie masz pojęcia!!...

— Pewnie, pewnie! — przyznał obojętnie Murawiew. — Co komu przypada do usposobienia! Tylko, że te zapały akademickie jakoś cię nie żywią!

— Uch, ot zawaliłeś! A mnie co!?... Nic sobie. Korepetycye mam, trzydzieści papierków dziś dmuchnąłem u Korniłowych, aż wstyd było brać. Chłopak uczy się wybornie, głowa otwarta, te dwie godziny dziennie nieomal przegadasz sobie i ani spostrzeżesz, jak Anna Pawłówna już do ciebie: pozwólcie, Mikołaju Iwanowiczu, dziś wasz miesiąc! Strach jacy dobrzy ludzie!

— A u Perowskich dajesz jeszcze lekcye?...

— Naturalnie, jakżeż!... Panna Marya będzie zdawała na patent...

— Ale chyba tam nie napraszają ci się z pieniędzmi?

— Hm, właściwie nawet mi nie potrzeba — odrzekł wymijająco Kibalczyc.

— I cóż tam Perowscy?

Kibalczyc posmutniał.

— Po staremu, po dawnemu...

— Lew Lwowicz upija się, gra w karty, wynajmuje się na mieszczańskie bale i uroczystości familijne, jako tradycyjna ozdoba...

— Biedny i on! Nieszczęście!

— No, tak! Miał pecha!... Gdyby nie zamach Karakozowa byłby poszedł wysoko... a w rzeczy samej, gdyby nie dzieci...

— Uu! Murawiew, cóż ty zamyśliłeś!!

— Mówię, co jest. Karakozow wysadził go z gubernatorstwa! Perowski nie dopatrzył, nie dośledził nihilistów, niełaska cesarska. Lecz niełaskaby minęła, przeszła. Wiadomo, gubernator nie cudotwórca. Perowskiemu by darowali. Toć syn ministra, jedyny synowiec hrabiego Wasyla, najdzielniejszego generała mikołajewskiego! Nawet, żeby Szuwałow nie wiem jak intrygował toby Perowskiego na jakieś gubernatorstwo wrócili! Brał łapówki, ale brał nie nad miarę, Szuwałow także bierze i wielki książę bierze, a cesarz nie bierze dlatego, bo ma tyle, ile mu się podoba... Takich, jak Perowski, było dużo. Ale, gdy panna Zofia Perowska została pochwyconą na propagandzie, gdy

rozniosło się, że córka ex-gubernatora jest nihilistką...

— Murawiew! — upomniał z wyrzutem Kibalczyc — ot sobie młoda dziewczyna, toć znałeś ją, toć wiesz sam najlepiej — muchy by nie miała odwagi skrzywdzić...

Murawiew odwrócił zlekka głowę i mruknął przez zęby:

— A do żywego ugryźć potrafi!

— Szczotka, szczotka, wypluń! Tyś dobry, ona dobra a tam, u Perowskich, niedola. Ojciec bez posady, złość go szarpie, chłopakom ciężko, pannę Zofię trzymają w więzieniu, a biedna matka sama nie wie, co dalej — ostatni folwark myśli zastawić. Widzisz, bieda ogromna.

— Są biedniejsi od nich!

— Myślisz! A przecież wiadomo, że nie ma linii demarkacyjnej między tem, co się zwie wogóle bogactwem a tem, co jest nędzą. Masz, włóczęga w przytułku, ma czasem łapcie, no, i pośród bosych, uchodzi za bogacza. Zresztą, nędza zaczyna się tam, gdzie rodzi się świadomość upośledzenia, gdzie warunki bytu zmieniają się z lepszych na gorsze. Słyszałeś, jak baby na Piaskach uspokajają rozbeczanych bębnów? — Nie płacz a w niedzielę wezmę cię na targ i pokażę ci jak bogate panie kupują swoim dzieciom zabawki! — Tak mówią baby na Piaskach i bębny są kontente z obiecanej uciechy! Masz inny przykład. Ja jestem poprostu popowiczem nieżyńskiego powiatu a tyś przecież Murawiew. Ja na bosaka harcowałem jeszcze po

błocie, jak tyś już z guwernantką i lokajem jeździł rysakami. Stąd, jak tobie deszcz zajrzy za kołnierz, to już ci niedola a mnie, choć woda w butach chlupnie, — to nic, stara znajoma. Tobie katar, a mnie cóż, zdrowie jedno!...

Kibalczyc zaśmiał się pogodnie ze swego wywodu, lecz raptem suchy kaszel chwycił go za gardło i targnął wątłą piersią. Murawiew wzruszył ramionami.

— Tem lepiej dla ciebie, że masz tak małe wymagania!

— Uch, zawaliłeś zaraz! Małe!... Patrz, widzisz ot pół funta kawioru gruboziarnistego dźwigam w kieszeni a tu jeszcze trzydzieści pięć papierków za nic. Ty się śmiej, dla ciebie, to może jeden spacer na „wyspy", może jeden rękaw u paltota, a dla mnie kapitał...

Murawiew spojrzał przyjaźniej na Kibalczyca.

— Chodź do Filipowa na herbatę... deszcz przeszedł, mam akurat godzinę czasu.

— Do Filipowa! Szczotka! Gdzież mnie z tobą!

Murawiew ujął Kibalczyca za ramię.

— Chodźże, chodź!...

Kibalczyc roześmiał się ze szczerem zadowoleniem i poszedł z Murawiewem.

Po drodze Murawiew z kolei jął wyłuszczać Kibalczycowi, co i jak poczyna ze sobą.

Kibalczyc słuchał z uwagą zwierzeń dawnego towarzysza ze szkolnej ławy, nie kryjąc dlań swych zachwytów i radując się świetnym jego widokom.

I dowiedział się Kibalczyc, iż Murawiew do

ukończenia kursów prawoznawstwa ma już jedynie egzamin państwowy do zdawania, że przez stryjeczną swoją, córkę generała Murawiewa, słynnego poskromiciela buntu na Litwie, ma zapewnioną posadę w senacie, no i że, dalej, radę sobie da niezawodnie, że generałowa Adelberg, żona ministra dworu, zwróciła nań uwagę na balu w Pawłosku; że zerwał od roku ze szwaczką Katią, ponieważ serce jego zabiło dla bajecznie pięknej cyrkówki, miss Coriandoli; że przed tygodniem u Cubat za samo szampańskie zapłacił sto dwadzieścia rubli; że z egzaminu państwowego w rezultacie sobie kpi, ileże zna drogę do rektora i zdał już egzamin przed panią rektorową; że wogóle na życie zapatruje się praktycznie, stąd niech tylko pierwszy czyn dostanie, zabierze się do swego „starego“ i oduczy go sknerstwa.

Kibalczyc zdawał się być olśnionym wynurzeniami Murawiewa. Pogodna, dobrotliwa twarz studenta ledwie niekiedy drgała odruchowymi skurczami, zresztą ani zdolną była do tych błysków ironii, sarkazmu i szyderstwa, które raz po raz błąkały się w załamach ust kandydata do senatu.

Nadomiar, gdy przed Kibalczycem stanęła w kawiarni Filipowa brzuchata filiżanka gorącej herbaty, gdy Murawiew raz i drugi przepił doń „popówką“ a alkohol różowe myśli studenta już zgoła tęczowymi ustroił blaskami, serce popowicza z nieżyńskiego powiatu zabiło gorącą przyjaźnią i rozmiłowaniem dla dzielności kolegi.

— Szczotka, Murawiew — mruczał Kibalczyc. —

Tyś był zawsze! Ot, głowa! Bo tak — sens życia był, jest i będzie zawsze głupi, stąd mądry ten, kto mu się potrafi poddać, kto nie zaprząta sobie głowy pytaniami... No, bo ty, szczotka, masz rasę, masz szlachecką rasę... Nie przecz! Tam równość a tam rasa. Weź ród lichaczów, cóż, koń w konia, muskuł w muskuł! A weź szkapę mużycką, karm owsem, choć pierogami i cóż!? Utuczysz, wypasiesz ale chamstwa z niej nie wypędzisz! Tyś lichacz a ja szkapa mużycka. Chcesz, tedy cham edukowany, ale tylko cham nieżyński, chochoł a trochę ukrainiec!

Murawiew pociągnął zlekka nosem i odrzekł sentencyonalnie:

— Eh, dobrze ci komu wypominać rasę! Miałbyś takiego, jak ja, starego ot, inaczej byś mówił! No, w twoje ręce...

— Na zdrowie!

— Strach jaki skąpy. A tu masz, Coriandoli... chciałbyś czasem bukiet posłać — i musisz sobie odmówić, masz niby rasę, ale w zysku ta rasa daje ci tylko większe udręczenie... większą świadomość niemocy. Urodziłbym się, jak powiadasz, nieżyńskim chamem to i nieczułbym! I przecież są to drobiazgi, śmiesznostki, podłe śmiesznostki, a życie trują!

Murawiew wychylił znów kieliszek wódki, zapalił papierosa i puścił z głośnym podmuchem kłęb dymu, Kibalczyc zafrasował się serdecznie.

— Bo, widzisz, czasem przychodzi a po tem mija!

Sam powiadałeś, że jeszcze rok i dobędziesz się... a rok...

— Starczy i miesiąca, aby człowiekowi życie zbrzydło!...

— Uu! Szczotka!

— Naturalnie, bo tu wszystko układa ci się jaknajlepiej a tu jakaś głupia rzecz staje ci w poprzek drogi i burzy ci całe szczęście... No! Co tu długo mówić... Wyobraź sobie, dałem słowo Coriandoli, że będę na przedstawieniu... i dla nędznych dwudziestu pięciu rubli muszę złamać słowo, narazić się na wymówki, może stracić z oczu najlepszą w świecie dziewczynę!... Dla nędznych dwudziestu pięciu rubli!...

Kibalczyc, który był zaczął skręcać sobie papierosa zapatrzył się smutnie na kolegę.

— Pozwól bo...

— Napijesz się ze mną koniaku? — przerwał Murawiew.

— Po cóż, szczotka, dość już!...

— Te kilkadziesiąt kopiejek mnie nie uratuje! — zakonkludował Murawiew i zakrzyknął na posługacza o koniak.

Kibalczyc z onieśmieleniem kończył zwijać papierosa.

Murawiew podsunął Kibalczycowi podany przez posługacza koniak.

— Pij, Kola!

— No i koniak! — mruknął z zadowoleniem Kibalczyc — Funda cała...

— Eh! Poczekaj, zobaczysz, jeszcze nietaką ci sprawię!...

— Wiem, szczotka, tyś serce, dusza...

— Bylem się z tych nikczemnych kłopotów wydostał!...

— Pluńże i na kłopoty! Co tobie....

— Pewnie, że na takie tylko plunąć! Ale tymczasem tu cię dławi, za gardło ściska... za tydzień dwadzieścia pięć papierków izwoszczykowi rzucisz a dziś dla dwudziestu pięciu rubli łamiesz się, dręczysz... Toć drobiazg — bukiet — i bukietu nie możesz — bo, jak na złość, choćbyś żywą duszę spotkał! Myślałem od ciotki a tu ciotka wyjechała... Napijesz się koniaku!... Napijesz! Co tam! Choć złe zalać alkoholem...

— Pozwól, Szczotka! Toć pozwól! — bronił się Kibalczyc, łypiąc poczciwie swemi płowemi oczyma.

— Nic — pij!... W twoje! Jeszcze temu tydzień, Sablin, pamiętasz Sablina?! Jest podporucznikiem w konno-gwardyjskim pułku! — Trzysta rubli mi gwałtem! Nie wziąłem, bo, myślałem, ciotka!... Masz, Kola, rasę! Rasa wkłada obowiązki, zakuwa cię w łańcuchy różnych obyczajów... no i doprowadza, że dla dwudziestu pięciu rubli choć sobie strzelaj w łeb!...

Murawiew umilkł. Kibalczyc poruszył się niespokojnie i ozwał nieśmiało:

— Bo, uważasz, szczotka, gdybyś ty chciał być dobrym kolegą...

Murawiew spojrzał pytająco na Kibalczyca.

— Gdybyś chciał być, to nie odmówiłbyś! Bo

mnie, słowo honoru, jak Boga kocham, nie potrzeba... Anna Pawłówna mnie dzisiaj, anim się spodziewał! Poprostu, nie wiem co z tem zrobić!... Weź szczotka! Weź!... Oddasz tam kiedy...

Kibalczyc przy tych słowach wyciągnął z kieszeni zatłuszczony woreczek dobył z niego banknot dwudziestopięciorublowy i podsunął nieśmiało Murawiewowi.

Murawiew sięgnął nieznacznie po banknot.

— Jakżeż bo ja mogę...

— Weź, szczotka. Co tam...

— Ale pod jednym warunkiem!...

— Uch, co tam po warunkach...

— Że napijemy się jeszcze koniaku...

Kibalczyc roześmiał się na całe gardło z uciechy.

— Murawiew, serce na talerzu..., dawaj łapę!

Kibalczyc potrząsnął z takim impetem ręką szkolnego kolegi, że aż leżącą na stoliku paczkę książek zrzucił na ziemię.

Murawiew dysponował posługaczowi koniaki. Kibalczyc zbierał rozsypane książki.

— Cóż to za książki dźwigasz? — zagadnął od niechcenia Murawiew.

Kibalczyc spojrzał na tytułową kartkę jednej z książek.

— Kto ich wie! A... Hercen! O, i Bakunin! Patrz, nie myślałem...

— Rewolucyjna literatura — zauważył Murawiew.

Kibalczyc wzruszył ramionami.

— Ot, babska biblioteka! Korniłowa powiada do mnie, weźcie to, przechowajcie...

— Boją się rewizyi!

— Kto ich wie! Prosiła — mnie nic do nich!...

— Hm! Jednakże, gdyby te książki znaleźli u ciebie!

— Murawiew! — roześmiał się serdecznie Kibalczyc. — A któżby u mnie szukał. I niechby nawet, to i cóż!?... Dla mnie cały ten nowy prąd tyle wart, co i stary! Oświata! Co komu z oświaty! Im człowiek więcej umie, tem mniej wie...

— Pewnie, pewnie, jednakże takiej bibuły w domu bym nie trzymał... Niechby komu wpadła w oko...

— Szczotka, ot zajechałeś...

— Może, może! — odparł wymijająco Murawiew i spojrzał ku wiszącemu na ścianie zegarowi. — Siódma! Czas na mnie i tak się spóźnię do cyrku...

— Siódma! Patrzaj i na mnie pora. Kwiatkowski miał być u mnie...

— Kwiatkowski! Wdajesz się z tym!...

— Dziwadło — ale to zacny chłop!

— Może — może! — odrzekł z roztargnieniem Murawiew. — No, do widzenia... radbym ale muszę. A gdzie mieszkasz?

— Na Mieszczańskiej, pod trzydziestym...

— Odwiedzę cię w tych dniach. Muszę wziąć dorożkę. Masz drobne? Wybornie... Daj mi sześćdziesiąt kopiejek... Siedemdziesiąt? No, wszystko jedno! Do widzenia! Policzymy się...

Murawiew przy tych słowach wdział szybko rę-

kawiczki, nacisnął cylinder i, uścisnąwszy nerwowo rękę Kibalczyca, wyszedł z kawiarni.

Kibalczyc, który ledwie zdążył schować swą zatłuszczoną portmonetkę a wybełkotać kilka słów pożegnania, spojrzał rozbłyszczonym wzrokiem za Murawiewem. Zaczem sięgnął po kieliszek, wysączył zeń resztkę koniaku i zaciągnął się papierosem.

— Dusza nie człowiek! – mruknął do siebie, lecz że równocześnie zjawiło mu się wspomnienie tych czasów, kiedy to Kola Murawiew był nielubianym przez kolegów „lizusem-szczotką", szarpnął się i dodał: — No, tam był dzieciak a tu mężczyzna! I cóż, wyjdzie! Phi — musi wyjść na dostojnika, senatorem może zostanie i, kto wie, kim jeszcze... Bo i ma po temu prawo, ma dane. Z dębu rodzi się dąb a nie wierzba. Zresztą, Murawiew urodził się do dużego, więc mu potrzeba dużo... A urodzić się do dużego, to bodaj niedola, udręka, bo często i poczucie własnej niemocy, bo nienasycona ambicya, bo walka z całym światem rozmaitych utrapień, o których taki popowicz nieżyński nie ma nawet pojęcia!

I Kibalczyc, rad ze swego wywodu, zebrał książki, nałożył czapkę i skierował się ku wyjściu Gdy niespodziewanie posługacz zastąpił mu drogę

— Pan zapomniał o rachunku!

— O rachunku! Ach, ileż się należy?...

— Dwa czterdzieści...

Kibalczyc wyciągnął woreczek, zapłacił, i dorzuciwszy napiwek, wyszedł na ulicę.

Podmuch zimnego, wilgotnego wiatru przej

wskroś chudą postać Kibalczyca. Kibalczyc skulił się i ruszył żwawo do domu.

W drodze błysnęła Kibalczycowi myśl, że jednakże nie on do kawiarni prosił — lecz ta myśl wywołała jeno tem żywszy protest.

— Prosił i ugościł, poczciwie, rzetelnie ugościł... nie pożałował ostatnich pieniędzy. A nie zapłacił, bo zapomniał i tak opóźnił się... z przyjacielstwa się opóźnił... A u takich się opóźnić, to czasem strach, jaki grzech! Taka dama, to nie to, co Kwiatkowski... Ten już, musi, czeka... Ma drugi klucz! Pewno już i samowar nastawił... Będzie zrzędził— ale jak kawior zobaczy!...

Kibalczyc roześmiał się na całe gardło i przyśpieszył kroku tak, że w kilkanaście minut wpadł na mroczne schody trzypiętrowej kamienicy i w podskokach przebył dwa pierwsze piętra, lecz tu zasapał się, zakrztusił i już zaczął gramolić się ociężalej.

Na trzeciem piętrze wytchnął dłużej i znów nieco żwawiej przebył ostatnie kilkanaście schodów, dzielących go od poddasza.

Tu, Kibalczyc postrzegł strumień światła, dobywający się z jego izdebki przez szparę we drzwiach.

— Jest Kwiatkowski! — bąknął do siebie i, sięgnąwszy po klucz, zawołał rzeźwo.

— No, stary, już nie dogaduj!... Kawiorem ci gębę wysmaruję... Dalibóg kawiorem i to gruboziarnistym!...

Kibalczyc obrócił kluczem, roztworzył z impe-

tem drzwi i stanął na progu zdumiony. W izdebce było ciemno.

Kibalczyc stropił się, lecz, dostrzegłszy na tle słabego odblasku, idącego z okna, sylwetkę ludzką, zarechotał i, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, ozwał się wesoło:

— Oj, stary, stary! Figle ci w głowie! Chmurzysz się — nic, czekaj, niech zapalę a obaczysz...

Kibalczyc przy tych słowach namacał postument lampy na stoliku i zabrał się do jej zapalenia. Zadanie było nielada, bo lampa musiała być dopiero co zagaszoną, a więc szkło rozpalone. Student dobył chustkę z kieszeni i dopiero przy jej pomocy uporał się ze szkłem, a dalej zapalił knot, opatrzył go zapałką i, nasadziwszy szkło i papierowy daszek, odwrócił się ku swemu gościowi z ochoczem powitaniem. Lecz zaledwie pierwszy wyraz wymówił, osłupiał ze zdumienia, bo o dwa kroki odeń, miast blado-ściągłej twarzy Kwiatkowskiego, ujrzał przed sobą wielką rudą głowę barczystego draba.

Kibalczyc na widok nieznajomego draba tak się stropił, że nie wiedział co rzec. Rudy drab zdawał się równie pomieszanym i onieśmielonym, lecz snać pomiarkował się w sytuacyi, bo jął kłaniać się do pasa studentowi, a nieznacznie ku drzwiom się przybliżać. Kibalczyc na ukłony odpowiadał ukłonami i bezwiednie również ku drzwiom się posuwał.

Aż student opanował zdumienie i rzekł niepewnie:

— Pozwólcie... z kim mam zaszczyt?...

Drab znów skłonił się do pasa i bełkotał z wysiłkiem.

— Sługa pokorny... waszej wielmożności... Nieumyślnie... Myślałem, że to na prawo a to na lewo... Najpokorniej przepraszam...

Kibalczyc z ugrzecznieniem odkłonił się drabowi i, uprzedzając jego intencyę, zwrócił się ku drzwiom, aby je otworzyć, gdy naraz, obrzuciwszy postać draba, wybuchnął serdecznym śmiechem.

Drab mrugnął niespokojnie i, nie rozumiejąc widocznie wesołości Kibalczyca, coraz gorączkowiej zmierzał ku wyjściu.

— A bodaj cię — cha, cha! — śmiał się z całego serca Kibalczyc. — Ot cudaka z siebie zrobiłeś... Takiego jeszcze w Medyko-chirurgicznej akademii nie było! Spójrz na siebie! Chodźże do lampy...

Drab rzucił wzrokiem po sobie i roześmiał się na całe gardło, postrzegłszy, że istotnie ciasny mundur studencki, który miał wciśnięty na szerokie bary, a który rękawami ledwie mu do łokci dostawał, tworzył niezmiernie komiczną całość z czerwoną, połataną, sznurkiem podpasaną, koszulą.

Kibalczyc podczas pohamował śmiech i spoważniał.

— A wam na cóż ten mundur?...

Drab na to pytanie spochmurniał.

— Darujcie wasza wielmożność, — nie gubcie!... Drugi miesiąc bez roboty... Strach, jak ciężko!... Zmiłújcie się... niedola jedna...

Kibalczyc machnął ręką.

— Uch tam, wymyśliliście!

— Niech mnie najgorsze spotka! Niech tego progu nie przestąpię... Uczciwie pracowałem, stolarzem jestem, meblowym, od sztuki robiłem, trzech pomocników miałem... aż złe przyszło... Wypędzili — mieli za co, nie mieli, no i wypędzili... a tam już bieda...

Studenta ten wywód zniecierpliwił.

— Cóż wy — a ja wam cóż?...

Drab skłonił się do pasa i jął ściągać z siebie mundur studencki, co nie było zadaniem łatwem, ileże mundur wielkich łap draba nie chciał z rękawów wypuścić. Kibalczyc pośpieszył dopomódz drabowi.

— Czekajcież!... Zegnijcie rękę!... Ot wam się zachciało!... I co wy z tym łachmanem myśleliście?...

— Wiadomo! — westchnął drab. — Daliby za to może papierka.

— Za taki łachman! Toć stary mundur.

— Dalibóg!...

— Patrzcie!... Tedy czekajże, — to ja go od was kupię. Macie rubla i kwit!

Drab rozwarł szeroko usta i poglądał mętnym wzrokiem na swą rękę, w którą mu Kibalczyc wetknął zmięty banknot. Kibalczyc atoli nie dał drabowi ozwać się, bo skinął energicznie i, spojrzawszy na budzik, stojący na stoliku, zakonkludował:

— Pomóżcie mi nastawić samowar!... Już po ósmej — Kwiatkowskiego tylko patrzeć... Patrzcie, tu węgle, a tu drewka, woda na schodach.

Drab bez namysłu rzucił się do samowara i jął

go nastawiać. Kibalczyc zaś zabrał się do czynienia ładu w izdebce, co było zadaniem nie łatwem, ileże cała nieomal chudoba studenta w postaci wielkiego tłomoka leżała na łóżku, gotowa do wyprowadzki...

Kibalczyc pogwizdując pod nosem, rozpakowywał tłomok a segregował rupiecie, dzieląc je między kuferek pod oknem i kosz pod ścianą. Drab dmuchał zapalczywie w samowar a od czasu do czasu zerkał z podełba ku studentowi.

Kibalczyc, już był kończył rozpakowywanie tłomoka, gdy wtem, na widok podłużnej, czworograniastej skrzynki, strzepnął rękoma i zakrzyknął:

— A wam co z preparatu?!...

Drab podniósł głowę i łypnął białkami pytająco.

— No, przecież tu jest preparat! — objaśnił Kibalczyc i, otworzywszy skrzynkę, dobył z niej posiniałą, napoły zasuszoną, a ze skóry obdartą rękę ludzką.

Drab przeżegnał się zabobonnie.

Student na widok wystraszonej miny draba, wpadł w świetny humor.

— Ach wy, ruda broda!... I cóż na mnie oczy stawiacie! Patrzcie, samowar kipi! Dajcie czajnik... A jak wam?...

— Piotr Iwanowicz Chałturin...

— Chałturin! Z której gubernii?

— Jarosławskiej, jarosławskiego powiatu!

— Phij! Jarosławskiej! Bogata gubernia, przemyślny u was naród! Siadajcie. Ot wasza herbata...

Kibalczyc podsunął Chałturinowi filiżankę herbaty i wskazał na skrzynkę przy stole a sam, nalawszy sobie drugą filiżankę, zasiadł z przeciwnej strony stołu, na koszu.

Chałturin zawahał się, lecz, gdy mu Kibalczyc podsunął cukier, wziął kawałek i, gryząc go hałaśliwie, jął popijać gorącym płynem.

Kibalczyc zabrał się do swej herbaty bardziej systematycznie, bo wylał ją na spodek i ze spodka ciągnął ustami, co było dlań zresztą i dogodnem, ileże koszyk, na którym siedział, był tak nizkim, iż krawędź stołu była na jednym poziomie z nosem studenta.

Przez chwilę w izdebce panowało milczenie, przerywane tylko głośnem odmuchiwaniem herbaty i chłeptaniem.

— Wyście dawno w „Pitrze"? — zagadnął po kilku łykach Kibalczyc.

— Drugi rok.

— I co was tu przywiodło?

Chałturin dźwignął barami.

— Mówili, chleba w stolicy tyle, że nie przejeść...

— Byliście w fabryce?

— Pod Narwskiemi rogatkami.

— Skończyliście? Nalejcie sobie jeszcze.

Chałturin podniósł się ociężale, podszedł do stojącego pod piecem samowara i jął herbaty sobie nalewać.

Kibalczyc sięgnął po pudełko z tytuniem i skręcał papierosy a od czasu do czasu pociągał herbatę ze spodka. Zaczem, spostrzegłszy, iż Chałturin

wolniej dopija drugą filiżankę, podsunął mu papierosa.

— Zapalcie!

Chałturin skłonił się głową i z namaszczeniem zapalił papierosa nad lampą.

— I za cóż was wydalili z fabryki? — zapytał od niechcenia Kibalczyc.

Chałturin zsunął zlekka brwi.

— Kto ich wie, zatraconych! Przychodził do nas jeden i powiadał, słuchali wszyscy to i ja słuchałem... Aż, powiadają, „nihilist"... Poszło śledztwo. Kto słuchał, kiedy, jak... i dwudziestu ludzi przepędzili... Mnieby może nie ruszyli, ale, gdy rzecz poszła, czy „nihilist" książki dawał i czy kto czytał, tak jeden powiada, — Chałturin umie czytać... Dyrektor do mnie, ty, mówi, zbieraj manatki, a patrz, abyś nie trafił na takiego, co cię policyi wyda, bo świata nie będziesz oglądał. Chciałem tłumaczyć, że może z rok drukowanego nie widziałem — gdzie! Zezwał jeno i ot...

Chałturin urwał raptownie i strzyknął śliną przez zęby.

— Patrzcie! — A czegóż od was chciał ów nihilista?...

— Et... no, przychodził i gadał, licho wie czego nie gadał. A po sprawiedliwości rzec, to, to gadał nieraz dobrze. Siedzisz w szynku, bywało, a on ci każe bez mała całą biedę, która ci się po głowie plącze!... Ale cóż, z gadania nie wielki pożytek...

Kibalczyc potrząsnął głową.

— Widzicie — propaganda ma swoje dobre

strony, bo ludzie często nie wiedzą, jak z błędnego koła niedoli się dobyć... Chociaż, czasem uświadamianie bywa nie tylko wskazywaniem celu ale i uwidocznianiem niemocy, bezsilności, bywa tylko tem, czem jest uroczysta rada, udzielona choremu na suchoty nędzarzowi, aby jechał do Meranu... A przecież takiemu łatwiej byłoby się pogodzić z myślą, iż nie masz dlań ratunku, niż konać ze świadomością, iż los odmawia mu zbawczego klimatu, że skazuje go na śmierć nie z wyroku nieuleczalnej choroby, lecz z wyroku nędzy...

Chałturin zmarszczył czoło i zdawał się pracować z całych sił, aby zrozumieć Kibalczyca, ten ostatni wpadł w ferwor.

— Cała rzecz w zatargu pracy z kapitałem. Kapitał to przemoc, niewolnictwo, uciemiężenie, lichwa, wyzysk, lecz kapitał byłby nieszkodliwym a przynajmniej bezwładnym, gdyby nie pieniądz! Pieniądz jest złem najgorszem! Pieniądz! Więc narzędzie wymiany, narzędzie wartościowania a właściwie bezimienny oprawca, satrapa, niegodziwiec, udający, że jest znakiem pracy!... Piękny znak pracy, który bez trudu mnoży się w kieszeni próżniaków i pasożytów!...

Kibalczyc umilkł, spostrzegłszy zakłopotanie, malujące się na szerokiej, czerwonej twarzy Chałturina.

— Nalejcie sobie herbaty! — ozwał się po chwili student.

— Bóg zapłać — mam dość...

Chałturin podniósł się ociężale ze skrzynki.

— A wy teraz dokąd?

— Do kuma, na Wasiljewską wyspę... przenocować, a jutro znów za robotą...

Chałturin przy ostatnich słowach czegoś zmieszał się i głowę zwiesił.

— Czekajcie bo... dam wam kartkę... Macie! Tu jest adres... Barbara Sergiejewna Perowska... na ulicy Żukowskiego numer drugi... Wiecie, gdzie Litejny prospekt? Więc właśnie! Idźcie tam rano. Powiedzcie, że was przysłał Kibalczyc... Może tam dla was co znajdą...

— Pokornie dziękuję.

— A jak będziecie w tych stronach, to wstąpcie do mnie, choć herbaty wypić...

Chałturin skłonił się do pasa i ujął za klamkę, lecz Kibalczyc zatrzymał go skinieniem ręki, poskoczył do łóżka, na krawędzi którego wisiał mundur, ciągnięty niedawno co z pleców draba, zwinął mundur i wetknął Chałturinowi pod pachę.

— Zapomnielibyście... weźcie to... sprzedacie sobie...

Chałturinowi jakieś plamy czerwone wytrysnęły na czole.

— Pozwólcie, gdzie mnie... I tak łaska wasza...

— Nic — weźcie, mnie z niego nic — mam dwa jeszcze a jeden prawie nowy! Idźcie jutro na Żukowskiego, tam może dla was znajdą robotę...

Chałturin chciał coś rzec, lecz głos uwiązł mu w gardle i dobył zeń jeno przeciągły ponury chrobot.

— A jak będziecie w tych stronach, zajdźcie! Najlepiej wieczorem...

Chałturin, mimo tego wyraźnego pożegnania, postał jeszcze chwilę, aż targnął trzymaną w ręku czapką i wyszedł w milczeniu.

Kibalczyc, po oddaleniu się Chałturina, objaśnił lampę, wyciągnął ze stosu książek pod oknem gruby poszyt litografowany i, położywszy się na łóżku, zatopił się w kursie anatomii porównawczej.

Lecz czytanie jakoś nieszło Kibalczycowi, gdyż, po przerzuceniu kilku kart, odrzucił poszyt, zapalił papierosa i spowił się kłębami tytuniowego dymu.

W izdebce studenta zaległa cisza, bo nawet samowar, syczący resztką dogasającego żaru, zamilkł.

Kibalczyc skończył papierosa, odrzucił niedopałek na blachę, pod piec, i leżał bez ruchu, na wznak, z rękoma podłożonymi pod głowę.

Ale snać myśli, cisnące się studentowi, zmęczyły go, bo przeciągnął się, ziewnął, spojrzał ku budzikowi i zaczął zbierać się do snu. Więc zwlókł się z łóżka, wyciągnął kołdrę na poduszki, poprawił prześcieradło, miskę, rozpierającą się na jedynym w izdebce stołku, zestawił na podłogę, a stołek przysunął do łóżka, awansując go na stolik nocny. Zaczem, lampę umieścił na zaimprowizowanym stoliku i zabrał się do rozbierania.

Zaledwie atoli Kibalczyc ściągnął mundur a ułożył go na koszu, na schodach rozległo się ciche stąpanie.

Kibalczyc na ten odgłos zastanowił się — prze-

czucie go nie zawiodło — po małej chwili, rozległo się przeciągłe kołatanie do drzwi.

Kibalczyc bez wahania przekręcił klucz i rozwarł drzwi naoścież. Na progu stanął młody dorodny mężczyzna.

Student powitał serdecznie przybyłego.

— Uch, stary, stary! Myślałem, że już nie przyjdziesz! Dziesiąta!

Gość uścisnął w milczeniu rękę Kibalczyca, odetchnął głęboko i rozejrzał się niepewnie po izdebce.

— Zasapałeś się! Czwarte piętro! Phi, — ale, ba, jakiś ty wyelegantowany! Ani bym cię poznał...

Przybyły za całą odpowiedź zagadnął niespokojnie.

— Czy twoje okno wychodzi na ulicę?...

— No tak... patrz!...

— Zapuść roletę!

Kibalczyc spełnił w milczeniu polecenie. Przybyły równocześnie wziął ze stolika jakąś starą gazetę, zwinął z niej coś w rodzaju umbrelki i nałożył na daszek od lampy. W izdebce zapanował półmrok.

— Kwiatkowski! A tobie co?...

Przybyły teraz dopiero zdjął kapelusz, odrzucił na łóżko i osunął się wyczerpany na skrzynkę przy stoliku.

Kibalczyc zafrasował się dziwnym stanem gościa.

— Kwiatkowski, do licha! A ciebie jakie złe ugryzło! Napijesz się herbaty — nie bardzo gorąca ale ujdzie. Wiadomo, napijesz się!... Czekaj, fili-

żankę ci wytoknę. Miałeś o siódmej być... Co prawda, to i ja się spóźniłem — ale ty...

— Od szóstej byłem w drodze do ciebie... musiałem się oczyścić...

— Jakto, bo nie rozumiem?...

— Trzech mnie ścigało!... Trzy razy zmieniałem izwoszczyka... Pół Petersburga zygzakami zjeździłem! Zdawało mi się, iż już się nie wydostanę z matni!

Kibalczyc obrzucił Kwiatkowskiego smutnem spojrzeniem i pokiwał głową.

— Ach ty, niepoprawny!...

— Nawet żałuję, iż tu przyszedłem! — ciągnął głucho Kwiatkowski. — Tego by brakowało jeszcze, żebym ciebie wplątał. Ale cóż, nie spodziałem się takiego polowania. Stało się.

Kibalczyc położył rękę na ramieniu Kwiatkowskiego.

— Stary, stary!... Uspokój się! Gdzie tu do mnie by kto trafił...

— Jesteś pewny swego stróża?

— Naturalnie! Poczciwy sobie człek... żona, troje dzieci...

— Szpieg!

— Uch, Kwiatkowski, nie znasz...

— Gdyby nie był szpiegiem nie mógłby być stróżem...

— Masz herbatę, osłodź sobie, wypłucz gorycz... przestań dzielić świat na szpiegów i nihilistów. Samochcąc zaczynacie grę no i pomstujecie, że was ścigają! Wam się zdaje, że walczycie o ideję, no

i takiemu żandarmowi także się zdaje, że dla idei walczy! Nie marszcz się, pozwól, urazić cię nie chcę, lecz powiedz sam, wydajecie wojnę...

— Autokratyzmowi, ciemnocie, przemocy...

— Bardzo dobrze, no i autokratyzm się broni!

— Ale zapominasz, że nie równych używa środków, że my idziemy pod sztandarem dobra ludu, że sięgamy dalej niż przywilej kasty, że nakoniec cały nasz rewolucyonizm zmierza ku podniesieniu proletaryatu, ku dźwignięciu go...

— Zgoda, ale ponieważ wasz program nie mieści się w czapce Monomacha... tedy...

— Czas, abyśmy zaniechali baraniemi żalami odpowiadać na błyski nożów rzeźnickich! — dokończył z wybuchem Kwiatkowski.

Kibalczyc pokręcił głową.

— Masz przykład, ile złego narobił wam zamach Karakozowa!

— Tak, bo chybił...

— Nie, nie, stary! Mnie nic do waszych spraw, ale nie... wam tak nie wolno. Apostołujcie, nawracajcie, oświecajcie, stawcie żądania ale nie myślcie nigdy o terrorze... Zła to broń, bo przysparzająca wam nieprzyjaciół, bo niegodna, bo potępiająca was!... Daj mi skończyć!... No, wyobraź sobie, żeś ty urodził się i wychował w tych samych warunkach, co pierwszy z brzega, znienawidzony przez was, tyran... byłżebyś innym!?... I przeciwnie, gdybyś tego tyrana w swoje warunki bytu wtłoczył, czyżby ten tyran, szpieg, oprawca, czy jak tam, nie byłby ci towarzyszem i kolegą?!... Walczycie o ideję,

schylam czoło, ale pamiętajcie, że dlatego wam nie wolno uciekać się do pewnych środków... bo, przez równoważenie dobrowolne narzędzi walki, równoważycie wartość idei z tą, którą zgnieść usiłujecie. Wspomnij na dekabrystów, wspomnij na objawy najżywszego współczucia, które im...

— Pozwoliły zawisnąć na strykach!

— Ale i które otoczyły ich imiona aureolą męczeństwa, podczas, gdy Karakozow...

— W tej samej aureoli chodzi! — przerwał gwałtownie Kwiatkowski.

— Dla was, dla szczupłej gromadki tych, co zdolni są wyczuć całość tragedyi, która człowieka uczciwego, dzielnego, zacnego popchnęła do zbrodni... lecz dla tłumu, dla ludu, nawet dla jednostek oświeconych, zamach, bez względu na pobudki, jest czynem występnym...

Kwiatkowski zaśmiał się głucho.

— Więc, według ciebie, mało jeszcze ponosimy ofiar! Chciałbyś, abyśmy wprost deklarowali się na powolne zdychanie w kazamatach!... Aureola męczeństwa! No i właśnie dać ją nam może tylko terror, bo jeden terror zmusza samowładztwo do otwartej z nami rozprawy, nie pozwala mu dławić nas w czterech ścianach kaźni... Bo jeden terror daje nam szafot, więc piedestał!... Daje nam nareszcie świadomość, że istotnie za coś więcej umieramy niż za książkę, za broszurę, za myśl rewolucyjną!...

— Hm, ponieść życie za myśl...

— Porzuć te głupie sentencye! Znałeś Kruti-

kowa? Pamiętasz, był z nami w piątej klasie, — powiesił się w więzieniu Charkowskiem! A Leontiewicza sobie przypominasz?... Poderżnął sobie gardło kawałkiem szkła... w więzieniu moskiewskiem...

— Leontiewicz?!...

— Tak, ostatnia wiadomość... Był zamieszany w proces „nieczajewców", trzymali go w więzieniu bez sądu no i dogadzali tak, że, wolał skończyć.

— Leontiewicz! Leontiewicz...

— Syn profesora, chłopak bez żółci, potulny, cichy... Tyle mu było do nihilizmu, co i tobie. Poderżnął sobie gardło w marcu — a dziś ledwie słych nas doszedł... bo najbliższa rodzina nie wie nawet... Masz męczeństwo!... Jakaż z niego korzyść dla sprawy? Kto zdolen jest dowieść tej zbrodni głuchym murom więziennym i któż zwróci uwagę na jakiegoś Leontiewicza, który żadnym czynem nie wstrząsnął opinii społecznej. Któż bo zajmuje się męczennikami! O dekabrystach mi nie mów! Inne były czasy. Rząd trzymał się wówczas średniowiecznej zasady odstraszania, otwartej grozy mikołajewskiej... Dziś rząd zrozumiał niebezpieczeństwo, płynące z publicznych rozpraw sądowych, z uroczystych jatek... Dziś unika ich, dziś tylko pod przymusem zakasuje katowskie rękawy na f o r u m, dziś całą moc swoją wytęża, aby na powierzchni życia ani jedna zmarszczka nie ujawniła śmiertelnych konwulsyj mordowanych ofiar.

Kibalczyc milczał. Kwiatkowski zanurzył palce w swej bujnej, czarnej czuprynie i, po przestanku,

jakby własnym odpowiadając myślom, ciągnął półgłosem:

— Tak, tak — czas na nas, najwyższy czas, abyśmy się odrodzili, abyśmy wyszli z roli tropionej zwierzyny, abyśmy wdrożyli poszanowanie dla naszych żądań, abyśmy dowiedli tym, którzy wierzą w pięść, że i my nią umiemy być, że i my krwią za krew potrafimy płacić...

Kibalczyc poruszył się niespokojnie i rzekł tonem łagodnej perswazyi:

— Kwiatkowski! Gdzie wam z gołemi rękoma! Lat trzeba jeszcze... Mówicie o ludzie, chcecie przed nim iść... ba, lecz ten lud, jeżeli się ruszy, to podobno nadewszystko, aby was zgnieść. Przebacz, wiem, że masz dziesięć odpowiedzi, ale mi się nie dziw, ciężko mi widzieć cię w tem rozpaczliwem, beznadziejnem szamotaniu.

— Dobrze mi jest — uciął cierpko Kwiatkowski.

Kibalczyc westchnął i zabrał się do nalewania herbaty.

— Ale, wiesz, kogo spotkałem! Murawiewa „szczotkę“!

Kwiatkowski skrzywił się.

— Na człowieka wychodzi! — dodał Kibalczyc. — Wiem, wiem, nie lubisz go — ale cóż, on po swojemu życie pojmuje i bodaj rozumnie, godzi się na to, co jest... Zresztą, bardzo serdeczny, ani się nie spodziałem, ugościł, do Filipowa mnie zaciągnął...

— Ma wszystkie dane, aby zostać z czasem rzeczywistym ober-nicponiem.

— Uprzedziłeś się, uprzedziłeś!...

— Być może, instynktownie go odgadłem... Radzę ci się go wystrzegać, ma u swoich kolegów zdecydowaną opinię.

— Uch, ty zaraz z opinią...

— A jeżeli masz wątpliwości, zapytaj się Perowskich... przecież to powinowactwo...

— Nie słyszałem, a choćby nawet jakieś głupstwo spłodził — to jeszcze...

— Głupstwo się wybacza, ale denuncyacyę nie zawsze. Krótko mówiąc, są dane, że to właśnie, dzięki Murawiewowi, aresztowano pannę Zofię...

— Kwiatkowski! Zastanów się.

— I są dane poważne. Murawiew podkochiwał się w Perowskiej i czynił jej bardzo stanowcze propozycye, no i, depcząc jej po piętach, posiadł tajemnicę jej wypraw na zebrania robotnicze... Perowska przyjmowała obojętnie zapały Murawiewa, ten, mimo odprawy, nie zaprzestawał ataków. No i właśnie, po ostatniej scenie miłosnej... Perowską uwięziono... Mógłby być to prosty zbieg okoliczności, gdyby Murawiew nie próbował groźbą skłonić ku sobie Perowskiej.

— No i Murawiew... i Murawiew! — mruczał Kibalczyc, trąc czoło i jakby w niem szukając uniewinnienia dla oskarżonego, aż zakonkludował rezolutnie: — Masz, do czego baba może człowieka doprowadzić.

— Bredzisz!

— Jak Boga kocham, baba najspokojniejszego potrafi! — uparł się, z impetem Kibalczyc, któremu

nie wiadomo dlaczego ukazały się niebieskie oczy i figlarnie zadarty nosek panny Malinowskiej.

— Ale nie możesz chyba wyobrazić sobie, aby Perowska umiała się zdobyć na kokieteryę! Chyba, gdyby szło o dobro sprawy, nie wątpię, że zdolną byłaby i do tej broni się uciec.

Kibalczyc zarumienił się i bąknął:

— Już tam z babami! Czy o pogodzie, czy o Marksie z nią a taka zawsze swojemi ślepiami zrobi...

Kwiatkowski uśmiechnął się. Kibalczyc tym uśmiechem kolegi skonfundował się i zabrał do wygotowania drugiego posłania, nie zwracając uwagi na dalsze wywody Kwiatkowskiego. Dopiero, gdy dokonał podziału pościeli, a więc gdy w rogu pokoju, pod oknem, na podłodze, rozpostarły się dwa materace, okryły prześcieradłem i ozdobiły jedną poduszką, a zawartość łóżka w ten sposób już tylko kołdrą różniła się od zaimprowizowanego posłania — wówczas rzekł pojednawczo:

— Czas stary! Ty masz racyę, tamten ma racyę — każdy po swojemu. Późno!

— Prawda, a ja do dnia muszę...

— Do dnia?

— Wyjeżdżam, muszę jechać.

— Dokąd — po co?

— Najpierw, że tu zostać nie mogę, chyba iżbym odbył kwarantannę a ta mi jest nieznośną. Nie rozumiesz? Jestem śledzony, jeżeli mnie tracą z oczu, to tem więcej zabiegają, aby mnie odnaleźć i znów śledzić. Mam się na baczności, ale mogę wpaść w pułapkę. Jedyny środek kwarantanna, więc zam-

knięcie się na tygodnie w czterech ścianach aż do zmordowania gończych. Wyjazd jest mniej pewnym, bo, o ile tracą cię z oczu w Petersburgu, o tyle alarmują prowinycę — lecz, co do mnie, wolę wyjazd niż bezczynność...

— Więc na długo — na długo?!

— Nie wiem a zresztą, jeżeli nawet i powrócę, to jeszcze pytanie, czy się zobaczymy... Nie dziw się, ale cóż, drogi nasze się rozeszły, każda godzina oddala nas...

— Ot racya! Choćby sobie nie wiem... to przecież odwiedzić możesz, a i kąt u mnie dla ciebie zawsze...

— Nie wątpię, bo cię znam, znam i cenię i dlatego nie będzie mi wolno nadużywać twej przyjaźni...

Kibalczyc się zasmucił.

— Uch, bo ty zaraz każde słowo bierzesz! Nagadałem ci dziwolągów, a ty z tego wnioski...

— Nie, mój kochany — nic mi podobnego do głowy nie przyszło. Poprostu sumienie by mi nie pozwoliło wystawiać cię na niebezpieczeństwo.

— Wiele sobie z niego robię!

Kwiatkowski, który był właśnie podszedł do okna, uchylił nieco rolety, lecz, zaledwie rzucił okiem w głąb ulicy, odskoczył raptownie i gwałtownem dmuchnięciem zgasił lampę.

— Cóż ty dziś?!

Kwiatkowski pociągnął Kibalczyca ku oknu, i odsłoniwszy nieco roletę, ukazał mu dal uliczną.

— Patrz tam, wprost, pod latarnią... widzisz?...

— Jakichś dwóch...

— Szpiclów!

— Przywidziało ci się. Skądże! I coby im przyszło z wystawania na deszczu!... Chcieliby, toby przyszli i ot zaaresztowali, czy jak tam...

— Nie znasz się na rzeczy. Przedewszystkiem im nie idzie o zagarnięcie podejrzanego, ale o zagarnięcie go wówczas, gdy mają pewność zdobycia dowodów winy... gdy posiądą wiadomości dostateczne do pochwycenia całego koliska ludzi. Lecz to ciekawe. Przysiągłbym, że mnie nie widziano, gdym tu wchodził... Uważaj, jak poglądają ku naszemu oknu... Idą! Idą do bramy... zaraz będziemy mieli dowód... Słyszysz dzwonek...

— Pewno lokatorowie z tego domu...

— Ani słowa więcej — zobaczymy.

Kibalczyca dreszcz przeszedł. Kwiatkowski ściągnął buty, zbliżył się do drzwi i jął nadsłuchiwać.

Odgłos dzwonka u bramy powtórzył się jeszcze kilka razy, aż dopóki nie odpowiedział nań stukot drzwi, szczękanie kluczy i ociężałe szuranie nogami stróża. Wreszcie klucz zgrzytnął, zaskrzypiała furta i tuż rozległa się bezładna, hałaśliwa rozmowa, w której dominował rozespany, opryskliwy głos stróża. Rozmowa atoli raptem przycichła i przeszła w ledwie dosłyszany poszmer.

Kibalczyc podczas ochłonął z wrażenia.

— Ot, przyśniło ci się.

— Ani słowa, zaklinam cię! — odrzekł szeptem Kwiatkowski — idą!

Kibalczyc przysiadł na łóżku na dobre zniecier-

pliwiony tem oczywistem maniactwem kolegi, gdy, naraz, ucho jego pochwyciło miarowy a zbliżający się skrzyp schodów. Skrzyp ten stawał się coraz wyraźniejszym, coraz pełniejszym i nieomal już wątpić nie pozwalał, że ktoś szedł na górę.

Lecz to odkrycie bynajmniej nie zastanowiło Kibalczyca, bo i cóż stąd, że ktoś szedł... Szedł, bo wracał do domu. I Kibalczyc, chcąc położyć kres egzaltacyi Kwiatkowskiego, już miał zakrzyknąć nań żartobliwie, gdy ten, przeczuwając intencyę Kibalczyca, napomniał go.

— Milcz, na Boga!

Napomnienie to było może i uzasadnionem, ile że skrzypienie schodów dosięgło już czwartego piętra, na którem, prócz izdebki Kibalczyca, nie było żadnego innego mieszkania.

Schody skrzypiały coraz pełniej, coraz hałaśliwiej, coraz bliżej — aż naraz umilkły.

Młodzi ludzie zaparli oddechy w piersiach i poglądali ku drzwiom, jakby je pragnąc wskróś przejrzeć.

Upłynęła długa, męcząca chwila głuszy. Wtem zdało się, jakby ktoś odetchnął i podsuwał się pod same drzwi. Poczem, znów głusza zaległa. Tym razem zdawało się, że klatka schodowa pogrążyła się w głębokim śnie.

Kibalczyc znów równiej oddychał i znów gotował się, aby za pierwszem odezwaniem się Kwiatkowskiego, zapalić lampę, otworzyć drzwi i okazać mu puste schody. Podczas czekał znaku Kwiatkowskiego, bo zbyt żywem wystąpieniem nie chciał

go urazić, boć szło mu o przekonanie kolegi a nie o zadraśnięcie. Toć znał Kwiatkowskiego i jak dobrze znał, pięć lat z nim na jednej ławie szkolnej przesiedział... I ot, na co mu przyszło... nerwy, potargane na strzępy, grają w nim za lada pozorem, niedokrwistość, wynikająca z nieregularnego, gorączkowego życia, wodzi mu imaginacyę na bezdroża, pcha do rozstroju mózgowego... A ile on już musiał przeżyć takich, jak ta, chwil i gdybyż takich tylko...

Tu Kibalczyc drgnął, gdyż poza drzwiami rozległo się znów miarowe skrzypienie schodów, a choć teraz oddalające się, ale za to coraz śmielsze, aż, w ostatku, na jednem z ostatnich pięter, przeszło w wyraźne stąpanie, ktoś schodził ze schodów i snać, im był niżej, tem mniej zważał na czyniony hałas. Nim kroki umilkły już od bramy zagadał jakiś głos, potem drugi — wreszcie rozmowa gdzieś przeniosła się w głąb bramy i urwała na zatrzaskiwaniu furty, brzękaniu kluczy i człapaniu się stróża.

Kwiatkowski podszedł teraz do okna i wskazał Kibalczycowi dwa cienie ludzkie, które z pod bramy szły ku latarni na przeciwną stronę ulicy.

— Zobacz, przekonaj się! Jeszcze się zatrzymują, patrz, jak zadzierają głowy ku nam... ale, zdaje się, że sobie pójdą — przekonani są, iż jesteś sam... idą... wrócą nad ranem, nie prędzej.

— Zapalę lampę.

— Tylko okręć ją podwójnym papierem.

Kibalczyc operował około lampy, Kwiatkowski przysiadł na koszu i ocierał chustką pot z czoła.

— Ani mi w głowie było! Jeszcze przed chwilą byłbym przysiągł, iż ci się przywidziało...

— Pociesz się, że ja również ich się nie spodziewałem tutaj i pamiętaj, że ocalił cię przypadek. Tak, ciebie, bo mnie — prędzej lub później musi to spotkać. Gdybym był nie wyjrzał, mielibyśmy ich pod edrzwiami... Teraz pamiętaj, abyś się strzegł... My, o ile nas taka wizyta spotyka, znikamy, idziemy na kwarantannę a potem zmieniamy nietylko mieszkanie ale i nazwisko i stanowisko socyalne. Ty uczynić tego nie możesz, oczywiście, boć nie byłoby w tem sensu, nie należysz zresztą do partyi — ale właśnie w tem rzecz, abyś nie wpadł w podejrzenie, zważ, iż na stu uwięzionych bywa dziesięciu prawdziwych rewolucyonistów...

— Lecz skąd by mnie!

— Prawda — a jednak ta wizyta mnie niepokoi... bo nie ja ich naprowadziłem... Ale, czyś nie mówił komu, że się mnie spodziewasz dziś u siebie?...

— Chyba nie — odrzekł niepewnie Kibalczyc, któremu przyszło na myśl, że lepiej Murawiewa nie wspominać.

— W takim razie, może to być zwykła wyprawa dla sprawdzenia, co też robi taki student, który o nic nie jest podejrzanym.

Kwiatkowski jeszcze próbował snuć rozmaite domysły, lecz że Kibalczyc zbijał je energicznie, tedy ujął go za rękę i zakończył serdecznie.

— Masz słuszność, banialuki plotę, dałem się

może podejść i nabawiłem cię niepokoju. Ale jutro już słychu o mnie nie będzie. Pochodzą, pogapią się i zaniechają. Do dnia ruszę! Zachowaj mnie w pamięci. Jeżeli tylko warunki pozwolą — toć ja pierwszy szukać cię będę... bo cóż, nie samym nihilizmem człowiek żyć pragnie...

— Włodek, Włodek, tylko szanuj się, nie leź lichu w oczy... A gdybyś myślał, że mogę tobie czem... toć wiesz, choć nie jestem...

— Dziękuję ci! A teraz spać i tak zbałamuciliśmy! Ja na ziemi...

— Uch! Cóż znowu — łóżko dla ciebie... Wyjeżdżasz, nie ustąpię...

— No dobrze, dobrze!

Kwiatkowski zaczął się rozbierać, Kibalczyc poszedł za jego przykładem. W kilka sekund izdebkę zaległa ciemń i cisza.

Młodzi przyjaciele przez pewien czas zachowywali milczenie, jakby snu wyglądając, aż Kwiatkowski, usłyszawszy pokasływanie Kibalczyca, przewrócił się na łóżku i zagadnął cicho:

— Kola!

— Aha!

— Mógłbyś mi wyświadczyć wielką przysługę...

— Owszem.

— Albo nie — w obecnych warunkach mogą cię śledzić...

— Lecz o cóż idzie?

— Nie — nie! Trzeba to urządzić inaczej. Chciałem, żebyś poszedł do panny Malinowskiej...

Kibalczyc poruszył się niespokojnie i odrzekł zmienionym głosem:

— No... ja... owszem, pójdę... A cóż... pó... pójdę— gdzie trzeba pójdę...

— Zimno ci pod szynelem?

— Skądże – tylko, dlaczego nie miałbym pójść?!...

Kwiatkowski zastanowił się i rzekł:

— Ale, dasz mi słowo honoru, że co do joty uczynisz, co ci powiem.

— Słowo, słowo!

— A więc wyjdziesz z domu o dziesiątej i pójdziesz wprost na Newski Prospekt, wybierzesz pomiędzy stojącymi tam izwoszczykami takiego, który ma najtęższego konia i każesz mu się zawieźć do Letniego ogrodu. Wysiądziesz, przejdziesz ogród piechotą do bramy od Pola Marsowego i tu wsiądziesz do pierwszej z brzega dorożki i każesz się zawieźć do Soboru Izaaka...

— Kwiatkowski!

— Słuchaj uważnie. Wejdziesz do Soboru, pogapisz się chwilę i wyjdziesz bocznemi drzwiami ku skwerowi i tu skręcisz na Wozniesieński prospekt i znów weź izwoszczyka i każ mu się zawieźć na Sergiejewską, pod numer trzynasty. Tu wejdź i zapytaj się, czy tu mieszka radca stanu Pochitonow. Powiedzą ci, że nie, więc wyjdziesz i zawrócisz w stronę Oziernego pereułka, na który musisz wejść od ulicy Znamieńskiej. Na rogu, po lewej ręce, jest sklepik z małą wystawą. Jeżeli na tej wystawie znajdziesz napis „wałki do okien“ to pójdziesz dalej... gdyby napisu nie było, to wracaj,

gdzie ci się podoba i ani kroku dalej. I dopiero następnego dnia tę samą wycieczkę powtórz, ale już zmieniając godzinę wyjścia z domu i strzegąc się, aby innego wziąć dorożkarza. Gdybyś po raz drugi nie znalazł napisu na wystawie w sklepiku, to powtórz jeszcze przez dwa dni następne wyprawę. Nie przerywaj. Jeżeli zaś napis znajdziesz — to, w takim razie, idź śmiało Oziernym pereułkiem pod numer dziewiąty, prawa strona, tam zastaniesz wejście z ulicy po schodach i napis nad dzwonkiem. I. I. Degajew. Zadzwonisz i, gdy ci otworzą, powiesz — „ajent towarzystwa ubezpieczeń „Stella". — To wystarczy — nie potrzebujesz nic zresztą mówić, zaprowadzą cię wprost do panny Malinowskiej. Tej powiesz odemnie tylko, że wyjechałem na kuracyę i że interesa załatwiłem pomyślnie. — I to wszystko. Naturalnie, nie potrzebuję ci mówić, abyś nikomu słowa nie pisnął o tej całej wyprawie i o tem żeś widział Malinowską. Nawet u Perowskich! Nigdzie, gdyby cię bodaj kto z najbliższych wprost zapytał.

Kibalczyc, który aż przysiadł na posłaniu, aby wysłuchać polecenia nie mógł powstrzymać się od uwagi:

— Włodku, dobrze, ale pocóż to, jeździć z krańca w kraniec... kiedy już ja wprost na piechotę... będę uważał...

— Dałeś słowo.

— No, dałem ale...

— Nie ma żadnego „ale", chcesz mi wyświadczyć przysługę i nie mnie tylko!

— Więc dobrze, dobrze — każę się zawieść jeszcze dodatkowo na „Striełkę"...

Kwiatkowski zabrał się do powtarzania szczegółowego całego planu wyprawy, nie żałując ani napomnień, ani wskazówek.

Kibalczyc już ani wyrazu nie wtrącał, a gdy Kwiatkowski skończył, okrył się szynelem i głowę do poduszki przytulił.

II.

Szary, ponury dzień już całą pełnią swego stalowego światła wdzierał się do izdebki Kibalczyca, gdy ten rozwarł powieki a obejrzawszy się naokół i postrzegłszy puste łóżko, zerwał się z posłania. Uczucie zawstydzenia zdjęło studenta, że przespał wyjazd kolegi, że raz jeszcze nie uścisnął jego ręki.

Na stole leżała kartka, nakreślona ołówkiem: „Uporządkuj mieszkanie, zanim wpuścisz posługaczkę. Pod kałamarzem jest dwadzieścia rubli na koszta wycieczki. Mam pieniędzy dość. Kartkę zniszcz. Bywaj".

Kibalczyc odczytał kilkakrotnie kartkę, podarł ją i zabrał się do składania pościeli, zaczem, choć to była zaledwie ósma rano, ubrał się i wyszedł na miasto.

Przez czas pewien Kibalczyc kroczył bez celu pustemi jeszcze ulicami — aż raptem skręcił ku Newskiemu Prospektowi i skierował się do kawiarni Filipowa.

Tu, posiliwszy się kawą i zapaliwszy papierosa, rozczmychał się i jął porządkować rozwichrzone myśli. A było to zadanie nielada, bo nie dość, że zlewały się one w mózgu studenta w jakieś bezładne, skłębione obrazy, lecz, co osobliwsze,

że z tego chaosu zawsze wyłaniały uporczywie parę wielkich załzawionych niebieskich oczu i zadarty nosek panny Malinowskiej. Stąd wynikło, iż zaledwie Kibalczyc skupił się w sobie a myśli swe rozplątywać zaczął — ponuro-szare tło jego myśli znikło a natomiast, na jasnobłękicie, zarysowała się już cała drobna, wiotka postać właścicielki niebieskich, załzawionych oczu i zadartego noska. I twarz studenta spłynęła pogodą.

Cha, toć przecież rok już, jak panny Malinowskiej nie widział, już rok jak, po herbacie u Korniłowych, odprowadzał ją na Wasiljewską wyspę... Szli wówczas pod rękę i rozmawiali o Czernyszewskim... Nie rozmawiali a właściwie kłócili się... Panna Malinowska wynosiła Czernyszewskiego, a on go bagatelizował... no i bagatelizował zawzięcie i podobno dlatego jedynie, aby do tem żywszych argumentów zmusić oponentkę. I panna Malinowska zbijała go, niweczyła, łamała, ach, i tak łamała, że wiek bodaj chciałby być tak łamanym, tak przekonywanym, tak niweczonym. Toć umyślnie wówczas, korzystając z przejęcia się panny Malinowskiej, dłuższą wybierał drogę a nawet dwa razy wprost ocyganił, bo skręcił nieomal w przeciwną stronę. A potem, już przed samym domem, jeszcze dorzucał jakieś puste, banalne wyrazy, byle chwilę rozstania opóźnić.

I od tego pamiętnego wieczora już jej więcej nie oglądał a raczej oglądał ją codnia, owianą mgłami wspomnienia,

U Korniłowych, jakby nagle imię panny Mali-

nowskiej zamarło. Tam, gdzie przedtem nie było dnia, aby pokilkakroć nie układano jakichś planów towarzyskich, jakichś projektów, w których zawsze i na pierwszem miejscu wymieniano pannę Malinowskę, raptem zapomniano o niej.

Kibalczyca długo dręczyła myśl, że może swem zachowaniem dał powód, że Korniłowe unikały rozmowy przy nim o pannie Malinowskiej i długo łudził się nadzieją, że, jak dawniej, monotonię odbywanej z małym Borysem korepetycyi przerwie impetyczny dźwięk dzwonka i tuż za nim srebrny roześmiany głos Wiery Stanisławówny.

Aż, nie mogąc dać sobie rady z niepewnością, Kibalczyc uciekł się do dyplomacyi i zagadnął małego Borysa. Lecz odpowiedź, zazwyczaj umiejącego podpatrzeć wszystko, co się w domu dzieje, chłopca, jeno o tem większy niepokój przyprawiła Kibalczyca, ileże uczeń zwierzył się swemu korepetytorowi, że i on nie pojmuje powodu zniknięcia panny Malinowskiej ani uroczystego zakazu wszelkiego o niej wspomnienia.

Ta wiadomość przygnębiła Kibalczyca tak, że upatrzywszy raz chwilę, gdy znalazł się sam na sam z panią Korniłow, wręcz ją zapytał o przyczynę zerwania stosunków z panną Malinowską, dość niezręcznie stawiając za powód swe obawy, wynikające ze swego gorącego sporu o Czernyszewskiego.

Pani Korniłow za całą odpowiedź odrzekła wymijająco.

— Mogę was zapewnić, Mikołaju Iwanowiczu,

że nie ma w tem nic, co by mogło uwłaczać zacnemu sercu Wiery lub wam...

Kibalczyc nie zadowolnił się tem wyjaśnieniem i jął zasypywać panią Korniłow pytaniami, czy panna Malinowska nie chora, czy może wyjechała, czy też stała się powodem jakiegoś oziębienia przyjaźni.

Pani Korniłow na to napomknęła coś o podróży panny Malinowskiej, o polskiem pochodzeniu jej ojca, urzędnika ministeryum finansów, a gdy i tego Kibalczycowi było mało, — ujęła go za rękę i rzekła cicho:

— Nalegacie, Mikołaju Iwanowiczu, a tymczasem nie wiele mam do powiedzenia. Wiera dała się porwać fali, która już tyle młodzieńczych zapałów uniosła, tyle jasnych oczu zgasiła... Pędzi życie ofiarne, żyje ideją, kochamy ją, miłujemy... Drżąc o nią, boimy się wymawiać jej imienia... Ufam, że, ceniąc wagę mych słów, zachowacie je w tajemnicy, — powiedziałam za wiele...

Kibalczyca dreszcz przeszedł. Teraz nie miał już wątpliwości – panna Malinowska została nihilistką. Wiadomość ta przygnębiła Kibalczyca i nie dla tego, aby nihilizm wydawał mu się czemś godnem potępienia lub żeby był przeciwieństwem jego światopoglądu, — nie, Kibalczyc wogóle nie zajmował się społecznikostwem, – lecz dla tego, że postrzegł przepaść, rozwartą u stóp panny Malinowskiej, że widział ją zgubioną.

Toć Kibalczyc miał po temu zadość przykładów, toć z tygodnia na tydzień, z najbliższego mu koła

młodzieży uniwersyteckiej, ktoś zapadał się, ginął nagle bez wieści a jeżeli potem imię jego wyłoniło się z toni, to wraz z chrzęstem łańcuchów, z jękiem tortury, z echami jakiegoś strasznego dramatu, którego całym śladem bywał jeden wyraz, wykłóty szpilką na skrawku papieru, jedno słowo, paznogciami wyryte na kamiennej ścianie lochu.

Kibalczyc współczuł doli ofiar, bolał, potępiał nieludzkość systemu państwowego ale dla idei socyal-rewolucyjnych sympatyj nie żywił, bo w dociekaniach swoich zwykł był sięgać tam, gdzie zarówno zło, jak i dobro, zlewało się w mgły nieuchwytnych, bezpodstawnych wyobrażeń czy urojeń ludzkich. Kibalczyc miał dla nihilistów pobłażliwość mędrca, westchnienie filozofa. Rad by był zresztą całej tej, rwącej się do boju, młodzi nieba przychylić ale i dla strony przeciwnej, dla ciemnoty i zdziczenia pachołków cesarskich miał również nadewszystko wyrozumienie, słowa przebaczenia w imię zasady, że nie oni są winni własnego zwyrodnienia, że nie oni pracowali na spodlenie swych dusz.

Lecz przy całej odrębności swych poglądów, Kibalczyc nigdy nie próbował nawracać nikogo na swoją wiarę a raczej na swoją bezwyznaniowość społeczną, bo, choć gotów był zawsze podejmować dyskusye, choć zawsze przyjmował wyzwanie ale jeno dlatego, aby nie tylko własne wyodrębnienie zaznaczyć, lecz i zdanie wręcz przeciwne uznać i samemu do ugruntowania go dopomódz. Stąd dla Kibalczyca w danym momencie, Murawiew miał

tak samo swą racyę życiową, jak i Kwiatkowski, tak samo ex-gubernator Perowski, jak i jakiś Chałturin.

Zresztą, ta pobłażliwość Kibalczyca i gotowość oddania sprawiedliwości każdemu poglądowi była znaną i na uniwersytecie i w Medyko-chirurgicznej akademii i u Perowskich i Korniłowych, a więc łatwo sobie wyobrazić zdumienie pani Korniłow, gdy, w kilka dni po rozmowie o pannie Malinowskiej, Kibalczyc wystąpił z kategorycznem oświadczeniem, że pannę Malinowską trzeba ratować, że niepodobna zezwolić, aby osoba tak młoda, niedoświadczona szła na żer Molocha nihilizmu.

Pani Korniłow była tak zaskoczoną tem przedstawieniem, że ledwie po dłuższem zastanowieniu odrzekła z trudem:

— Ależ, Mikołaju Iwanowiczu, nie wiem sama, nie rozumiem. Wiera ma wolną wolę... nikt jej nie zmuszał, nie nakłaniał. Stało się z nią to, co dzieje się co dnia z jej rówieśniczkami. Sama jestem matką, mam córki, synów, ale cóż, w podobnym razie, byłabym bezsilną — a bodaj, już jestem bezsilną!

— Być może... jednak w tym wypadku, nawet uciekając się do przemocy, nawet zmuszając pannę Malinowską...

— Mikołaju Iwanowiczu! — zakrzyknęła pani Korniłow.

Student poczerwieniał, głowę pochylił i umilkł. Ten jeden okrzyk rozsypał w gruzy cały jego kunsztowny gmach ratowania panny Malinowskiej, całą

mrówczą pracę bezsennych nocy Kibalczyca w niwecz obrócił.

Pani Korniłow podczas nie myślała zadowolnić się tą widoczną skruchą studenta i jęła wystawiać mu następstwa takiego przymusowego ratownictwa, aż wręcz zagadnęła go, co uprawnia Kibalczyca do tak szczególnego opiekowania się panną Malinowską.

Student na to pytanie poruszył się niespokojnie, rozwarł szeroko oczy i przyznał skwapliwie.

— Ma pani słuszność... nie mam żadnego tytułu, żadnego prawa... Sam nie wiem, skąd mi się to wzięło...

Tu Kibalczyc odetchnął ciężko, czując na sobie badawczy wzrok pani Korniłow — i dodał:

— Proszę darować! Nasłuchałem się opowiadań i ot strzelił mi koncept do głowy! Niezawodnie, szkoda panny Wiery!... No, ale cóż ja! Mnie nic do niej... Rozmawialiśmy o Czernyszewskim i oto... Niech pani za złe nie bierze. Czasem nie wiadomo skąd głupia myśl zaświta. Ależ tak, głupia i dziwaczna!

Student tak gwałtownie samego siebie zaczął potępiać, aż pani Korniłow była zmuszoną wziąć go w obronę. Nie mniej to samopotępienie długo jeszcze nurtowało tem dokuczliwiej, iż, mimo wszystkie niezaprzeczone racye, myśl, że przecież a powinien dobyć pannę Malinowską z otchłani rewolucyonizmu, nie dawała mu spokoju.

Aż czas zwolna przytłumił w Kibalczycu tę udrękę, przytłumił, lecz nie zgasił, bo gdy przy-

padek zetknął go z Kwiatkowskim, dawnym kolegą, o którym wiedział, że należy do partyi, student póty zabiegał, póki nie upatrzył sposobności, aby Kwiatkowskiego o pannę Malinowską zapytać.

Kwiatkowski atoli nic mu nie umiał, czy nie chciał, rzec nadto, że pannę Malinowską zna i że uważa ją za dzielną dziewczynę.

To krótkie orzeczenie najniespodziewaniej pokrzepiło Kibalczyca, bo napełniło otuchą, że ta dzielność Wiery ustrzeże ją przed lekkomyślnem rzucaniem się na niebezpieczne wody propagandy, że ją utrzyma w pomiarkowaniu zapałów.

Nadto, nie mało ku uspokojeniu przyczyniła się okoliczność, iż, choć Kwiatkowski ani razu nie dał się wyciągnąć na rozmowę o pannie Malinowskiej, lecz przecież nie skąpił mu od czasu do czasu lakonicznych wiadomości, że jest zdrowa, że jej na niczem nie zbywa.

Kibalczyc z całem namaszczeniem ważył następnie słowa kolegi i snuł z nich dla siebie nieskończoną ilość logicznych perswazyj o tem, naprzykład, że panna Wiera miała prawo przejąć się socyalrewolucyonizmem, że bezwątpienia posiada ku temu siły i energię skoro ją Kwiatkowski ma za dzielną, że on, Kibalczyc, przesadził z obawą, że obawy jego conajmniej są przedwczesne, gdyż pannie Malinowskiej nic w tej chwili nie grozi, że taka troskliwość w stosunku do osoby, bądź co bądź, obcej, jest nieprzystojną, że pragnąc dobra panny Wiery, boć w tem nic znów niewłaściwego nie ma, winien szukać go tam, kędy ona sama je upatruje.

Lecz im bardziej student przejmował się słusznością tych wywodów, tem go silniej zdejmowała tęsknota za czemś, czego nie rozumiał a co nieciło w nim niewytłumaczony żal za tym jego niepokojem o dolę panny Wiery, za tem pragnieniem ratowania jej z niebezpieczeństwa. Na tę tęsknotę nie mogła poradzić cała samoanalityczna natura Kibalczyca. Dość mu było rozluźnić nieco więzów mózgowych, dość zadumać się, aby samego siebie przyłapać wnet na gorącym uczynku fantastycznych obrazów, w których on zawsze był mężem obowiązku, wynoszącym pannę Wierę z płonącego gmachu a ona wdzięczną swemu wybawcy ofiarą, bo odrazu wszczynającą z nim długą, nieskończenie długą rozmowę o Czernyszewskim...

Te wspomnienia lotem strzały przesunęły się Kibalczycowi, przesunęły i znikły, jak coś dawnego bardzo, minionego, a natomiast całą myśl Kibalczyca skupiły na czekającem go spotkaniu. Wprawdzie polecenie Kwiatkowskiego było zadość oschłem, aby widzenie się ograniczyć do kilku sekund ale od czegóż te błahe, z pozoru puste, komunały powitalne, za pomocą których za jednym zamachem można wpaść w pogawędkę, ba i jaką jeszcze!

I Kibalczyc gotował sobie zawczasu zapał gładkich zwrotów i tonął w niebieskich oczach panny Wiery i wiódł z nią jakąś nieuchwytną a przecież olśniewająco pociągającą rozmowę.

Ta rozmowa studenta trwałaby może nie wiadomo, jak długo, gdyby jakiś blask szklisty, natrę-

tny nie zaczął grodzić dali, w którą był zapatrzony Kibalczyc. Student poruszył się niespokojnie, odchylił głowę, jakby unikając spotkania z natrętnym blaskiem, aż ocknął się raptownie i tu dopiero rozpoznał, że blask ten szedł ku niemu z dwojga małych, świdrujących oczu jegomości, który zapijał herbatę przy sąsiednim stoliku.

Kibalczyc obrzucił nieznajomego niechętnem spojrzeniem, zastukał na służącego, zapłacił należność i, postrzegłszy, że dziesiąta dopiero dochodzi, bez pośpiechu wyszedł z kawiarni.

Na lewo, wzdłuż chodnika, stał sznur kibitek. Student, z perfidyą prawdziwego petersburszczanina, minął kilku pierwszych izwoszczyków, ani odpowiadając na ich uprzejme potrząsanie lejcami, i zaczął targ systematyczny, typowy petersburski targ z dorożkarzami.

Pertraktacye były krótkie, Kibalczyc rozsiadł się wygodnie i kibitka pomknęła z kopyta w stronę Letniego ogrodu.

Przed ogrodem Kibalczyc wysiadł i, święcie spełniając polecenie Kwiatkowskiego, podążył ogrodem ku bramie od pola Marsowego. Ale tu, gdy już miał nawiązać rozmowę z dorożkarzem, aby go zawiózł do Soboru Izaaka, przyszło mu do głowy, że właściwie szkoda czasu i pieniędzy na odbywanie tych bezcelowych przejażdżek, bo te przejażdżki mogły by mieć racyę, jeżeliby Kibalczyc był jakimś śledzonym i ściganym Kwiatkowskim... ale cóż komu do niego.

W tem miejscu student obejrzał się z uśmiechem za siebie, niby szukając potwierdzenia dla swego przeświadczenia, gdy niespodziewanie, w głębi alei ogrodu, postrzegł nadchodzącego mężczyznę, twarz którego wydała mu się znajomą. Mężczyzna szedł ociężale i ze swej strony nic zdradzał ochoty do przypominania się Kibalczycowi, bo przy wyjściu z bramy skręcił w lewo i, odwróciwszy się plecami do studenta, wdał się w żywą rozprawę z jednym z izwoszczyków.

Kibalczyc, nie zastanawiając się bliżej nad tem, wszczął ze swej strony targ z dorożkarzem. Ale dorożkarz stawiał cenę wygórowaną i nie był skłonnym do ustępstw. Aż Kibalczyc zaofiarował całego rubla.

Dorożkarz jeszcze się wahał, ale kiedy, przysłuchujący się z boku, inny dorożkarz zakrzyknął raźno:

— No, rubla do Soboru Izaaka nie masz krzywdy! — pierwszy dorożkarz strzepnął batem i na znak zgody wgramolił się na kozioł.

Kibalczyc wskoczył do kibitki.

Tym razem kurs był długi a przytem koń, mimo ponukiwań mrukliwych izwoszczyka, ledwie zdobywający się na flegmatycznego kłusa.

Cała ta jazda zmordowała Kibalczyca, a zmordowała najwięcej myślą, że, niewiadomo poco i na co, dąży na to do Soboru Izaaka, przebywa wskos pół Petersburga, aby znów, za kilka chwil, wrócić ku Siergiejewskiej, a więc do ulicy, którą miał, dopiero co, tuż, przy Letnim ogrodzie.

Z uczuciem ulgi wysiadł Kibalczyc przed Soborem, no, miał już teraz bliżej niż dalej.

Student rzucił dorożkarzowi suty napiwek i dźwignął się na rozłożyste schody soboru.

Sobór świecił pustkami. Gdzieniegdzie wokół wysrebrzonych, wyzłoconych a zamkniętych w jakichś jubilerskich gablotkach, ikon kupiły się gromadki kobiet i ze świecami w ręku biły bezmyślne pokłony. Lśniące, a całą ludzką pychą skrzące się ołtarze zakłócały spokój półmroków świątyni a prześcigały się w bogactwie, klasyfikowały wylizane, pyzato bizantyjskie twarze prawosławnych świętych na potentatów, którzy wysłużyli sobie malachnitowe i porfirowe oprawy i na plebejuszów, zalegających kąty soboru, a stanowiących sztab niebieskiej generalicyi.

Kibalczyc znał Sobór Izaaka, znał aż nadto dobrze przybytek parad dworsko-religijnych, przybytek, skupiający w wyznaczonych przez ustawę terminach cały cesarski Petersburg. Kibalczyc znał sobór, boć jako wyrostek odstawać w nim musiał nieznośnie długie nabożeństwa oficyalne, ale Kibalczyc znał sobór, wypełniony po brzegi, wyorderowany, wysznurowany, huczący basami dyaków ale nigdy nie oglądał go takim pustym, takim zachłannym, takim bezdusznym.

I Kibalczyc, sam nie wiedząc dlaczego, przystanął, rozejrzał się wokół i wspomniał na drewnianą cerkiewkę nieżyńską, na ubogie jej wnętrze, na ojca starca, omiatającego co dnia koszlawo-

naiwne ikony a dbającego, aby między świętymi nie było zazdrości o liczbę świec.

I naraz tknęło studenta uczucie odrazy do soboru i naraz zdało mu się, iż cały ten kolos granitowy runie i przytłoczy go i zmiażdży i na proch zetrze.

Kibalczyc otrząsnął się. Gromadka bab kiwała się zawzięcie, wyłupiając płowe, suche oczy na rozpierającego się na jedwabnej poduszce wybrylantowanego świętego.

Student uśmiechnął się i mruknął do siebie:

— Nu, i baby!...

— Nu i baby! — podchwycił głośno niespodziewanie głos dziada, który wysunął się z poza filara ku rozkiwanej gromadce. Gromadka obrzuciła natręta zgorszonym wzrokiem. Ale dziad jeno stuknął kijem i dodał z pasyą, wskazując ku świętemu.

— Co wy, temu bałwanowi zakamieniałemu!... Ja mu dwa miesiące co dnia pięć świec stawił... Nie wiedzieć co ślubował. A on, hycel, światła się nałykał a takoż w pole wyprowadził...

— Uch wy tam!... Mikołaj cudotwórca! — zaoponowały baby.

— A ja wam powiadam, co mnie! Wy do Cyryla!... U niego słowo! Choć a coś przyczyni!... A ten bodaj napluć... Porósł w sadło, z panami się zadaje a biednego ocygani! Ot jego cudotwórstwo!...

Dziad w tem miejscu splunął energicznie i zwrócił się ku ikonie z Cyrylem.

Śród bab powstała nagła konfuzya, rezultatem

której było, iż nietylko adoratorki świętego Mikołaja, przenosić się zaczęły do świętego Cyryla, ale i przenosząc się ogołacały lichtarz Mikołaja ze świec. Aż przy świętym Mikołaju już jeno dwie baby zostały, — lecz i z tych dwóch jedna po namyśle bąknęła do towarzyszki:

— Cóż my tu przy takim! Chodźmy, kiedy każą, iż tamtem...

— Wam łatwo, a ja temu już tydzień za dwadzieścia kopiejek codzień.

— Żal wam!... Ale słyszeliście, dwa miesiące wodził... lepiej choć stracić... bo jak stwardniał to i wam gotów!...

Baba dała się przekonać towarzyszce, bo zdmuchnęła ostatnie świece przed Mikołajem, wydarła je z lichtarza i, rzuciwszy świętemu niepolityczne pożegnanie, poszła do Cyryla.

Kibalczyc, który był świadkiem tej sceny, posmutniał czegoś. Nie nowiną były mu takie rozmowy, lecz tam, na tle ubogich, wapnem bielonych, ścian nieżyńskiej cerkiewki bywały mu czemś tak serdecznem a rzewnem w prostackiej ciemnocie, tak nieociosanem, jak zręby pękatej dzwonnicy, jak cała przysadzista a brodami mchu porastająca strzecha zaściankowego kościółka. Tam, w Nieżynie, takie wyobrażenia religijne, tak ucieszne obcowanie ludzi ziemi ze świętymi były Kibalczycowi jeno harmonijnym tonem w akordzie niewymyślonych odzewów nieukształconych dusz. Gdy tu, pod sklepieniami kolosu, pod tą wyzłoconą a panującą nad stolicą kopułą były mu zgrzytem, były mu uprzy-

tomnieniem otchłani nędzy i niedoli ludu rosyjskiego, niedoli uprawnionej i błogosławionej przez te apatyczno pospolite twarze wybrylantowanych świętych.

Sobór Izaaka zgromadził wszystko, co, w ludzkiem rozumieniu, stanowić może oprawę władzy, potęgi, siły. Sobór Izaaka, na rzekomą chwałę krzyża, zsypał wszystko to, czem krzyż ten pogardzał, czemu zaprzeczał.

Tak, w soborze tym było wszystko i kruszce drogocenne i złotem tkane materye i monolity gigantyczne i misterne mozaiki i kryształy i bronzy i malatury i takie bogactwa, że za jeden sprzęt cerkiewny, za ułamek jeden „carskiej bramy", za skrawek złotogłowiu można by rzeszę nakarmić i przyodziać, morze łez osuszyć.

W soborze tym było wszystko, bo i znaki carskiej hojności, i ślady magnackiej ofiarności i poddanych gór korne daniny i krwawych rabunków łupy przepiękne; w soborze tym byli święci na każdy dzień roku, na każdą godzinę trudu ludzkiego, każdego kunsztu patronowie, każdego utrapienia lekarze; w soborze tym było wszystko, co jest objawieniem wspaniałości i mocy... dla zmysłów a nic z tego, co jest z ducha.

Bo i cóż, iż tam, ponad złoconą kopułą, pięcioramienny krzyż ku niebu wystrzelił, gdy ten cały kolos granitu za podłoże mu służący cisnął ziemię tak, iż ta aż się uginała, aż zapadała.

Bo i cóż, iż strop soboru rozwierał się pod kopułą i w górze błękitami niebo znaczył, gdy oto

ze ścian, z pilastrów, z kapiteli, z ołtarzów i ikon ściekały sople metalu, jakby rozmyślnie, wzbijające się ku niebiosom, modlitwy tłocząc ku ziemi, jakby skazując je na wieczne pełzanie po lodowatych płytach posadzki, bo w soborze Izaaka było wszystko prócz Boga.

Te myśli przemknęły się po jasnem czole Kibalczyca, zarysowały ślad ironii w kątach wązkich jego ust i targnęły gałkami ocznemi, jakby na ostatnie przekonanie, że tak jest.

Student strzepnął z lekka czapką i raz jeszcze rzucił pytające spojrzenie ku głównemu ołtarzowi, gdy niespodziewanie coś mu zagrodziło, coś przecięło dal...

Kibalczyc wpatrzył się uważniej i tuż, pod jedną z kadzielnic, pod filarem, zobaczył skuloną postać człowieka, którego widział wychodzącym z Letniego ogrodu, a który mu się zdawał nie obcym.

Student bez namysłu podsunął się do nieznajomego. Lecz ten wpadł naraz w tak gwałtowne tempo żegnania się krzyżem, iż nie było sposobu przyjrzeć mu się a cóż dopiero zagadnąć. Jednakże, na mgnienie jedno, z pod pochylonej pobożnie głowy błysnęły szare, szkliste oczy ku studentowi i odsłoniły mu tajemnicę złudzenia... Nieznajomy był nietylko jegomościem spotkanym w Ogrodzie, ale i sąsiadem z kawiarni Filipowa.

Kibalczyc drgnął i pospiesznie skierował się ku wyjściu. Gdy ujmował za klamkę drzwi, odwrócił się nieznacznie... nieznajomy nadchodził...

Pierwszą myślą studenta było zatrzymać się i, bez ogródki, nacisnąć natręta albo wprost zażartować sobie z głuptasa, nie wiedzącego, oczywiście, że ma do czynienia z człowiekiem, nie potrzebującym z niczem i przed nikim się kryć, ale wspomniał na Kwiatkowskiego, na pannę Wierę i postanowił dotrzymać przyrzeczenia.

Już więc nie oglądając się wyszedł Kibalczyc z soboru i podążył na Wozniesieński prospekt. Tu wskoczył do pierwszej wolnej dorożki i, z góry obiecując sowitą zapłatę, kazał jechać na Siergiejewską.

Kibitka potoczyła się żwawo. Student ochłonął z wrażenia a, wystawiwszy sobie zakłopotanie agenta, któremu tak gładko umknął, wpadł w dobry humor i, dla rozerwania, wszczął z izwoszczykiem rozmowę. Izwoszczyk, snać z uprzejmości, zwolnił biegu, aby tem dzielniej podtrzymać gawędę z hojnym panem, a że nadto kibitka natrafiła na sznur wozów ładownych, wlokących się ospale nad Ekaterinińskim kanałem, tedy koń nieomal że przeszedł w stępa, czem zatarasował drogę podróżującym za nim pojazdom.

Aż któryś z jadących za kibitką woźniców zakrzyknął na kamrata. Izwoszczyk uraził się.

— Ot i naród, proszę waszej wielmożności... Łyka kopiejkowego wiezie z targu a kłusaka udaje!...

Kibalczyc obejrzał się, aby zobaczyć gwałtującego o pośpiech, lecz, nim protestującego woźnicę rozpoznał, hen, z poza pleców zamaszystego „kuczera“, wychyliły się ku niemu szare szkliste oczy...

Student pobladł i rozkazał nerwowo:

— Wypuszczaj konia!

Izwoszczyk spojrzał bystro na zmienioną twarz Kibalczyca, jednym rzutem bystrych oczu przeniknął tłum i, rozpuszczając ze świstem krótki bat, mruknął konfidencyonalnie:

— Nu, tego i ja znam!... Już ja z tym nie raz tańczyłem!...

Student jeszcze nie pojął znaczenia odpowiedzi izwoszczyka, gdy ten już trzasnął batem po koniu, lejce około kiści okręcił, wyrwał się z ciżby, wpadł między wozy, zakotłował się między nimi i skręcił w boczną uliczkę. Tu jeszcze konia rwącego podciął, huknął przeciągle „bieregiś" i jął rwać ulicami a kołować, a zygzaki kreślić tak zawiłe, że w kilka minut udaremnił możliwość pościgu.

Ale izwoszczyk jeszcze nie dał za wygraną, jeszcze kluczył, aż na Siergiejewską wjechał, hen, od strony Taurydzkiego pałacu.

Izwoszczyk był rad z siebie i rad z konia, okrytego pianą.

— Dziękuję wam — macie tu!

— Et, nie ma za co! Wiadomo, co młodego pana pili. Komu do panny a komu przed takim zatraconym...

Kibalczyc skinął przyjaźnie izwoszczykowi, odbył solennie wizytę u stróża domu, pytając o radcę Pochitonowa i już na piechotę podążył na Znamieńską.

Gdy po kilkunastu minutach dostrzegł róg Ziernego pereułka, dreszcz niepewności go przeszedł,

czy znajdzie ów zapowiadany napis w oknie sklepiku, czy będzie zniewolonym jeszcze też same peregrynacye odbywać i może daremnie, może łudził się nadzieją zobaczenia panny Wiery.

Kibalczyc stanął nareszcie przed wystawą sklepiku, lecz potrzebował dłuższej chwili, aby zebrać się na odwagę i podnieść oczy.

„Wałki do okien“ — ozwała się naraz wystawa ku studentowi wielkim czarno-białym napisem. „Wałki do okien“ — podchwycił radośnie mózg Kibalczyca, „wałki do okien“ załomotało serce.

Kibalczyc odetchnął głęboko i w kilka sekund stanął już przed żółtą dwupiętrową kamienicą. Sprawdził numer domu, wszedł na schodki, wiodące do drzwi pyszniących się polerowaną mosiężną tabliczką „I. I. Degajew“ i targnął dzwonkiem.

Drzwi rozwarły się. Kibalczyc przestąpił próg i osłupiał. O dwa kroki przed nim stał żandarm, typowy, wyorderowany, akselbantami ozdobiony oficer żandarmski.

— Czego pan sobie życzy?!... Pan do kogo?!...

Kibalczyc nie wiedział co rzec.

— Ja właściwie!... Chyba się pomyliłem... Wszak tu numer dziewiąty...

— Dziewiąty...

— Niezawodnie się pomyliłem... bo ja mam sprawę towarzystwa ubezpieczeń... Stella...

Żandarm uśmiechnął się, zamknął drzwi i ruchem ręki zaprosił Kibalczyca, aby szedł za nim.

Student oszołomiony, pomieszany, rozumiejący ledwie, że najwidoczniej padł ofiarą jakiegoś fatal-

nego powikłania, znalazł się w jakimś dostatnim, mieszczańskim saloniku.

Żandarm wskazał mu krzesło.

— Raczy się pan zatrzymać...

— Ależ, bo rzeczywiście — bąknął student — zachodzi pomyłka...

Żandarm spojrzał uważnie na Kibalczyca i odrzekł łagodnie:

— Nie sądzę!... Pan pozwoli...

Żandarm wyszedł z saloniku. Student otarł pot z czoła i całym wysiłkiem myśli pracował nad ułożeniem jakiegoś kłamstwa, któreby go dobyło z fatalnej sytuacyi, gdy naraz drzwi boczne roztwarły się cicho. W saloniku ukazała się kształtna postać młodej dziewczyny.

Kibalczyc na widok przybyłej aż się zatoczył.

Dziewczyna zdawała się być nie mniej zdumioną, bo zakrzyknęła:

— Wy—wy Mikołaju Iwanowiczu!... Wy tutaj!?...

Student poruszył wargami, pokraśniał i za całą odpowiedź kiwnął energicznie głową.

Dziewczyna miała nie mało jeszcze zachodu, zanim Kibalczyca usadowiła na foteliku, tuż przed sobą, i doczekała się od niego wyjaśnień. Lecz zaledwie Kibalczyc wymienił Kwiatkowskiego role jakby się zmieniły, biała twarzyczka dziewczyny jakby spijała wypieki czerwone studenta, dźwięczny pełny jej głos nabierał chropowatego drżenia głosu Kibalczyca.

— To wy znacie go!?

— Uch, Włodka! Toć kolega szkolny!

— I cóż on — cóż!?...

— Nic sobie, nocował u mnie... Kazał powiedzieć... że jedzie na kuracyę i że interesy załatwił pomyślnie...

— Ach — tak!...

— No i opowiedział, jak do was trafić!...

— Bardzo, bardzo wam dziękuję, Mikołaju Iwanowiczu... już od tygodnia czekam!... Ale przyznam się, że was się nie spodziewałam...

— At i ja Wiero Stanisławówno! Gdzie, ani was widać było...

— Tak wam się zdaje! Patrzcież, że mnie właśnie za wiele widziano, dowód, iż tu już drugi tydzień pokutuję...

— I wy zawsze wierzycie w Czernyszewskiego? — wtrącił skwapliwie Kibalczyc, szukając nici trwalszej do przedłużenia rozmowy.

— Czy wierzę?. — powtórzyła smutnie Wiera.— Wy lubicie po dawnemu dyskutować...

— O Czernyszewskim, owszem, bo właściwie jeden Czernyszewski dostarcza...

— Niezawodnie — przyznała z roztargnieniem panna Wiera, zaczem zapytała raptownie:

— Więc nad ranem rozstaliście się?

— Z Kwiatkowskim!?

Panna Wiera obejrzała się niespokojnie.

— No tak... ale mów pan ciszej...

— Prawda, ja nawet sam wchodząc tu... straciłem pewność...

— Ach, więc pana nie uprzedzono? Lecz niech się pan nie obawia, bo nie dlatego... Pan rozumie, —

on należy właściwie do nas... ba, oddaje nam niezmierne usługi, gdyż jako oficer żandarmeryi przy trzecim oddziale...

— Czy być może, więc pan Degajew!?...

Panna Malinowska stropiła się raptownie.

— To jest tak, nie ma się pan czego obawiać... zresztą nie wie o niczem... Pan rozumie, nie potrzebuję panu przypominać, jako wtajemniczonemu, że o bytności jego tutaj nikt wiedzieć nie powinien.

— Uch, toć przecież Kwiatkowski...

— Tak — tak! — przyznała pośpiesznie panna Wiera, jakby chcąc zagłuszyć echo słów Kibalczyca. — Jestem panu nieskończenie obowiązaną za tę wyprawę, za utrudzenie. Jest mi ono tem milszem, że świadczy o waszem zbliżeniu się do nas... Potrzeba nam takich, jak wy, najwięcei takich...

— Jak ja?! — zdziwił się student.

— Tak, Mikołaju Iwanowiczu, bo wy macie mir w kole młodzieży, bo na mir ten rzetelnie zasługujecie, bo bez ludzi godnych, światłych, nie ruszymy naprzód... Proszę nie przeczyć, mówię to z głębokiego przekonania. I raduję się wam, stokroć raduję!...

Kibalczyc zafrasował się, bo ciężko mu było zgasić te skry, które zajaśniały mu w niebieskich oczach panny Wiery, — lecz zdobył się na odwagę i odparł cicho:

— Pani jest w błędzie, ja nie podzielam, to jest, godzę się ale, mając inne zamiary, myśląc o czysto naukowej pracy... nie... ten...

— Więc pan nie jest... pan nie należy do partyi!?...

— Nie pani... i nawet, proszę mi wybaczyć śmiałość, dowiedziawszy się, że pani... ogarnął mnie niepokój... gdyż w wieku...

Ożywiona twarzyczka panny Wiery ochłodła raptownie.

— Dziękuję bardzo za pamięć — przerwała zimno panna Malinowska. — Ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego obarczono pana tą misyą...

— Pilno mu było, Włodek miał jechać wprost na dworzec kolei – tłumaczył się pokornie student.

— Hm, bezwątpienia — odparła poważnie panna Wiera — ale zawsze to nieostrożność... Broń Boże niech pan nie przypuszcza, że wątpię o nim! Nie, tylko w naszem położeniu... trzeba strzedz pewnych zasad, trzeba dbać bodaj o bezpieczeństwo osób trzecich...

Student pochylił głowę. Panna Malinowska mówiła jeszcze o nieostrożności Kwiatkowskiego a choć równocześnie podkreślała swą zupełną ufność do Kibalczyca, przecież ten ostatni doznawał wrażenia, jakby otchłań rozwierała swą czeluść między nim i panną Wierą i oddalała ich od siebie.

— No, ale stało się — zakończyła panna Wiera — wy tu nic, tylko tamten, roztrzepaniec.

Student wyjąkał jakieś przeprosiny, z których niepodobna było wyrozumieć ani kogo przeprasza ani za co.

Panna Wiera podniosła się. Kibalczyc poszedł za jej przykładem.

— Bardzo dziękuję panu...

Kibalczyc strzepnął czapką porywczo.

— Och, jest tam za co, gdyby ten...

— Do miłego widzenia — wtrąciła lakonicznie panna Wiera, podając studentowi rękę na pożegnanie.

Kibalczyc szurgnął niezgrabnie nogami, dotknął nieśmiało paluszków panny Malinowskiej i zawrócił do przedpokoju. Tu, gdy ujmował za klamkę, mignął mu się granatowy mundur oficera żandarmów, zaczem raz jeszcze zarysowała mu się w półcieniu drobna postać panny Malinowskiej i tuż drzwi zatrzasnęły się energicznie za studentem.

Kibalczyc zeszedł ociężale ze schodów do sieni, tu przystanął, westchnął i powlókł się w stronę Newskiego Prospektu.

Na rogu Oziernego pereułka, gdy mijał sklepik kabalistyczny, uderzył go napis w oknie wystawowem „wałki do okien". Kibalczyc przystanął, wpatrzył się w czarne, spiczasto wycinane litery i uśmiechnął się smutnie.

Ot, napis ten, przed godziną jeszcze, tyle miał dlań uroku — a teraz cóż? Nic — „wałki do okien" i wszystko. Pędził izwoszczykami, uciekał czy może gonił? Ani jedno ani drugie. Życie jest tylko życiem. To, co w niem jest rzeczywistością jest i pustką, którą człowiek daremnie wypełnić usiłuje.

Kibalczyc w tem miejscu myśli skupił, jakby dla mocniejszego rozwinięcia tej sentencyi. I już je miał zszeregowane, uzbrojone argumentami, skrzące się ironią, gdy, naraz, mrok, spowił mu sploty

mózgowe, przesłonił mgłami i pogrążył studenta w głuchej apatyi.

Kibalczyc atoli był nadto wdrożonym do spokojnego, systematycznego życia, aby nawet apatya zdolna go była wyprowadzić z ładu powszedniego.

Jakoż, już nie probując analizowania samego siebie, zawrócił do akademii. Tu wysłuchał po kolei trzech wykładów, ponotował je starannie i poszedł do garkuchni na obiad. Po obiedzie odbył korepetycyę u Korniłowych a dalej lekcyę z panną Perowską, lekcyę przerywaną, jak zwykle, odgłosami wymysłów ex-gubernatora i łkań Barbary Sergiejewny. Kibalczyc był tak z tem oswojony, iż nawet uwagi nie zwrócił na to intermezzo i ani postrzegł, że panna Marya Perowska była silniej niż zazwyczaj poruszoną echami zatargu rodzicielskiego. Dopiero gdy na odchodnem panna Marya, jakby chcąc objaśnić przyczynę wzrastających w sąsiednim pokoju okrzyków, ozwała się — to o Zosię— student ocknął się.

— Ach, tak!

— Zosię trzeba dobyć z więzienia... ojciec nie chce... żąda, aby mama za to zezwoliła na zastawienie ostatniego folwarku!... Taki on...

Panna Marya urwała raptownie i ukryła twarz w dłoniach.

Kibalczyc zafrasował się i z całym wysiłkiem jął kuć na poczekaniu jakiś frazes o różnicy przekonań, o dziwactwie ex-gubernatora i o niewątpliwie pomyślnem zakończeniu się sprawy, ileże, pomimo wszystko, w ex-gubernatorze odezwie się ojciec,

który córki nie będzie chciał mieć w więzieniu. Lecz zanim student zdołał pierwsze zdanie owego frazesu wyjąkać, drzwi boczne rozwarły się na ścieżaj i do pokoju wpadł ex-gubernator.

— To pan moją córkę uczysz nihilizmu!

Student spojrzał obojętnie na sino-czerwoną twarz Perowskiego.

— Pan daruje...

— Precz z mego domu!

— Ojcze, jak możesz Mikołaja Iwanowicza!...

— Precz stąd! Ja was rozumu nauczę. Mało wam żeście mi jedną zbezcześcili!

— Panie! Proszę nie zwracać uwagi, — on pijany! — wmieszała się Barbara Siergiejewna, stając między mężem a Kibalczycem. Ale Perowski za całą odpowiedź odepchnął gwałtownie żonę i przyskoczył z pięściami do studenta.

— Dawaj matrykułę! Jak się nazywasz! Do Szliselburga pójdziesz... Ja cię nauczę nihilizmu! Ja ci pokażę Perowskiego... ty... ty wydrwigroszu...

Kibalczyc ani drgnął a gdy Perowski, wyrzuciwszy z siebie jeszcze dziesiątek wymysłów, zasapał się i zamilkł na chwilę, student ozwał się spokojnie:

— Jest pan w błędzie, gdyż niezawodnie mam tyle wspólnego z nihilizmem co i pan...

Ex-gubernator wytrzeszczył swe małe wyłupiaste oczy na Kibalczyca.

— A... a... co tu pan robisz... co tu mamlesz dzień w dzień... może się zaprzesz!?

— Panna Marya przygotowuje się do matury. Proszę, niech pan zobaczy... podręcznik łaciny...

Perowski wyrwał studentowi książkę i rzucił ją z pasyą na stół.

— Dosyć tego błazeństwa! Ja, ojciec, zabraniam! Ani słowa! Mojej córce to wcale niepotrzebne! Żeby... żeby nie ta idyotka... mogłaby już dwa lata temu wyjść za pułkownika kirasyerów. Milczeć baby!

Kibalczyc zawrócił ku drzwiom. Pani Perowska pospieszyła wytłumaczyć studentowi.

— Nie zważaj pan! Pijanica!... Już od rana tak... Pojutrze wyjeżdżamy z Manią... Straszny człowiek... Mania napisze do pana...

— Co napisze!?... do kogo napisze! Tyś wszystkiemu winna, tyś je opętała nihilizmem!... Przez ciebie straciłem służbę... czyny...

— Brałeś łapówki więc cię wypędzili! — wybuchnęła pani Perowska.

Ex-gubernator parsknął śmiechem.

— Cha — cha! Miałem może patrzeć, jak twoi bracia biorą! Wiesz ty, czem byłbym dziś, gdyby nie twoje niegodziwości, gdyby nie ta szelma? — Tajnym radcą, członkiem rady państwa! Od roku miałbym Włodzimierza na szyję...

— Za to żeś wart postronka!...

Perowski zatoczył się ze wściekłości i bluznął potokiem wymysłów. Kibalczyc porwał za czapkę i wybiegł z mieszkania ex-gubernatora.

Ta scena wzburzyła studenta, uprzytomniła mu całą niedolę Barbary Siergiejewny i jej dzieci i zakołatała serdecznem współczuciem. Kibalczycowi zaroiło się nagle, że ma obowiązek dobyć sterroryzowane kobiety z przemocy ex-gubernatora, że

nie ma prawa być obojętnym świadkiem takich oburzających scen, że powinien coś radykalnego przedsięwziąć. Jakoż w oka mgnieniu tysiąc planów powstało w głowie Kibalczyca, sto rozmaitych sposobów wyzwolenia pań Perowskich ukazało się studentowi i rozwinęło się tak dzielnie, że gdy student dowlókł się powoli do kamieniczki, na Mieszczańską, Barbara Siergiejewna wraz z córkami, w imaginacyi Kibalczyca, zażywała już pełni spokojnego życia. Lecz ten jasny, pogodny obraz zakłóciła studentowi czerwona, obrzękła twarz, która zagrodziła Kibalczycowi wejście do bramy. Student otrząsnął się na widok mary... i rozśmiał się dobrodusznie, boć tą marą był Timofiej, stróż domu.

— Co takiego, o co idzie?...

Stróż łysnął na znak zdziwienia białkami.

— Ta pedam, że ta ktoś z familii waszej przyjechał i czeka na schodach.

— Z mojej familii!? — zdziwił się z kolei student.

— Peda z tych samych stron, co i wy? Mnie ta nic zresztą, tylko co na schodach nikomu wysiadywać nie wolno. Taki przepis...

Kibalczyc, ani myśląc wysłuchać perory stróża, zawrócił żwawo na schody, przebiegł je szybko i, dopiero zobaczywszy na czwartem piętrze skuloną postać jakiegoś mężczyzny w siermiędze, przystanął, odetchnął i zagadnął niepewnie:

— A wy do kogo!?

Mężczyzna na dźwięk głosu Kibalczyca porwał się na równe nogi i skłonił się do pasa.

— Zdrowia życzę waszej wielmożności!..,

— Mitrofan! — zakrzyknął ochoczo student. — A ty tu skąd!... Czekaj, niech drzwi otworzę! Ot gość dopiero! Masz zapałki! Nie trzeba, już mam! A bodaj cię, to ci niespodzianka!...

Przybyły, który podczas otwierania drzwi i porania się z zapaleniem lampy jeno szuraniem nogami i fyrkaniem nosem odpowiadał, wyprostował się teraz i znacząc krzyż na swej piersi pokłonił się w róg pokoju, kędy widniała mała, pękata ikona. Zaczem, z tem samem namaszczeniem i powagą skłonił się Kibalczycowi.

— Zdrowia życzę waszej wielmożności!...

— Bóg zapłać!... Tedy skądże ty, co, jak? Co u nas?... Co starzy?!...

— Wszystko dobrze!... Iwan Iwanowicz śle pokłon, Anna Iłarjewna śle pokłon, Anastazya Piotrówna pokłon...

Student osunął się na krawędź łóżka, nie probując nawet przerywać długiej oracyi przybyłego, rozumiejąc, iż słowa zeń nie dobędzie, dopóki ten całej litanii ukłonów i pozdrowień nie wygada.

Gdy Mitrofan wreszcie skończył, Kibalczyc zaczął ochoczo:

— No, stary, powiadaj że mi, z czem przybywasz? Masz listy?

Mitrofan skinął twierdząco głową, rozwarł trzymaną w ręku kobiałkę i zaczął z niej z całem skupieniem dobywać rozmaitej wielkości paczki a zawiniątka i układać je systematycznie na stole około studenta, objaśniając od kogo posyłka pochodzi i co zawiera.

Dopiero, gdy kobiałka całą swoją wyładowała zawartość, Mitrofan pogładził się z zadowoleniem po brodzie i przysiadł na krawędzi stołka, czekając na odezwanie się Kibalczyca.

Student milczał, spoglądając na ubogie, a przecież tak drogie mu a serdeczne dary. Wszyscy, bo pamiętali, każdy, co mógł, wysupłał byle mu sprawić uciechę, byle go wspomódz. Ot rodzic, Iwan Iwanowicz, pięćdziesiąt papierków uciułanych ciężko, matka miodu, jabłek i koszul, ciotka Anastazya rękawice włóczkowe i jedwabny halsztuk, mała Praskowia kaftanik własnemi rączynami uciukany... A tam jeszcze, w sieni, faska ogórków, poczciwych, nieżyńskich, ba i jarzębinówki butla od Nikitinów i pierog od Żerebkowej... Strach jacy dobrzy oni wszyscy!...

Mitrofan odchrząknął. Student uśmiechnął się doń przyjaźnie.

— Czekaj, stary, papierosa ci skręcę. Herbaty się napijesz no i jarzębinówki...

— Nie śmię...

— Uu! Napijesz się stary!... Patrzże, anim się spodział takiego gościa! Ale skądże ty tutaj...

— Właśnie Święty Cyryl... Kowalisze chorowało najmłodsze, tedy ona ze świecami do Cyryla... Batiuszka byli w miasteczku, tedy Anna Iłarjewna dała babie klucze od cerkiewki, żeby świec nastawiła świętemu. Kowalicha, baba niezdarna, nawtykała świec tak, że na drugi dzień, choć na głowie stawaj a nie poznasz z ikony, co za jeden. Czort nie czort a gdzie mu do gęby cyrylskiej. Jušci z tego

najpierw skutek, że Kowalisze dziecko do wschodu niedoczekało a dla parafii ubytek, bo i do okopconego obrazu nikt ani myśli a kto aż do powiatu Świętego Cyryla chodzi szukać. Batiuszka tedy ikonę w słomę owinęli, płótnem obszyli i do stolicy wysłali, do Aleksandronewskiej Ławry... A że już odpis nadszedł, że święty naprawiony i w samej Ławrze uroczyście odświęcony — tedy batiuszka, dla większego znaczenia, mnie kazał, bo i zdarzyło się właśnie do was...

— Wybornie, doskonale! Jakże tu, do mnie, trafiliście!?

— A no mam kuma, co w generalskim domu posługuje. I sam przecież sługiwałem w grenadyerskim. Stolica człowiekowi nie nowina. Ba, i już do Ławry zamówiłem się. Kazali jutro rano. W skrzynkę pójdzie i w pokrowiec wyszywany i jak w puchu dopodróżuje! Myślę, jutro zdążę ruszyć w drogę...

— Jutro już!

— A no, bo batiuszce jak bez ręki, bez Cyryla, okrutnie go polubili. Zawiń, mówili, serdecznego co tchu i wieź go... może ulży robaczek w biedzie a pocieszy w udręczeniu...

Kibalczyc na ten niespodziewany zwrot Mitrofana drgnął.

— Co stary wygadujesz!... Ale, bo listy musisz mieć!...

Mitrofan potrząsnął głową.

— Nie mam... Iwan Iwanowicz chciał pisać, lecz się namyślił, że pisane może wam zaszkodzić...

więc na gębę kazał... i kazał, żebyście wy także na gębę raczyli odpowiedzieć, bo wasze listy i tak żandarmi by wzięli.

Student na tę niespodziewaną konkluzyę parsknął śmiechem.

— Mitrofan, a tobie co w głowie!

Lecz Mitrofan kiwnął się na znak, że ma słuszność i dodał:

— U nich pisane gorsze od drukowanego! Gdzie ich nieczystych nie nosiło! Całą cerkiew nam od góry do dołu obszukali, skrawka papieru nie zostawili, mojej babie nawet przepis na krople od cholery to i to zabrali... sam kapitan żandarmski wziął... a co Anastazyi Iłarjewnie...

— Mikołaju! Co pleciesz? Co się stało? Powiadajże, jak się należy...

Mitrofan stęknął.

— A no bieda naszła, nieszczęście naszło a wszystkiemu kowalicha winna... świętego Cyryla...

— Mówże, do licha, więc co — co?!...

— A no, zaraz na drugi dzień, po zniszczeniu świętego Cyryla, powlekli Fomina do miasta o tą książkę, co wasza wielmożność dali mu do czytania... a coś w tydzień zjechał w nocy kapitan z żołnierzami na parafię i dalej rewidować. Batiuszka do kapitana, a on powiada, wasz syn, niby wasza wielmożność, jest „nihilist“. A na nihilistów jest cesarska „anafema“. Batiuszka powiada, że wasza wielmożność raczą w Pitrze felczerskiej sztuki się uczyć, aby na doktora awansować. Ale on, gdzie! Na batiuszkę—nihilist jest propagandzki,

na Sybir pójdzie... Et, mało czego nie nakrzyczał... Nu, takie jego żandarmskie prawo... Rewidowali do świtu, potem wszystkich do protokółu... Mnie powiada, abym zaprzysiągł, iż widziałem, jako wasza wielmożność po chałupach wszystkich chodził i drukowane rozdawał. Ja na to, że mego dyackiego obowiązku patrzę... Tedy on na mnie! Eh! Ani powtórzyć, czego nie napluł, od jakich nie nawyzywał... Całą noc i cały dzień aż do wieczora broili aż zabrali wszystkie listy waszej wielmożności i wszystko drukowane i pisane, co znaleźli, i odjechali!... Ledwie się uciszyło na drugi dzień, aż tu wezwali batiuszkę do powiatu, wytłumaczył się w powiecie, kazali do gubernii, potem do protojereja i do eparchii. Nie ma dnia bez jakiejś *bumagi*. Batiuszka po całych nocach pisze wyjaśnienia i gdzie, ani końca... W eparchii mówili, że batiuszka może stracić parafię... Ot i dola poszła!... A przytem i niepokój, co wasza wielmożność, bo kapitan się odgrażał. A tu jeszcze, na utrapienie, Fominowa z dzieciakami po całych dniach jęczy batiuszce pod oknami. Do gubernii po męża jeździła, lecz, zwyczajnie baba nie potrafiąca, tyle się dopytała, że ją pobili i ciupasem do wsi odstawili...

Kibalczyc, który słuchał opowieści Mitrofana oniemiały ze zdumienia, przerwał dyakowi potokiem krzyżowych zapytań. Mitrofan odpowiadał, co raz to nowy dorzucał szczegół a choć zapalczywie zwalał winę na kowalichę i na oczywistą pomstę osmalonego świętego Cyryla, aż nadto atoli

wyraźnie wspominał książkę, daną przez studenta Fominowi. Ta książka wzburzyła Kibalczyca, ileże ani rusz nie mógł sobie przypomnieć tej książki. Dopiero, gdy Mitrofan znów zabrał się do opowiadania rzeczy od początku, studentowi, niby snop światła, uprzytomniła się chwila, kiedy to rok temu, bawiąc na wakacyach u rodziców, wdał się z jakimś chłopem w gawędę i gdy, ujęty rezolutnością i ciekawością chłopa, który, o dziwo, umiał czytać, podarował mu jakąś popularną książkę, o buncie Pugaczewa. To wspomnienie rozpogodziło odrazu zachmurzone czoło Kibalczyca, bo juści w całem tem ıatalnem zajściu tkwiła jakaś pomyłka, proste zacietrzewienie któregoś z urzędników, książka bowiem była najlojalniejszem w świecie wydawnictwem. Należało więc tylko dotrzeć do właściwej władzy a rzecz nie tylko odrazu będzie załagodzoną, lecz nawet gorliwość miejscowej żandarmeryi przykładnie ukaraną.

Mitrofan, przed którym student jął swe racye wykładać a pouczać go, jak ma ojcu rzecz przedstawić, wysłuchał z uwagą wywodów studenta a wreszcie dodał:

— Wiadomo, że tak musi być... ale co batiuszka Iwan Iwanowicz wolą świętemu Cyrylowi...

— Tamto co innego! — uniósł się student. — Tu trzeba do gubernii, bodaj do gubernatora, do, licho wie, kogo najstarszego i dopiero powiedzieć wszystko...

— At, czy oni dadzą gadać... Wasza wielmożność darują, ale to tak, zanim ozorem zawiniesz,

jużci krzykną milczeć... i ot tłumaczenie skończone!... Batiuszka do eparchii jeździli a i tam. Wiadomo „naczalstwo“!...

Kibalczyc obruszył się na ten sceptyzm starego dyaka i znów zabrał się do wytłumaczenia mu, iż zarówno rewizya, jak i uwięzienie Fomina, wynika z głupoty pospolitego pachołka żandarmskiego i że stąd należy coprędzej tę głupotę zdemaskować. Mitrofan skłonił się potulnie.

— Wasza prawda, wasza sprawiedliwość... Powiem, akuratnie powiem! Cóż, zakuty łeb, nieuczony... tedy, et, swoje miele...

Dyak machnął ręką i umilkł. Kibalczyc zwrócił przedmiot rozmowy, rozumiejąc, iż i tak uporu starego by nie zwalczył.

Lecz już dalsza gawęda nie kleiła się, gdyż Mitrofan, mimo woli, rozpowiadając studentowi o domu, wspominał wciąż ostatnie wypadki. Stąd, gdy nareszcie dyak dźwignął się a sumitować się zaczął, że mu pilno do gospody, Kibalczyc nie próbował go zatrzymywać, ileże pilno mu było myśli zebrać, pilno samemu zostać.

Powoli noc zapadła, noc ponura, dżdżysta, jesienna, petersburska noc.

Stolica ułożyła się do snu a choć tu i owdzie łomotała jeszcze zapóźnionymi kibitkami a rozbrzmiewała echami wesołych pokrzykiwań tych, dla których ukazy gradonaczalnika o poszanowaniu ciszy nocnej są jednym bodźcem więcej do jej zakłócania, przecież w tak potulnej dzielnicy, jak Spaska,

zażywała pełni prawomyślnego spoczynku i lojalnej ciemni.

Wprawdzie i w tej dzielnicy można było wskazać na kamienicę, na ulicy Mieszczańskiej, poglądającą ku labiryntowi spiętrzonych gmachów jasno oświetlonem oknem i to u samego poddasza. Ale światło to, o tej porze, nie było w tem oknie niczem nadzwyczajnem.

Wszyscy stróże domów na ulicy Mieszczańskiej znali je i wiedzieli, że należy ono do ubogiego studenta o twarzy ściągłej, zamyślonej, który, obyczajem takich studentów, w dzień śpi, a po nocach szuka licha po książkach.

Lecz, naprzekór tej wyrobionej opinii organów petersburskich, lampa, w izdebce studenckiej nie rysowała tym razem pochylonej nad książkami sylwetki, nie opromieniała płowej czupryny swego pana, nie mrugała ku pogodnym oczom, gdyż, wciśnięta pod ścianę, osłonięta od strony łóżka kawałkiem bibuły nie mogła dosięgnąć leżącej na wznak postaci młodzieńca, nie była w stanie rozeznać półmrokami otulonej twarzy.

I lampa, jakby z gniewu na to odsunięcie się jej i okiełznanie, z tem większą pasyą rozglądała się po stole zastawionym filiżankami, kieliszkami, założonym paczkami a pełnym wszelakiego dobytku studenckiego, wśród którego mosiężna maszynka do papierosów i ołowiana łyżeczka zdawały się rej wodzić. Lampa wszakże obrzydziła sobie snać tę martwą naturę, bo raptem pyrchnęła opalonym knotem i jęła chrobotać a skrzeczyć, jakby pra-

gnąc zwrócić na siebie uwagę leżącego na łóżku młodzieńca.

Młodzieniec poruszył się, spojrzał ku lampie a gdy ta umilkła pokornie, zapadł znów w swe odrętwienie.

Lampa po raz wtóry zaskrzeczała, lecz tym razem leżący student nie zwrócił na nią uwagi. Lampa posmutniała, stuliła płomień i pożółkła w swem świetle, zabierając się do długiego czuwania. Gdy naraz, jakiś głuchy stukot targnął płomieniem lampy. Lampa zaskrzeczała znów a wreszcie, niby usłyszawszy odgłos tłumionych kroków ludzkich, umilkła.

Młodzieniec tymczasem ani myślał zajmować się odgłosami, idącymi ze schodów i tak, że gdy te odgłosy przeszły nawet w wyraźny, miarowy stukot, połączony z jakimś osobliwym brzękiem a nakoniec, ucichłszy tuż za progiem, załomotały do drzwi izdebki,—student jeszcze się nie poruszył. Dopiero, gdy drzwi pod uderzeniem zniecierpliwionej pięści, zadygotały w zawiasach, młodzieniec ocknął się, zwlókł ociężale z łóżka i zagadnął ospale.

— A tam kto !

— Nic, — to ja, Timofiej, stróż!

— A... a wy co?...

— Telegram do pana!

— A... dobrze!... — mruknął student i przekręcił klucz we drzwiach ale, zanim zdołał ująć za klamkę, drzwi, naciśnięte z zewnątrz, otwarły się na ścieżaj — gromada żandarmów wpadła do izdebki.

Student był tak oszołomiony temi niespodziewanemi odwiedzinami, że dopiero, gdy oficer żandarmeryi zagadnął go oschle:

— Wszak pan Kibalczyc?...

Kibalczyc zdołał otrząsnąć się z wrażenia i odpowiedzieć pytaniem:

— Zapozwoleniem, na jakiej podstawie?...

— Nazywasz się pan Kibalczyc?! — powtórzył surowo oficer.

— No tak... ale nie rozumiem...

— Zajmujesz się pan propagandą!... Dosyć!... Jesteś pan aresztowanym!

Kibalczyc rozwarł szeroko swe jasne oczy.

— Ja... ja... mam być aresztowanym... za propagandę...

— Nihilistyczną... Zresztą, dowiesz się pan o reszcie... Tymczasem wskaż mi pan osobę, której mają być przesłane rzeczy, nie podlegające aresztowi...

— Ależ bo doprawdy...

Oficer wzruszył obojętnie ramionami i, rozsiadłszy się przy stoliku, otworzył trzymaną w ręku tekę i na przygotowanym szemacie jął wypisywać jakieś wyrazy.

Kibalczyca tymczasem ujął pod rękę jeden z żandarmów i, odsunąwszy go w róg pokoju, mruknął doń:

— Tu pańskie miejsce!

Student nie protestował. Oparł się o ścianę plecami i spoglądał ze zdumieniem na scenę, rozgrywającą się w jego izdebce. A scena ta wydała mu

się tak zabawną, iż wyraz zdumienia, rysujący się na twarzy Kibalczyca, rozpłynął się w uśmiechu politowania. Towarzyszący bowiem oficerowi, żandarmi zabrali się do rewizyi... A ponieważ w nielicznych zakamarkach izdebki kryło się tylko to, co i w mieszkaniu najprawomyślniejszego poddanego bywa usuwanem z przed oczu, tedy na niedyskrecyi żandarmów mścił się komizm a już Kibalczycowi niepomierne sprawiał zadowolenie.

Rewizya atoli zaczęła się przedłużać, ileże, uporawszy się z ogólnym przeglądem, zeszła do szczegółowego rozpatrywania zawartości siennika, poduszek, kołdry, szukała podwójnej ściany w lada pudełku a w najdrobniejszym przedmiocie probowała domyślać się tajemniczych kryjówek, sprężyn, a bodaj jakichś rewolucyjnych śladów.

Widowisko stało się nudnem, denerwującem. Kibalczyc próbował raz i drugi odezwać się, przemówić do rozumu, skrócić daremne wysiłki czeredy żandarmskiej, lecz, czuwający tuż przy nim, drab napomniał go tak grubiańsko i wyzywająco, że student zęby zacisnął, rozumiejąc, iż lada zatarg może go narazić na najbrutalniejszą przemoc.

— Aha!... — ozwał się naraz oficer, rozpatrując podaną mu przez żołnierza paczkę książek. — Ot, i nareszcie coś ciekawego!... Ot, literatura!... Ot, medycyna!!... cha, cha — wybornie!

Kibalczyc spojrzał ku oficerowi i jednym rzutem oka poznał książki, dane mu przez pannę Korniłow. Studentowi w oczach pociemniało, chciał coś rzec, lęcz głos uwiązł mu w gardle. Oficer pod-

czas rozpatrywał książki i śmiał się szyderczo a dogadywał.

— Ot, znalazł się baranek, niewiniątko, duszka... Cha, cha!... I dziwi się!... „Zapozwoleniem, nierozumiem“... Wezmą do Schliselburga no i zrozumi wszystko... Szukać tam, a dobrze!... Ptaszek musi tam jeszcze mieć nie jedno!!...

Kibalczyc odetchnął ciężko.

— To nie moje książki... Słowo honoru... nie pojmuję... skąd...

Oficer odwrócił się do studenta i zauważył ironicznie.

— Będziesz miał pan czas na przypomnienie sobie.

Kibalczyc, który teraz dopiero w pełni światła lampy zobaczył twarz oficera, drgnął i wpatrzył się w nią natrętnie, jakby w niej szukając znajomych rysów. Oficer odwrócił się pośpiesznie i jął jakieś napomnienia dawać rewidującym żandarmom. Student tymczasem oczu już nie odrywał od oficera aż naraz w twarzy Kibalczyca znikły błyski zwątpienia — oficerem tym był ten sam, którego spotkał na Oziernym pereułku, u panny Malinowskiej...

Studentowi równocześnie przyszło na myśl, że jest ofiarą jakiejś fatalnej pomyłki, lecz takiej pomyłki, którą jednem słowem może zniweczyć, może zniewolić oficera do ustępstw. Tą wiedziony intencyą, Kibalczyc wysunął się żywo ku oficerowi i ozwał się pojednawczo.

— Panie Degajew, wszak dzisiaj miałem zaszczyt być u pana...

Student urwał nagle, gdyż w tej samej chwili dwoje rąk porwało go z tyłu za szyję, a równocześnie prawie pięść oficera wycięła mu wściekły policzek. Kibalczyc osunął się bezwładnie, targany żelaznym uchwytem rąk, opasujących mu gardło.

III.

Gdy, nazajutrz, ulica Mieszczańska ocknęła się ze snu, przybrała wnet swą powszednią a tak poczciwą fizyognomię, że nikomu na myśl by nie przyszło, aby taż sama ulica mogła być przed kilku godzinami celem wyprawy pachołków trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości. Lecz, co dziwniejsza, że gdyby nawet ktoś, świadom rzeczy, chciał skupić całą swą uwagę na kamienicy, która wczoraj jeszcze tuliła u poddasza studenta Medyko-Chirurgicznej akademii, również nie wykrył by żadnych znamion, mogących nasunąć przypuszczenie, że kamienica była terenem aż tak niepowszedniego zajścia, iż szef żandarmów, Mezencew, już o świcie odebrał szczegółowy raport o pojmaniu niebezpiecznego nihilisty.

Jedynym może znakiem, uzewnętrzniającym dzieje ostatniej nocy, — była karta, zawieszona na bramie o pokoju kawalerskim do wynajęcia. Zresztą i lokatorowie kamienicy, która tyle kłopotu przyczyniła żandarmeryi, jakby nie wiedzieli nic o nocnych odwiedzinach na czwartaku. Stróż, Timofiej, milczał uroczyście, a gdy go która ze służących zagadywała politycznie o przyczynę nocnych hałasów, machał energicznie ręką, mrużył z ukontentowaniem oczy i mruczał:

— A bo wam co do tego... swojego pilnować, do cudzego nosa nie wtykać!... — Ot co!

Zawziętość atoli Timofieja, z jaką odprawiał natrętne zapytania służących oczywiście przybierała inną formę, gdy interpelantem była sama pani lub lokator a właściwie ta zawziętość mieniła się wszystkiemi odcieniami, zależnymi od wielkości zajmowanego apartamentu i stopnia społecznego lokatora no i przymiotów, znanych podobno tylko stróżowi.

Więc stąd Timofiej dla wdowy po generale miał, naprzykład, uprzejmą odpowiedź o uwięzieniu „socyalista“, dla kupca z trzeciego piętra uwagę, że policya wie co robi, dla nauczyciela z oficyny, zimną przesłankę o lichej wogóle wartości tych, co komornego nie płacą, a dla radcy z intendentury moc nieprzebraną wiadomości o tem, jaki to niebezpieczny łotr mieszkał na czwartem piętrze, jak baranka udawał a jakim „nihilistem“ się okazał.

Około południa, Timofiej przybrał się odświętnie, żonie swej nakazał surowo, aby nie ważyła się wdawać ze sługami a bodaj i z państwem w jakieś rozmowy o studencie i zabierał się do wyjścia.

Pani Timofiejowa skłoniła głową z nieszczerą potulnością.

— Nu, tam, miałabym komu! A ty dokąd?!

— Pchy! Garnków pilnuj! Rozumiesz!?... Dawnoś nie oberwała!...

— Po Bożemu mówię!

— A ja tobie, babo, po Bożemu powtarzam, trzymaj język! Ale, daj no mi order!...

Timofiejowa aż przykucnęła z podziwu, iż mał-

żonek jej aż tak uroczystą wyciąga ozdobę, lecz, zerknąwszy ku groźnie ściągniętym brwiom swego pana, zakręciła się koło skrzynki pod łóżkiem i, otworzywszy ją, dobyła tumbakowy medalik na niebieskiej wstążeczce.

— Naści!

Stróż ujął ostrożnie za medalik, pocałował go, westchnął i jął go sobie na piersiach do fartucha przypinać. Ale że mu przypinanie szło kulawo, tedy skinął na babę. Timofiejowa z ukontentowaniem pospieszyła mężowi z pomocą.

— Nu i! Wystroiłeś się jak na Wielkanoc!

— Może!

— Ba, i idzie ci do gęby! Daj, niechże ci się napatrzę... Uch!...

Baba się tak serdecznie zachwyciła, że aż Timofiejowi mars nad brwiami zginął.

— Muszę przecież przystojnie do naczalstwa...

— Do cyrkułu, do komisarza! — dorzuciła pospiesznie baba. Timofiej wydął lekceważąco usta.

— Jeszcze by tam! Akurat! Miałbym się do kogo stroić... Ot, co u mnie komisarz!...

Timofiej przztyknął w tem miejscu palcami w powietrzu, nacisnął czapkę na uszy i ruszył na miasto, pozostawiając żonę w niemem osłupieniu.

Lecz jeżeli zdumienie Timofiejowej było wielkiem przy rozstaniu się z mężem, to jednak było słabem wobec tego, jakie ogarnęło stróżowę, gdy o zmierzchu stanął przed nią jej pan i małżonek. Właściwie powierzchowność Timofieja nie uległa żadnej, szczególniejszej zmianie, a nawet pozwalała

stróżowej mniemać, iż mąż jej wraca w stanie, który z góry zapewnia jej przewagę małżeńską. I stąd ledwie Timofiejowa rzuciła okiem na rozczerwienione oblicze męża a poczuła chwiejność jego chodu, rzuciła się całem ciałem, porwała Timofieja za bary i wrzasnęła:

— Gdzie byłeś!? W szynku byłeś... a tu cały dom...

Tu jednak, zwykle potulny Timofiej, otrząsnął się, pchnął żonę i huknął groźnie:

— Milczeć! Rozumiesz!...

Baba zachłysnęła się i skamieniała z podziwu. Timofiej tymczasem odsapnął, przysiadł na ławie i bęcnął pięścią o stół.

— Byłem w szynku! Piłem!... Malinówkę piłem, koszelówkę piłem, popówkę piłem...

Stróżowa jęknęła.

— Piłem do stu dyabłów! Zdrowie carskie piłem!... Rozumiesz, durna babo!... Carskie zdrowie!...

— Rządca domu był — ozwała się cicho Timofiejowa.

— Czort z nim!

— Powiadał, że służby nie pilnujesz...

— Jakiej służby! — wybuchnął Timofiej. — Co ten zatraceniec! Komu służę? Może jemu? Może babie, właścicielce?!... Carowi służę! Rozumiesz!... U mnie rządca tyle, co wczorajszy wiatr!... Widzisz, głupia, te papierki?... Hę — co?!... No, nagrodzili. Sprawiedliwie nagrodzili, dobrem słowem uszanowali... medal srebrny przyrzekli...

Baba na widok zwitku banknotów rozpromieniała. Timofiej złagodniał.

— Ot masz babski rozum! A kto mi bełtał po całych dniach o tym... tym!? Widzisz teraz, jaki ptaszek był?!... Nu — poprostu najstraszniejszy nihilist... A u takiego ojca zagałuszyć, rodzoną zadławić, a bodaj na generała rękę podnieść, to jak mnie palcem kiwnąć!...

Timofiej jeszcze długo rozwodził się o nikczemności nihilizmu a wystawiał żonie splendor, jaki nań spłynął za przyczynienie się do ujęcia tak niebezpiecznego przestępcy. Baba słuchała z atencyą a uszanowaniem perory męża aż, chcąc tem dzielniej zaznaczyć swą powolność, zakończyła pojednawczo:

— Czekaj, stary, pójdę ci lampki zapalić na schodach... i po arak do herbaty zbiegam!... No bo kiedy już taki dzień...

Timofiej skinął przyzwalająco i zabrał się do zapalania fajki. Baba zakręciła się, zgarnęła nieznacznie pieniądze i wybiegła na schody.

Stróż tymczasem rozsiadł się wygodnie, pyknął dymem z fajki, lecz, zanim ją rozżarzył należycie, do izby wpadła baba.

— Stary! Na czwartem, pode drzwiami tego... stoi jakiś i dobija się!

Timofiej porwał się na równe nogi i rozkazał:

— Leć po rewirowego!

Baba zawróciła na ulicę, Timofiej zaś ruszył żwawo na schody.

Już na pierwszem piętrze stróż usłyszał koła-

tanie tak energiczne, że raptem wszystkie okropności o nihilistach, o których często słyszał od rewirowego stanęły mu przed oczyma i ostudziły pewność siebie Timofieja. Równocześnie jednak zadźwięczały mu w uszach słowa kapitana żandarmów, słowa zachęcające do czuwania i chwytania nieprzyjaciół cara a wrogów Boga.

Timofiej przeżegnał się, splunął od uroku i, nie czekając na rewirowego, któryby niezawodnie sobie tylko przyznał zasługę, — pospieszył na czwarte piętro.

Za zbliżeniem się Timofieja kołatanie na czwartaku umilkło raptownie. Jakiś cień wysunął się ku schodom i zaczął przyglądać się sylwetce stróża.

— A wy co tu? Kto tu? Do kogo? — zaczął politycznie Timofiej, rozeznawszy, iż ma przed sobą barczystego draba.

— No ja tu, do tego pana studenta! — odrzekł cicho drab.

— Tu żaden taki nie mieszka!

— Co wy!... Przecież pozawczoraj jeszcze!

— Przeprowadził się! Ot co! Chodźcie na dół, do mnie, to wam powiem!

Drab zawahał się, ale gdy mu Timofiej powtórzył chytrze propozycyę, usłuchał i poszedł za stróżem do izdebki.

W izdebce stróż wskazał przybyłemu ławę a sam ulokowawszy się na stołku, pod drzwiami, zabrał się flegmatycznie do zapalania fajeczki.

Drab wyczekał chwilę, otrząsnął poruszeniem głowy włosy, cisnące mu się do oczu i zagadnął:

— Tak dokądże oni raczyli się wynieść?

— Hm! Raczyli nie raczyli... A wy, co za jedni?

— Stolarz, jarosławski — odrzekł spokojnie drab.

— Jak się zwiecie?

— Piotr Iwanowicz Chałturin a wam, co z tego?

— Cóż, wiadomo, luda rozmaitego w mieście, muszę wiedzieć!... Paszport macie!?...

Chałturin dźwignął się ociężale z ławy.

— Daleko jedziesz, bratku. Ty mi po ludzku powiedz, dokąd się wyprowadzili i szabas. Ja tu nie do protokółu.

Timofiej przymrużył drwiąco lewe oko i pyknął z fajeczki.

— Kto wie.

Chałturin zachmurzył się.

— Twoje stróżowskie prawo odpowiadać, kiedy cię poczciwie pytają. A do mnie tobie zasię.

— O — i! Pewnie...

— Czort cię bierz. Znajdę twego rządcę ten ci powie komu służysz! — odrzekł groźnie Chałturin i posunął się ku drzwiom. Timofiej w tejże samej chwili rzucił fajeczkę na stół i podniósł się ze stołka, grodząc drogę Chałturinowi.

— Co, może mam tobie służyć?!...

— Na toś stróżem! Dalej!...

— Komu ty każesz dalej? — warknął Timofiej. — Komu służę? Wiesz ty, chamie jarosławski, komu? Carowi służę!... Widzisz tu, medal carski, widzisz ten order?

— Służ sobie dyabłu samemu! — wybuchnął

Chałturin, próbując usunąć stróża i z izdebki się wydostać.

— Co ty, włóczęgo, carowi śmiesz od dyabłów... Ty carowi będziesz...

— Na bok! Ustąp!!...

Timofiej za całą odpowiedź wpił palce w ramiona Chałturina.

— Oszalałeś, za kogo ty mnie bierzesz!

— Za włóczęgę, za nihilista! — wrzasnął z wściekłością Timofiej, tarmosząc coraz gwałtowniej Chałturina, ileże czujne ucho stróża rozpoznało odgłos zbliżających się kroków.

— Mnie — mnie? — próbował sumittować się Chałturin.

— Ciebie, włóczęgę! Ja ci pokażę adres tamtego, łotra... Tamtego wsadzili wczoraj a ty, szelmo, sobaczy synu, pójdziesz dziś!... Ja cię nauczę carskiemu imieniowi ubliżać! Ja ci pokażę, komu służę!...

Chałturin wydał chrapliwy okrzyk i runął na stróża. Timofiej zachwiał się i byłby uległ, gdyby nie to, że we drzwiach ukazała się barczysta postać dozorcy policyjnego. Chałturin, na widok policyanta, stropił się, Timofiejowi jakby stężały muskuły.

— Tu, panie rewirowy, jest... ten właśnie, rzuca się, potępieniec...

— Pozwólcie! — ozwał się z kolei Chałturin. — Zmanił mnie do siebie i ot przystaje nie wiedzieć... Pijany!...

Rewirowy skinął surowo:

— Milcz! Do cyrkułu! Timofiej bierz go i prowadź!... Ręce mu związać!

— Zaraz, panie rewirowy, tylko co na cara wygadywał to niech mu zęby zraz przeczyszczę! — zawołał raźno Timofiej i zamierzył się do poczęstowania Chałturina kułakiem.

Ale, zanim zdołał go dosięgnąć, Chałturin porwał stróża za bary i pchnął go z taką siłą ku drzwiom, że ze stojącego na progu rewirowego i, wyglądającej mu z poza ramienia, stróżowej utworzyła się jedna splątana masa gramolących się ciał. Timofiej wszakże, spełniwszy narzuconą mu rolę tarana, zdołał nietylko utrzymać się na nogach, lecz i chwycić za drąg żelazny. Jakoż byłby nim niewątpliwie zadał zabójczy cios Chałturinowi, gdyby nie to, że ten nie dał stróżowi obrócić się i wpadł mu na kark, łomocząc go pięściami i ogłuszonego po raz drugi zażywając na skotłowanie ponowne stróżowej i rewirowego. Zaczem rzucił się między skotłowanych, zaszamotał i wyrwał czepiającym się go rękom.

Brama zadygotała od wrzasków, przekleństw i nawoływań o pomoc.

Chałturin tymczasem wydostał się z bramy i wypadł na ulicę. Tu skręcił ku kanałowi Katarzyny i, odsadziwszy się o kilkaset kroków od Mieszczańskiej ulicy, jął bez pośpiechu, zmierzać w stronę gmachu banku państwa. Lecz zaledwie wytchnął, już poza sobą usłyszał nawoływania — „łapaj-trzymaj“ — nawoływania, świadczące, że ani Timofiej, ani dozorca policyjny nie dali za wygranę. Chałturin drgnął, obejrzał się za siebie, jakby chcąc zmierzyć przestrzeń, dzielącą go od pościgu, i zaczął biedz co

tchu. Pościg atoli w oka mgnieniu przybrał groźne rozmiary, ileże, co kroku, znajdywał ochotników pośród gapiów ulicznych i pachołków policyjnych. Dwakroć zdołał Chałturin skręcić w boczne ulice i w ten sposób uniknąć spotkania z tymi, co, na odgłos nawoływań, próbowali mu drogę zagrodzić. Aż, w ostatku, pościg stał się tak gwałtownym i tak zapalczywym, iż Chałturin, już tylko biegnąc po prostej linii, mógł jeszcze utrzymywać ścigających na pewnym dystansie.

Lecz i ten dystans zaczął się powoli zmniejszać. Około Soboru Kazańskiego Chałturin raz jeszcze z rozpaczliwym wysiłkiem rzucił, się w bok za sobór, ku pomnikowi Barktaja de Tolly. Na ten manewr ciżba odpowiedziała wzmożonym gwizdem świstawek policyjnych. Cała czereda nadto ścigających puściła się na przełaj. Lada sekunda miała Chałturina dosięgnąć pięść policyanta. Nadomiar, Chałturin, tuż pod pomnikiem, wzdłuż Newskiego prospektu, zobaczył naraz przed sobą zbity tłum ludu... Chałturinowi błysnęła myśl, iż tłum ten zebrał się tu niewątpliwie na pojmanie go, udaremnienie ucieczki. Ale już nie miał czasu się cofać, ciżba za plecami obejmowała go tchnieniem rozpalonych oddechów.

Chałturina opanowała wściekłość, postanowił drogo sprzedać swą wolność, bo głowę pochylił i z zaciśniętemi pięściami wpadł między tłum pod pomnikiem. Tłum zakołysał się, wrzasnął i rozstąpił się przed Chałturinem tak, że ten jak kula wypadł na środek Newskiego prospektu. Zanim je-

dnak Chałturin zdołał zoryentować się, co się wokół dzieje, dwa konie natarły nań z boku a równocześnie spadły nań ze świstem razy kozackich nahajek. Chałturin zawył z bólu i, smagany nahajkami, rzucił się na oślep przed siebie, dopadł przeciwnej strony ulicy i tu pochłoniętym został przez inną ciżbę ludu. Ciżba ta jednak była tak czemś zajętą, iż, poprzestawszy na uwięzieniu w swym uchwycie Chałturina, nie myślała się nim zajmować. Chałturin zaś był tak oszołomiony, że ani mógł zdać sobie sprawę, ani skąd nań spadły nahajki, ani dlaczego otaczający go tłum nie chwyta go, nie prowadzi do cyrkułu.

Oszołomienie Chałturina długo nie trwało, bo, ledwie otarł rękawem skrwawione czoło, już w głębi ulicy zerwał się jakiś pomruk żałosny, przytłumiony i jął zbliżać się a na to cichnąć chwilami, aby z tem większą siłą wybuchać.

— Hurra! Hurra!! — wył Newski prospekt, kołysząc dwoma wstęgami obnażonych głów.

— Hurra! — wrzasnęły z kolei głosy wokół Chałturina.

— Czapki z głowy! Czapki! — zawtórowały głosy policyantów.

Chałturin odwrócił się ku lewej stronie, idąc za przykładem swych sąsiadów i dostrzegł śród mroku rozhukaną, pędzącą co koń wyskoczy, kawalkatę czerkiesów, otaczającą zwartym łańcuchem pojazd cesarski.

Naraz, na obnażoną a spływającą jeszcze krwią po razach nahajki głowę Chałturina spadła pięść...

— Krzycz, szelmo, „hurra"!! — rozkazał surowo jakiś dyszkant.

— Hurra! — ryknął Chałturin ku pędzącemu pojazdowi z taką pasyą, jakby go chciał tem zawołaniem zmiażdżyć.

Pojazd tymczasem przeleciał z tupotem a szczękiem kawalkaty czerkieskiej ku admiralicyi.

Za pojazdem pomknęło jeszcze kilka innych pojazdów i wstęgi tłumu złamały się i rozlały w bezładny potok. Kozackie nahajki, żandarmskie pięści i policyjne kułaki zabrały się do rozpędzania obywateli państwa rosyjskiego, niby zbierając sobie ekwiwalent za oglądanie czubka cesarskiej furażerki.

Nie pomału zdumiała się hrabina Perowska, gdy tego jeszcze wieczora zwiastowała jej służąca tego samego chłopa, który przed dwoma dniami przychodził, odwołując się na Kibalczyca, a którego hrabina nietylko wspomogła hojnie, ale i dała mu polecenie do Kronsztatu, do dalekiego krewnego, a zarządzającego warsztatami marynarki.

Hrabina w pierwszej chwili kazała nawet odprawić przybysza, lecz gdy służąca wróciła z wiadomością, że chłop z całych sił domaga się widzenia samej pani, wyszła doń i powitała go cierpkiem napomnieniem, że powinien być już w Kronsztacie.

Chłop skłonił się pokornie, stęknął i odrzekł cicho:

— Wasza prawda, wielmożna pani, ale ciężko mi się było zebrać bez zobaczenia choć raz mego dobrodzieja, który mnie waszej dobroci...

Hrabina ledwie zrozumiała, co do niej mówił chłop, ileże całą jej uwagę chłonęła, krwawiącemi sińcami pokryta, twarz przybyłego.

— Ależ bo... jakże ty wyglądasz, człowieku!

Chałturin musnął ręką po czole, spojrzał na krwią powalane palce i uśmiechnął się dziwnie.

— Nic to, wielmożna pani!... Car jechał Newskim i ot pogłaskali nahajką!...

— Trzeba żebyście opatrzyli się, tak niepodobna! — zatroszczyła się ze współczuciem pani Perowska. — Okaleczenia mogą się wam zanieczyścić... Należy do doktora pójść...

Chłop machnął ręką.

— Niech tam sobie! Zażywie samo. Dłużej bolenia, dłużej pamiętania.

— Więc z czem przybywasz? — zagadnęła ociężale hrabina, cofając się nieco, aby uniknąć widoku, wstrętem przejmującej ją, twarzy.

— A bo, wielmożna pani... tego dobrego pana, co mnie raczył tu przysłać chwycili...

Pani Perowska rozwarła szeroko oczy.

— Kto chwycił!?

— Wiadomo!... Policya!

Hrabina zaczęła zasypywać Chałturina pytaniami. Chałturin rozpowiedział szczegóły przygody swej na Mieszczańskiej.

Pani Perowska wysłuchała relacyi ze ściśnionem sercem, ledwie własnym uszom mogąc uwierzyć.

— Lecz za cóż biednego Mikołaja Iwanowicza!...

— Tamten potępieniec wołał, że nihilist!...

— To nie może być, to jakaś fatalna pomyłka!... Skądże on!...

— Kto ich wie! — mruknął ponuro Chałturin. — U nas, w fabryce, pisarczyk ci był, dusza nie człowiek, najostatniejszemu dobre słowo dał... i gdzie!... Przyszli, całą kancelaryę przewrócili i pisarczyka zabrali... Powiadali też, iż z dobroci wielkiej nihilistem go naznaczyło...

Pani Perowska na ten wywód wetknęła Chałturinowi srebrną monetę i, zaleciwszy mu, aby do Kronsztatu jechał, gdzie niewątpliwie miejsce znajdzie, pożegnała go łaskawie.

Chałturin skłonił się nisko, położył monetę na stole i, bąknąwszy coś pod nosem, wysunął się na palcach za drzwi.

Hrabina, nie zważając ani na tę ambicyę prostaczą ani na słowa o potrzebie ratowania studenta, — podążyła do córki z wieścią. Panna Marya na pierwsze wyrazy o aresztowaniu Kibalczyca zbladła śmiertelnie i jęła drżeć a trząść się, jak w febrze. Hrabinie to wzruszenie zdało się naturalnem, ileże sama żywiła wielką przyjaźń dla studenta.

— Biedny on, biedny! — szeptały pobielałe usteczka panny Maryi. — Za cóż on! Za cóż jego!!...

Hrabina zastanowiła się, jakby szukając odpowiedzi na pytania córki, gdy naraz oczy jej trysnęły skrami.

— Tak, to nikt inny tylko on!...

— Ojciec!... — rzekła głucho panna Marya, zgadując myśl matki.

— Straszny, okropny człowiek!...

— A więc naszym obowiązkiem jest dobyć Mikołaja Iwanowicza!...

Hrabina potrząsnęła smutnie głową.

— Dziecko! I cóż my możemy! Toć patrz, ile za Zosią naszą nachodziłam się po ludziach! I daremnie...

— Lecz przecież choć coś! Wszak nawet nie wiemy, co z nim, nie wiemy za co!... On sam! Żywego ducha z rodziny...

— Jedźmy do Korniłowych! — zakończyła rezolutnie hrabina. — One nam najlepiej poradzą.

U Korniłowych wiadomość o aresztowaniu Kibalczyca, sprawiła piorunujące wrażenie. Pani Korniłow była tak przerażoną, że na razie słowa dobyć nie mogła, panna Ksenia dostała spazmatycznego płaczu, jedna tylko panna Ela nie straciła przytomności umysłu. Uspokoiła matkę, ukoiła siostrę, a gdy zdziwiona aż tak silnem odczuciem pani Perowska jęła wywodzić, że właściwie przyczyna aresztowania Kibalczyca jest niewiadomą, jak niemniej niewiadomem jest, co się z nim stało — Ela zapłoniła się i oświadczyła krótko:

— W tej chwili jest w Piotropawłowskiej fortecy, za tydzień dopiero mogą go odesłać do „domu tymczasowego..."

— Elu! — upomniała z wyrzutem panna Marya Perowska, która dotąd wpatrywała się badawczo w ociekającą jeszcze łzami twarzyczkę panny Ksieni. — Wszak niepodobna, aby Mikołaja Iwanowicza wzięto za politycznego...

— Sądzę, że tak...

— Lecz przecież rewizya nie mogła...

— Znaleziono nasze książki! — szepnęła cicho panna Ela.

To oświadczenie wywołało nowe poruszenie śród zebranych. Panna Ela tymczasem, nie próbując już przerywać zgiełkliwej rozmowy, sięgnęła do szafy i jęła pośpiesznie wdziewać kapelusz.

Pani Korniłow spojrzała na córkę.

— Elu, a ty dokąd?

— Do Kalenkinej — ona jedna.

— Prawda, tak, ale tak późno, lepiej do jutra...

— Wezmę Borysa ze sobą — odparła rezolutnie Ela.

Pani Korniłow westchnęła cicho, Ela zaś, nie żegnając się, wyszła z pokoju.

— Czyżby panna Ela mogła coś pomódz? — zagadnęła hrabina.

Pani Korniłow zafrasowała się.

— Gdybyż mogła!... Czasem niewiadomo... Trzeba najpierw poznać sprawę.

— Byle się nie narażała!

Pani Korniłow pokiwała smutnie głową.

— Czyż podobna inaczej! Pani hrabina to rozumie... ciężej być dzisiaj matką dobrych niż złych dzieci... takie czasy.

Gdy w saloniku pani Korniłow zaledwie pierwsze słowa rezygnacyi i poddania się losowi zdołały ukoić nieco wzburzenie, panna Ela już dzwoniła do mieszkania inżyniera Filinowa.

Inżynier otworzył sam, wpuścił pannę Elę z Bo-

rysem do przedpokoju, zamknął starannie drzwi od sieni i dopiero uścisnął rękę przybyłej.

— Jest w domu? — zagadnęła ta ostatnia.

— Od wczoraj. Zaraz, odprowadzę chłopca do żony. Chodź, kawalerze!

Filinow ujął łagodnie małego Borysa za ramię i odprowadził do bocznego pokoju, zaczem powrócił i skinął na pannę Elę, aby szła za nim.

W kilka sekund Ela znalazła się w małym zacisznym pokoiku, na progu którego powitała ją energicznem uściśnieniem ręki mała, szczupła osóbka, z wykręconym w bok noskiem, o twarzyczce wątłej, chudej, a tak bezbarwnej, że zlewającej się z półmrokiem licho oświetlonego pokoiku.

Ela bez wstępów przystąpiła do rzeczy, rozpowiadając dokładnie wszystko, co wiedziała o Kibalczycu. Kalenkina wysłuchała uważnie Elę, a gdy ta skończyła, rzekła:

— Ja w tej chwili jestem bezwładną. Jak wiesz, mój generał wyjechał na Ukrainę... Nasi zaś na takiego nie reagują. Z tego, co mówisz, widać, że jakiś kozioł ofiarny. Tacy nawet bywają nam pożyteczni, bo mylą ślady, no i przyczyniają się do jednania nam stronników.

— Niezawodnie, lecz zważ, iż Kibalczyc miał paczkę książek, które dała mu moja siostra do przechowania. Obowiązkiem przeto naszym jest ratować go.

Kalenkina skrzywiła się niechętnie.

— Ratować, lecz czyż mamy prawo? Czyż wolno nam uciekać się do środków, których nie mamy

zadość nawet dla naszych prawdziwych bojowników, zagrożonych czemś więcej, niż nudami w więzieniu!...

— Jednakże Kibalczyc...

— Moja droga, nam samym dziś ziemia się z pod nóg usuwa. Mezencew z Szuwałowem zadali nam klęskę nie do powetowania. Cała nadzieja nasza w tem, że podobno tylu ludzi uwięzili, iż sami nie wiedzą, kogo mają w swych rękach... Naszych jakby wymiótł ze stolicy. Kogo nie schwytano, ten uciekł albo zamknął się na cztery spusty. Od tygodnia nie mieliśmy słowa ze Szliselburga. Szuwałow wpada na tak piekielne pomysły, że na nic liczyć, na nikim polegać...

Ela pochyliła głowę.

— Myślałam, że mi coś przecież poradzisz. Idzie tu istotnie o człowieka Bogu ducha winnego, gdyby można było dowiedzieć się chociaż...

— Więc idź do Malinowskiej!

— Gdzie mieszka?

— Albo nie, pozwól, sama jechać nie możesz! Trzy kwadranse na dziesiątą, za chwilę zamkną bramy. Nie mamy sekundy do stracenia. Brata odprowadzi Filinow do domu. Jadę, lecz będziesz mnie musiała przenocować. Tu, po zamknięciu bramy, wracać nie podobna. Zaraz, muszę powiedzieć, żeby odwołano stróża.

Kalenkina wybiegła z pokoiku, a gdy powróciła, miała już wielki zawelonowany kapelusz na głowie i długi obszerny dolman na ramionach.

— Wyglądasz na sto lat w tym stroju.

— Muszę ci przecież matkować! — odparła wesoło Kalenkina. — A pamiętaj nazywać mnie ciotką...

Gdy w kilkanaście minut później izwoszczyk, unoszący Elę z Kalenkiną zatrzymał się przed sienią domu na Oziernym pereułku, — dom ten zdawał się pogrążonym już w głębokim śnie. Kalenkina, nie tracąc pewności siebie, wyskoczyła żwawo z dorożki, zapłaciła należność, wspięła się z Elą po schodkach do dzwonka i zaczęła wydzwaniać na nim jakieś zawikłane takty.

Drzwi otworzyły się nareszcie. Kalenkina z Elą weszły do ciemnej, nieoświeconej sionki.

— Wiera! — ozwała się półgłosem Kalenkina, zamykając starannie drzwi.

— Kalenkina! — odrzekł ze zdumieniem dźwięczny głos kobiecy. — Wy tu, o tej porze! Na Boga, co się stało?

— Jest w domu!?

— Poszedł do klubu!

— Jesteśmy z Elą!

— Chodźcież za mną! Tu, na lewo... byle prędzej, bo może lada chwila wrócić, a niepodobna by Was zastał...

Panna Malinowska wprowadziła przybyłe do jasno oświetlonego saloniku, ucałowała pospiesznie Elę, uścisnęła dłoń Kalenkiny i jęła rzucać pytaniami.

Na pierwsze słowa Kalenkiny, objaśniające ogólnikowo powód przybycia, twarzyczka panny Malinowskiej pokraśniała, oczy jej zaskrzyły się.

— Ależ to jest dzieciń每stwo nie do darowania.

Dla jakiegoś poczciwego filistra wy tu, u mnie, w nocy!...

Ela jęła tłumaczyć się a usprawiedliwiać.

— Mogłaś conajmniej zaczekać do jutra. Nicby się nie stało, gdyby Petersburg bodaj i kilka dni obył się bez niego. Jakże się nazywa ów męczennik?...

— Kibalczyc.

Panna Malinowska na dźwięk tego nazwiska zmieszała się.

— Więc to Kibalczyca aresztowano! — zauważyła dziwnym głosem.

— Wszak go znasz! — podchwyciła żywo Ela. — Wystawże sobie, że z naszego powodu...

— Z naszego powodu — przytwierdziła machinalnie panna Wiera.

Ela, rozumiejąc, iż Malinowską zdołała nieco zjednać dla Kibalczyca, tem żywiej zaczęła przedstawiać jej położenie biednego studenta, nie mogącego przecież liczyć nawet na koleżeństwo ze strony współtowarzyszów niedoli. Panna Wiera już nie oponowała, a gdy Ela umilkła, rzekła krótko:

— Zajmę się tą sprawą.

— Może potrzebujesz pieniędzy!?

Panna Malinowska uśmiechnęła się sarkastycznie.

— Cóż znowu, i z temi, które mam, nie wiem, co robić... Jak na śmiech składki sypią się zewsząd, gdy niema komu ich dawać.

— Komitet wyjechał?

Panna Wiera snać nie zrozumiała pytania, bo zagadnęła Kalenkinę:

— Masz co nowego?

— Nie — tylko...

— Więc ci wszystko jedno, ale już czas na nas. Jeżeli będę miała wiadomość, dam znać...

Kalenkina z Elą zaczęły żegnać pannę Wierę.

— Był wczoraj u mnie Goldenberg — wtrąciła na odchodnem Kalenkina. — Wrócił z Odessy, „mylorda“ uwięzili.

— Wiem. Ale, być może, iż wyjadę za dni kilka — strzeżcie się tu zjawiać... bo humor mógłby się zmienić.

Panna Malinowska wyprowadziła Elę z Kalenkiną do sieni, zamknęła za nimi drzwi i, powróciwszy ociężałym krokiem do saloniku, osunęła się na fotel i pogrążyła się w myślach. Ale myśli te były dokuczliwe, dręczące, bo na jasną twarz panny Wiery krwawe trysnęły wypieki, drobne jej ręce zacisnęły się na poręczach fotelu, a pierś rozfalowała się nerwowo.

Przed godziną jeszcze była spokojna, rozbawiona nawet temi fatałaszkami, które Iwan Iwanowicz Degajew nazbierał dla niej po najwspanialszych magazynach, przed godziną jeszcze śmiała się z pomysłowości Degajewa, który radby ją zarazić pustotą modnisi, śmiała się z samej siebie, gdy pochwyciła się na gorącym uczynku przystrajania się a przymierzania tych gałkanków! Tak, bo przed godziną była przeświadczoną, że Włodzimierz nareszcie usłuchał jej zaklęć i zdołał dobyć się z zastawianych nań na każdym kroku sideł. Ten student-filister ani przypuszczał, ile wniósł ze sobą światła do jej biednej duszy, gdy przybył z banal-

nymi wyrazami Kwiatkowskiego!... Cha, toć przecież dla niego i tylko dla niego jest tu, w mieszkaniu tego rozmiłowanego w niej żandarma, wszak dla niego podjęła się roli kurtyzany, zaparła się samej siebie. Dla niego tylko, bo on jest filarem partyi, on jest środowiskiem, ogniskującem wszystko, co łomocze w sercu młodej, promiennej, wyzwolonej z oków caryzmu, Rosyi. Jakże dumną była, mogąc mu być użyteczną, jakże długo i gorąco domagała się odeń, by przecież uwierzył w jej oddanie się dla sprawy, w jej zdolność działania. A potem, gdy nareszcie wysłuchał jej, gdy uznał godną, gdy w chwili uniesienia rozwinął przed nią swe potężne plany, a rzucił rękawicę najsilniejszemu z carów, najmściwszemu z rządów, jakaż błogość napełniła jej wątłą, słabą duszę. Toćże on na swych barkach dźwigał wszystko, on był sam jeden tym strasznym komitetem, który niby piorun, zawieszony pod chmurami, wisiał nad tronem Romanowych, a rył im ponure głoski memento, on był wszak tym komitetem, utrzymującym w karności szeregi towarzyszów a niewolącym ich do zwartego ruchu, on był sam tą naczelną organizacyą, nad wykryciem której pracowały krocie mózgów żandarmskich. I oto znów nad głową Włodzimierza zawisł miecz Damoklesa. Ach, gdybyż miecz, gdybyż sprawa wymagała takiego z jego strony oddania się, poświęcenia! Wówczas trudno — taka dola, taka nieubłagana dola prawdziwych męczenników myśli! Lecz otóż właśnie dobro rzeczy wymaga, aby się dwakroć strzegł, w tej chwili nic się nie czyni,

a przygotowuje wszystko, bo żandarmerya na strzępy rozbiła gromady bojowników, bo trzeba nowych sił szukać a bronić zagrożonych stanowisk.

Gdy wczoraj Kibalczyc zjawił się z wiadomością od Kwiatkowskiego, mimo całej radości, ogarnęła Wierę złość, iż Włodzimierz użył za posła tego sensata ani obeznanego z niebezpieczeństwem, ani dość rozgarniętego. Potem aż jej żal było Kibalczyca, że była dlań tak mało uprzejmą... No i przeczucie jej nie zawiodło... aresztowano go i to tego samego dnia jeszcze... a nazajutrz po widzeniu się z Kwiatkowskim. Aresztowano nie dla jakichś głupich książek Korniłowej, lecz dla pochwycenia śladu Kwiatkowskiego!... Wszak Degajew mówił... A może nawet sam zdołał podsłuchać! Niepodobna, do tegoby się nie posunął, bałby się... Lecz to rzeczy nie zmienia. Włodzimierza należy ostrzedz i to jak najprędzej. Taki Kibalczyc może wygadać wszystko i naprowadzić całą sforę na trop. Tej wiele nie trzeba. Może nawet Degajewa skompromitować — o tego mniejsza. Rzecz w tem, że musi, musi sama ruszyć do niego, musi go przestrzedz, zakląć, aby zatarł ślady za sobą, zapadł w kwarantannę. Dosyć tej bezczynności, a zresztą, gdyby przyszło zamienić ten żandarmski apartament na celę więzienną, cha, to nie potrzebowałaby odgrywać wstrętnej komedyi...

Wiera odetchnęła głębiej, przeszła się po saloniku, spojrzała ironicznie ku portretowi cesarza, zawieszonemu nad kanapą i znów osunęła się na fotel. Zegar na konsoli z przeraźliwym sykiem wy-

dzwaniał północ. Zaledwie przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara, w przedpokoju rozległ się trzask szybko otwieranego zamku u drzwi wchodowych.

Wiera poprawiła się na fotelu. W przedpokoju dał się słyszeć tłumiony brzęk ostróg, stukot odpasywanego pałasza, a tuż potem we drzwiach zarysowała się kształtna postać młodego porucznika żandarmów.

— Myślałem, że już śpisz?

— Ach, to ty! — zdziwiła się nieszczerze.

Porucznik złożył pocałunek na rączce Wiery.

— Nie mogłem wcześniej, i tak ledwie wydostałem się z klubu...

— A, prawda, że ty bywasz w klubie... na śmierć zapomniałam.

Porucznik, jakby nie zrozumiał intencyi, bo odrzekł łagodnie:

— Sama wiesz, ile bym dał, gdybym mógł być zawsze z tobą! Cóż porabiałaś...

— Toż samo, co wczoraj...

— Miałaś, widzę, gości, krzesła porozstawiane... a i tu damska rękawiczka...

— Masz zamiar sporządzić protokół?

— Dziecko, za cóż ten docinek?

— Wiesz dobrze, iż nie lubię rozmów w stylu śledczym.

Porucznik pochylił głowę.

— Jesteś niesprawiedliwą, Wiero. Nie chcesz mnie zrozumieć... Pytam, gdyż obawiam się o ciebie. Jesteś nieostrożną — za wiele znajomych cię

odwiedza. Rzecz może się roznieść, zgubisz i siebie i mnie.

— Cha, cha! — zaśmiała się ironicznie Wiera. — Ależ to byłoby znakomite! Iwan Iwanowicz Degajew, faworyt samego Mezencewa w Piotropawłowsku, w roli politycznego...

Degajew zmarszczył się i jął zapalać papierosa. Wiera spoważniała i, zmieniając ton, dodała sucho:

— Zresztą, nie mam zamiaru zagradzać ci drogi do świetnej karyery oberszpiega... dziś jeszcze mogę stąd pójść... i pójdę!

Porucznik pobladł zlekka.

— Wiero, — rzekł stłumionym głosem — zastanów się, co mówisz. Na krok się ruszyć nie możesz, poszukują cię wciąż. Dzisiaj miałem w ręku nowy list gończy nadesłany z Kijowa, łączą cię ciągle z Kwiatkowskim...

Wiera drgnęła, Degajew wpił w nią swe ciemne, głęboko pod brwiami osadzone oczy i ciągnął z wzrastającym naciskiem:

— Niema takiego raportu o Kwiatkowskim, żeby w nim nie było ciebie i niema ani jednego raportu o tobie, w którymby nie było Kwiatkowskiego... Nazywają cię nawet wprost jego kochanką...

Wiera odrzuciła dumnie głowę i spojrzała wyzywająco na Degajewa.

— Jest to chyba mniej kompromitującem, niżby miano mnie uważać za kochankę oficera żandarmów!...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Wiera ochłonęła nieco i odparła wymijająco:

— Że chyba niema w tem nic osobliwego, gdy imię nihilisty łączą z nihilistką...

Oczy Degajewa błysnęły ponuro.

— No, ja o tem będę wiedział... Potrafię dojść prawdy, z gardła ją Kwiatkowskiemu dobędę!... Pod ziemią go odnajdę...

— Bacz, byś się sam pod nią nie zapadł!...

Degajew targnął się z wściekłością.

— Co, jeszcze śmiesz mi grozić... Ty — ty!?...

Wiera skrzywiła się pogardliwie.

— Dalej, pisz denuncyacyę, pójdzie ci lepiej niż list miłosny. No, czemuż czekasz!... Odwieź mnie do trzeciego oddziału, dostaniesz order!... Boisz się, abym cię nie oskarżyła? Bądź spokojny, mam jeszcze tyle godności, abym umiała ukryć własną hańbę! No, czemuż się ociągasz? Wspomnij na twą żandarmską przysięgę... Miejże odwagę być Judaszem...

Degajew pod ciosem słów Wiery ugiął się, głowę wtulił w ramiona i z bolesnem przerażeniem wpatrywał się w dumną a godnością promieniejącą twarz dziewczyny.

— Wiero, Wiero — szepnął Degajew — za cóż mną poniewierasz, za cóż! Czyż nie pragnę twego dobra, twego szczęścia...

— Jeno że to moje szczęście po swojemu rozumiesz!...

— Daruj, uniosłem się... lecz sama myśl, że tamten... jest mi piekłem, katuszą...

— I dla tego piekła chcesz, abym ja słuchała obojętnie twych pogróżek, skierowanych przeciwko

człowiekowi, którego czczę, który jest mi towarzyszem, który ku temu samemu, co ja, dąży celowi! Chcesz, abym wierzyła w twą miłość i równocześnie poglądała obojętnie, jak ty wysilasz mózg nad tem, byle burzyć i miażdżyć to, co jest mojem światłem, mojem życiem!

— Wiero, unosisz się sama a dziwisz się, że mnie czasem ból dojmie... Wszak wiesz, że czynię, co mogę... pamiętasz, sam ostrzegłem Osińskiego!... Unikam, ile mogę wszystkiego... Staram się nie domyślać niczego, nawet mylić dochodzenia, zacierać ślady. Niech się tylko wakans otworzy gdzie na prowincyi, poruszę wszystkie sprężyny, byle dobyć się z tego okropnego położenia, byle z tobą...

— Ani myślę wynosić się z Petersburga!

— Ależ, Wiero, zastanów się, moje położenie obecne jest nie do zniesienia!

— Uczynisz, jak będziesz chciał...

Wiera podniosła się ociężale, zapaliła świecę i skierowała się do swego pokoju. Degajew zastąpił jej drogę.

— Odchodzisz już!?... Nie żyw do mnie...

— Późno! — przerwała Wiera, podając Degajewowi rękę do pocałowania.

— Zapomnij! — prosił kornie oficer.

— Ach, tak, niezawodnie... właściwie nie było o co!... Dobranoc.

Degajew postąpił za Wierą, lecz ta zatrzymała go ruchem ręki.

— Chcę być dziś samą.

Degajew cofnął się dyskretnie, ujął za lampę i,

włócząc ostrogami, udał się do pokoju za jadalnię, kędy mieściło się jego bióro i sypialnia zarazem. Tu zdjął mundur i na poły w ubraniu rzucił się na łóżko.

Degajew obudził się późno, po napoły bezsennej nocy, sen dopiero nad ranem go zmożył i raczej wyczerpał, zmęczył, niż pokrzepił.

W jadalnym pokoju już słychać było ciężkie stąpanie służbowego ordynansa, pełniącego co rano u Degajewa obowiązki młodszej a niekiedy i kucharki.

Degajew zwlókł się z łóżka, przetarł oczy i klasnął na ordynansa.

— Wody do mycia!

Ordynans spełnił szybko rozkaz.

Degajew wychlustał się wodą, wytarł i odetchnął raźniej. Ordynans podczas czyścił porucznikowi odzież.

— Wasyl — a co pani, wstała...

— Dawno już raczyli...

— A, dobrze! Kawę masz?

— Do usług.

— Pani kawę podałeś?

— Nie jeszcze, raczyli wyjść.

Degajew na to oświadczenie stropił się.

— Jakto?... Pani... pani wyszła?... Ależ to... to niepodobna...

— Tak jest, przed godziną raczyli, mówili, że zaraz powrócą... — odrzekł z głupowatą miną ordynans.

Degajew, nie zwracając uwagi na coraz to głupszy wyraz twarzy Wasyla, rzucił się do pokoiku

Wiery — pokoik wyglądał tak, jakby ta, co zeń wyszła, miała istotnie lada chwila powrócić.

Degajewa tknęło straszne przeczucie. Lecz jeszcze mu się nie poddawał. Po raz drugi i trzeci natarł na Wasyla. Ordynans powtarzał też same słowa w stereotypowym porządku. Degajew próbował uzbroić się w cierpliwość. Wprawdzie od miesiąca, więc od dnia przybycia Wiery, nic podobnego się nie zdarzyło — ale wszak nareszcie mogła ją zdjąć ochota, nierozsądna, lekkomyślna ale... cóż, stało się. Byle wróciła! Wróci niezawodnie, boć tylko tu może być bezpieczną!...

Degajew zmógł się i zabrał się do picia kawy i rozpatrywania dzienników. Lecz to uspokojenie długo nie trwało, — Degajew znów przywołał ordynansa i jął z błyskawiczną szybkością badać go a nad każdym szczegółem, towarzyszącym wyjściu Wiery, się zastanawiać. Rezultatem indagacyi było tylko to, że Wiera była ubraną w ten sam stary, znoszony kostjum, w którym przybyła a którego, dzięki szczodrobliwości porucznika, nigdy nie wdziewała, mając całą szafę pięknych a wytwornych sukien. Była by to ważna okoliczność ale, przy ekscentrycznem usposobieniu Wiery, bezwątpienia błaha...

Zegar wydzwonił jedenastą. Znający snać dobrze swego pana, Wasyl podszedł doń na palcach, odchrząknął a, gdy Degajew spojrzał nań pytająco, rzekł prostując się wojskowo.

— Rozkażecie zawołać izwoszczyka?

Degajew zrozumiał, iż było to przypomnienie,

że czas najwyższy do biura jechać. Ale równocześnie uczuł, że niepodobieństwem dlań byłoby iść tam, ślęczyć nad raportami a dławić się przypuszczeniem, że jej może jeszcze nie ma w domu.

Tą wiedziony myślą, Degajew zasiadł przy biurku, pod oknem, nakreślił jednym tchem aryngę, zawiadamiającą zwierzchność o chorobie i kazał odnieść je Wasylowi.

Ordynans wyszedł. Degajew podparł głowę na łokciu i zapatrzył się z rezygnacyą w brudnoszarą płachtę muru na przeciwległej stronie ulicy. Gdy naraz wzrok jego padł na tekę czarną, leżącą tuż, przed nim prawie, — porucznik zatrząsł się — na tece leżał list, noszący lakoniczny nadpis „Wny Degajew“.

Porucznik rozerwał gorączkowo kopertę, – z koperty wypadła mała kartka; Degajew podniósł ją do oczu.

„Do widzenia... ale chyba w Szliselburgu. Wiera“.

IV.

Dwa tygodnie minęło od chwili zniknięcia Wiery, zanim Degajew otrząsnął się z odrętwienia i niemocy, która go opanowała i wspomniał na biuro, ileże to ostatnie już nie na żarty troszczyć się oń zaczynało. Wprawdzie doktór Michalenko bardzo uroczyście stwierdził rozstrój systemu nerwowego i sam nawet zalecił mu długi wypoczynek, Degajew atoli wiedział z doświadczenia, iż orzeczenie lekarza żandarmów może przyjąć zgoła inny wykład w raporcie urzędowym a więc ściągnąć nań nieukontentowanie Mezencewa. Nareszcie Degajew nie dbałby o to nieukontentowanie, gdyby nie okoliczność, że zajmowane stanowisko pozwalało mu spodziewać się, iż wpadnie na ślad Wiery, że, trzymając go w obliczu ruchu nihilistycznego, dawało mu możność wykrycia straconego śladu.

W biurze trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości powitano zjawienie się Degajewa z nieco wymuszoną uprzejmością. Degajew był nadto wytrawnym żandarmem, aby nie odczuć, co znaczą nawiasy kolegów o tem, że nie tylko naczelnik jego bezpośredni, generał Drenteln, dopytywał się o niego ale i sam szef żandarmów, potężny Mezencew, zwrócił uwagę na nieobecność Degajewa. Były to niewątpliwe znamiona niełaski.

Domysł Degajewa był słusznym, bo, gdy stawił się przed Drentelnem, ten ostatni skłonił się z niezwykłem ugrzecznieniem porucznikowi i jął cedzić ze słodkim uśmiechem.

— Ach, Iwan Iwanowicz! Bardzo miło! Jakże zdróweczko?!... Rozstrój nerwowego systemu i ogólne osłabienie!... A może byście jeszcze sobie odpoczęli!... Nie?!... Wam co, — inni zrobią... a wy sobie możecie być, jak urzędnik do szczególnych poruczeń bez szczególnych poruczeń... Dlaczego! Ot, każdy urzędnik ministeryum co i raz cierpi na nerwy... a papiery leżą pod suknem...

— Panie generale, boleję mocno...

— I cóż znowu. Ja owszem, bardzo rad jestem — tylko najpierw musisz pan stawić się do generał-adjutanta... tymczasem pańskie miejsce zajęte... Nie mam dla pana rozkazów...

To przyjęcie skonfundowało Degajewa, gdyż zdawało się zapowiadać dlań jakąś ciężką rozprawę a może i translokacyę. W trzecim oddziale kancelaryi jego cesarskiej mości nie żartowano, nie przebaczano najdrobniejszego uchybienia i usuwano bez pardonu za lada niehumorem... bo nie trudno było o zastępców. Wszak marzeniem każdego oficera żandarmeryi było dostać się do tej elity, przed którą na wsze strony tyle wrót stało otworem do odznaczenia się, wyróżnienia, dźwignięcia. Wszak samo zaliczenie do trzeciego oddziału było już rangą nielada, awansem, przed którym tłum pospolitych „fijołków“ państwa Rosyjskiego chylił czoło. Ba, ileż to starań, ileż protekcyi potrzebował De-

gajew zanim się dostał, zanim, przy zabiegach barona Majdla, zasłużonego komendanta Piotropawłowskiej fortecy, zdobył przebojem miejsce. Miałżeby je utracić i to teraz, gdy ono jedynie zdolne było umożebnić mu odnalezienie Wiery!

Degajew postanowił bronić do upadłego zagrożonego stanowiska. Ani słowem nie poważył się odpowiedzieć Drentelnowi a gdy ten, ujęty potulnością porucznika, odprawił go nieco przychylniej, — Degajew udał się wprost do poczekalni szefa żandarmów i zameldował się dyżurnemu adjutantowi. Adjutant zaciągnął go na listę audyencyonalną i kazał czekać. Ale snać jakimś szczególnym obdarzył go numerem, bo podwakroć zmienili się już czekający a jeszcze Degajewa nie powoływano. Porucznik wytrwał atoli tę próbę cierpliwości i przez kilka godzin stał niby wrosły w ziemię. A nawet, gdy adjutant, pod sam koniec godzin audyencyonalnych, ozwał się doń ze współczuciem:

— O doprawdy, panie Degajew... wszak pan już od rana tutaj — to nieznośne! — Degajew odparł z ukłonem.

— Służba, panie kapitanie!

— Bardzo się to ceni... powiadano mi właśnie o jego służbistości...

— Porucznik Degajew! — rozległ się w tej samej chwili podoficer stojący u drzwi.

Degajew skłonił się adjutantowi i ruszył do gabinetu szefa żandarmów.

Mezencew, na widok Degajewa, zasunął się głębiej w ramiona fotela i mruknął jakieś pytające

„aś". Degajew bez zająknienia wyrzucił służbowe.

— Mam zaszczyt przedstawić się.

Mezencew cmoknął przeciągle, poprawił okularów i zaczął przerzucać od niechcenia jakieś papiery. Degajew stał wyprostowany jak struna.

— A no to i tak! — ozwał się znów szef żandarmów, odkładając na bok papiery. — Byłeś pan chory! Rozstrój nerwowy... psychopatya na tle platonicznem...

Degajew, na ten zwrot niespodziewany, wyprężył się tak mocno, że mu coś w piersiach zachrzęściało.

— Porucznik Degajew bolał nad stratą swej Dulcynei... i, z powodu rozstroju nerwowego, zapomniał, że jest oficerem żandarmów — ciągnął, skandując każdy wyraz, Mezencew. — Ona go porzuciła, on, rażony gromem, zawył jak rozełkany tenor w czwartym akcie opery... i posłał raport o chorobie naczelnikowi...

Mezencew umilkł i wpatrzył się swym stalowym wzrokiem w twarz porucznika. Degajew ani drgnął, rozumiejąc, że w tej strasznej grze jedno mrugnięcie oczu, jeden skurcz twarzy może go zgubić.

Szef żandarmów podniósł się raptownie z fotela, przeszedł się kilka razy po gabinecie i raptem, odwróciwszy się plecami do okna, jął powoli zbliżać się do Degajewa, mając twarz jego w pełni światła.

— Ot, kawaler! Zakochał się w prostytutce, niby

chorąży od huzarów a nosi mundur żandarma!... Tego cię uczyli? Co?

— Nie, panie generale!

— Nie uczyli cię, to dziwne!... Myślałem, że wyjdziesz na człowieka... a tymczasem przekonywuję się, że głupstwa chodzą panu po głowie, że lada gładsza buzia może pana wyprowadzić na manowce, że gotów byś dla niej nawet sprzeniewierzyć się no i pójść tam, gdzie ci tamta dała *rendez-vous!...*

Degajewa dreszcz przeszedł — Mezencew wiedział o wszystkiem...

Szef żandarmów wyczekał chwilę i, raptem zmieniając ton, rozkazał surowo.

— Mów całą prawdę!

Degajewowi w oczach pociemniało. Tu już nie o niełaskę, nie o transolokacyę szło, lecz o życie. Jedno skinienie szefa i Degajew mógł zapaść się w podziemia Szliselburga, zapaść się tam, skąd żandarm nie wychodzi nigdy.

— Mów! — napomniał groźnie Mezencew.

— Ciężko, panie generale... te straszne zarzuty bolą... bardzo bolą...

Mezencew podniósł brwi i wpił oczy w porucznika.

— Mów! Zakochałeś się — co hę?!

— Nie, panie generale... udawałem dla dobra służby...

— Jakto? Co?... Tłumacz się wyraźnie!

— Dla dobra służby, panie generale... Miała znajomości między nihilistami. Chcąc ją oswoić udałem,

że jest poszukiwaną i niby ukryłem ją u siebie. Dała się złapać na wędkę... Dzięki niej wpadłem na trop odeskiego związku... Uwięzienie Żelabowa, zwanego mylordem, słynnego z procesu o obrazę profesora odeskiego uniwersytetu, Bogiszica, relegowanego do Kierczu a kierującego propagandą „południowców" zawdzięczałem jej właśnie. Ona także naprowadziła mnie na ślad bardzo niebezpiecznej agitatorki, żydówki Helfmanówny, która pochwyconą została w Kijowie na skutek zawiadomienia, przesłanego kapitanowi Gejkinowi... Jej również zawdzięczam, iż podejrzanego o propagandę w czernihowskiej gubernii, studenta, Kibalczyca, zdołałem aresztować w chwili, gdy w mieszkaniu jego znajdował się transport zakazanych książek...

Szef żandarmów ani drgnął. Degajew czuł, iż ani jedno z tych kłamstw nie zdołało jeszcze przekonać Mezencewa, lecz, raz rzuciwszy na ostatnią kartę całą swą przyszłość, brnął dalej ze wzrastającą odwagą.

— Była podejrzliwą i upartą. Nigdy u niej nic gniewem ani pogróżkami dobyć nie mogłem. Musiałem strzedz się podjętej roli, aby jej nie spłoszyć. W ostatku doszedłem już do tego, że coraz większego nabierała do mnie zaufania... zaczęto ją odwiedzać... Naprzykład Kibalczyc był u mnie w dzień aresztowania... i przyniósł jej wiadomość o Kwiatkowskim... Podsłuchiwałem w sąsiednim pokoju i ledwie zapanowałem nad wybuchem ukontentowania... sama myśl, iż uda mi się uwięzić tego, który od dwóch lat nie pozwala oka zmrużyć

trzeciemu wydziałowi napełniała mnie szaloną radością... Po aresztowaniu Kibalczyca, już tylko żyłem Kwiatkowskim... W wigilię jej ucieczki wróciłem późno z biura, mieliśmy nocne badanie w Tymczasowym Domu, badanie, które nie podobało się naczelnikowi więzienia, wskutek czego musieliśmy prosić o przeniesienie kilku więźniów do Piotropawłowska. W domu spostrzegłem, iż miała jakieś odwiedziny. Odwiedziny te mnie zaniepokoiły, gdyż, na odchodnem z biura, doręczono mi wiadomość, że na ulicy Mieszczańskiej, do mieszkania Kibalczyca dobijał się jakiś podejrzany człowiek, który zdołał poturbować stróża i rewirowego i uciec. Szczegółów bliższych brakło, ponieważ agenci nasi byli zajęci na drodze najwyższego przejazdu...

Była zamyślona i zdenerwowana, uspokoiłem ją jak mogłem... Poszedłem późno spać, ileże układałem sobie plan rozmowy, która by mnie naprowadziła na Kwiatkowskiego... Obudziłem się późno... Ordynans powiedział mi, że wyszła... Mam ordynansa mało rozgarniętego, już dwa razy prosiłem o zmianę...

— A!? — ozwał się raptem Mezencew. Degajew zatrzymał się z uszanowaniem i dopiero po pauzie mówił dalej.

— Ordynans nic mi nie umiał powiedzieć, nawet nie wiedział, w którą stronę skręciła... Ogarnął mnie niepokój — był czas do biura. Postanowiłem sobie za wszelką cenę nie dać jej się wymknąć, zresztą jeszcze nie byłem pewny... Wysłałem or-

dynansa z wiadomością o chorobie... Na biurku mojem znalazłem list... Ordynans, który przychodzi do mnie o siódmej... nie zauważył go... a przecież sprzątał... Wpadłem w szał. Ubrałem się po cywilnemu i zacząłem obchodzić wszystkie zakamarki Petersburga, codzień budziłem się z myślą, że może tu lub tam trafię na ślad... daremnie. Tak, panie generale, zeszło dwa tygodnie...

Mezencew odchrząknął, wziął znów jakiś poszyt papierów do rąk, przejrzał go i odrzucił.

— Hm — hm!... Osobliwa prostytutka!

— Była studentką w Zürichu... należy sama do sprzyjających... dotąd nigdzie nie notowana. Spostrzegłem ją poraz pierwszy, gdy przynosiła do Domu Tymczasowego posyłki dla politycznych.

— Jak się nazywa?...

— Wiera Tuchołko... nazwisko, zresztą nie pewne!

— A cóż znaczyć miało, według pana, to osobliwe pożegnanie z *rendez-vous* w Szliselburgu?...

— Że poznała się na zasadzce.

— Tak raptownie?!...

— Panie generale, według moich danych, ostrzeżenie mogło ją dosięgnąć przez tego, który wyrwał się na ulicy Mieszczańskiej a z którym stróż wdał się w niepotrzebną rozprawę... Gdy Kibalczyc był u mnie, przypadek zdarzył, iż ja mu otwierałem drzwi... przy aresztowaniu poznał mnie i wymienił moje nazwisko, stróż był obecnym, mógł się wygadać.

Mezencew odwrócił się do okna. Degajew odetchnął.

— Siadaj pan i napisz coś powiedział.

Degajew bez ociągania zasiadł przy stoliku bocznym i jął kreślić szybko wielki raport. Degajew był w tej sztuce mistrzem. Nie darmo tej swej zdolności wypisania się i nizania każdego szczegółu na jedną nić racyi stanu, tak szybko zdobył względnie niezależne stanowisko. Stąd polecenie szefa żandarmów było dlań zapowiedzią zwycięstwa, bo w piórze umiał być tak logicznym, tak bystrym i rafinowanie przebiegłym, że było dlań zabawką nieomal spoić tak mocno opowiedziane szczegóły, iżby wszystko, co mogłoby zaważyć na niekorzyść jego sprawy — stało się dlań atutem.

Gdy Degajew skończył raport, Mezencew, który podczas był zajęty rozpatrywaniem jakichś broszur, skinął nań i rozkazał.

— Zamelduj się pan jutro.

Degajew skłonił się i wyszedł z gabinetu. W poczekalni zagadnął go adjutant, zdradzając ochotę wdania się z pomocnikiem w dłuższą rozmowę, lecz Degajew zdołał jej uniknąć szczęśliwie i wydostać się z biura.

Przejście z Mezencewem wzburzyło Degajewa, rozogniło mu pulsa. Degajew chciał być coprędzej sam w czterech ścianach swoich pokoików, aby wytchnąć, aby zrzucić bodaj na chwilę tę maskę pewności siebie, która mu odrętwiała twarzowe ścięgna.

Ba i zresztą Degajew wiedział, że to jeszcze nie

koniec sprawy, że każde słowo jego raportu będzie rozpatrzonem, a każdy szczegół porównanym i zbadanym, że los jego waży się dopiero, że lada sprzeczność, a szala jego spadnie na dół ze zgrzytem.

Na progu mieszkania powitała Degajewa głupkowata twarz Wasyla. Degajewa zdjęła ochota rzucić się na ordynansa, lecz się pohamował i nawet strzegł zdradzić z niehumorem, gdyż, z drugiej, strony, mógł sobie powinszować, że Wasyl jest tak mało sprytnym szpiegiem.

Dnia następnego Degajew stawił się znów w poczekalni szefa żandarmów. Tym razem zawołano go bez mitręgi. Mezencew mrugnął łaskawie na powitanie Degajewowi i zakonkludował rubasznie.

— Jesteś pan smarkacz, pauper, sztubak — ot co! Tobie po głowie chodzi nowa moda, a tu stara lepsza, niezawodna! Ot — co! Nabechtałeś na swoją rękę, nakręciłeś, a z tego ten skutek był, że ja ciebie wczoraj chciałem wiesz gdzie, posłać... Ot co znaczy nowa moda:

Mezencew odsapnął w tem miejscu i prerował dalej z przejęciem.

— Taką miałeś w ręku więc trzeba ją było do lochu, na łańcuchu, a tam dopiero mogłeś ją sobie głaskać. Nie powiedziałaby? A ja ci mówię, żeby powiedziała. Stary system — poczciwy system. Ot brał byś pan przykład ze swego chrzestnego, barona Majdla, on by ci poradził, gdzie taką połaskotać. Widziałem wczoraj barona mało nie płakał z żalu. Ot, co, mój kawalerze. Starej szkoły się

trzymaj, mikołajewskiej szkoły. Chwyciłeś, to rękawiczki ściągaj, a gołą łapą duś, aby ci się nie wyśliznęło. Ot — co!

Degajew skłonił potulnie głową.

— I zamętu nie będzie i „spasibo“ za służbę rzetelną ci powiedzą... Ej wy, młody naród! Póty chytrzy, aż przechytrzany!.. Pięćset rózeg ot i sposób — uczciwy sposób. No — no! Wiem, wiem, chciałeś dobrze, mierzyłeś do bażanta, a tymczasem przepiórka ci wyfrunęła z pułapki. Nic, pójdziesz do Majdla, do Piotropawłoskiej. Stary ma moc pracy, a Sudejkin ubywa — jedzie do Gejkina, do Kijowa. Będziesz miał czterech podporuczników do pomocy. Możesz się pan odznaczyć, patrz, Sudejkin poszedł szybko w górę, ba i pójdzie jeszcze. Zameldujesz się dzisiaj Majdlowi.

Mezencew skinął przyjaźnie Degajewowi i, nie dawszy mu nawet ochłonąć z wrażenia, odprawił go energicznem targnięciem dzwonka.

Degajew wyszedł z gabinetu oszołomiony, boć translokacya, która go spotykała była nietylko awansem, lecz i wyróżnieniem, boć z podrzędnego stanowiska w trzecim wydziale dźwigała go odrazu na miejsce wybitne zarządzającego więzieniem śledczo-politycznem pierwszej klasy, boć nareszcie Degajew wiedział o ustąpieniu Sudejkina, lecz ani marzył, aby mógł starać się o nominacyę tam, gdzie ubiegało się tylu i starszych rangą i wyższych odeń latami służby kolegów.

Lecz Degajew był nadto przezornym, aby poddawać się rozradowaniu, lub przejmować wynu-

rzeniami przyjaźni, któremi nieomieszkali zasypać go towarzysze pracy z samym Drentelnem na czele. I stąd, odprawiwszy co prędzej ceremonię urzędowego pożegnania się z kancelaryą trzeciego wydziału, ruszył wprost do Majdla, komendanta Piotropawłowskiej fortecy.

Każdego innego z młodych oficerów żandarmskich taka wizyta przejęła by drżeniem, ile że Majdel, jako stary wilk mikołajewski, miał ustaloną reputacyę gbura i gwałtownika a, co ważniejsze, miał swe własne potężne wpływy, wobec których ustępować musiał i sam Mezencew. Majdel w Piotropawłowskiej fortecy był panem absolutnym i tem groźniejszym, że, choć oddawna pomijanym w awansie, przecież nie dosięgłym dla intrygi, która nieraz usiłowała go wysadzić z komendantury. Zresztą już i zaniechano daremnych wysiłków, czynionych niegdyś ku usunięciu Majdla, pogodzono się z myślą, iż musi on tam trwać aż do śmierci, a starano się unikać z nim zatargów, i nawet chętnie przyznawano mu niemałe zasługi. Gdy jednak starszyzna miała łatwy punkt wyjścia, bo powolność dla wybryków i arbitralności komendanta, młodzież oficerska, skazana na zetknięcie się z Majdlem, padała często ofiarą jego bezwzględności.

Degajew ani sobie tem głowy nie zaprzątał. Majdlowi zawdzięczał całą swoją karyerę, a i wychowanie, nazywał go nawet swoim wujem, choć sam nie wiedział, jak do tego przyszło, urzędowo był znów chrześnikiem komendanta a, o czem wiedział doskonale, i faworytem i ulubionym pupilem.

Niegdyś Degajewa ten stosunek opiekuńczy intrygował mocno, tembardziej, że o swem pochodzeniu wiedział tyle zaledwie, iż matka jego była wdową po wachmistrzu żandarmeryi, przygarniętą przez Majdla, w charakterze gospodyni, lecz, powoli, porucznik zżył się z tym znakiem zapytania, rozumiejąc, iż ciekawość zbytnia żadnego pożytku mu nie przyniesie.

Więc nie tylko przedstawienie się Majdlowi, jako swemu bezpośredniemu naczelnikowi, ale i cała translokacya była dla Degajewa powrotem do rodzinnych kątów, do miejsca, gdzie każdy kamień znał, gdzie, jako pacholę, harcował po podwórzach, gdzie z rówieśnikami bawił się w egzekucyę dekabrystów, gdzie, jako młodzieniaszek, marzył o granatowym mundurze z czerwonemi wypustkami.

Zresztą przyjęcie, jakie komendant zgotował swemu faworytowi nie było dla tego ostatniego niespodzianką. Degajew wiedział, że przekleństwa i wymysły są w ustach Majdla zwykłym wstępem do rozmowy z podwładnym. Jakoż porucznik dał wujowi „wygadać się“, a dopiero gdy ten zasapał się i jął recytować swe credo służbowe, a wypominać dawne złote czasy, gdy szefem żandarmów był Aleksy Orłow, a cesarzem Mikołaj Pawłowicz, — Degajew zręcznie podbił mu bębenka, czem odrazu Majdla w świetny humor wprowadził!

— Właśnie tak!.. Widzę, że jeszcze coś w tobie zostało! Patrz — konie zatratowałem wczoraj!... Chcieli cię do Kazania wysłać, a ja do wielkiego księcia Michała. Jego cesarska mość, na szczęście

jest w Petersburgu i Mezencew nie usunął cię i Szuwałow sam ustąpił! Bo u Majdla tak! Nabroiłeś! Nie gadaj! Kochankę sobie wziąłeś z nihilistycznych prostytutek! Ale kto temu winien? — Zły przykład — Drenteln winien. On Mezencewowi buty szyje za plecami, a nowe porządki chce wprowadzać. I stąd ma po więzieniach bunty, głodówki, żądania, skargi i awantury. A u mnie cicho, jak makiem zasiał. Piśnie który to i umilknie... Ciebie za nic mi dać nie chcieli. Rangi, powiadali niemasz!.. Głupstwo, będziesz „pełniącym obowiązki“ na Nowy Rok sztabskapitanem zostaniesz, a przy poczciwej służbie na kapitana skoczysz, byleś mnie słuchał. Masz, Sudejkin szczery człowiek. Ba, a z początku niemało się nasłuchał, ale zgryzł i chodził aż się dusza radowała. Trzy lata pobył, dwie nagrody wziął po trzysta rubli i Stanisława drugiej klasy. Ciężko mi było go puszczać — bo djabli nadali, że, ni stąd ni zowąd, zachciało im się gwałtem Sudejkina, alem ustąpił dla ciebie! Chciałem ci niespodziankę zrobić, a tu masz, wczoraj, łomot, dowiaduję się całej historyi.

— Drenteln, proszę wuja...

Majdel trysnął białkami.

— Bałwan! Szelma! Podlec! — huknął z pasyą komendant. — Mnie chciał dokuczyć! Bóg wie czego nie naplótł o tobie!... Idyotów mi nasyła na śledztwo, którzy mi po tem przedstawienia czynią... Politycznym zachciewa się książek, bielizny, tytuniu, kawioru, marcepanów, frykasów! Ja im pokażę frykasy!... To nie u mnie! Chcą innego ob-

chodzenia, to niech ich sobie zabiorą do Tymczasowego domu! Papier mi przysłali, że Łastoczkin umarł na suchoty! Gwałt o to, że jednego gałgana mniej! Umarł na suchoty! A cóż, mogli go sobie do Nicei wysłać.

Majdel pomstował jeszcze a wyrzekał przez pewien czas, aż uspokoił się i zakończył raźno.

— No, Wania, teraz trzeba byś do Sudejkina poszedł. Niech ci służbę zda. A jutro zrobisz ze mną obchód. Za tydzień zaś sprowadzisz się ze wszystkiem. Nic, — będzie nam dobrze. Tobie, nie wiem, ale co mnie, pusto staremu, lżej widzieć przy sobie kogoś blizkiego. Bo i wiem, że grunt w tobie szczery, rzetelny grunt. Pochodzisz w mojej szkole tydzień, a nabierzesz więcej niżbyś u Drentelna latami włóczył się po rewizyach. A przytem, nie bój się, wreszcie wiem czego młodemu trzeba i na lampartkę czas znajdziesz, ba, i nihilistek tu nie braknie do nawracania. Nicpoń Sudejkin właśnie sobie upatrzył jedną i wiezie ją do Kijowa, niby to na konfrontacyę. Cóż, nie szkodzi. Ale, bo nie wiesz, ubawiłem się serdecznie, gdym się doczytał w raporcie Drentelna, jak dałeś temu tam, na rewizyi, w gębę. Szuwałow sam mi to wskazał — no i bodaj że temu zawdzięczasz głównie nominacyę... No, Wania, uszy do góry! Od jutra stołujesz się u mnie, po naszemu, po dawnemu! Niech tam, urwiszu, — będziesz miał i skarbowe obiady i „stołowe“ pieniądze!

Degajew z uczuciem szczerej wdzięczności podziękował Majdlowi, najsolenniej przyrzekł mu zu-

pełną powolność i powędrował do Sudejkina, lecz że w kancelaryi go nie zastał, przeto udał się na drugi koniec fortecy, pod Sobór, do mieszkania naczelnika „oddziału aresztanckiego", rozglądając się wokół, a witając dobrze mu znane zakamarki. Ale że i w mieszkaniu Sudejkina nie było, przeto Degajew zostawił swój bilet wizytowy i zawrócił powoli ku mostowi, łączącemu fortecę z placem Troickim i dalej, mostem przez Newę, powlókł się ku domowi.

Degajew był rad z tego, iż nie zastał Sudejkina, iż zdołał wyrwać się na chwilę biegowi wypadków a zastanowić się i myśli nieco uporządkować.

Ten raptowny awans, który przed godziną jeszcze przejmował go ukontentowaniem, nagle przestał go cieszyć, przestał nawet zajmować i tyle raptem miał dlań waloru, ile świadczył niezbicie, że dobył go z nielada tarapatów. Ba, nie dalej jak wczoraj, porucznik już mniemał, że za wybrańca fortuny będzie się mógł uważać, gdyby go jedynie spotkała dymisya. Wczoraj widział się już sponiewieranym raz na zawsze, pozbawionym rangi, oddanym pod sąd. Wczoraj gnębiła go niepewność tego, co mu jutro przyniesie, — a dziś ledwie przekonał się, że los mu zgotował świetną niespodziankę, — już ostygł, oprzytomniał, zobojętniał.

Degajew sobie samemu aż zaczął czynić wyrzuty, a trzeźwem rozważaniem rzeczy na właściwą drogę się naprowadzać.

Wiera? No tak, uciekła, porzuciła go, bo i nie kochała nigdy, bo usidlić jeno pragnęła, zużytko-

wać dla celów partyi, bo, nakoniec, drogi ich się rozeszły... Zawód, gorycz, ból — no, ale to mija, goi się, zanika kończy... A potem nowe życie się zaczyna. Tysiąc kobiet znaleźć może i lepszych i piękniejszych. Zresztą życie jest życiem. Zmiana, nowe obowiązki dadzą mu bezwątpienia rozerwanie, pochłoną go, wyrwą głupiemu sentymentalizmowi, uzdrowią. Bo czyż nie hańba byłaby, żeby on, żandarm, oficer, człowiek o zdecydowanie prawomyślnych, uczciwych poglądach wiązał się z taką tam, bo czyż nie jest dlań szczęściem, że poszła sobie odeń dobrowolnie, że już nie potrzebuje słuchać jej wykrętnych, a tak piekielnie rafinowanych wywodów, iż nie sposób ani na nie odpowiedzieć, ani zagłuszyć potem we własnym mózgu szatańskiego echa.

— Nihiliści, rewolucyoniści, męczennicy idei, szaleńcy czy zbrodniarze, buntownicy czy reformatorzy zawsze tylko przestępcy, wyciągający świętokradzką pięść przeciwko prawu, cesarzowi i Bogu. Wolno się nad nimi litować, wolno ich żałować, komu się podoba, ale tępić ich trzeba i na każdym kroku, tego bowiem wymaga racya stanu. Wreszcie nie jego, Degajewa, rzecz wdawać się w rozstrzyganie, dlaczego racya stanu jest taka a nie inna.

Tak, Wiera go wszak truła, Wiera sączyła weń jad zwątpienia... Teraz, bez niej, otrząśnie się, odżyje, wyzbędzie się tych dziwacznych skrupułów, które mu każdą rewizyę, w ostatnich czasach, każdy raport nieznośnym czyniły. A przy tem teraz i rewizyi mieć nie będzie, gdyż, jako naczelnik oddziału

aresztanckiego, będzie tylko biernym wykonawcą rozkazów, nie potrzebującym zaglądać do bastyonu Trubeckiego, kędy zasiada komisya śledcza... On ma swój przekop aleksiejewski i w nim jest panem wszechwładnym, ileże i Majdel nadto wtrącać się doń nie będzie. Niezawodnie i w przekopie aleksiejewskim czasem bywają „sceny“ — ale od czego jest jednooki „Fedia“, są i podporucznicy do wyręki, jest w rezultacie kat Frołow z czeladnikami i prokuratorzy do zeznań. A przytem więzienie fortecy nie może mieć dlań żadnych niespodzianek. Ci, których tam zamykają od tego są, aby ginęli, marli, aby nie zachwaszczali zdrowej myśli społecznej, aby nie kazili swym oddechem powietrza, którem chce oddychać prawdziwy Rosyanin. Wszelka względność w więzieniu jest głupstwem, banialuką. Dość byłoby puścić wodze wywrotowcom, aby ci wtrącili do kaźni tych, którzyby na ich wyobrażenia się nie godzili. Niszczenie żywiołu rewolucyjnego jest nietylko obowiązkiem każdego rozumnego człowieka, lecz i samoobroną tem piękniejszą, że hołdującą najszczytniejszym hasłom miłości Boga i cesarza.

— Wiera! Cha, wszak pragnął ją nawrócić, sprowadzić ze złej, niebezpiecznej drogi rewolucyonizmu i podnieść ku sobie... może nawet ożenić się z czasem. Mniejsza o ten szczegół — chciał jej dobra... podczas gdy ona odpłaciła mu niewdzięcznością, nie oceniła nawet poświęcenia... i poszła niezawodnie za tamtym, za Kwiatkowskim!.. Poszła na poniewierkę, na katorgę, na szubienicę...

— Gdyby mógł ją odszukać! Gdyby mógł ją mieć

w swym ręku tam, w przekopie Aleksieja, złamaną, bezsilną, żebrzącą zmiłowania, wówczas przypomniałby jej... Albo nie, — wówczas odwrócił by się od niej i powiedział... I, to nie! Wówczas?..

W tem miejscu myśli Degajewa z taką logiką rozmotane, zbałwaniły się, spiętrzyły.

Porucznik przystanął i odetchnął ciężko. W dali zarysowała się przed nim narożna kamienica Ozier-nego pereułka.

Degajew przyśpieszył kroku.

Gdy nareszcie stanął przed drzwiami swego mieszkania i jął porać się z otworzeniem zatrzasku, jakaś dorożka zaturkotała z impetem w pobliżu. Degajew nie zwrócił atoli uwagi na dorożkę i, otworzywszy zatrzask, pchnął drzwi.

— Wszak mam przyjemność z porucznikiem Degajewem?

Degajew odwrócił się, a zobaczywszy przed sobą nieznanego mu kapitana żandarmów, machinalnie salutował go.

— Jestem Sudejkin — pośpieszył zarekomendować się przybyły, wyciągając rękę do uścisku.

— Sudejkin? A... Sudejkin — zdziwił się Degajew, nie mogąc zrozumieć na razie tych odwiedzin.

— Wręczono mi przed chwilą pańską kartę, a ponieważ już jutro ruszam w drogę, przeto pilno mi było poznać pana...

— Ach tak! Bardzo obowiązany! — odrzekł pośpiesznie porucznik, odzyskując przytomność umysłu.

— Pan pozwoli dalej!

Degajew wprowadził swego gościa do przedpokoju, pomógł mu się rozebrać i zaprosił do saloniku.

Sudejkin zagaił rozmowę zgrabnym zwrotem o przyjemności, której zaznaje z zawarcia znajomości z porucznikiem, o którym tyle słyszał, o niewątpliwym swym żalu, iż tak miły stosunek rozerwać musi raptowny wyjazd Sudejkina, o przykrości porzucenia Petersburga, a wreszcie, nawiązując rzecz do sprawy zdania Degajewowi obowiązków służbowych, zaczął rozwodzić się szeroko o zacności barona Majdla.

— Dusza, serce, chodząca poczciwość! Trudno wymarzyć sobie lepszego zwierzchnika. I cóż, ja jemu obcy — a wy dopieroż chrześniak. Będzie wam jak w uchu. Życie spokojne. W kazamatach prawie komplet od roku. Czasem zdarzy się wysyłka ale i to coraz rzadziej. W fortecy mamy nieomal wszystkich stałych pensyonarzy. Ośmdziesiąt numerów z górą nawet na konfrontacyę nie chodzi. Raz na miesiąc inspekcya pańska wystarczy. Resztę robi Fedia.

— Znam go wybornie.

— Ale trzeba go widzieć na służbie. „Sławny" dozorca. Z latarką takiego drugiego nie znajdzie. Mając Fedię można spać spokojnie. Słowo honoru, gdyby nie to, że trzeba przejść dla awansu przez Kijów, za nicbym się z fortecą nie rozstał. Panie, toż widział pan domek z ogródkiem! Kocham się w kwiatach! W stolicy mieszkasz a masz wszystkie

rozkosze wiejskiego zacisza. Ach, tych, miłych przytulnych kątów żal mi, żal bardzo.

Kapitan westchnął sentymentalnie.

— A najwięcej ogródka, jedno mnie krzepi, że w dobre dostaje się ręce. Pamiętajcie o nim, Iwanie Iwanowiczu. Lżej mi będzie, gdy odjadę z przeświadczeniem, że o moich różach będziecie mieć staranie.

Degajew pospieszył upewnić Sudejkina, że ogródek będzie najpilniej doglądanym. Kapitan uścisnął serdecznie dłoń porucznika.

— Bóg zapłać. Nie bierzcie za złe dziwactwa, ale ot, natura taka, babska! — Mieszkanie samo bardzo wygodne. Światła i opału, ile chcieć, bo na aresztanckim etacie oszczędności, że ani spotrzebować... Cha-cha!.. Zresztą Fedia tak znakomicie oświecać i ogrzewać potrafi aresztantów, że nic do życzenia.

Sudejkin roześmiał się rubasznie, lecz pomiarkowawszy się, pogładził z godnością swe rzadkie, płowe faworyty i dodał z przekonaniem.

— Żarty na bok. Więzienie nie jest, mojem zdaniem, ani domem poprawczym, ani klasztorem, tylko instytucyą karną, w której nie ma miejsca na pobłażanie. I tembardziej, że wszelkie ustępstwo wywołuje tylko nowe żądanie. Jeżeli pan zezwolisz więźniowi na czytanie książek, za tydzień zacznie ci już dyktować tytuły dzieł, bo te, które mu dałeś, nie przypadają mu do gustu, dasz mu żądane książki, za parę dni chce papieru, piór, kopert, licho wie czego. Po miesiącu stajesz się już

tylko dyrektorem klubu, którego członkowie tem bardziej ci dokuczają im więcej im dogadzasz.

— Niezawodnie — przyznał niepewnie Degajew.

— Poprostu, choć byś rad na coś zezwolić, nie możesz, bo, w ostatku, skandal, zatarg z władzą, raporty i napomnienia. Niby nazywa się oficyalnie, że można i to i tamto — a jak z tego wyniknie chryja, to pierwsze pytanie, a na coś dawał, dlaczegoś pozwolił. Przekonacie się, Iwanie Iwanowiczu! Człowiek sam nie z kamienia. Bywało, z początku zobaczysz trusię wybladłą, smutną, załzawioną, to i żal cię chwycił. Gdzie bo, myślałeś, taki nieborak złego mógł co komu zrobić. A i jeszcze wykształcenie uniwersyteckie i wychowanie i ród piękny! A dopieroż polaczyska, mazurek, mrużyślepek, językomiodek, co to całemu światu dobra chce przysporzyć, byle się samemu we krwi prawosławnej wykąpać — sprobuj takiemu pięć minut spaceru dodać, albo strawy sfolgować... ani się obejrzysz a on, łotr zakamieniały — już ci hycnie do bramy, szyldwacha potarmosi i skandalu narobi na całą fortecę!

Sudejkin perorował jeszcze długo a rozpowiadał, ile to czarnej niewdzięczności tkwi w owczej skórze przeciętnego więźnia politycznego. Degajew słuchał uprzejmie, a choć chwilami zdawało mu się, iż kapitan zgoła śmieszne wygłasza paradoksy, potakiwał.

Sudejkina atoli snać zmęczyła bierność porucznika, bo urwał nagle swe wywody i ozwał się.

— Ale co ja wam, Iwanie Iwanowiczu, głowę tem suszę. Będziecie mieli tego zadość jeszcze. Rozgadałem się miast odrazu wyłuszczyć z czem przybyłem!... Mam prośbę do was...

— Z całą gotowością, czem tylko mogę.

— Wybornie! Idziemy do Pałkina na obiad!..

— Ależ doprawdy...

— Zapóżno! Przyjęte, poruczniku. Niema opozycyi. Do domu was nie proszę, bo rumor, pakowanie, zamęt... lecz nie odmawiajcie mi. U Pałkina nie najgorzej. Zjemy sobie, wypijemy.

Degajewowi nie pomyśli były te zaprosiny, lecz wymówić się było niepodobna.

Zresztą, gdy porucznik wpół godziny później, znalazł się w jasno oświetlonym, wysłanym dywanami, gabinecie restauracyjnym, za stołem, zastawionym najwyszukańszemi zakąskami i przystawkami, jakoś poweselał i nieomal wdzięcznym był Sudejkinowi za zaproszenie.

Kapitan z całą ochotą zabrał się do roli amfitryona, dwa kieliszki wódki przepił w ręce Degajewa, zanim wybrał sobie zakąskę, po trzecim kieliszku, kazał zamrozić szampańskiego, a ledwie po czwartym sięgnął po dzwonko śledzia.

Wódka w oka mgnieniu złamała ostatnie lody między kapitanem i porucznikiem.

— Niema jak Pałkin. Jeden Piter i jeden Pałkin na świecie — wołał rozochocony Sudejkin. — Patrzcie, Iwanie Iwanowiczu, co za sterlet? „Sławna“ restauracya... Człowiek zżył się z tem, zrósł. Ile i w tym gabinecie wyrabiało się nieraz! A co, i wy

także?! To świetne, paradne. A może i w tem samem towarzystwie! Cha-cha! Iwanie Iwanowiczu, dobry z was kolega, serdeczny kompan! W wasze ręce, na powodzenie, na szczęście!

— Za wasze, panie kapitanie, za wasze!

— Daj Boże, daj Boże. Za piecem się siedziało, w cieple, w zaciszu, śród zieleni, kwiatów i znów trzeba ruszać na pełną wodę. A służba ciężka dla naszego brata. Strach, ile zarazy się namnożyło. Południe aż się trzęsie od propagandy. Roboty tyle, że po łokcie zakasuj rękawy!

— Przy talentach pana kapitana i doświadczeniu...

— Uf-uf! Człowiek by rad, możeby i mógł, byle z Kijowa się wydostać, byle tu wrócić coprędzej... Ba, a to rzecz trudna, gdyż, jako pomocnik Gajkina, muszę nie lada czego dokonać, aby się dobyć, okazać samodzielność. Przytem Gajkin jest ciężki i zachłanny... nie lubi dzielić się zasługami. Eh, żeby tak jeden spisek wykryć, jedno, a porządne sprzysiężenie! Co?!

— Ba-ba, panie kapitanie! Lecz pańska energia...

— Nie starczy może na łotrowstwa szelm politycznych! Bo..., bo..., tym kanaljom brak poprostu charakteru, brak kultury! No, chwyciłeś bandę nihilistów, nogi uchodziłeś sobie, życia skróciłeś, masz ich w ręku i co!!? Drukowana bibuła, tajne nauczanie, proklamacye, świstki, rupiecie a, jak co do czego przyjdzie, nawet terroru nie możesz dowieść, nawet myśli o zamachu. Łapserdaki łżą ci dziwy

o swym humanizmie, ogłupiają prokuratorów, naprowadzają ci na kark rozmaitych personatów z perswazyami na temat pobłażania, i, w ostatku, całą twoją krwawicę redukują do nic nie znaczącego śledztwa!

— Karakozow jednakże!

— Właśnie Karakozow — podchwycił żywo Sudejkin — jest najżywszym przykładem. Trzeba było go widzieć co dzień, jak ja go widywałem, trzeba było znać z gruntu sprawę! Błazen i tylko błazen. Myślicie, że tam był spisek, uplanowany zamach?! Gdzietam! Ni stąd ni zowąd strzeliło mu do głowy zabić najjaśniejszego pana... Wziął tedy starą krucicę, poszedł do ogrodu i wypalił na wiwat swej głupocie, a dziesiątkom ludzi na zgubę! Toż cały trzeci oddział odpokutował! I za to, że nie przewidział, że nie odgadł, co w mózgu takiego idyoty zaświtało!...

Znaleziono wszakże wspólników.

— Wspólników? Cha-cha! Pan w to wierzysz! Wyłapano smarkaczy, zabawiających się w czytanie „Zorzy północnej" i „Dzwonu". Masz pan najlepszy dowód, że, na tysiąc uwięzionych, zdołano raptem jednego Karakozowa powiesić! No, bo spisku nie było, a był tylko jeden szaleniec, który sam nie wiedział, co go do świętokradzkiego zamachu skłoniło.

— Mieliśmy wszakże kazański proces z czterema szubienicami.

— Tchy! Mówisz pan o Iwanickim! Sporadyczny przykład, zresztą nędza wyjątkowa, rozprawy z głup-

cami, smykami bez zasad, bez przekonań! Śmieszny połów na te olbrzymie sieci, które z takim gwałtem i hałasem zapuszcza żandarmerya!

Ta definicya stropiła Degajewa. Sudejkin postrzegł konfuzyę kolegi i pospieszył z wyjaśnieniem.

— Wam to się wydaje dziwnem, a przecież mówię to z głębokiego przekonania, z prawdziwego przywiązania ku najmiłościwiej nam panującemu monarsze. Mordujemy się, wyczerpujemy i, w rezultacie, z błędnego koła dobyć się nie możemy.

— Zapozwoleniem, ale sądzę, że, wykrywając tych może niezdecydowanych nihilistów, udaremniamy tem samem wzmożenie się zła.

— Bynajmniej. Nihiliści, jak i wogóle wszelki ruch rewolucyjny, jest wrzodem trawiącym zdrowy organizm państwowy. Wrzodu takiego nie podobna się pozbyć inaczej, jak przez wywołanie ropienia, wszelkie operacye zapobiegawcze nie zdolne są go usunąć, sięgnąć do rdzenia. Jedynym środkiem jest prowokacya! Prowokacya, Iwanie Iwanowiczu, ona odrazu dobywa na wierzch wszystko zło, ona pozwala ze skalpelem w ręku poglądać spokojnie na dojrzewanie sprzysiężenia. Ach, wy jeszcze człowiek młody, przekonacie się, zobaczycie! Słowo honoru, gdybym ja był na miejscu Drentelna, nihiliści sami by mi opowiadali o tem, co się u nich dzieje! Tak, tak! Wam się to zdaje osobliwem! Cóż chcecie, kolego, dusza się rwie do czegoś wyższego nad kontrolowanie małomiasteczkowych łyków i pilno-

wanie, który urzędnik był u spowiedzi, a który nie był!

— Prawda, że to dosyć głupie! — przyświadczył skwapliwie Degajew.

Sudejkin cmoknął przeciągle, dolał porucznikowi wina i zauważył z chichotem.

— Gorącyś, mój poruczniku, boć to znów głupie nie jest... Ale nic, nic. Jestem wam obowiązanym za otwartość, tem ona mi przyjemniejszą, iż postrzegam w was pobratymca idei. Wasze zdrowie. Obyśmy się coprędzej zeszli. Kto wie, kto wie! Bylem ja się dobył, pociągnąłbym was za sobą, bo mi trzeba kogoś zaufanego...

— Kapitanie, doprawdy...

— Nie dziękujcie mi przed czasem. Pan rozumie, u nas trudno o zaufanie... Kochamy się, przyjaźnimy no i szpiegujemy nawzajem — co zresztą jest naszym żandarmskim obowiązkiem. Hm! Ten obyczaj jest nawet bardzo piękny, budujący, ale niekiedy zawadza, bo niekiedy trzeba i dwóch głów i dwóch par ócz... Tymczasem niezupełnie bywa dogodnem w życiu, gdy, naprzykład, pan jutro napiszesz raport o tem, co ja mówiłem, a ja napiszę o tem, co pan mówiłeś...

— Niewątpliwie! — bąknął Degajew.

Sudejkin zawahał się, chwycił wielki haust wina i zaczął dobrodusznie.

— Ale to bagatelka... Byłoby to nieprzyjemnem, gdybym nie miał dość silnego stosunku w zarządzie, gdybym nie był na czas uprzedzonym

o pańskiej denuncyacyi i nie zdążył napisać mojej denuncyacyi... Nieprawdaż?

Porucznik, którego te słowa zaczęły wytrzeźwiać, skłonił się sztywno kapitanowi. Sudejkin parsknął śmiechem.

— Widzisz pan, już pana wzięło. Nie przecz pan. A skutek z tego taki, że, w danym razie, Szuwałow dostaje order Aleksandra z brylantami a różni Sudejkiny, Degajewy liżą łapy. Tymczasem starczyłoby, aby Sudejkin porozumiał się z Degajewem... i ordery trafiłyby wprost do nich. Zdaje się, iż mnie pan rozumie. Powiem więcej... potrzeba mi będzie towarzysza pracy, kolegi, przyjaciela. Nie w tej chwili jeszcze... Przeglądałem pańskie papiery, podobałeś mi się pan bardzo... Pańska przygoda z tą nihilistką jest znakomitą, gdybym był Szuwałowem, a choćby Mezencewem, ozłociłbym cię za samodzielność, za majstersztyk śledczy. Słowo honoru! Tak trzeba. Oficer żandarmów nie powinien być „stupajką“, powinien działać, tworzyć a nie schodzić na łapacza pospolitego. Mówię szczerze, toż samo, słowo w słowo, mówiłem baronowi Majdlowi. Chciałeś wyróżnić się, odznaczyć, zasłużyć, a tu, dla głupiej denuncyacyi ordynansa, niemal nie pogrzebano cię żywcem. Miast pomocy, współdziałania, zachęty, nadewszystko Mezencew raczył okazać ci swój niehumor... Ba, i wczoraj jeszcze, opowiadano o tobie, żeś zgubiony człowiek.

— Do czego pan zmierza, panie kapitanie? — zagadnął porucznik, którego cała ta oracya Sudejkina zaczynała trwożyć.

— Do tego, kochany poruczniku, byś uwierzył, iż masz we mnie przyjaciela i abyś nie odmówił mi swej pomocy, gdy jej będę potrzebował... Mam pewne plany, ambicye, przytem, widzę, że można zrobić wiele... Chciałbym upewnić się, że, w chwili, gdy zdołam osiągnąć wyższe stanowisko, wolno mi będzie liczyć na pana. Nie jest to przedwczesnem, wszak pan wie, że trzeba działać bardzo ostrożnie, aby się zejść... Starczyłoby, aby nas widziano kilka razy razem... Przyjaźń już nie może być tolerowaną między oficerami jednego i tego samego wydziału. A cóż dopiero, gdyby pomówiono nas o coś więcej.

— Na adjutanta pańskiego się piszę odrazu!

— Ręka, Iwanie Iwanowiczu?

— Z całą ochotą!

Sudejkin przepił do Degajewa.

— Wybornie ułożone! Kamień mi spada z serca. Teraz ani słowa o naszem spotkaniu. Jutro pan mnie wizytuje, zamieniamy mnóstwo konwencyonalnych uprzejmości i spotykamy się dopiero za trzy, cztery lata...

Degajewa śmiech pusty zdjął.

— Ależ tak, tak, panie kapitanie, za trzy lata awansuję na pańskiego adjutanta!

Sudejkin zachmurzył się.

— Wydaje się to panu zabawnem, a cała propozycya moja cudaczną!? Hm! A przecież, powinieneś pan uznać, że pierwszy byłem gotów osłonić cię wobec władzy... No, tak... bo, mówiąc między nami, zadurzyłeś się poprostu. I z was dwojga

ona była Judytą a ty Holofernesem, któremu o mało co głowy nie ucięto.

— Ja? ja?! wyjąkał Degajew.

— I bardzo nieostrożnym Holofernesem—bo adoptowanym przez nihilistów na kochanka panny Malinowskiej... Nie przeczę, roiłeś może o pojmaniu Kwiatkowskiego, lecz, wistocie, ostrzegłeś go, bo Kwiatkowski znikł nam z horyzontu i to, przenocowawszy sobie u tego samego nihilisty, który był u ciebie, którego aresztowałeś tej samej nocy, a więc w wigilię zniknięcia twej bohdanki.

Degajew, zaskoczony temi słowami, nie wiedział co odrzec. Sudejkin atoli przyszedł mu sam z pomocą.

— Ale to było, to minęło. Przypadkowo posiadłem pewien dokument — lecz nie zużytkowałem go... dowód oczywisty, że spotkał cię koniec końców, awans. Zyskałem i ja, gdyż w ten sposób posiadłem w tobie, poruczniku, kolegę oddanego... niezawodnego...

— Jest pan w błędzie, dla mnie dobro...

— Doskonale! Za to mogę ręczyć. Rzecz załatwiona. Trafiłeś na człowieka, umiejącego być wyrozumiałym. Zakochałeś się, wpadłeś w matnię i wydobyłeś się. Teraz głowę do góry i basta. Pijże pan, do pioruna! Nie turbuj się — tyle masz rozumu, że z łatwością ocenisz, iż gdybym nie miał ku tobie dobrych intencyj — nie mówiłbym ci podobnych historyj! Nie tłumacz mi. Pozory, ma się rozumieć! O tem tylko pamiętaj, że adjutant Mezencewa, Seliwestrow, był przeciw tobie. Na niego

zważaj, a o mnie myśl, skwitujemy się w przyszłości. Za pomyślność dzisiejszego spotkania!

Sudejkin rozochocił się i jął przepijać natarczywie do Degajewa a żartować z jego osowiałości. Porucznik mocował się z samym sobą, starał okazać, że wszystko, co mu rzekł kapitan, bądź za żart uważa, bądź za zadatek przyjaźni poczytuje, lecz wyrazy raz za razem łamały mu się w krtani, zdania rwały, a oczy unikały lśniącego spojrzenia oczu Sudejkina. Degajewowi zdawało się chwilami, że dość mu brwi podnieść, aby kapitan wyczytał w jego wzroku otchłań nienawiści. A było to położenie tem przykrzejsze dla Degajewa, iż nie umiał samemu sobie wytłumaczyć tego uczucia. Bo, że Sudejkin podpatrzył go, wyszpiegował, czy przypadkowo na ślad trafił, to było rzeczą naturalną, zgodną z wyobrażeniami i zasadami każdego uczciwego żandarma. W tej sprawie raczej tam niegodziwość się zaczynała dla Degajewa, gdzie Sudejkinowi przyszła myśl zaniechania denuncyacyi! Porucznik był tak rozstrojony, że nawet wino nie było w stanie go rozruszać. Degajew pił szampana, jak wodę, aż kapitan pierwszy musiał ustąpić mu z placu.

— Wy sławny kompan, Iwanie Iwanowiczu. Gdzie, wam jeszcze bodaj beczkę wlać a mnie już do kawy pilno... Pozwólcie, zadzwonię!

Kawa jednak snać nie sprowadziła na Sudejkina orzeźwiającego skutku, bo, ledwie jej ustami tknął a likieru pokosztował, kiwnął się na krześle i wpadł w pijacki ferwor.

— Nie, Iwanie Iwanowiczu! Wy ze mną! Wy

z Sudejkinem! On człowiek serdeczny. Ot dzierlatka ugrzęzła wam i dokucza. Wy radzibyście na lewo a ona na prawo. Wiadomo, miłość. Uczepiłeś się takiej baby i zdaje ci się, że ona inna niż tamte — a one wszystkie czubate. Ot, wydobrzejecie, sprobujecie raz na balet, ot i zakochacie się tak, że moje uszanowanie! Nie marszczcie się, ja to rozumię. Ja dla was wszystko, co chcecie, ja wam i tę Malinowskę dobędę i na pensyonarkę do przekopu przyślę. A tam już aby mrugnijcie na Fedię. Fedia potrafi, mnie samego, szelma, ubrał w nihilistkę. Przylepka! Zęby szczerzy, nie ugryzie. Gdybyście ją zobaczyli, Malinowska by wam wywietrzała. A chytre to, a szczwane, a łże, jak z nut. Ona sobie a ja sobie. „Sławna" dziewczynka. Robi, co może, i rzuca się i łasi i dąsa, nie wyfrunie. Siódme nazwisko już mi szczebiocze do protokułu i siódmy raz z całą skruchą i potulnością zaprzysięga się na pradziadka, że mówi rzetelne nazwisko. Cóż, zabawa! Zabieram ją ze sobą do Kijowa, bo mi coś pachnie południem. No i, rozumicie, myślę ją sobie ułaskawić, a potem, co cesarskiego oddam cesarzowi...

Sudejkin zarechotał przeciągle.

— Bardzo słusznie — przytwierdził porucznik, poglądając na zegarek — Późno, panie kapitanie...

— Co tam późno. Wam dokąd pilno? Do czterech kątów? A mnie choć taka sarenka i to nie wabi, gdy jestem z wami. Słowo honoru! Nie widziałem waszej Malinowskiej ale gdzie jej do tej! Upolował ją przypadkiem Papudogło na dworcu

warszawskim. Grek miał szczęście. Jutro wieczorem Fedia mi ją zapakuje do osobnego przedziału, łapacza jej doda i pojedzie rybka na moje nowe gospodarstwo kijowskie.

Sudejkin rozwodził się jeszcze długo nad tem, jak sobie ową piękną nihilistkę przyuczy a jak potrafi z niej upór wypędzić, aż w końcu, ulegając przypomnieniom Degajewa o spóźnionej godzinie, zadzwonił o rachunek.

Porucznik z uczuciem ulgi poglądał na kapitana, rozpatrującego mętnym wzrokiem sążnisty spis spożytych potraw i wypitego alkoholu. Degajew skończył nareszcie sprawdzanie, sięgnął do kieszeni pod mundurem i, wyciągnąwszy pugilares, jął wertować między banknotami. Wreszcie wyciągnął tak szybkim ruchem storublówkę, że oboczeŝnie wyrzucił z pugilaresu małą czworokątną fotografię.

— A! — bąknął półgłosem Sudejkin na widok fotografii — O... patrzcie, właśnie ta przylepka, o której mówiłem!

Porucznik spojrzał na fotografię i zadygotał. Była to fotografia Wiery!

Kapitan, który był się odwrócił do służącego, żeby mu odsunąć storublówkę, nie zauważył wzruszenia porucznika, a gdy, uregulowawszy rachunek, ku Degajewowi się skłonił, ten już zdołał ochłonąć nieco.

— No — jakże? Piękny kąsek? A co?

— Może być — przystojna.

— Uuu! Jakto przystojna? Powiedzcie, śliczna. No, no, darujcie, Iwanie Iwanowiczu, ale macie

nieszczególny gust. Coprawda i fotografia nie tęga, bo mi grymasiła, ale żebyście ją zobaczyli, powiadam wam, że Malinowska by wam ani się śniła.

Degajew zacisnął zęby i jął wdziewać szynel. Sudejkin, choć równie do odejścia się zbierał, nie przestawał jednak zachwalać swej aresztantki.

Porucznik zbywał, jak mógł, kapitana a parł do wyjścia. Sudejkin atoli jeszcze na ulicy, przy wsiadaniu do dorożki, wypomniał Malinowskę, czem Degajewa tak dojął, że ten ozwał się nerwowo.

— Doprawdy, nie pojmuję, co upoważnia pana do tych niezrozumiałych dla mnie napomknień!

Sudejkin pochylił się ku pomocnikowi, tchnął nań wyziewami alkoholu i szepnął zmienionym głosem.

— Nu, bo ja was lubię, Iwanie Iwanowiczu! A co, chcesz ze mną do fortecy? Pokażę Ci moją szczebiotkę! Nie chcesz — szkoda, ot byłaby zabawa.

Gdy dnia następnego zameldowano Sudejkinowi przybycie Degajewa, kapitan ruszył uprzejmie naprzeciw przybyłego i powitał go z wojskową galanteryą ale i z rezerwą, znaczącą silnie, iż poraz pierwszy w życiu spotyka porucznika.

— Bardzo miło! Miałem zaszczyt słyszeć tyle dobrego o panu... Panowie! Oto mój następca a wasz zwierzchnik!...

Degajew bąknął jakiś frazes, uścisnął dłonie przedstawionych mu podporuczników, skłonił się sztywno pisarzom kancelaryi i powlókł się ociężale za Sudejkinem, w głąb zakamarków więziennych.

Kapitan z całem ożywieniem prowadził porucznika, czynił mu honory a pośród kurytarzy ponurych a wilgocią ociekających, śród zgrzytu zardzewiałych zawór a leniwego podźwięku kajdan rozprawiał wesoło, żartował i sadził konceptami, które gromadka, idących za Degajewem, podporuczników przyjmowała tłumionym rechotem.

Degajew milczał, ledwie czasami zdobywając się na monosylabowe odpowiedzi. Sudejkin atoli był tak przejętym swą rolą, tak rozbawionym, że go milczenie porucznika nie raziło. Zresztą przestanki, które czynił Sudejkin, wypełniał chichot podporuczników, a gdy brakło chichotu, starczyło zawsze odgłosów, dobywających się z cel więziennych.

Dobry humor nie opuścił nawet wówczas Sudejkina, gdy na gromadkę oficerów wionął zaduch podziemnego kurytarza, gdy więzienie buchnęło grobem kaźni.

— Tu jest nasza piwniczka! Hodowla hyacentów, sala operacyjna Fedi, w której funkcyę lejb chirurga i dyagnosty pełni pan Frołow... Na lewo, okienko na Newę...

Degajew podniósł chustkę do nosa. Sudejkin zauważył ten ruch i objaśnił.

— A no „parasze“ robią, co mogą ale na wentylacyę niema ratunku!... Tędy, na dół, idzie się na kurytarz „krnąbrnych“... toż samo prawie, z tą różnicą, iż brak materaców sprężynowych i kilka stopni temperatury mniej... Może kolega życzy sobie zobaczyć...

— Dziękuję... skoro... nic...

— W takim razie pozostają nam niezdecydowani...

Gdy po całogodzinnem blisko kluczeniu śród kurytarzy więziennych i zabudowań gospodarskich, Degajew znalazł się znów w kancelaryi — Sudejkin zaprowadził go do zacisznego gabinetu, usadowił na fotelu, za biurkiem, i zakończył raźno.

— No, Iwanie Iwanowiczu, teraz wy tu pan! Pozwólcie dłoń waszą uścisnąć i życzyć wam powodzenia... Ale wyście czegoś dzisiaj nie swoi!... Rozumiem! Nie wypominajcie złem. Mnie samego po wczorajszem głowa bolała całe rano, lecz ja klin klinem. Koniaku trzy kieliszki i dzwonko śledzia! Powiadam wam, jak ręką odjął. Choć to i dobrze, zauważyłem, iż wasza małomówność zrobiła wrażenie... boją się was. A tego trzeba, trzeba koniecznie. Ja z nimi wszystkimi byłem za koleżeńskim. Wy ich krótko, od razu. Im lepiej będziecie z podwładnymi, tem więcej napiszą na was denuncyacyj. Wszystkiego najlepszego!... Dziś właściwie dzień przyjęć, bo to czwartek... lecz was to nie obowiązuje. Objęliście tylko co służbę, możecie odprawić interesantów, zresztą, wasza wola. Dziś, na noc, ruszam do Kijowa, rzeczy moje odejdą jutro — mieszkanie wolne! Ale, nie zapomnijcie o różach. Za tydzień najdalej trzeba je okryć, bo ranki już zimne. Ach, jeszcze drobiazg — pozwólcie Fedi, dziś wieczór, na kolej. Ma sprowadzić mi na dworzec tę cyrankę i agentowi oddać. Nie potrzeba nawet karetki. Poprostu wsadzi ją do dorożki... Wam radzę pójść do domu i przespać się. Nie

brońcie się — widać zmęczenie po was!... No — do widzenia!... Do najprędszego... Układ między nami trwa!

Sudejkin uścisnął dłoń Degajewa i wyszedł. Porucznik stał przez chwilę, mierząc ponurem spojrzeniem drzwi, za któremi zniknął kapitan, aż stęknął i osunął się na fotel za biurkiem.

Był więc naczelnikiem więzienia i to więzienia politycznego, więzienia najpotężniejszego, choć kryjącego się skromnie pod nikłą, mglistą nazwą „aresztanckiego oddziału“, więzienia, wobec którego nawet Szliselburg był lichą klatką. Dźwignął się i to dźwignął szybko, przerósł odrazu wszystkich rówieśników, wyszedł na personata. Jest sobie samemu panem, ma przed sobą rozwarte naścieżaj wrota do karyery, do zasług, do odznaczenia się... jest naczelnikiem więzienia... w którem szamocze się Wiera.

Degajew otarł zimny pot z czoła, rozpiął kołnierz mundura i odetchnął głęboko. Po raz setny od wczorajszego wieczoru szukał odpowiedzi na, cisnące mu się do głowy, pytania, po raz setny widział się być wtrąconym w jakąś otchłań matni, w której każdy błysk myśli wiódł go na większą udrękę, mocniej zaciskał okrutne pęta, zajadlej ssał mu krew z mózgu.

Cóż bo znaczyć mogła ta przemowa Sudejkina, co te półsłówka, i nieomal pogróżki? Czy Sudejkin istotnie krył jakieś plany ambitne, czy wprost, posiadłszy tajemnicę Degajewa, miał zamiar zrobić sobie zeń niewolnika, narzędzie, które, gdy stanie się bezużytecznem, niedogodnem, złamie jednem

skinieniem! A jeżeli Sudejkin, mając w ręku Malinowskę, zdoła jeszcze dobyć z niej zeznanie, zdoła wymódz na niej nie tylko to, co było, ale i to, coby mogło być potrzebnem kapitanowi? Bo czyż istotnie tak szczwany lis żandarmski, jak Sudejkin, nie wie, kogo ma w ręku. Tem niepodobna się łudzić. Sam wszak przyznał się, że czytał zeznania Degajewa. Co najwyżej, Sudejkin nie jest pewnym — lecz jedna konfrontacya mu wystarczy, a wówczas Wiera ze szpon jego się nie dobędzie i, prędzej czy później, pogrzebie siebie a Degajewa wyda na łaskę i niełaskę Sudejkinowi.

Porucznik targnął się na fotelu i powiódł rozgorączkowanym wzrokiem po kancelaryi, jakby szukając sposobu dobycia się z matni.

W tejże samej chwili we drzwiach ukazał się starszy pisarz forteczny.

— Pilne papiery, panie naczelniku, z czernichowskiego zarządu — zaraportował przybyły, kładąc na biurko przed Degajewem szarą, wyładowaną mocno kopertę.

Porucznik rozdarł ociężale kopertę, wyciągnął plikę papierów i już miał skinąć na pisarza, aby go odprawić, gdy z papierów wychyliło się ku niemu nazwisko „Kibalczyc".

Degajew zaczął przerzucać gorączkowo papiery.

— Czy pan naczelnik będzie miał, co do rozkazania?

— Właściwie, — nic ważnego... raport o śledztwie bez rezultatu... Kto ma sprawę Kibalczyca?

— Zaraz sprawdzę w skorowidzu.

Pisarz oddalił się do sąsiedniego pokoju, zaczem wrócił i rzekł:

— Dotąd Kibalczyc nie ma referenta... ma numer dwieście piętnasty, czeka na swoją kolej...

Degajew szarpnął papierami i zakonkludował.

— Hm, w takim razie, każ pan numer dwieście piętnasty wprowadzić do sukiennego pokoju, — muszę mu zadać kilka pytań — bo z tych papierów wygląda coś zanadto na niewiniątko! Syn popa, jakiś archimandryta wstawia się za nim!... Trzeba mu natychmiast do rozumu przemówić...

Pisarz mrugnął domyślnie małymi, zaropiałymi oczkami.

— Czy mam zawołać i Fedię?

— No, nie... chociaż, niech będzie w pobliżu na wypadek. A pośpiesz się pan, bo nie mam czasu! Pisarz skłonił się i wysunął z kancelaryi. Degajew sięgnął po papierośnicę, zapalił nerwowo papierosa i rozpatrywał dalej papiery a raczej z nudnej, rozwlekłej aryngi raportowo-śledczej wyławiał co najważniejsze szczegóły. Po kilku minutach badania, porucznik uśmiechnął się z zadowoleniem — raport był takim, jakim go pragnął mieć dla powziętego raptem planu.

Degajew odrzucił papierosa, zgarnął papiery i, przybrawszy sztywno urzędową minę, wyszedł z kancelaryi ku kurytarzom więziennym. Po drodze służbowy podporucznik zagadnął Degajewa konfidencyonalnie, czy nie trzeba mu protokulisty do sukiennego pokoju. Degajew zachmurzył się i odparł cierpko.

— Nie, Fedia, w razie czego, wystarczy.

Odpowiedź nowomianowanego naczelnika tak zaimponowała podporucznikowi, że przyznał z przekonaniem.

— Istotnie, poruczniku, starczy panu!

Degajew wyprostował się, jak struna.

— Cóż to za uwagi! Milczeć, nie rezonować! Ja dla pana nie jestem żadnym porucznikiem! Po skończeniu służby, pójdziesz pan do komendanta i poprosisz, żeby cię skazał na trzy dni aresztu domowego!

Zanim echo kurytarza więziennego zdołało obwieścić kazamatom Piotropawłowskiej fortecy ten pierwszy występ nowomianowanego naczelnika, Degajew już wspiął się na boczne schody i podążył do znanego mu dobrze sukiennego pokoju, pokoju a raczej niskiej czworokątnej izby, o trzech podłużnych, zakratowanych oknach. Izba ta, mająca za całe umeblowanie stół, krzesło i szeroką ławę, przymocowaną żelaznemi sztabami do podłogi, usprawiedliwiała swą nazwę nie tylko tem, że była wyścieloną całkowicie wojłokiem, lecz i tem, że była od góry do dołu tak starannie wypikowaną suknem, iż raczej bardziej odpowiadała, nadawanej jej przez barona Majdla, nazwie bombonierki.

U wejścia do sukiennego pokoju stał wachmistrz żandarmów. Degajew skinął mu przyjaźnie.

— Jak się masz, Fedia!

— Zdrowia życzę waszej wielmożności.

— Gdzie aresztant?

— W poczekalni! Czy mu dać bransoletki?...

— Nie trzeba! Chociaż lepiej mu je włóż!

— Według rozkazu. Czy mam co jeszcze przygotować...

Degajew odwrócił nieco głowę, jakby chcąc uniknąć lśniącego a mieniącego spojrzenia jednookiego Fedi.

— Cóż, przygotuj, czasem nie wiadomo.

Wachmistrz salutował i zawrócił w boczne rozgałęzienie kurytarza, Degajew wszedł do sukiennego pokoju, zasiadł za stołem i zaczął rozkładać przyniesione papiery. Zanim je porucznik zdążył przerzucić, drzwi boczne, pod piecem, skrzypnęły zlekka.

— Naprzód — mruknął chrapliwy głos Fedi a tuż po nim rozległ się, przytłumiony wojłokiem, odgłos kroków i skrzyp zamykanych drzwi.

Degajew pochylił mocniej głowę nad papierami, jakby nie postrzegając, że tuż, przed nim, o dwa kroki stał młody student w wyszarzałej kurtce, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z kiściami, zaciśniętemi kurczowo na kajdankach.

Upłynęła tak długa chwila, chwila snać i porucznikowi nie miła, bo, gdy podniósł głowę ku studentowi, twarz Degajewa okryła się czerwonemi plamami.

— Pan Kibalczyc? — wykrztusił niepewnie porucznik.

Studentowi, na widok twarzy Degajewa, oczy zaiskrzyły się, ręce odruchowo targnęły kajdankami.

Degajew pochylił głowę.

— Panie Kibalczyc, pomówmy spokojnie... uniosłem się, żałuję, serdecznie żałuję...

Za całą odpowiedź rozległ się w sukiennym pokoju jakiś gardlany chrobot.

Porucznik wyczekał i ozwał się pojednawczo.

— Stało się, głupstwo się stało... jak dalece żałuję, niechże panu posłuży za dowód cel, dla którego tu pana wezwałem... Chcę pana uwolnić... Mam w ręku pańskie papiery — gotów jestem uwierzyć w pańską niewinność. No tak, ta denuncyacya, która zarzuca panu propagandę rewolucyjną śród ludu, nie ma sensu... śledztwo wykryło raptem jedną i cenzuralną zupełnie książkę... Cała wina pańska to te broszury, znalezione u ciebie, lecz i to głupstwo. Dziś pójdzie raport do prokuratora i za tydzień, przy najgorszych warunkach, skażą cię na kilka dni odwachu... a może i uwolnią, gdy trwać będziesz przy tem, że książki te zostawił u ciebie Kwiatkowski, którego znałeś, jako kolegę szkolnego, a którego przekonań nie podzielałeś, ani o którym nic zgoła powiedzieć nie umiesz... Zresztą, daję panu słowo honoru, że będziesz wolnym! — Wzamian proszę pana, abyś wyświadczył przysługę, nie mnie, lecz osobie ci sympatycznej...

Student milczał. Degajew wyczekał i ciągnął dalej, zniżając głos.

— Jesteśmy sami, nikt nas nie słyszy, ten pokój jest umyślnie tak zaopatrzony, żeby nawet najprzeraźliwszy jęk nie zdołał się poza te ściany przedostać. Zwracam na to pańską uwagę, żebyś nie przypuszczał, że słowa moje kryją śledczą pułapkę... Otóż, panna Malinowska jest uwięzioną...

Kibalczyc drgnął.

— Dziś ma być wysłaną do Kijowa, dotąd zdołała ukryć swe prawdziwe nazwisko... W Kijowie, pierwsza lepsza konfrontacya może ją zgubić, pogrzebać żywcem... Jedyny ratunek — ułatwić jej ucieczkę, ja jestem bezsilnym! Wskaż mi pan kogokolwiek z przyjaciół panny Malinowskiej, ze swoich wreszcie, na których możnaby liczyć, dam im znać natychmiast, dostarczę wszystkich szczegółów. Chwili nie ma do stracenia. Oto wszystko, czego żądam od pana.

Student poglądał z osłupieniem na porucznika a oddychał ciężko.

— Panie Kibalczyc, zastanów się, zanim odpowiesz, idzie tu i o twoje własne dobro i o zadośćuczynienie pewnym obowiązkom, które mam dla panny Malinowskiej. Jeżeli nie dbasz o samego siebie, miej wzgląd na nią... Jutro może być zapóźno. Nie potrzebuję zapewniać, że osoby, wskazane przez pana, pozostaną raz na zawsze dla mnie obcemi.

— Nie znam nikogo, nie znam panny Malinowskiej! — wybuchnął Kibalczyc.

— Panie, rozwagi, zimnej krwi — niech się pan nie unosi, mówię szczerą prawdę, chcę dobyć pannę Malinowskę z więzienia, no a do tego potrzebna mi jest pomoc, którego z energiczniejszych towarzyszów. Niech pan nie przypuszcza nawet podejścia, jesteśmy sami, zupełnie sami. Widzisz pan, o żadnym protokule nawet nie myślę. Zresztą osobie, wskazanej mi przez pana, będę mógł odrazu dowieść uczciwości mych zamiarów. Wyświadczysz

mi tem dobrodziejstwo, największą łaskę. Nakoniec, nie idzie mi o niczyje nazwisko, powiedz, gdzie mam szukać kogo, jak mam znaleźć, nazwisko mi nawet nie potrzebne! W ostateczności, niech to będzie tylko taki, który w dalszym ciągu użytek zrobi z moich informacyj.

Kibalczyc roześmiał się nerwowo. Degajew zafrasował się.

— Doprawdy, nie uwierzy pan, ile bym dał za to, gdybyś pan na sekundę bodaj przestał mnie podejrzewać, pomawiać o podstęp. Lecz przecież słowa moje powinny pana przekonać...

— I przekonały! — Jesteś pan skończonym łotrem!

Porucznik porwał się z za stoła, płomienie gniewu trysnęły mu z oczu, lecz się pohamował.

— Jest pan zdenerwowanym, panie Kibalczyc, — przebaczam panu tę obelgę — i raz jeszcze odwołuję się do pańskiego rozsądku. Jesteś pan w mojej mocy, starczy jednego słowa, abyś lata całe zmarnował w kazamatach, abyś raz na zawsze był straconym dla nauki, abyś raz na zawsze był tylko zwierzyną, tropioną przez tajnych agentów, tylko wykolejeńcem, żebrakiem prawie.

— Jestem niewinnym!

— Nie przeczę, dowiedziesz pan tego z łatwością, o ile ja mieć będę ku temu dobrą wolę, o ile, uważając się za pańskiego dłużnika, zatroszczę się, aby akta pańskiej sprawy nie rozpoczęły podróży po Rosyi, aby nie butwiały gdzie w kącie mojej kancelaryi.

Student wpił z bezsilną pasyą oczy w kajdanki,

okalające mu ręce i milczał. Degajew, rozumiejąc, iż zdołał zwalczyć pierwszy upór Kibalczyca, tem goręcej jął go przekonywać, tem energiczniej dowodzić uczciwości swych zamiarów. Student, choć wciąż milczał ale snać uspokoił się, ochłonął, bo pewniej, jaśniej poglądał i jakby ważył słowa porucznika. Degajew więc po ostatnie sięgnął argumenty.

— Widzi pan, w tem wszystkiem, co panu proponuję, nie ma żadnego cienia, żadnego „ale". Ba, i o tem chyba wiedzieć musisz, że, gdyby mi szło o wydobycie zeznań, uciekłbym się do innych środków, może nieco średniowiecznych, lecz często niezawodnych, zwłaszcza, gdy kto, jak pan, ma usposobienie wrażliwe a muskuły nie dość zahartowane. Nie nalegam wcale, abyś mi pan koniecznie miał dać adres kogoś w rodzaju Kwiatkowskiego! Macie wszak w partyi dziesiątki pośredników! — No, panie Kibalczyc, nie ociągaj się pan! Nie patrz się pan z taką złością na te łańcuchy, — niestety, musiałem je kazać panu włożyć dla zachowania pozorów. Za godzinę, będziesz pan już w wygodnym pokoju, każę panu dać książki, stół do pisania, będziesz pan miał życie z oficerskiej kuchni a za dwa tygodnie zapomnisz, żeś był w Piotropawłowsku. Dalibóg, każdy inny na twojem miejscu by się zdecydował, bo i, do licha, o kogóż tu idzie, co panu do tej Malinowskiej! Przypuść nawet sobie, że cię okłamuję, więc co masz do stracenia? Co może naprawdę ważyć dla waszych nihilistycznych dążeń taka Malinowska! Nie rób że pan kwestyi stanu z lada dziewczyny!...

Kibalczyc na to zakończenie podniósł głowę.

— Chcesz pan, abym ci odpowiedział!

— Proszę! Byle z zastanowieniem... byle z rozwagą...

— Tak — z największą! — wykrzyknął student i plunął porucznikowi w twarz.

Degajew zatoczył się jak pijany. Kibalczycowi zdawało się, że porucznik chce się rzucić na niego i cofnął się instynktownie w głąb izby. Degajew atoli skoczył ku drzwiom, rozwarł je i krzyknął.

— Fedia!

Na to zawołanie do izby wszedł wachmistrz żandarmów.

— Bij w mordę! — rozkazał Degajew.

Fedia bez namysłu wyciął Kibalczycowi wściekły policzek.

— Bij, szelmę, nihilistę!

W okamgnieniu student leżał na ziemi skrwawiony, zalany krwią.

V.

Po rozprawie z Kibalczycem, Degajew powrócił do kancelaryi wzburzony, zły na samego siebie, że dał się unieść fantazyi i zmitrężył tyle czasu na pertraktacyach z takim błaznem, że wogóle, miast wdawać się w układy, nie rozpoczął od Fedi. Zresztą porucznik nie darmo skończył z odznaczeniem kursa oficera żandarmów, aby, w danym razie, czemś więcej się irytować nad to, iż nie osiągnął zamierzenia, iż niepochwycił potrzebnej mu nici. Jużci obelga, pochodząca od więźnia politycznego, nie mogła go dosięgnąć, mogłaby była conajwyżej przyczynić mu zasługi, gdyby miała świadków. No a tam Fedia potrafi tymczasem oddać z lichwą!

Degajew sięgnął ręką do policzka i musnął się po twarzy, jakby chcąc zetrzeć resztę plwociny.

— I być tu ludzkim, być wyrozumiałym. Majdel ma świętą racyę — knut i postronek!... żeby nie Sudejkin, żeby nie ta jego łajdacka przebiegłość... on, Degajew, mógłby już ani myśleć o niej... o Wierze... mógłby tak się postawić, że gdyby kiedykolwiek jej samej przyszła ochota oskarżyć go, — to niczego by nie dokazała! A tak, śmieszna rzecz, on, naczelnik oddziału aresztanckiego Piotropawłowskiej fortecy, przemyśliwać musi nad tem, jak ułatwić ucieczkę nihilistce!

Do kancelaryi wsunął się cicho Fedia. Porucznik przystanął.

— Cóż?

— W „chłodnej“ odtajał, proszę waszej wielmożności.

— I dobrze! A ty, stary, pilnuj się u mnie! Żadnego mazgajstwa...

— Uważam, na trzecim kurytarzu o książki wołają... służbowy podporucznik kazali zaraportować...

— Nie ma raportu!... Książek im się zachciewa, bo mają za widno! Ty im w oczy zajrzyj! Ot co! Wachmistrz mrugnął powieką obwisłą nad ślepem okiem i odparł raźno.

— Według rozkazu!

— Ruszaj z Bogiem! — A, czego jeszcze?...

— Wasza wielmożność, kapitan Sudejkin kazali jedną aresztantkę dziś na dworzec warszawski...

— Cóż — bardzo dobrze! Papier podpisany. Ale, jakże myślisz,.. trzeba ze dwóch żołnierzy i karetkę?

— Pan kapitan powiadał, żeby nieznacznie przywieść a tam już deńszczyk kapitana, tęgi chłop...

— Hm! Zrób, jak ci kazał kapitan, ale czy tylko dasz sobie rady z nią, może ci się wyrwać...

— Nie poradzi, proszę waszej wielmożności... kurczę takie, na izwoszczyka zasadzę i pod pazuchą dowiozę.

— Pewnie, pewnie! Jabym wolał inaczej, lecz, skoro ci kapitan kazał!... I o którejż to godzinie?

— Na dworcu mam być na dziewiątą, trzeba mi stąd o ósmej...

— Cóż — dobrze! Ja tu nie mam nic do powiedzenia. — Ale, mój stary, tylko mi czuwaj, dozorców pilnuj, posługaczów pilnuj a gładź gałganów.

Wachmistrz pokraśniał z ukontentowania. Degajew wpadł w ferwor.

— U mnie niema skarg, niema żądań. Dostaje każdy to, na co zasłużył i koniec. A upomina się, no, tedy od tego jesteś, abyś go uspokoił. Znasz mnie, stary, od dziecka, i ja do ciebie mam zaufanie...

Fedia łypnął z rozczuleniem zdrowem okiem.

— Wasza wielmożność... ja nieba rad...

— Wiem, wiem! Medal złoty już ci wychodzi i piąty szewron, niezapomnę, nogi za tobą uchodzę, byle mi w kazamatach było cicho! — Zęby szczerzy który no, to mu policz, czy nie ma za wiele, ot i szczerzyć nie będzie!

— I z Bogiem, z Bogiem cię pozdrawiam! — rozległ się nagle głos barona Majdla, który niepostrzeżenie wszedł do kancelaryi.

Degajew wyprężył się i odpowiedział służbowem powitaniem. Majdel skinął na Fedię, aby sobie poszedł a gdy ten zniknął za drzwiami ujął Degajewa w ramiona.

— Nu i Wania! Sławno, sławno! Ot i dusza się raduje. „Podciągnąłeś“ tego smyka, podporucznika! Tak, właśnie! Ty ich za łeb bierz, nie pytaj... Wyborny początek. Nie ma jak odrazu się postawić!

Porucznik starał się okazać, że zasłużenie sobie na takie pochwały sprawia mu niezmierną radość, choć równocześnie dokuczała mu myśl, iż Majdel musi

mieć nie lada szpiegów w fortecy, jeżeli tak błyskawicznie jest o wszystkiem powiadomiony.

Stary komendant odgadł snać myśl porucznika, bo zakonkludował rubasznie.

— Wiem, wiem o wszystkiem! Cóż chcesz, mój chłopcze, stary nawyk i dobry nawyk, a co w tym razie serdeczny, boć o ciebie chodzi. Ale ja tu, jak po ogień! Masz tu, niby cegła z dachu, „bumaga" tajna, sekretna, pilna... z najwyższym rozkazem... o co, o nihilistkę! Ej, Wania, Wania, gorzko, ciężko! Ty ręce sobie po łokcie urabiasz a tam jakiś personat liberalizuje, do „batiuszki" gosudara trafi, no i masz, rozkaz gabinetowy, uwolnienie...

Degajew spojrzał na podany mu przez barona papier.

— A, Perowska!

— No tak, hańba rodziny, wyrodna córka biednego Lwa Lwowicza! Patrz, toż on sam, rodzony ojciec, płakał przedemną a prosił — wy ją jakniebądź zagałuszcie, mówi, niech taka zaraza światu nie ogląda, niech zgnije byle coprędzej... I masz... uwolniona z prawem wyjazdu na Krym dla poratowania zdrowia!...

— Więc uwolnić ją?

— A no rozkaz!... Nieboszczyk książę Orłow w grobie się chyba przewrócił... Mnie samemu z początku zdawało się, żem zwaryował. Lejbczerkies do mnie! Z czem? Z uwolnieniem nihilistki! Tfy! Toż by ją odrazu frejliną zrobili. Nic, nic, posłużysz tu a zrozumiesz... a żółć nieraz cię zaleje. Cesarz nasz miłościwy, ani wie czasem, skąd wiatr

zawieje... Katarzyna Michajłowna oczkiem myrdnie i ot, kajdaniarz, nihilista najczarniejszy chodzi sobie po świecie!

Komendant przeszedł się po kancelaryi, zaczem przystanął i rzucił z wybuchem.

— A wiesz ty, kto nam ciągle uwolnienia nasyła, kto nam ciągle te humanitarne przepisy sztukuje?!... Konstanty Mikołajewicz!

— Wielki Książę?

Majdel obejrzał się po za siebie, jakby chcąc sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje i dodał.

— No i razem z synem. Dziwisz się? Posiedzisz tutaj a przestaniesz się dziwić. Wam, młodym oficerkom z trzeciego oddziału, zdaje się, że co wiecie! A wy nic nie wiecie. Drenteln taki sam bałwan, jak Mezencew. Wiesz kto jeden na żandarma prawdziwego wyjść może, kto czuje? Sudejkin! Phi! Ja o tem coś wiem. Ale trzeba, aby się dobył na wierzch — inaczej będzie kisł tak na generał-majorstwie, jak ja, i poglądał na karyerowiczów, mazurków, jak ci czyny i ordery z przed nosa zabierają! No, daj mi papierosa!

Majdel zapalił papierosa, puścił kłęb dymu i zarechotał.

— Aha, cha, patrzysz na mnie, jak na waryata. Myślisz sobie, grzyb dziecinnieje na starość. Komu innemu bym nie powiedział — lecz cóż, ciebie jednego mam, weźmiesz po mnie wszystko, co mam, weź że i to, o czem wiem a co mnie dławi... Tylko nie radzę ci, abyś kiedy o tem bodaj jednym palcem kiwnął... A jak ci kiedy wpadnie w ucho

nazwisko „mamzel“ czy „mis“ Fanny Blakfort, no to zatykaj, kochasiu, uszy i leć, gdzie pieprz rośnie...

— Książę Mikołaj Konstantynowicz?...

— Ooo! To prawie toż samo. No, a syn taki sam, jak i ojciec. — a ojciec toż samo co Katarzyna Michajłówna...

— Księżna Dołgorukow?

— Zgadłeś, a czego chce księżna, tego podobno chce i cesarz...

Majdel westchnął i wskazał głową na rozkaz gabinetowy.

— To właśnie taż sama kuchnia! I wiesz, jaki dla nas rezultat, że taka prostytutka nihilistyczna, wypuszczona z więzienia, zacznie nas obszczekiwać, rozgadywać dziwy po świecie, no i sprowadzi nam na głowę komisyę: trzech senatorów a w tem ośmiu bałwanów. Komisya zapisze belę papieru i dopiero się poraj, aby nią napalili w piecu, lecz, co ci zatrują zdrowia, tego nikt ci nie wróci.

— Cha, proszę wuja, skoro im taki ład dogadza...

Majdel machnął ręką.

— Et, nie rozumiesz! Dogadza, obłudnikom, fałszywcom ale nie prawosławnym ludziom. Na te sprawki trzeba Mikołaja Pawłowicza, to ci była konstytucya. Wiedziałeś, dokąd idziesz i komu służysz. Ale o tem potem, wiek byś przegadał. Zajmij się tym i niech idzie na cztery wiatry. Tylko pamiętaj sobie ani pary z ust... mógłbyś skręcić kark raz na zawsze. No, a kiedy myślisz się przeprowadzić?

— Może jutro...

— Im prędzej tem lepiej. Czekaj no, masz podłego ordynansa, zmienię ci go, jeżeli chcesz, mam tu sprytnego chłopaka w komendzie...

Porucznikowi błysnęła myśl, że jednakże głupi Wasyl jest pewniejszym od wyrafinowanego szczura fortecznego.

— Skoro wuj sobie tego życzy koniecznie.

Majdel pociągnął Degajewa za ucho.

— Wania, Wania — ja z tobą po ojcowsku a ty mi po żandarmsku! Ja tobie bańki z ordynansa przystawiać nie potrzebuję — bo ja tu i tak wiem, jak trawa rośnie! Rób, co chcesz z ordynansem.

Po oddaleniu się Majdla, Degajew przywołał pisarza i zabrał się do wykonania rozkazu uwolnienia Perowskiej. Była to dosyć nudna i pełna formalistyki operacya, tem kłopotliwsza dla porucznika, jako dla jeszcze nieobznajmionego z „buchalteryą“ forteczną. Pisarz jednakże był zaprawionym, przytem wszelkich starań dokładał, aby Degajewowi dopomódz do wybrnięcia z całej pliki raportów. Po półtoragodzinnej robocie, gdy cały szereg różnorodnych szematów został wygotowany, gdy wszyscy, począwszy od zarządzającego kuchnią więzienną, aż do naczelnika miasta Petersburga, gubernatorów i szefa żandarmów mieli już wygotowane stosowne zawiadomienia o uwolnieniu Perowskiej — Degajew zażądał akt odnośnych, aby umieścić w nich rozkaz gabinetowy, niby epilog sprawy — no i przesłać je do archiwum trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości. Lecz akt na miejscu właściwem, w szafach, nie było. Porucznik natarł na

pisarzów i kazał szukać. Cała kancelarya rzuciła się do wertowania papierów. Degajew się niecierpliwił, pomstował na nieład i naglił o pośpiech. Pisarze przewracali do góry nogami stosy rozmaitych poszytów — akt Perowskiej nie było. Aż dopiero jeden z kancelistów wspomniał, że Perowska była badaną przed dwoma tygodniami przez kapitana Sudejkina i rzucił domysł, że akta mogą być w biurku, w gabinecie naczelnika. Degajew, który przed godziną ledwie przeglądał zawartość biurka, odziedziczonego po Sudejkinie, sfukał niefortunny domysł i do tem gwałtowniejszych poszukiwań napędzał. Sam atoli, jakby dla upewnienia się zasiadł przy biurku i szufladę po szufladzie wyciągał a przeglądał. Biurko było wypełnione skrawkami papieru, kopertami, pustemi pudełkami od papierosów, staremi gazetami, z pośród których tu i owdzie wyglądały zardzewiałe obsadki, resztki ołówków, okruchy tytoniu i tym podobne szczątki urzędowania Sudejkina. Degajew już miał zatrzasnąć ostatnią szufladę, gdy najniespodziewaniej dno szuflady odsunęło się, ukazując mu płaską, aktami wypełnioną, skrytkę.

Porucznik dobył akta, rzucił okiem na nadpis, — były to akta Perowskiej. Degajew poruszył się, aby zawołać na pisarzów, by zaniechali poszukiwań, lecz, w tejże samej chwili, z pod okładki akt wyślizgnęła się mała fotografia. Porucznik sięgnął po fotografię, spojrzał na nią i zbladł — była to fotografia Wiery.

Co ta fotografia znaczyła w aktach Perowskiej? —

Degajew pochylił się nad aktami, szukając odpowiedzi na zapytanie — lecz jej nie znalazł. Protokuły rozwodziły się o „południowcach“, zarzucały Perowskiej udział w stowarzyszeniu „czajkowców“, mówiły o propagandzie śród robotników, wypominały Ławrowa, Michajłowa i Kwiatkowskiego, lecz nie wspominały nawet o Malinowskiej.

Degajew odetchnął. Sudejkin prawdopodobnie przez nieuwagę wsunął tę fotografię...

Degajew odrzucił akta w kąt półki, za biurkiem, rozumiejąc, że bezpieczniej będzie, aby który z pisarzy akta te znalazł, a sam zapatrzył się w fotografię Wiery.

Stukot przesuwanych szaf w sąsiednim pokoju wyrwał porucznika z zapatrzenia. Degajew sięgnął do pugilaresu, aby fotografię schować, lecz, gdy ją niechcący odwrócił, teraz dopiero postrzegł ołówkowy nadpis „I konfr: niezawodnie W. M. kochanka Kw. Judyta (?) Deg.“

Porucznikowi pot kroplisty wystąpił na czoło. Nadpis ten rozpraszał ostatnie złudzenia, któremi Degajew chciał zgłuszyć trawiący go niepokój. Sudejkin wiedział o wszystkiem, konfrontował Wierę z Perowską, może wpadł nawet na trop tych drobnych usług, które Degajew, dla pozyskania sobie Wiery, oddał kilku nihilistom. Prawda, Sudejkin nie zadenuncyował go dotąd, nie oskarżył, bo widocznie brak mu jeszcze pewnych danych, bo pragnie tem niezawodniej ugodzić, tem świetniejszy spowodować efekt. Ba, ba, za takie oskarżenie czeka Sudejkina nagroda, awans, karyera.

— Nie ma akt, panie naczelniku. Może by posłać do pana kapitana!

Degajew dźwignął się, spojrzał mętnymi oczyma na pisarza i mruknął gniewnie.

— Jak to, nie ma? Muszą być! Na cztery wiatry porozpędzam...

— Kapitan Sudejkin — wtrącił nieśmiało pisarz.

— Więc szukajcie! Jest biurko, więc szukać, tu, na szafie, gdzie wam się podoba... muszą być!

Pisarz skinął na kolegów i zabrał się z kolei do poszukiwań w gabinecie. Degajew przechadzał się wzburzony, czekając aż porzucone przezeń papiery wpadną w ręce któremu z pisarzów. Po kilku minutach akta znalazły się...

Degajew zaklął raz jeszcze na nieporządek i kazał wezwać Perowską, aby zakończyć ceremonię uwolnienia i wydostać się samemu z kancelaryi.

Gdy nareszcie przed biurkiem porucznika zarysowała się drobna, nikła postać młodej dziewczyny, Degajew odetchnął lżej. Zmierzył przybyłą od stóp do głów, spojrzał na fotografię, naklejoną na pierwszej stronie akt, i bąknął.

— Panna Zofia Lwowna Perowska?

— Tak.

— Jest pani wolną... z warunkiem udania się natychmiast na Krym!

Na bladą twarzyczkę dziewczyny trysnęły rumieńce.

— Proszę, tu jest zobowiązanie się pani do opuszczenia stolicy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Niech pani podpisze.

Perowska ujęła za podane jej przez Degajewa pióro i pochyliła jasną, kędzierzawą głowę nad papierem, starając się najpierw sprawdzić treść przedłożonego jej zobowiązania.

Porucznikowi przyszło na myśl, że nie kto inny tylko Perowska musiała zdradzić Wierę przed Sudejkinem, i złość go kolnęła.

— No, no nie ma tu co sprawdzać. Zasłużyłaś się pani na konfrontacyi z Malinowską, no i jesteś wolna...

Perowska zadrżała z lekka.

— Ja? Ja się zasłużyłam!?...

Degajew roześmiał się szyderczo.

— A co, może się pani zaprzesz?

Perowska odrzuciła pióro.

— Nie znam żadnej Malinowskiej — odparła głucho, — daremnie sili się pan na podejścia... powiedziałam to pańskiemu poprzednikowi...

— Tu niema żadnych podejść!

— Na cóż więc ta komedya z uwolnieniem?

— Proszę podpisać papier. Tu, są pieniądze pani z depozytu... tu znów pokwitowanie... a tu, na stole, pani kapelusz i drobiazgi... Izwoszczyk czeka na panią przed kancelaryą, niech się pani każe zawieść, gdzie ci się podoba, byle jutro, o tej porze, nie było cię w Petersburgu... No, co, jeszcze pani obawia się podejścia?...

Twarz Perowskiej stanęła w płomieniach, ręka jej ujęła za pióro i jakiemiś chwiejnemi, postrzępionemi literami nakreśliła żądane podpisy. Uporawszy się z podpisami, Perowska zaczęła wdzie-

wać kapelusz a gotować się do wyjścia. Degajew poglądał w milczeniu na Perowską. Te jej trwożliwe, niepewne, nerwowe ruchy, te błyski oczu, co chwila słane ku niemu, jakby dla sprawdzenia, czy to nie złuda, czy to nie prosta farsa śledcza, przypomniały mu chwilę, gdy Wierę, miast do fortecy, przywiózł do swego mieszkania. Tak, wówczas zdawało mu się, iż za tę jego ludzkość, za ocalenie, zdobywa sobie najwierniejsze serce, zjednywa dozgonną wdzięczność!

Degajew stęknął z rezygnacyą i zakonkludował głośno.

— Ach, wy nihilistyczny naród!

Perowska pochyliła głowę i wciągała zapalczywie stare, wytarte rękawiczki.

— Ledwie dobędzie się z klatki już by rade broić... I co wam z tego, co wam?!

— Nie rozumiem, o czem pan mówi, panie Degajew — odrzekła spokojnie Perowska.

Porucznik na dźwięk swego nazwiska, podniósł się z za biurka.

— Pani mnie zna?

— Chyba nie ma w tem nic dziwnego, skoro pan został naczelnikiem więzienia...

— Powinienem panią aresztować...

— Lecz ponieważ nie masz zamiaru, więc racz mi pan wskazać, którędy mam wyjść.

— Proszę, temi drzwiami na kurytarz i na lewo, do sieni, izwoszczyk czeka...

— Albo żandarm, przebrany za izwoszczyka.

— Wszystko jedno, możesz go pani za murami

fortecy odprawić... Życzę zdrowia, nie każda z uwięzionych tak się stąd dobywa — Malinowską dziś o ósmej odwozi jeden żandarm na dworzec warszawski...

Perowska, która ujęła właśnie za klamkę, przystanęła i odparła śmiało.

— Jeżeli tylko na to stać pana, panie Degajew, to żal mi was obojga! Sudejkin inaczej by sobie poradził.

Porucznik na te słowa osłupiał i, zanim opamiętał się, zanim zdobył się na jakiś odruch, pod oknami kancelaryi już rozległ się turkot kibitki, uwożącej Perowskę.

VI.

Już się zmierzchało, gdy Degajew powrócił do domu.

Ani dwugodzinny spacer, ani obiad, spożyty w towarzystwie tak wesołego kompana, jak Samoumow, nietylko nie zdołały uspokoić rozdrażnienia porucznika ani zatrzeć wrażeń, zaznanych przy obejmowaniu obowiązków naczelnika aresztanckiego oddziału Piotropawłowskiej fortecy, lecz przeciwnie, jakby do reszty rozpaliły mu nerwy, silniejszym łomotem przejęły mu tętna. Tak, bo bezmyślna gadanina Samoumowa, werwą a ochotą życia dygocące arterye stolicy, jeno ukazały Degajewowi jasne, bezchmurne dni tych, co nie poddają się lada urojeniu, co nie wdają się w romanse z jakiemiś nihilistkami, co każdy sentyment potrafią utrzymać w karności, co, dla mrzonki, nie stawią na kartę swej przyszłości.

Zresztą Degajew był i zły na samego siebie, że nie miał dość woli, aby wymówić się Samoumowowi od zaproszenia, że nie zdołał zapanować nad sobą i, w najniestosowniejszej chwili, po jakiejś arcygłupiej anegdotce, wpadł w rozmazanie i pessymistyczne snuł wywody. Całe szczęście, że Samoumow był po dziesiątej wódce — inaczej gotowa by z tego urość plotka no i „donos“... Lecz teraz już

koniec, koniec awantury. Wiera za kilka godzin ruszy do Kijowa, a tam, co Bóg da... Niech się, co chce, dzieje. Zdradzi, wyda, wplącze, to cóż, na podłość nihilistyczną nie ma ratunku...

Opętała, zmaniła, zgubiła siebie dobrowolnie — niech przepada. On nie ma ratunku, nie ma sposobu.

Ta Perowska powiedziała... mniejsza z tem. Co jemu, porucznikowi żandarmeryi, do takiej zdeprawowanej etyki, do takiej bezsensownej racyi... Przecież nie on Wierę uwięził, nie on przyczynił się do jej aresztowania... „Sudejkin inaczej by sobie poradził“, — być może, lecz on, Degajew, nie ma sił, jest słaby no i chce żyć i nie ma kwalifikacyi na błędnego rycerza ani bohatera francuskiego romansu.

Degajew westchnął i zakrzyknął ostro na Wasyla.

Wasyl stawił się natychmiast.

— Co robisz?

— Raczyliście, wasza wielmożność, rozkazać, abym zbierał rzeczy do przeprowadzki.

— Bałwan jesteś! Samowar! Służby nie znasz! Ruszaj!

Wasyl zawrócił pośpiesznie do kuchni. Degajew ściągnął mundur, zapalił papierosa i pogrążył się w zadumie.

Ostry, przeraźliwy dygot dzwonka u drzwi wchodowych ocknął porucznika. Do pokoju wszedł na palcach Wasyl i podał Degajewowi dwa bilety wizytowe. Porucznik rzucił okiem na bilety, z których tyle zrozumiał, że spotyka go niespodziewana wi-

zyta dwóch, nieznanych mu, oficerów gwardyi i, wdziawszy szybko mundur, podążył do saloniku.

Tu powitał go wytwornym ukłonem młody a lśniący aż od wymuskania sztabskapitan konnogwardyjskiego pułku.

— Proszę darować nam to najście... pan zapewne sobie nie przypomina... Paweł Aleksiejewicz Sablin... brat Mikołaja...

— Ależ tak, pamiętam wybornie...

— Pan pozwoli przedstawić sobie, mój kolega z korpusu paziów... porucznik Szulgin...

Degajew teraz dopiero postrzegł wysmukłą postać oficera huzarów pułku jej cesarskiej mości.

— Uważam sobie za zaszczyt.

— Bardzo miło! — wycedził przez zęby Szulgin, podkreślając dyskretnie różnicę, zachodzącą między czerwonym a kapiącym złotem mundurem przybocznego gwardzisty a fiołkowym granatem policyanta.

Degajew podsunął przybyłym krzesła, nie rozumiejąc, czemu przypisać te niespodziewane odwiedziny i siląc się na wyszukaną uprzejmość. Sablin atoli jednym zgrabnym zwrotem wydostał się z pustych frazesów wstępnych i zagaił swobodnie.

— Drogi, Iwanie Iwanowiczu, my do was z prośbą... Oto właśnie kolega, Piotr Piotrowicz Szulgin, ma kucharza a kucharz jego ma ciotecznego brata, stolarza, lakiernika... Owóż biedak ten chce się dostać do warsztatów Admiralicyi, ma nawet dane, że będzie wziętym do odziału robotników jego ce-

sarskiej mości... Człowiek tęgi, rzetelny, trzeźwy, pracowity, no, ale pojmujecie, Iwanie Iwanowiczu, że tu prawie nieznany... Pochodzi z ołonieckiej gubernii... Tymczasem w Admiralicyi żądają świadectwa... Naczelnik go chce, wszyscy chcą, — lecz cóż, Szuwałow nakazał, — bez poręczenia „błagonadieżnosti", nie wolno nikogo do oddziału... Więc, rada w radę, powiadam do kolegi, porucznik Degajew nie odmówi... Bo cóż, idzie o dobry uczynek, no a za tego poczciwca ołonieckiego my przed wami odpowiadamy...

— Oto właśnie przygotowano nam papier, — podchwycił Szulgin, — i powiedziano, niech tylko porucznik Degajew podpisze, — sprawa skończona.

Degajew wziął do ręki podany mu papier, przebiegł oczyma zwykłą formułę zaświadczenia, i zafrasował się. Był zbyt dobrym żandarmem, aby nie pojąć lekkomyślności takiego zaświadczenia o prawomyślności nieznanego człowieka ale był i zbyt zaprawionym do czołobitności oficerem, aby nie ocenić splendoru, spływającego nań z zacieśnienia węzłów przyjaźni z oficerami gwardyi, z tymi arystokratami wojskowości, no i aby nie pojąć, że tacy, wrazie odmowy ze strony Degajewa, z łatwością trafią gdzieindziej...

Sablin, jakby odgadł myśli porucznika, bo dodał z intencyą.

— Nie śmiałbym nawet was trudzić, Iwanie Iwanowiczu, lecz oto niespodziewanie dowiedziałem się, że Sudejkina przeniesiono do Kijowa...

Byliśmy u niego, lecz już prawie, że się wyprowadził. Tam powiedziano nam, że wy na jego miejsce. Szulgin chciał do Drentelna, bo to kuzyn jego szwagra, ale ja mu, — na licho tam generała szukać, ot, porucznik Degajew, najmilszy w świecie człowiek... Sekunda czasu i sprawa załatwiona!

— Naturalnie — więc panowie przyjmują na siebie odpowiedzialność...

— Ależ oczywiście, kochany Iwanie Iwanowiczu... No, tak, tak, rozumiem, wy, panowie, naród pedancki i trzeba, trzeba. A wy ot co, do nas przyjeżdżajcie, do klubu oficerskiego... Chcecie, ja po was moich rysaków jutro? Kolega Szulgin bardzo będzie rad, weźmiemy sobie Włodzimierza Aleksandrowicza do kompanii...

— Wielkiego księcia?

— Ano pyszny chłop. Pije jak gąbka! Nie znacie go! Szulgin jest z nim per „ty..."

Porucznik huzarów szurgnął pałaszem i zadzwonił ostrogami.

Degajew sięgnął do biurka po pióro i podpisał zaświadczenie.

Sablin i Szulgin podnieśli się ociężale i jęli zbierać się raptownie do odejścia.

— Niezmiernie obowiązany!

— I ja również!

— Uwalnia pan nas od niepotrzebnej krętaniny. A więc Sudejkin już w Kijowie?

— Dziś wyjeżdża.

— Czy być może! Mam właśnie być na dworcu warszawskim... o której godzinie...

— Wieczornym pociągiem, o dziesiątej z minutami...

— Doskonale się składa. Bywajcie, Iwanie Iwanowiczu!

Degajew uścisnął rękę Sablina i odwrócił się do Szulgina, lecz, w chwili gdy z kolei ujmował dłoń huzara, doznał wrażenia, jakby twarz smagła, ciemna tego ostatniego nie była mu obcą. Lecz Degajew nie miał czasu zastanowić się nad tem wrażeniem, bo Sablin już pociągnął za sobą Szulgina do przedpokoju.

— Do widzenia, Iwanie Iwanowiczu, a przyjeżdżajcież do mnie, na Wozniesieński prospekt...

— Nie omieszkam. A cóż porabia Mikołaj? — dodał Degajew, wspomniawszy, iż Sablin jest bratem kolegi.

— Ach! — odparł lekceważąco Sablin, — Morduje się w Odessie, chce rzucić służbę... cóż, nie ma talentu do szpiegostwa. Do najmilszego!...

Ta definicya, czyniąca alluzyę do żandarmskiego zawodu ubodła Degajewa. Chciał na nią odpowiedzieć, zamajaczyła mu się nawet w mózgu jakaś kostyczna uwaga — lecz gwardziści już z brzękiem pałaszy i dzwonieniem ostróg sadowili się w czekającej na nich kibitce.

Degajew zatrzasnął drzwi i powlókł się ociężale do swej sypialni. Tu ściągnął znów mundur i zasiadł do herbaty.

Tymczasem wieczór powoli zapadł. Wasyl wniósł lampę, ustawił ją na stoliku pod oknem, zapuścił rolety, zaczem zabrał stygnący samowar do

kuchni i tam po raz drugi zaczął go węglami napełniać a rozżarzać.

Porucznik z całą prawomyślnością Rosyanina chłonął z głośnem chłeptaniem herbatę, ćmił papierosy, pogryzał cukier i napozór spędzał śród ciszy jeden z tych prawdziwie oficerskich wieczorów, polegających na myśleniu o niczem lub zastanawianiu się nad różnicą, wynikającą z naparzenia jednej łyżki dwurublowej herbaty Perłowa i dwóch Popowa, a dwóch Perłowa i jednej Popowa. Jeno snać budzik, cykający na nocnym stoliku, zakłócał mu spokój, gdyż porucznik odwracał ku niemu głowę a poglądał na sunące ociężale wskazówki. Aż raptem zapatrzył się w nie dłużej, silniej.

— Wasyl!

Ordynans zastukotał obcasami we drzwiach.

— Która godzina!?

Wasyl obrzucił porucznika niepewnem spojrzeniem, zaczem przybliżył się do budzika i odrzekł:

— Dziewiąta, proszę waszej...

Degajew żachnął się.

— To nie może być!...

Wasyl wtulił głowę w ramiona.

— Zobacz w stołowym!

Ordynans spełnił rozkaz.

— Dziewiąta, proszę...

— Dziewiąta! Bałwan jesteś, błazen! Zegar się śpieszy... Milcz! Won!

Ordynans zniknął we drzwiach.

Degajew pochylił głowę i zaparł ją na rękach.

Oczy mu zmętniały, żyły nabrzmiały na skroniach, pierś falowała spazmatycznie. W uszach zgiełk pomieszanych dźwięków wybijał mu miarowe, ponure takty, rechotał przeciągłym, śpiewnym głosem Perowskiej i groził basem Sudejkina, syczał a sapał gardzielą jakiejś potwornie wielkiej lokomotywy, wlokącej za sobą drobną postać Wiery...

— Wasza wielmożność!

Degajew otrząsnął się i wpił błędne oczy w ordynansa.

— Co?... Idź do djabła!... Won!

— Podporucznik Czerniajew z Piotropawłowskiej fortecy z rozkazem — raportował poraz trzeci Wasyl.

Porucznik potarł czoło.

— A!... Z fortecy?...

— Tak, z rozkazem!

Degajew zmógł się i powlókł do przedpokoju. Tu Czerniajew powitał krótko Degajewa i wyrzucił jednym tchem.

— Generał baron Majdel wzywa pana natychmiast... uciekła nam jedna z aresztantek... prokurator izby sądowej zjedzie lada chwila.

— Aresztantka? — Uciekła?

— Tak jest, ta, którą odwoził Fedia na kolej.

Porucznik o mało nie zatoczył się ze wzruszenia.

— Więc ta, ta, którą dziś kapitan Sudejkin miał do Kijowa na konfrontacyę?

— Tak, panie naczelniku.

Degajew odwrócił się od Czerniajewa i zbierał

się do wyjścia, ani ważąc się pytać o szczegóły, aby nie zdradzić własnego pomięszania. Dopiero gdy Degajew usadowił się w dorożce a koń pomknął w stronę fortecy, Degajew ośmielił się znów odezwać.

— Że też komendant aż pana trudził do mnie.

— Kapitan Sudejkin przypuszczał, że pana naczelnika nie ma w domu, stąd komendant sądził, iż mnie łatwiej będzie odszukać pana naczelnika.

— Więc kapitan Sudejkin jest w fortecy? miał przecież wyjechać?

— Tak, lecz wobec zaszłego wypadku...

— Rozumiem, jakżeż się to stało?

— Nie wiem, panie naczelniku. Wezwano mnie do komendanta niespodziewanie i kazano do Was. O ile mogłem wywnioskować, idzie tu o porwanie. Fedia uwięziony. Jacyś oficerowie są zamieszani. Podobno była to jedna z najniebezpieczniejszych, nawet krewna Karakozowa. Kapitan Sudejkin jest niepocieszony. Dano znać do trzeciego oddziału, komendant spodziewa się lada chwila generała Mezencewa.

— Zapozwoleniem, lecz jakżesz się dostali do więzienia!?...

— Porwanie miało miejsce w drodze na kolej.

— A! — mruknął porucznik, z trudem kryjąc uśmiech zadowolenia — ależ w takim razie, cóż znaczy ten gwałt w fortecy!

— Ano idzie o Fedię, a dalej, ponieważ stało się to prawie na dworcu kolei, więc wmieszał się naczelnik żandarmeryi kolejowej, Patuchin, a że

ten nie wiedział znów nic o misyi Fedi, przeto tego ostatniego aresztował, kapitan Sudejkin ujął się za naszym wachmistrzem, słowem chryja wynikła i awantura, że ani dojść wątku.

Degajew, którego paliła ciekawość, probował z bezładnej relacyi Czerniajewa powziąć wyobrażenie o wypadku, lecz podporucznik zagmatwał się do reszty w szczegółach tak, że z opowiadania tyle zostało, iż Wiera niewątpliwie uciekła.

Zresztą ciekawość Degajewa znalazła rychłe ukojenie, bo zaledwie porucznik stanął na progu kancelaryi a zrzucił płaszcz, już nań wpadł Majdel.

— Jesteś nareszcie! Patrz, ładna historya!... Ot nowa moda. Aresztantkę, miast pod konwojem, według ustawy, no to odsyła się ją dorożką... i masz rezultat, buzi dać... Kto winien, Fedia winien, że mądry rozkaz odebrał...

— Kapitan Sudejkin...

— Kapitan Sudejkin postąpił sobie jak jeden smarkacz a ty jak drugi! — wybuchnął z pasyą Majdel. — Dosyć, nie ma tłumaczenia. Powinieneś był nie dopuścić, nie dozwolić, na to jest konwój, na to wóz aresztancki, na to kajdany, aby mi szelm nie wozić dorożkami...

— Sam zwróciłem uwagę na tę niewłaściwość, lecz ponieważ rozkaz był wydanym już...

— Miałeś więc mnie, nie w Egipcie mieszkam, lecz tuż, pod nosem!

Majdel odsapnął z gniewem.

— A teraz co! Protokóły, śledztwa, komisye, stosy papieru i szukaj wiatru w polu... Do stu

dyabłów porozpędzam! Pod sąd oddam! Gdzie Fedia! Wołać mi Fedię!

Stojący przy drzwiach służbowy podporucznik skoczył do sąsiedniego pokoju i wyciągnął prawie za kołnierz bladego, jak ściana, wachmistrza.

Majdel na widok Fedi rzucił się z krwią nabiegłymi oczyma.

— Bałwan, truteń, zwierze głupie, pasy drzeć będę, zęby powybijam... No, co, co hyclu!?... Zobaczyłeś dwie gwiazdki i huzarski pałasik i zgłupiałeś!... Gadaj!

— Zawiniłem! — jęknął, drżąc, stary żandarm.

Generał targnął się.

— Ty u mnie świata Bożego nie zobaczysz!

— Panie generale, prokurator! — zaraportował kancelista.

Majdel strzepnął rękoma i udał się naprzeciw prokuratora.

Degajew a z nim cały zarząd aresztanckiego oddziału odetchnął, pierwsza burza minęła. Za prokuratorem zjechał Drenteln z Mezencewem i zaczęło się systematyczne śledztwo, w którem głównemi osobami byli kapitan Sudejkin, podpułkownik żandarmeryi kolejowej Patuchin i Fedia.

Podczas pierwszych rozpraw generalicyi żandarmskiej z Sudejkinem i Patuchinem, Degajew miał dość czasu, aby, bądź z wyjaśnień służbowego podporucznika, bądź ze słów Fedi, zdać sobie sprawę z istoty zajścia.

Rzecz z pozoru była wynikiem prostego zbiegu okoliczności. Fedia, wypełniając ściśle otrzymany

rozkaz, o godzinie ośmej usadowił aresztantkę w dorożce i to w dorożce, powożonej przez izwoszczyka, znanego żandarmeryi... i dowiózł ją szczęśliwie pod same schody dworca... Tu zabierał się do wysadzenia aresztantki, gdy naraz przypadł doń młody oficer konnogwardyjskiego pułku i jął go napominać za nie oddanie należnego ukłonu.

Fedia sumitował się, jak mógł, lecz oficer był nieubłagany i, nie dając mu przyjść do słowa, aresztował go. Służbowi policyanci na dworcu, na skinienie oficera, otoczyli Fedię i wprowadzili do kancelaryi podpułkownika Pachitonowa. Podczas tego, zanim izwoszczyk zdołał się spostrzedz, podsunęła się doń jakaś kibitka z oficerem huzarów. Aresztantka wysunęła się z dorożki i zniknęła w tłumie. Izwoszczyk chciał ją gonić, lecz kuczer oficera huzarów nacisnął go tak swoim koniem, że mu drogę zagrodził. Równocześnie prawie oficer, który aresztował Fedię, miast iść do kancelaryi Pachitonowa, skręcił do kibitki oficera huzarów, wsiadł do niej i kibitka pomknęła z kopyta. To zajście, łatwe do ogarnięcia dla postronnego, przedstawiło się w innem świetle podpułkownikowi Pachitonowi, który nadewszystko był przekonanym, że ma do czynienia ze zwykłym uchybieniem subordynacyi wojskowej. Nadomiar rzecz zagmatwał do reszty kapitan Sudejkin. Ten ostatni bowiem kazał swemu ordynansowi czekać przed dworcem na Fedię. Ordynans zaś spostrzegł dopiero wówczas Fedię, gdy go policyanci prowadzili do Pachitonowa. Stąd Sudejkin, rozumiejąc, iż zatrzymano wraz

z Fedią aresztantkę, uniósł się i natarł ostro na podpułkownika za bezprawne aresztowanie wachmistrza. Z tego wynikło niemiłe przemówienie i starcie się dwóch odmiennych racyj. A nim Pachitonow przekonał się, że oficera, który aresztował Fedię nie ma już na dworcu i nim Sudejkin dowiedział się, iż aresztantka umknęła, — zatarg kapitana z podpułkownikiem i ucieczka nihilistki, ułatwiona przez oficerów gwardyi, przybrała charakter skandalu.

Generalicya z prokuratorem szybko atoli zdołała zorjentować się w sytuacyi, bo usunęła na drugi plan cały koguci spór Sudejkina z Pachitonowem a zajęła się głównie ucieczką i owymi oficerami gwardyi czy też, przebranymi za oficerów, nihilistami. Wszystkie dane mówiły, że ucieczka była uplanowana, — ba i uplanowana w warunkach, że, według zeznań Sudejkina o wyjeździe aresztantki nikt, prócz Fedi i Degajewa, nie wiedział: bo nawet kanceliści i służbowy podporucznik, do ostatniej chwili, nie wiedzieli o misyi Fedi. Dla tej przyczyny i na Degajewa spadł grad krzyżowych pytań, czy przed kimkolwiek nie zdradził się z nowiną o zamierzonej wysyłce uwięzionej. Porucznik wytrzymał wszakże mężnie indagacyę, a że nadto Fedia potwierdził z całą skruchą, że Degajew upominał go i przestrzegał, że jazda na kolej samotrzeć z nihilistką jest nieostrożnością, przeto porucznik wyszedł z całej sprawy nawet z pochlebnem skinieniem Mezencewa. Na Sudejkina zaś zwaliła się cała odpowiedzialność i niehumor szefa żandarmów i iro-

niczne przesłanki prokuratora izby i pomrukiwania Majdla. Jeden Drenteln widocznie oszczędzał kapitana i osłabiał fakt niedbalstwa i lekkomyślności Sudejkina wywodami o przebiegłości i perfidii nihilistów.

Rozprawy zakończyły się już dobrze po północy. Rezultatem ich było oddanie Fedi na łaskę i niełaskę Majdla, wyrażenie nagany Sudejkinowi, cierpkiego napomnienia Pachitonowowi, przekazanie śledztwa urzędnikowi do szczególnych poruczeń przy szefie żandarmów, no i utknięcie na znaku zapytania.

Degajew odprowadził Majdla do mieszkania za cerkwią, wysłuchał jeszcze długiej oracyi na ulubiony temat barona o dawnych dobrych czasach mikołajewskich i rzeźkim, elastycznym krokiem skierował się ku bramie fortecznej i mostowi.

Porucznikowi czegoś ulżyło na sercu, czegoś poweselało. Bo i cóż, że z tej awantury i dla niego nie jeden jeszcze wyniknie kłopot, cóż, że go będą powoływali raz po raz na śledztwo i niewolili do powtarzania jednych i tych samych słów. Wiera uszła Sudejkinowi, dobyła się z więzów a więc i ślady zatarte i wszystkie chmury rozproszone. Wybornie się spisali ci nihiliści. Hm, on, Degajew, mógłby coś o tem powiedzieć, mógłby może jednem słowem dać prokuratorowi nić w rękę... ba ale taż sama nić gotowa być tak mocną, że za jednym zamachem zdławiłaby i naczelnika aresztanckiego oddziału Piotropawłowskiej fortecy. No, na taką

szczerość może długo czekać i komisya i kapitan Sudejkin.

Porucznik uśmiechnął się sam do siebie.

A przytem, kto wie, może i Wiera przejrzy, może otrząśnie się, może nabierze wstrętu do tych konspiracyj?

Degajew szarpnął raźno ostrogami i odpowiedział łaskawym ukłonem, prezentującemu broń, szyldwachowi na moście fortecznym. Za mostem fortecznym porucznik przystanął, rozejrzał się wśród ciemni słabo rozświetlonej latarniami i, dostrzegłszy wolnego dorożkarza, — zawołał nań.

— Ozierny pereułek! — i jął sadowić się w kibitce.

— Pozwolicie, Iwanie Iwanowiczu, że ja z Wami — ozwał się niespodziewanie znajomy porucznikowi głos.

Degajew drgnął. Przed kibitką zarysował się barczysty cień Sudejkina.

— A, pan kapitan — proszę, niech pan będzie łaskaw.

Sudejkin zajął miejsce przy Degajewie.

— Tak żeście znikli, Iwanie Iwanowiczu, że nie miałem sposobności bodaj dwóch słów z wami zamienić...

— Baron Majdel zaciągnął mnie.

— Uważałem — bąknął cierpko Sudejkin.

— Dokąd pan kapitan życzy sobie, bym go podwiózł?

— Wszystko jedno. Niech jedzie stępa... właś-

ciwie sam nie wiem... będę musiał do hotelu gdzie...

— Jedź stępa! — rozkazał Degajew dorożkarzowi.

Dorożkarz puścił lejce. Kibitka powlokła się ospale ku Petersburgskiemu mostowi. Sudejkin milczał osowiały. Porucznik wodził okiem po lśniącym a toczącym pianę grzbiecie Newy.

— Ma się na wylew — zauważył porucznik.

— A!

— Mogę panu służyć papierosem?

— *Merci*, nie chcę — mruknął kapitan a zwracając raptem swe bystre, przenikliwe oczy na porucznika, zapytał ostro.

— I cóż pan myślisz o tej historyi?

— Co myślę? — powtórzył niedbale Degajew. — Sprawa zagmatwana, może poprostu zbieg okoliczności...

— Jakto, jakto?...

— Bo faktycznie, mogliby to być prawdziwi oficerowie gwardyi, mogli działać w dobrej wierze...

— Jakto, w dobrej wierze? — natarł surowo Sudejkin.

— Tak jest, panie kapitanie, — tacy wszak panowie z gwardyi są bardzo wrażliwi na salutowanie... Fedia, zajęty pilnowaniem aresztantki, nie zauważył pięknych epoletów...

— I pan naprawdę w to wierzy?

Degajew stropił się.

— Przypuszczam tylko, zresztą śledztwo niewątpliwie wykryje...

— Nic nie wykryje — uciął Sudejkin.

— Fedia niezawodnie dobrze zapamiętał twarz oficera gwardyi...

— Żeby doprowadzić do skandalu! — dokończył gwałtownie kapitan. — No tak, bo rzecz musi dojść do wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza a rezultat tego wszystkiego — tylko urażenie rozmaitych panów z arystokracyi, tylko dowód, że żandarmerya nie potrafi odróżnić łotra w przebraniu huzara lejb-gwardyi od oficera, tylko nagany, wymówki, tylko stosy bibuły i pustej gadaniny!

— Zapewne, panie kapitanie, lecz, bez tych przykrych ewentualności, niepodobna zorjentować się w sytuacyi.

Sudejkin roześmiał się sucho.

— No, no — niepodobieństwo inaczej trochę wygląda, niż ten sztubacki figiel... Przyjąłem go obojętnie, bo, primo, odpowiedzialność spada na Fedię, którego w ostatku Majdel ocali, no a secundo, bo należy mi się coś więcej niż pusta satysfakcya... Wy, Iwanie Iwanowiczu, to pojmujecie... Dziewczyna przypadła mi do gustu, tedy nie idzie o to, aby koniecznie miała wpaść w ręce komisyi, lecz żeby wróciła do moich! I wróci.

Degajew podniósł do góry kołnierz płaszcza.

— Zimno wam?

— Wiatr od Newy.

— A wiatr! — Tak, tak, Iwanie Iwanowiczu, głupi figiel, sztubacki figiel. Przed pięciu godzi-

nami byłem pewnym, że sobie przepiórkę wiozę na nowe gospodarstwo do Kijowa! Wy to uczucie znacie, boć i Was coś podobnego spotkało...

— Do pewnego stopnia, bo ja dla dobra służby — odrzekł niepewnie Degajew, którego zwierzenia Sudejkina drażniły coraz więcej.

— Otóż właśnie, bo i ja dla dobra służby, drogi Iwanie Iwanowiczu! No, a przy tej okazyi, i trochę dla samego siebie! Ach, bo przytulna była, szelma. Człowiek nie trubadur a trzymać się musiał. Ale nie pofrunie daleko, ptaszyna, — odda mi, co moje, a potem pójdzie sobie wyciśnięta cytrynka na uradowanie etapowych kawalerów... Bo i cóż robić Iwanie Iwanowiczu, najpiękniejsza kobieta brzydnie, najpiękniejsza zmęczy w ostatku.

— Niezawodnie, niezawodnie.

— Was to nudzi?

— Bynajmniej.

— Trochę, bo nie przypuszczacie, że znam wybornie twórcę i inicjatora tego dzisiejszego porwania!... Ale ja dla was, kochany Iwanie Iwanowiczu, nie mam tajemnic. Ja nie dla frazesu radbym posiąść wasze zaufanie i mieć z Was nie adjutanta, lecz towarzysza, przyjaciela.

Degajewa opanowało lekkie drżenie. Sudejkin pochylił się ku porucznikowi i szepnął.

Tym oficerem huzarów był Kwiatkowski.

— Kwia...?

— tkowski! Wiem o tem, skąd wiem, to do rzeczy nie należy... No a ta moja synogarliczka jest sobie poprostu Malinowską... I cóż wy na to?

Porucznik zebrał się na odwagę i odparł śmiało.

— To zależy od danych, w każdym razie winszuję panu kapitanowi, — sprawa więc niewątpliwie pomyślnie się zakończy.

— No, o pomyślne zakończenie wogóle się nie troszczyłem.

— Aż tak — hm, szkoda, że pan kapitan odrazu nie podzielił się ze swymi domysłami z komisyą, ułatwiłoby to znakomicie śledztwo.

— Wybornie powiedziane, tylko, że, drogi Iwanie Iwanowiczu, Malinowska wpadłaby w ręce innego, mogłaby naprzykład, dostać się do was na pensyonarkę... A wy, mimo całej przyjaźni dla mnie, gotowibyście wyrugować mnie z serca panny Wiery...

— Nie jestem tak zachłannym.

— Chcecie powiedzieć, że żywicie współczucie dla pobratymca doli... Wam uciekła i mnie uciekła. Cała różnica, iż wy już zrezygnowaliście a ja dopiero teraz nabrałem szczerego zapału.

— Kiedyż pan kapitan wyjeżdża do Kijowa? — zagadnął nerwowo Degajew, któremu ta rozmowa zaczęła być nieznośną.

Sudejkin zarechotał przez zęby.

— Nie lubicie zwierzeń.

— Nie lubię tylko dwuznaczników!

Kapitan ujął porucznika za ramię.

— Kochany Iwanie Iwanowiczu, wyście człowiek młody no i dlatego za gorący... Ledwieście jedną nogę wydobyli z pułapki, w którą żeście sami wpadli, a już wierzgacie, już zapominacie, że

Sudejkin to nie wróg, że ma szczere dla was intencye, bo, inaczej mógłby był nietylko przed tygodniem coś dorzucić do waszej sprawy, ale i do dzisiejszego protokółu wasze nazwisko dodać. Pozwólcie dokończyć. Sudejkin wybaczył wam wiele. Sudejkin wybacza wam nawet ten sztubacki figiel, no bo Sudejkin, pomimo wszystko, ma was za człowieka zdolnego i za takiego, który mu stanie się pożytecznym i wdzięcznym. Sudejkin jednak ostrzega was, abyście nigdy nie probowali wchodzić mu w drogę i abyście nie udawali błędnego rycerza takich panien, jak ta niby panna Tuchołko. A teraz dobrej nocy, Iwanie Iwanowiczu!

Sudejkin zatrzymał dorożkarza i, zanim porucznik zdobył się na słowo odpowiedzi, wyskoczył z kibitki i znikł na najbliższym zakręcie ulicy.

VII.

Rok 1878 był dla monarchii Holstein - Gottorpów rokiem ciężkich zapasów i zapasów tak gwałtownych, tak różnorodnych a tak krwawych, iż jeno zdumiewać się należy, iż, na błotach Fińskich pobudowana, stolica Rosyi nie szczezła, nie pogrążyła się w trzęsawisku, z którego się poczęła.

Rok 1878 był dla monarchii Holstein-Gottorpów rokiem śmiertelnego kryzysu, doprowadzającego zazwyczaj przeciętny organizm państwowy do ruiny, rok 1878 był dla monarchii tem, czem jest huragan dla stoczonego przez robactwo dębu, czem jest nadmorska nizina dla spiętrzonej fali...

A przecież zdawaćby się mogło, iż cesarz Aleksander II, odziedziczywszy tron wraz z całym rozpaczliwym dorobkiem krymskiej kampanii, miał zadość przykładów do zrozumienia, iż knut przestał być środkiem wychowawczym, że katorga nie zawsze zdolną jest poskromić niesforne dusze krnąbrnych poddanych, że różnojęzyczne „bydło“, wchodzące w skład posiadłości Holstein-Gottorpów, zaczyna wątpić już nie o boskości białych carów, ale i o ich rozumie politycznym.

Jakoż cesarz Aleksander II złożył niezliczoną ilość dowodów, że, nietylko chce i uznaje potrzebę gruntownych reform, lecz nawet sam jest monarchą

liberalnym, tak dalece liberalnym, iż jemu [illegible] mózgi [illegible] [illegible] Polaków, Białorusinów i Litwinów, tylko [illegible] dusze studentów, [illegible] tysiącami na Syberyę, tylko spaczone [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] uchylić czoła przed [illegible] i [illegible] górą prawosławnej cerkwi, nie [illegible] [illegible] ści cesarskiej.

Rzec można, iż [illegible] od dnia wstąpienia na tron, cesarz Aleksander zaczął się do [illegible] [illegible] można, iż ani na moment nie rozstawał się z myślą odrodzenia Rosyi, [illegible] [illegible], iż cesarz Aleksander ani razu nie [illegible] [illegible] ku wyrażeniu swych [illegible] [illegible] i szczerych światopoglądów. Ba, i niezawodnie cesarz Aleksander II zdołałby już w ciągu pierwszego dziesięciolecia swych samowładczych rządów dźwignąć Rosyę na czoło państw cywilizowanych, gdyby nie fatalność, która niewoliła go zawsze do uczynienia dwóch kroków w tył po jednym naprzód. Stąd, choć Aleksander II całe panowanie swoje strawił na reformach, te ostatnie nie uzdrowiły trędowatego potwora, stąd, choć Aleksander II wciąż o ludzkości rozprawiał, wciąż nad losem poddanych ludów bolał, nigdy polityka rosyjska nie była chciwszą, nigdy do zaborów pochopniejszą, nigdy w mściwości równie zbójecką, nigdy obłudniejszą, no i stąd chłop rosyjski, uwolniony z poddaństwa, nigdy tylu nie odebrał batów, i stąd ziemie rosyjskie nigdy u władzy nie oglądały tylu naraz urzędowych złodziejów,

i stąd poddani cara nigdy cięższym nie podlegali bezprawiom.

Coprawda i owi poddani mocno ku takiemu logicznemu wynikowi cesarskich reform się przyczynili, ile że, zwłaszcza w oświeconym swym odłamie, miast lojalnie nadstawiać plecy na miłościwe cięgi, miast radować się carowi „oswobodzicielowi", zaczęli znów zbaczać na manowce, w ślad za dekabrystami, zaczęli znów rozprawiać o potrzebie oświaty, więc bruździć nieomal ministrowi Tołstojowi, zaczęli łączyć się w tajne związki dla jakichś rewolucyjnych idei o równouprawnieniu, zaczęli znów odzywać się głośno o konstytucyi, nie bacząc, że, jeżeli bystre rządy Aleksandra II potrafiły prostytucyę podnieść do znaczenia kontrolowanej przez państwo organizacyi, to niewątpliwie wspomną i na konstytucyę, o ile naród na nią zasłuży. Ba i nie dość jeszcze, że ci nibyto inteligenci, miast inicyatywie panującego pozostawić decydowanie o tem, co dla państwa byłoby dobrem, poważyli się mieszać wprost do zamierzeń pomazańca Bożego, lecz posunęli się aż do wydawania i rozpowszechniania gorszących piśmideł, a występność swoją manifestowali uchybiającem ładowi państwowemu noszeniem dziwacznych czapek, niebieskich okularów i tem podobnem bezwstydnem stwierdzaniem swego zbrodniczego nihilizmu.

Tak nihilizm toczył jędrny niegdyś kadłub Państwa Rosyjskiego, nihilizm deprawował młodzież, zarażał ją i wiódł na manowce.

Nihilizm! Na sam dźwięk tego wyrazu prawo-

wierny Rosyanin znaczył pierś trzykrotnym prawosławnym krzyżem. Nihilizm! Więc gdy młodzieniec wstępował do uniwersytetu, zacny ojciec ze łzami w oczach upominał go, byle unikał zetknięcia się z tymi, którzy już dali się unieść fali, którzy poszli na bezdroża niebieskich okularów i okrągłych czapek. Nihilizm!? Nihilizm był za panowania Aleksandra II czemś groźnem, ponurem, okropnem, był czemś, o czem zresztą nie mówiło się wcale, lecz co niby grom wisiało nad cichymi schroniskami potulnych mieszczuchów, co najdumniejszym pałacom bojarów umiało być zgubą, co dziesiątkowało mrowie robotnicze, co wsiom jawiło się bądź w postaci pogodnych a smutnych młodzieńców apostołów, bądź w czeredzie pijanego kozactwa, zjeżdżającego na przeprowadzenie śledztwa, więc na katowanie mużyków, gwałcenie kobiet i niszczenie dobytku, Nihilizm był za panowania Aleksandra II czemś, co Synod wyklinał, a stawiał ponad Pugaczewem i Griszką Otrepiewym, co sen spędzało z powiek gubernatorom, co było widmem, snującem się, mimo potrojone straże, po komnatach cesarskich rezydencyj.

Wogóle, w granicach Państwa Rosyjskiego, trudno było zdać sobie sprawę z tego, czem był w pełni owych teoryj ów straszny nihilizm. Prasa o nihiliźmie milczała, poprzestając na ogólnikowem notowaniu wyroków, o ile takie zdarzały się, no i nie mówiąc nic o rozprawach sądowych, gdyż te, wobec cesarskiego ukazu o jawności sądów... odbywały się przy drzwiach zamkniętych, policya nie

zdradzała tajemnicy nihilizmu, bo ta była przedmiotem opieki trzeciego oddziału kancelaryi Jego Cesarskiej Mości, więc zwykli pachołkowie nie umieli nawet odróżnić grubego zwierza od pospolitych szaraków i, dla pewności, denuncyowali pierwszego z brzegu, a o nihilizm pomawiali każdego posiadacza okularów, żandarmerya zaś z prokuratoryą milczała zawzięcie. Prawda, pozostawały rodziny nihilistów, pozostawali bracia, siostry i krewni tych, których poraził nihilizm, lecz z tymi dogadać się było trudno. Nadewszystko bowiem najbliżsi nihilisty wyrzekali się uroczyście parszywej owcy, a jeżeli i nie wyrażali wprost tak prawomyślnego oburzenia i nie unikali zwierzeń, to zamykali szczelnie drzwi i okna i rozpowiadali rzeczy wprost naiwne.

— Aleksy, panie — zwierzał się szeptem siwowłosy ojciec — był chłopcem cichym, spokojnym, nieśmiałym. Z medalem skończył gimnazyum, a drugi kurs prawa zdał z odznaczeniem, całemi nocami nad książkami ślęczał. Na zabawę, na jakąś hulankę ani krokiem. Z uniwersytetu szedł na korepetycye, miał ich coś pięć. Grosza nie kosztował, jeszcze pomógł w domowych wydatkach. A jak mu zbywało, to kupował książki i kupował... Aż mnie coś tknęło. Co ty — mówię — z tą bibułą drukowaną?... A on — zakładamy we trzech bibliotekę! Bibliotekę dla ludu! — Jezus Marya, chłopcze, aby mi się nie wdawaj w żadne biblioteki! — Gdzie, ani się z nim dogadać. — Lud — mówi — trzeba podnieść, trzeba go wyrwać ciemnocie, dobyć

z otchłani, nauczyć go żyć!... Panie, ile godzin strawiliśmy na przekonywaniu go! Perswadowałem ja, prosiła matka... Słuchał cierpliwie, przyjmował uwagi, jeno czasem tak odpowiedział, że, choć człowiek nieukiem nie jest, a języka w gębie zapomniał... Tak trwało coś rok... Żandarmi przyszli w nocy... przewrócili do góry nogami całe mieszkanie, zabrali książki, papiery i powlekli go... Od tej chwili ani słychu... przepadł... Na nic starania, na nic prośby, skargi, protekcye... co się z nim stało, nie wiem... zginął bez śladu...

Wobec takich zwierzeń doprawdy trudno byłoby odgadnąć, na czem polegała występność nihilizmu, za panowania Aleksandra II, gdyby nie zabiegliwość Europy, która nieomieszkała zasięgnąć wiadomości u najlepszego źródła, bo wprost w trzecim oddziale kancelaryi Jego Cesarskiej Mości, no i powiadomić świat o bezecności nihilizmu.

Według tej relacyi, nihilizm był teoryą, dążącą do najpiekielniejszego, najdzikszego wywrotu, bo apostołującą nietylko zniweczenie dynastyj, tronów, kościołów, dobytków cywilizacyi, lecz zmierzającą wprost do życia stadnego pawianów, do bytowania jaskiniowców. Według tej relacyi, burzyciele wszechrosyjskiego ładu byli zarówno wrogami Rosyi, jak i wszystkiego, co do czegośkolwiek dąży, czegoś pragnie, co czuje, kocha, wielbi lub nienawidzi. Według tej relacyi, sama nazwa wskazuje, że hasłem nihilistów jest nicość, jest zaprzeczenie obowiązków, celów, węzłów społecznych, że myślą,

przewodnią tych piekielnych widm jest samobójstwo ludzkości.

Tak dokładne określenie nihilizmu rosyjskiego przez Europę spowodowało powszechne potępienie a odstręczyło od uczuć sympatyi nawet najskrajniejsze żywioły wszechświatowe. Od nihilisty odwracał się nietylko mieszczuch, kapitalista, monarchista czy ultramontanin, lecz gardził nim nawet radykał, nawet socyalista, nawet „węglarz“ włoski nawet komunista francuski, nawet niemiecki liberał, nawet międzynarodowy anarchista.

Jakoż nihilizm rosyjski został wyrzuconym za nawias prądów politycznych i społecznych, zepchniętym i potępionym raz na zawsze, poddanym prawom, przynależnym wściekłym psom, do unicestwienia których każda pięść miała przywilej, każda pałka racyę stanu, każdy środek słuszność. Stąd najwolnomyślniejsze światopoglądy europejskie, wobec nihilizmu, zaciskały zęby, stąd, jeżeli gościnna Szwajcarya nie wydawała wprost Rosyi zbiegłych wyrodków, to wszakże bardzo lojalnie trzymała ich pod dozorem policyjnym, bardzo uprzejmie zezwalała na funkcyonowanie w granicach Związku kantonów urzędu tajnej żandarmeryi rosyjskiej, stąd najskrupulatniej powiadamiała trzeci oddział kancelaryi Jego Cesarskiej Mości o wszystkiem, co od emigrantów-nihilistów zdołała usłyszeć, podpatrzeć, wykryć. No i stąd trzeci oddział kancelaryi Jego Cesarskiej Mości po łokcie zakasał rękawy dla zdławienia nihilizmu i wieszał, morzył głodem, raził suchotami lochów, sybirskiemi chorobami ni-

weczył, „wieczną katorgą“ karał, a więzienie, knuty i kajdany miał zawsze dla kroci.

Lecz czy te zabiegi i energia trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości były za słabe czy rozmiar „zarazy“ aż tak strasznym, dość, że walka z nihilizmem ani nie zapowiadała rychłego zwycięstwa prawomyślności rosyjskiej ani nihilizmowi nie ubywało sił... ba, przybywało raczej. — Zanim żandarmerya zdołała zburzyć jedno tajne stowarzyszenie, już dziesięć innych wszczynało minową robotę, zanim pochwycono a rozprawiono się z jednym prowodyrem, zanim zgaszono jedno zarzewie występnego ruchu już dziesięć łun znaczyło nowe pożary.

Wszechmogący hrabia Szuwałow, naczelnik trzeciego oddziału, a faktyczny, za panowania Aleksandra II, „Aleksander III“ — zębami zgrzytał, obstawiał granice Rosyi coraz to gęstszemi strażami na udaremnienie wwozu zakazanej literatury a mimo to co dnia furami zwożono do urzędów żandarmeryi skonfiskowane wydawnictwa; hrabia Szuwałow niczego nie zaniedbał, potroił liczbę szpiegów, otoczył nimi nie tylko podejrzanych ale i takich, którzy mogliby stać się podejrzanymi, zaprowadził najskrupulatniejszą kontrolę sumienia każdej istoty, każdej duszy żywej, przedsiębrał wraz z Synodem rozległą propagandę prawosławia, przy pomocy hrabiny Błudow i cesarzowej ścigał najlżejszy objaw bezklerykalizmu, nawracał batem na łono cerkwi Unitów i Łotyszów, obsadzał wszystkie placówki społeczne generałami, każdego studenta uważał

zawsze za politycznego przestępcę a wraz z ministrem oświaty Tołstojem uzależniał rozkwit państwa rosyjskiego od ilości „donosów“. A przecież, mimo te wysiłki faworyta cesarskiego, mimo najwyrafinowańsze zakazy, mimo nieubłaganą w walce z nihilizmem zawziętość, mimo zwalenie na głowę nihilizmu wszystkich obuchów państwowych, religijnych i społecznych ten potwór wszechnegacyi i żył i mnożył się i nawet coraz śmielej kły szczerzył.

Aż na początku roku 1877, a więc w przededniu historycznej chwili, gdy cesarz Aleksander II. gotował się do stanowczej rozprawy z Turcyą, nihilizm nowym płomieniem buchnął i już ważył się na otwartą manifestacyę na placu Kazańskim...

To oczywiste wzmożenie się nihilizmu rozstrzygnęło o losach Słowian bałkańskich... Wojna bowiem z Turcyą była niezawodną klapą bezpieczeństwa, zdolną dać ujście nagromadzonym miazmatom i wzmocnić ducha narodowego i myśl społeczną przejąć porywami o walce za wolność pobratymczych ludów, no i znów zaokrąglić granice Rosyi.

Jakoż Aleksander II. nie wahał się dłużej i zerwał ostatnie nici pokojowego pośrednictwa... i klapa bezpieczeństwa zaczęła działać...

Więc krnąbrne duchy zaszywano w mundury i słano na kule tureckich armat, więc całą Rosyę zasiano patetycznemi odezwami o „świętości“ podjętej wojny, o jej „chrześcijańskim“ celu, o wielkoduszności cesarskiej, która już dłużej znieść nie może, aby barbarzyński Turek śmiał wygrażać Sło-

wianinowi, o tem, jak to czciciele półksiężyca znikną pod czapkami rosyjskich żołnierzy, a jak to krzyż Chrystusowy znów dźwignie swe ramiona nad Bosforem. No, a równocześnie z podwójnym zapałem załatwiano się z nihilistami. Proces szedł za procesem, aresztowania nie ustawały i dochodziły do tak potwornych rozmiarów, że ledwie odgłos zajadłej kanonady na Bałkanach, że ledwie echo krwawych bitew zdołało odwracać uszy poddanych cesarza Wszechrosyi od jęków, idących z murów więzień politycznych. Toć dla uformowania jednego procesu 193 uwięziono półtora tysiąca osób a z tych około stu wysłano dla braku winy na pole bitwy...

Jakoż na progu roku 1878 zdawało się, iż tron Holstein-Gottorpów już na całe stulecia zdołał utrwalić się w posadach, iż na kilka pokoleń starczy mu nimbu, majestatu i tradycyi, gdy naraz wieści hiobowe uderzyły z taką siłą w czapkę Monomacha, że ta, wobec świetności zwycięstwa nad Turkami, ledwie utrzymać się mogła na głowie Aleksandra II. Wieści te były tem gorsze, że niespodziewane, bo choć wprawdzie opinia rosyjska była zaprawioną zdawna do faktu, że warunkiem zwycięstwa rosyjskiego jest przegrywanie bitew, a miarą zdolności i męstwa prawosławnego wodza jest tak głęboka rachuba, żeby na jednego nieprzyjaciela mieć dwudziestu gotowych na zarżnięcie sołdatów, te atoli wieści, które nadchodzić zaczęły z pola walki przeszły wszystko, co pesymizm natury rosyjskiej wyobrazić sobie zdołał. Bo, że wojna turecka miała swoje tekturowe buty i swoich zło-

dziei w osobach generalnych dostawców armii Khona i Horowitza, no toć była to okoliczność najmniej zastanowienia godna w państwie, w którem od wieków suma dozwolonej kradzieży normowana była rangą; również i nie to było hiobową wieścią, że tysiące żołnierzy marło z tyfusu głodowego, że rozmaici Totlebeny, Krüdnery, Skoblewy i Hurkowie pędzili mrowie ludu bez planu i rozumu na zatkanie własnemi trzewiami tureckich kartaczownic, lecz wieścią hiobową były słuchy o tem, że już nie Hurko jakiś zarabiał na dostawach, lecz, że brat cesarski, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz kradł i nie to, że pod Plewną legło, z przyczyny niedołęstwa wodzów, kilkadziesiąt tysięcy żołnierzów, lecz, że brat cesarski wielki książę Mikołaj Mikołajewicz Plewnę od Osmana baszy kupił.

Daremnie te wieści chciano zagłuszyć fanfarami, że Hurko już idzie na Konstantynopol, że krzyż Chrystusowy zwyciężył półksiężyca, że miljony uwolnionych pobratymców łzami wita rycerzów cara „oswobodziciela“, poszmer wzrastał, potężniał. I, zanim układ w San-Stefano zdołano podpisać, zanim Aleksander II. pojął, ile zwycięstwo nad Turkami zadało mu klęsk — Rosya już zawyła.

I Rosya wybuchnęłaby płomieniem rewolucyi, wpadłaby w spazmy komuny, a we krwi własne wypławiła serce... ale Rosya nie miała serca... To jej serce unicestwił niegdy Piotr I., przeniósł na fińskie błota i tam je na miazgę zgniłą stoczył.

Tak, gdyby Rosya miała w roku 1878 serce, to serce drgnęłoby, trysnęło ogniem poczucia obywa-

telskiego, wzięłoby porachunek za ogrom niegodziwości, za ogrom państwowych zbrodni!

Rosya wszakże była już tylko glizdą, tylko utuczonym zaborami, bezkościstym pędrakiem, była wieżą Babel ludów, religij, sprzecznych dążności, miała nie jedną, lecz cały dziesiątek stolic, miała carów, gotowych równie godnie wydawać ukazy w Petersburgu, jak i w Moskwie, w Warszawie jak i w Wilnie, w Kazaniu jak i w Tyflisie, w Kijowie jak i w Nowgorodzie.

Rosya była już od stuleci ślimakiem.

I Rosya w swej najlepszej, niezgangrenowanej części drgnęła i osunęła się w odmęt fantastycznych rojeń o odrodzeniu przez doktrynerstwo Marksa, przez anarchizm Bakunina, przez ideowość Hercena, przez ziszczenie tego wszystkiego, co jeszcze na zachodzie było nieujętą mgławicą, z czem najbardziej oświecone kraje nie zdołały się oswoić, czego nie zdołały wcielić.

A przecież zdawało się Aleksandrowi II., że właśnie rok 1878 zaczyna się pod dobrą wróżbą. Toć właśnie na ostatnie miesiące roku 1877 przybył Petersburgowi działacz nad działacze w osobie naczelnika miasta, generała Trepowa, toć właśnie teraz żandarmerya znalazła w Trepowie upragnionego sojusznika, który Petersburg w żelazne łańcuchy ujął a z kańczugiem w ręku śledził uderzenie pulsu każdego mieszkańca. A gdy nadto na styczeń 1878 roku wygotowano epilog procesu studziewięćdziesięciu trzech, tedy wróżono sobie, że

pokój zwycięzki z Turcyą zejdzie się z wytępieniem nihilizmu.

Aliści rezultat procesu zawiódł, bo, pomimo całej dobrej woli sędziów, z całej gromady oskarżonych zdołano skazać na katorgę trzynastu. Nadto, proces ten, miast zohydzić nihilizm najniespodziewaniej zwrócił się przeciw oskarżycielom, bo ujawnił torturowanie i znęcanie się nad więźniami a równocześnie podniósł ich na stanowisko męczenników myśli.

Wyrok ten oburzył sfery rządzące i wywołał gwałtowne rugi w sądownictwie a dla uwolnionych nihilistów zakończył się zesłaniem bez sądu... Lecz wyrok ten zeszedł się już z zamachem Wiery Zasulicz na znienawidzonego Trepowa i znalazł potężne echo w uwolnieniu tejże Wiery Zasulicz przez sąd przysięgłych... Żandarmi osłupieli... Cesarz Aleksander II, na ten oczywisty dowód korrupcyi... nakazał ponowne uwięzienie uniewinnionej... Ale Wiera Zasulicz, w porę ostrzeżona, uszła za granicę. Na domiar te wypadki wywołały szereg otwartych demonstracyj ulicznych. Śmierć jakiegoś za gorliwie badanego nihilisty, jak naprzykład, Padlewskiego, wywołała zaburzenia na pogrzebie, zamach Zasuliczówny, uwolnienie jej, śmierć Sidorackiego, powieszenie w Odessie Kowalskiego stawały się okazyą do tłumnych protestów młodzieży a, co za tem idzie, rozpraw z wojskiem, śledztw, procesów i przepełnienia więzień politycznych.

Cesarz podczas, idąc za porywem swego liberalizmu zmieniał ministrów, wypędzał dostojników,

a szukał wokół ludzi zdolnych zdławić hydrę nihilizmu a wytępić radykalnie wszelkie „wolnodumje“. A ponieważ Aleksander II wierzył święcie w swoją własną nadludzkość i nadwspaniałomyślność, przeto, czując się winnym pobłażliwości i wyrozumiałości, zaciskał powrozy, wyjmował z pod prawa politycznych przestępców, zausznikom znów udzielał mocy życia i śmierci nad milionami, mówił zresztą po dawnemu o konstytucyi i z rozradowaniem wczytywał się w raporty Mezencewa o wysłaniu nowej gromady nihilistów do Nerczyńska. Tak, bo od roku 1877 oczkiem w głowie cesarza-oswobodziciela był Mezencew, który zajął stanowisko naczelnika trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości po Szuwałowie.

Prawda, że właśnie na rządy Mezencewa przypadł czas wzmożenia się nihilizmu, lecz był to, według przekonania cesarza a nawet bogobojnej cesarzowej, rezultat nie dość natężonej energii Szuwałowa a poniekąd i niefortunnej dobroci samowładcy. Mezencew oddawna już akcentował potrzebę silnego ramienia i bywał niem zawsze, o ile Szuwałow nie pokrzyżował mu planów.

I Mezencew nie zawiódł nadziei cesarza, bo i w lot zgadywał zamysły monarchy. Więc gdy sądy objawiły tylko swą lekkomyślną wyrozumiałość, Mezencew, uprzedzając ukaz cesarski o wyjęciu spraw politycznych z pod kompetencyi sądownictwa cywilnego, już umiał tak pokierować losem więźniów, że ci bez wyroków i kodeksu schodzili na katorżników.

Zresztą Mezencew był nie tylko zawziętym, ale i logicznym, rozumiał potrzebę nieubłaganej surowości ale i rad był unikać wytwarzania bezcelowych męczenników. Stąd jednym z pierwszych jego kroków było opróżnienie więzień politycznych. A zadanie to było nielada, dotychczasowa bowiem działalność trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości odpowiadała jakby celowi jakiejś komisyi konskrypcyjnej, zniewolonej do wypełnienia całkowitego listy potrzebnego rekruta. Dotychczas dążeniem żandarmeryi było zaludnić cele więzienne a dalej pozostawić los więźniów czasowi, na lata rozłożonej „pierepisce“ no i śmiertelności. Dotychczas każdy podejrzany musiał być uwięzionym, każdy uwięziony był winnym, każdy winny pokutować musiał do chwili, gdy przypadek lub śmierć nie dobyła go z kajdan. Taki system był zły, bo właśnie doprowadzał do tego, że sądy państwowe co chwila zwalniały przestępców, bacząc że ci już całe lata śledztwa odprawili w więzieniu, bo też same śledztwa wykrywały w ostatku niesłuszność podejrzenia i niewinność oskarżonego, bo wszystko to powodowało interwencye rozmaitych dostojników, szukanie wpływów u dworu dla uwolnienia uwięzionego i niewiarę ogółu w winę politycznego przestępcy.

Mezencew postanowił stosunki te uzdrowić i działalność więzień śledczych zreformować. Jakoż, na początku roku 1878, wszystkie więzienia petersburskie... zmieniły raptownie pensyonarzy a petersburski zarząd deportacyjny miał tyle pracy, co za

najlepszych czasów „uśmierzenia“ powstania polskiego. „Starzy“ pensyonarze lochów i kazamat rozproszyli się po świecie, a raczej, ponieważ Mezencew nie bardzo przychylał się do uwierzenia w niewinność aresztantów, rozproszyli się po jurtach jakuckich i kamczadalskich.

To opróżnienie więzień naturalnie nie wpłynęło na zmniejszenie liczby potępieńców Piotropawłowska lub Szlisselburga. Wypadki z jednej strony, a czujność żandarmeryi z drugiej, umiały utrzymać w mierze etaty porcyj więziennych. Ba i to opróżnienie wymagało nielada zabiegów i nielada pracy, bo nic jeszcze, gdy szło o rozstrzygnięcie losu jakiegoś podejrzanego lub o zdecydowanie o życiu winnego, czy choćby uwikłanego w sprawę, wówczas Mezencewowi nie brakło determinacyi. Jednem pociągnięciem pióra rozstrzygał, kierując się zawsze tą zasadą, że lepiej, aby niewinny posiedział w karnym zakładzie rok dłużej, niżby winny miał uniknąć bodaj dnia jednego.

Lecz i przy tym radykalnym systemie sprawiedliwości bywały zagmatwania, z których i sam Mezencew nie mógł się dobyć. Przy rewizyi więzień znajdywano bowiem i takich zbrodniarzów politycznych, którzy już nietylko przestępstwa swego nie pamiętali, ale i własnych zapomnieli nazwisk... no a o których w archiwum nie było ani śladu, krom notatki, że „numer“ ten i ten został przed tylu a tylu laty uwięziony „do dyspozycyi trzeciego oddziału kancelaryi Jego Cesarskiej Mości“...

Prawda, z tymi znów nie było kłopotu, co do

wyrokowania o ich doli, bo ci wprost deklarowali się na dom waryatów i kaftan bezpieczeństwa, ale wzamian trzeba było już nietylko tworzyć rzekome akty śledcze, lecz nawet i nazwiska nadawać.

Po pięciu miesiącach wytężonej pracy, gdy Mezencew zdołał nakoniec doprowadzić do porządku więzienia śledcze — naraz jeszcze jeden „nieznany" więzień zamącił spokój naczelnikowi trzeciego oddziału. Mezencew, w pierwszej chwili, był tak tą nową „znajdą" zirytowany, że, na przedstawionym sobie, raporcie komendanta Piotropawłowskiej fortecy, zadekretował „do waryatów". Ale, rzuciwszy okiem na raport i znalazłszy adnotacyę komisyi, że aresztant jest zdrów na umyśle, przekreślił „decyzyę" i nakazał śledztwo.

Śledztwo, pomimo poszukiwań, nie znalazło ani śladu w archiwum o osobie więźnia. I stąd, prowadzący to śledztwo, naczelnik aresztanckiego oddziału fortecy, sztabs-kapitan Degajew, wygotował obszerny protokół o tem, że numer 215, nazywający się Kibalczycem, studentem medyko-chirurgicznej akademii, zeznaje, iż był aresztowanym przed trzema laty dla niewiadomej mu przyczyny, oraz że pochodzi z Nieżyna, gdzie ojciec jego jest popem i że ów rzekomy Kibalczyc wypomina, jakoby znalezione u niego książki zakazane były nie jego własnością, bo on wogóle żadnych zakazanych książek nie posiadał.

Ten protokół w kancelaryi trzeciego oddziału znalazł tyle raptem potwierdzenia, że numer 215 był transportowanym do Kijowa na konfrontacye

z „południowcami", lecz bezcelowo, oraz, że istotnie z Nieżyna przyszło przed dwoma laty podanie jakiegoś popa z zapytaniem, co dzieje się z jego synem. Był to słaby promień, lecz od tego była kancelarya, aby po nitce dojść do kłębka. Wystosowano tedy wezwanie do naczelnika czernichowskiej gubernialnej żandarmeryi. Odpowiedź nadeszła w kilka tygodni. Według tej odpowiedzi, przed kilku laty był istotnie przy cerkwi Zbawiciela, w Nieżynie, proboszczem pop, Iwan Iwanowicz Kibalczyc, lecz ten został zasuspendowanym z uwagi na to, że miał syna, który oskarżonym został o propagandę nihilistyczną wśród włościan, a przed kilku miesiącami umarł, w tydzień po śmierci żony. Innego zaś popa tego nazwiska w całym obrębie gubernii czernihowskiej, według urzędowego wykazu, „nie posiada się".

Odpowiedź ta, choć trudna do zrozumienia, kto umarł właściwie, czy pop, czy syn popa, uznaną została za wystarczającą.

Szef żandarmów, Drenteln, bowiem zrobił na marginesie odpowiedni nadpis — „okazuje się, że syn popa, Kibalczyc, nie ma żadnego związku z numerem 215" — przyczem słowo u m a r ł podkreślił niebieskim ołówkiem i odesłał akta do dyspozycyi Mezencewa.

Mezencew targnął ze złością poszytem akt, a spostrzegłszy w odpowiedzi czernichowskiego naczelnika słowa: „o propagandę" — podkreślił je czerwonym ołówkiem i zadecydował: „oddać pod sąd za propagandę".

To postanowienie Mezencewa, załatwiające ostatnią kwestyę „znajdy“ i powodujące najpoddańszy raport o uporządkowaniu wszystkich zaległości, pozostawionych przez generała Szuwałowa, przeistoczyło się dla trzeciego oddziału własnej Jego Cesarskiej Mości kancelaryi w najwyższe „Bóg zapłać“, dla „znajdy“ atoli stało się bezpośrednią przyczyną przewrotu życiowego.

Ów „znajda“ dotychczas, poza podróżą odbytą do więzienia kijowskiego i kilku konfrontacyami z jakimiś obcymi mu ludźmi, pędził życie bardzo systematyczne, a raczej wyróżniające się systematycznością nawet pośród obowiązkowej karności kazamatów. Z początku burzył się, udawał chorego, kaszlał wrzaskliwie, upominał się o adwokata, próbował rozmowy wszczynać z dozorcami i szyldwachami, a trzy dni na tydzień odsiadywał „chłodną“ celę za krnąbrność, aż raptem uspokoił się, umilkł i na takiego baranka się wypromował, że, choć Fedia, przy rewizyi tygodniowej, lubiał, za lada grymasem, więźnia do porządku doprowadzać, temu „znajdzie“ nie mógł nic zarzucić. Ta pokora „znajdy“ aż przyczyniła mu nagrodę, bo gdy, po roku dobrego sprawowania, wizytował więzienie Szuwałow, w towarzystwie jakichś dwóch senatorów, „znajda“ za potulną postawę wobec dostojników, otrzymał prawo czytania książek, czyli, że od tego dnia, trzy razy na tydzień dawano mu na zmianę raz jakąś gramatykę angielską a raz tom chemii. Ponieważ całe dwa lata dawano znajdzie jedne i też same dwie książki, tedy należałoby przypuszczać, iż aresztant

już się niemi nasycił i że poprosi o inne. Znajda wszakże ani poważył się odezwać i z tą samą flegmą zatapiał się w przyniesioną mu po raz niewiadomo który chemię, z jaką szedł za szyldwachem na dziesięciominutowy spacer po podwórzu fortecznem, lub z jaką dźwigał za dozorcą własną „paraszę".

Postanowienie Mezencewa w okamgnieniu zakłóciło ład „znajdzie" i zakłóciło go tak raptownie, że gdy numerowi 215 zapowiedziano wizytę towarzysza prokuratora i rychłą rozprawę sądową ten raczej zasmucił się niż ucieszył. Nawet horoskop dozorcy o tem, że sprawa nie musi być ciężka, skoro nie prokurator, lecz towarzysz jego rzecz prowadzi, nie rozradowała znajdę.

Dozorca zdziwił się tej obojętności.

— Sam nie wiesz, czego chcesz. Na sąd cię biorą, no to znaczy, wyjdziesz na świat...

— Uch tam! — mruknął znajda. — Daliby ot odrazu w mordę i zostawiliby w spokoju.

To oświadczenie oburzyło dozorcę.

— Ach wy i naród niegodziwy! Jeno któremu postronka ulżyj a już jemu bunt w głowie!

Dozorca snać był człowiekiem, znającym wskroś psychologiję aresztancką, bo słowa jego niebawem znalazły potwierdzenie. „Znajda" — „baranek" — zanim sądu się doczekał, już naraził się towarzyszowi prokuratora i obciążył swą winę przymiotnikiem „hardy".

Rzecz miała się tak. Gdy, coś we dwa tygodnie po decyzyi Mezencewa, towarzysz prokuratora zjechał do fortecy dla zbadania „znajdy" —

ten ostatni, zaledwie wyjąkał, że nazywa się Mikołajem Iwanowiczem Kibalczycem, wpatrzył się rozgorączkowanymi oczyma w pogodną, wygoloną twarz towarzysza prokuratora i wykrzyknął ze zdumieniem:

— Murawiew — szczotka!

Towarzysz prokuratora poczerwieniał i napomniał surowo:

— Milczeć, odpowiadać na pytania!

Lecz Kibalczyc, miast poddać się napomnieniom, bąknął z wyrzutem.

— Kola, Kola, co ty zamyśliłeś!

Towarzysz prokuratora przerwał badanie, Kibalczyca wzięto do „chłodnej", no i wniosek obrońcy kodeksu karnego z sześciu miesięcy więzienia podskoczył na dziewięć. A ponieważ władza z tego powodu otrzymała wymówkę, że widocznie ktoś poucza aresztantów o nazwiskach dygnitarzów sądowych i naraża ich tem samem na podobne ubliżające zwracanie się do nich po nazwisku — przeto Kibalczyca z „chłodnej" wzięto na „rozgrzanie" do „sukiennego" pokoju i znów na ostudzenie zamknięto w „chłodnej".

Ale i ta nauka nie zdołała poskromić w Kibalczycu licha, które się w nim odezwało, bo, gdy, po kilku dniach pobytu w „chłodnej", dozorca przyszedł, aby go wyprowadzić, Kibalczyc ani chciał ruszyć się z barłoga. Dozorca zaklął siarczyście, zatrzasnął drzwi lochu i zaraportował dyżurnemu, że numer 215 z krnąbrnego przeistoczył się w „bujnego".

Dyżurny ze swej strony uwiadomił kancelaryę

więzienną. Po kilku dniach kancelarya zadecydowała — „wachmistrz Suczkow roztoczy opiekę“.

Opieka wachmistrza Suczkowa trwała krótko, po trzech dniach bowiem zawiadomiono znów kancelaryę, że numer 215 jest chory. Kancelarya wysłała kartkę do starszego felczera. Felczer zjawił się nazajutrz, rzucił okiem na wyciągniętego na pryczy Kibalczyca i nawrócił do kancelaryi.

Tym razem raport musiał być dosadny, bo w godzinę sam naczelnik aresztanckiego oddziału zjawił się w celi i, pomstując na dozorcę, kazał nieść Kibalczyca do szpitala.

Dozorca wystraszył się.

— Zdrów był, proszę waszej wielmożności, niech wachmistrz Suczkow...

— Był zdrów a jest chory. Sto razy uczyłem was, bałwanów, żeby mi chorych w celach nie trzymać. Jest od tego szpital, żeby zdychali... Tyś był dyżurnym?... Trzy dni aresztu.

Ten wybuch sprawiedliwego gniewu sprawiłby niezawodnie wielkie zadowolenie Kibalczycowi, gdyby nie okoliczność, że w chwili kiedy go dźwigano do szpitala przedstawiał stężałą, siną a na poły obumarłą masę.

Stąd nie danem było Kibalczycowi zaznać rozradowania, z jaką pieczołowitością ułożono go na łóżku w wielkiej, sklepionej izbie, ani widzieć, jak pilnie i w obecności naczelnika badał go lekarz forteczny, radca von Egert.

A naczelnik doprawdy był zaniepokojony cho-

robą Kibalczyca, bo ledwie lekarz za puls ujął więźnia, zagadnął niespokojnie.

— Jakże? Jakże?

Radca wzruszył ramionami i wskazał obojętnie na posiniaczone ciało chorego.

— Może wytrzyma — bywali gorsi!

— Czort ich bierz! Ale wy mu tam dajcie czegoś... Żeby choć jaki znaczny... choć byłoby wiadomo o co! A tu półidyota — awantura nie warta świeczki.

— Nu, ja! — mruknął z niemiecka medyk — lecz takich cherlaków wy byście kazali batem... Bat to nie pięść!...

Naczelnik jął pomstować na dozorców. Lekarz tymczasem opatrzył Kibalczyca, zaordynował mu jakieś gojące okłady i przeciwgorączkowe lekarstwa i, wypisawszy na tablicy, zawieszonej u wezgłowia „febris intermittens" — zakonkludował przyjaźnie:

— Nu ja, Iwan Iwanowicz, co można to się zrobi... Główna rzecz, żeby go trochę wygoić — a potem, to wam chyba wszystko jedno... na febrę każdy może umrzeć!

Lecz snać Kibalczyc, raz wpadłszy w pasyę buntowania się, i tu jeszcze na przekór postanowił iść, bo po kilku dniach odzyskał przytomność, ale równocześnie ani myślał „goić się..." Sińce bowiem i krwawe strupy, którymi pokryta była twarz, ręce i piersi Kibalczyca, zamieniły się w czarne ropiejące rany i rany tak trudne do zasklepienia, że

doktór von Egert co dnia gorzej przymawiał pacyentowi:

— Ty, szelma, ty masz parszywe ciało... ty jesteś robaczywy!

Kibalczyc nie odpowiadał zazwyczaj na przymówki — aż raz dotknięty mocniej, odparł.

— Ot, nie wygadywalibyście, widzicie, że mnie nietylko poranili ale i rany zanieczyścili!

— Kto ci to powiedział! Głupi jesteś.

— Widzę przecież...

Von Egert uniósł się.

— Co ty jesteś! Kto ty jesteś!?

— Mikołaj Iwanowicz Kibalczyc, student trzeciego kursu medyko-chirurgicznej akademii — odrzekł spokojnie więzień.

Von Egertowi oczy pozieleniały.

— *Du, du verfluchter... Kerl, du bist ein Nihilist, ein „niegodiaj", ein „durak"!* Ja ci czterdzieści batów każę dać! Ja ciebie na Sybir poślę! Ty u mnie świata Bożego nie zobaczysz!...

Kibalczyc skrzywił się pogardliwie i bąknął.

— Uch i Niemiec rozżarty!

Von Egert porwał za czapkę i wybiegł z izby.

Felczer, który był obecny tej scenie — zgromił Kibalczyca.

— Co wam z nim jeszcze zaczynać! Ot do naczelnika poleciał. I swego nie daruje. I rozparzą was, że ani, ani...

— Niech tam! Powiesiliby raz i byłby spokój!

Ledwie Kibalczyc wyjąkał te słowa, do izby

wpadł, jak kula naczelnik więzienia, skinął na felczera, aby się oddalił i zbliżył się do Kibalczyca.

— Mało wam jeszcze! Nie dość jeszcze!? — ozwał się stłumionym głosem naczelnik. — Doktorowi nawet, który wami się opiekuje nie dajecie spokoju!?

Kibalczyc, na widok zachmurzonej twarzy naczelnika, naciągnął kołdrę nerwowo i wpił oczy w róg łóżka.

— Zastanówcie się! Ot tydzień temu szaleństwo was napadło — potłukliście się, pomasakrowali, że żal patrzeć, coście ze sobą zrobili!

— Ja? — szepnął Kibalczyc.

— Któżby, toć ludzie widzieli...

— Widzieli! — przytwierdził więzień.

— A ja z wami poczciwie. Wam na sąd już za trzy tygodnie! Wam czas się uspokoić, myśli zebrać, aby głupstwem sobie nie zaszkodzić! Wam trzeba się skupić w sobie, a nie jak pierwszy lepszy łobuz „naczalstwo" zaczepiać! Toć wy student, wam trzeba, jak studentowi, a nie jak włóczędze! No już nie dokazujcie! Chcecie książek? Chcecie papierosów? Przyślę wam i papierosy i książki! Gdzie wasza porcya? Aha, mieliście dziś mleko — no a jutro będziecie mieli kotlet cielęcy na maśle i pół butelki piwa! Tylko nie róbcie awantur! Wszak ci trzeba, abyście się jako tako sprezentowali sądowi — a nie potworem mu się jawili! Chcecie, aby z wami serdecznie się obchodzili, to i wam trzeba zgodnie, grzecznie, boć wy przecież człowiek i wychowany i inteligentny a nie

żaden prostak! No, no, panie Kibalczyc, wasza sprawa, dobra sprawa, od was zależy, aby się po Bożemu wydostać... aby odpokutować poczciwie i na zacnego obywatela wyjść!

Kibalczyc wybuchnął dzikim śmiechem.

— Ot i z Degajewem razem!

Naczelnik ściągnął brwi.

— Daję wam dzień do namysłu — jeżeli zaś jeszcze o jednej waszej krnąbrności się dowiem, — to za tydzień będziecie uznani za furjata i przetranzlokowani do domu waryatów.

Po tej rozmowie, Kibalczyc wpadł w paroksyzm gorączki i tak silnej, że przez trzy dni z rzędu ani oka nie dał zmrużyć swemu dozorcy. Dopiero na czwarty dzień odzyskał przytomność, lecz był tak wyczerpany, tak osłabiony, że ledwie mógł się poruszyć na łóżku.

Dozorca z całą wyrozumiałością doglądał Kibalczyca, poprzestając na wygłaszaniu długich a zawiłych peror, które więzień przyjmował z całym spokojem, ileże nic a nic z nich nie rozumiał.

To milczenie Kibalczyca ujęło dozorcę i uczyniło go jeszcze wyrozumialszym i zgoła przyjacielskim.

— Ja was znam, utrapieńców, — dwadzieścia lat około was chodzę. Między wami nie ma statku, nie ma ludzkiego zastanowienia... tylko albo „bujstwo“ albo potulność... no i jedno po drugiem na zmianę... Tyś przeszedł już przez drugie „bujstwo“ ...i, na chwałę Wszechmocnego, szczęśliwie... ale

trzeciego się strzeż, bratku, bo cię zatchnie w mózgu tak, że nie pociągniesz!

Na to wyznanie Kibalczyc uniósł się na łóżku i ujął kurczowo dozorcę za ramię.

— Słuchaj, czyś i ty także waryat?

Dozorca przeżegnał się.

— Co ty, zdechlaku nihilistyczny, breszesz?

Kibalczyc potarł czoło, rozejrzał się po izbie i osunął się na poduszki.

Od tej pory — dozorca przybrał względem Kibalczyca wyniosło imponującą postawę i poprzestawał na lakonicznych i nieuniknionych odezwaniach a raczej rozkazach.

Lecz Kibalczyc istotnie musiał odprawić owo „bujstwo“, gdyż spotulniał i machinalnie nieomal był posłusznym każdemu skinieniu dozorcy.

Starczyło, aby ten ostatni bąknął „zupa“, — by Kibalczyc w oka mgnieniu sięgnął po drewnianą łyżkę i zabrał się do połykania polewki mlecznej. Starczyło, aby dozorca zakomenderował — „obróć się i śpij“ — aby chory automatyczny ruch wykonał i zmrużył kornie powieki.

Ale dozorca wziął na ambit i nie dał się wzruszyć uległością, w czem szedł o lepsze z doktorem von Egertem, który, od czasu wspomnianego zajścia, konsultacye swoje odprawiał na modłę dwuminutowej inspekcyi całego szpitala.

Pomimo tych bynajmniej niepomyślnych warunków, Kibalczyc zaczął szybko do sił przychodzić i nawet „goić się“ i zabliźniać. Jakoż ta lojalność nie uszła uwagi zwierzchności, bo, zaledwie

dwa dni upłynęło od chwili podniesienia się Kibalczyca z łóżka, już dozorca w południe rozstawił przed nim szpitalne „menażki“ i rozkazał surowo:

— Jedz kotlet na maśle!

Dnia następnego, do kotleta przybyła jakaś gruba, pożółkła książka i napomnienie dozorcy „Masz czytać!“

Aż nareszcie pewnego popołudnia dozorca przyniósł Kibalczycowi pudełko papierosów, paczkę zapałek i mruknął.

— Pal!

Więzień bez wahania sięgnął po papierosa i zaczął ćmić z takim zapałem, że w parę minut już dwa wypalił i po trzeciego sięgnął.

Dozorca, który podczas zezował z podełba na Kibalczyca, splunął raz i drugi z odrazą i wybuchnął.

— Uch i prosię niesmażone...

Więzień spojrzał niespokojnie na dozorcę.

— I co ślepie trzeszczysz! Nie wiesz, że twoje psie prawo bliźniego uraczyć!...

Kibalczyc podsunął papierosy dozorcy. Ten zagarnął garścią cztery papierosy, wsunął w zanadrze, a piątego zapalił.

— A co, widzisz, nie smarują cię miodem! Skarbowe papierosy dają, skarbowe kotlety na maśle skwarzą i cóż, choćby taki wdzięczności za grosz miał...

— Ja, owszem, ja bardzo! — szepnął więzień, krztusząc się dymem.

Dozorca skrzywił się pogardliwie.

— Znam ja wasze „i owszem...“ Póki pięść czujesz, póki woli nie masz, póki „naczalstwo“ w garści cię trzyma, pótyś baranek — a niech cię tylko puszczą, już ci myrdniesz carowi batiuszce się buntować a swoje nihilistyczne gałgaństwo czynić! Znam ja was! Wiadomo, siedzi taki i cóż myśli, aby zbrodni narobić i gorszym łotrem do więzienia wrócić! A co, może nie prawda?

— Co wy tam!

— Tiereti — tiereti! Turkaj sobie zdrów — a starego nie oturkasz! Mówili w kancelaryi, że najwyżej pół roku dostaniesz w sądzie i że cię puszczą! No i cóż zrobisz! A no, za drugie półroku, za rok, na nowe zapracujesz! Na lepsze zapracujesz!

— Cóż znowu! Więc myślicie może...

— Ja myślę, żeś ty jest zakamieniały nihilist, wróg cara i Pana Boga!

— No i tam jeszcze co!

— Kręcisz teraz, a czemuś carowi do żywego zaszedł...

— Człowieku, skądże ja!?

— Może nie? A za cóż cię trzymają, za co w mordę biją! Myślisz, że u nas to tak sobie? U nas takich duszą za batiuszkę białego gołąbka, za bezbożność kryminalną, za bluźnierstwo, nu i za polityczność. I nie kurcz gęby, bo od ciebie polityczność aże śmierdzi! Mówię, nie kurcz, bo przez łeb zdzielę i donos zrobię! Twoje prawo słuchać, kiedy człek sercem każe!

Po tej rozmowie znów dozorca zapadł w mil-

czenie i unikał gawęd z więźniem, poprzestając na systematycznem opróżnianiu pudełka z papierosami.

Aż niespodziewanie, pewnego wieczoru, ozwał się groźnie.

— Słuchaj, numerze dwieście piętnasty! Dziś na noc przyniosą tu numer trzysta jeden... bo inne izby zajęte, no i bo tak się naczalstwu podoba. A tobie nic do tego! Ale pamiętaj, że jeżeli mi słówko do niego piśniesz... jeżeli bodaj okiem mrugniesz, to ci tak zębów poczyszczę, że moje uszanowanie! Zrozumiałeś... odpowiadaj!

— Gdzie mnie!

— Ja was znam, nieczystych... każdy z was jednym palcem potrafi drugiego na zbrodnię namówić. Lecz miej się na baczności, bo i palec przetrącę i ślepie zamroczę. Taki rozkaz! Zresztą będzie nas dwóch, jeden w dzień a drugi w nocy. A tobie nic do tego, kto tu w nocy będzie pilnował. Twoja rzecz spać i papierosy pod poduszką trzymać, bo tamtemu nic do moich papierosów!

Tego samego jeszcze wieczora ustawiono pod przeciwległą ścianą izby drugie łóżko a nadto pomiędzy łóżkami pośrodku, szeroką wyścieloną pryczę. Zaczem kilku dozorców wniosło na prześcieradle jakieś drgające a jęczące ciało ludzkie i porzuciło niedbale na łóżku.

W ślad za dozorcami, zjawił się felczer, doktór, oficer żandarmów a w ostatku i sam naczelnik więzienia.

Izba napełniła się brzękiem ostróg, stukotaniem naczyniami i zgiełkiem pomieszanych głosów.

Kibalczyc nasunął kołdrę na głowę i udawał że śpi. Nikt zresztą z przybyłych nie myślał się nim zajmować, uwagę ogólną skupiał jęczący a wijący się na łóżku człowiek.

Po chwili, jęczący przycichł raptownie. Zamęt ustał nieco.

— Podporuczniku, — rozległ się surowy głos, po którym Kibalczyc poznał Degajewa — przedstawisz raport komendantowi fortecy a Suczkowa odeślesz natychmiast na odwach!

— Według rozkazu! — odparł drugi głos.

— Dozorcy, felczer na miejsca! — rozkazywał Degajew.

Izba wyludniła się! Pozostał nad łóżkiem więźnia lekarz z Degajewem a w głębi na progu, dwóch dozorców.

Degajew odciągnął nieznacznie lekarza ku pryczy, aby nie być słyszanym przez dozorców.

— Co pan myślisz?

— Dwa żebra złamane!

— Do licha, jutro ma iść na śledztwo!

— Nu ja, a nie mówiłem wam, że bat najlepszy...

— Pewnie, tylko że to generał kazał... Aresztant stawił mu się hardo — a wiesz pan, z baronem Majdlem nie ma żartów...

— Och ja! To bardzo dobrze się stało! — przyznał pośpiesznie von Egert.

— Właśnie, że stało się głupstwo, — aresztant

ma być jutro konfrontowanym, Mezencew spodziewał się po nim ważnych zeznań... a ten i bez zeznań ledwie dyszy...

— Przecież zeznanie i tak można napisać!

Degajew szurgnął niecierpliwie ostrogami.

— Nie ma o czem mówić. Wystosujesz pan dziś jeszcze zawiadomienie do trzeciego oddziału, że zapadł na tyfus albo na coś w tym rodzaju.

— Nu ja, kiedy trzeba tyfus to może być tyfus...

Degajew postąpił na środek izby.

— Kto tu za dozorcę?

— Do usług waszej wielmożności, Simonienko! — odpowiedział głos z pod drzwi.

— A ten, jak się sprawuje!?

— Niczego, tylko od rana do nocy papierosy by ćmił a czytał.

— Tymczasem nic nie szkodzi. Pilnuj mi tylko, żeby między nimi konszachtów nie było. A kto w nocy ma dozorować?

— Łubkow.

— Niech mi jednem okiem śpi, bo precz pójdzie!

— Uważam!

Degajew a za nim lekarz wyszli nareszcie. Kibalczyc odetchnął i poprawił się na łóżku, lecz w tejże chwili zastukotały ciężkie buty a wielka rozczochrana głowa pochyliła się nad więźniem.

— A ty mi się nie przewracaj, bo jak cię Łubkow przewróci, to trzeciego dnia jeszcze nie drgniesz!

Kibalczyc skulił się. Rozczochrana głowa kiwnęła się, buchnęła zaduchem okowity i odwróciła się.

Buty zastukotały i wielkie cielsko zwaliło się na pryczę, odsapnęło i przeciągłym chrapaniem jęło wtórować cichym pojękiwaniom numeru trzysta jednego. Izba szpitala więziennego spowiła się powszednimi mrokami nocy — jeno kopcące światełko, zawieszonej przed ikoną lampki olejnej, migotało silniej, mocniej czerwieniło pyzatą, bezmyślnie apatyczną twarz prawosławnego Chrystusa.

VIII.

Tydzień już upłynął od czasu, gdy Kibalczycowi przybył sąsiad w osobie numeru trzysta jednego — a Kibalczyc, pomimo, że o kilka kroków zaledwie odeń leżał towarzysz niedoli, jeszcze nie zdołał dojrzeć jego twarzy. Wprawdzie ta ostatnia była w części omotaną bandażami, przecież atoli, gdyby Kibalczyc mógł posunąć się o krok bodaj ku sąsiadowi, bez trudu napatrzył by się ziemnistym, pofałdowanym policzkom i ostrym ascetycznym rysom. Lecz o podobnym ruchu Kibalczyc ani śmiał marzyć. W dzień, dozorca Simonienko służbę swoją rozpoczynał od tego, że Kibalczycowi kazał siadać twarzą do okna a plecami do numeru trzysta pierwszego, w nocy zaś dozorca Łubkow chrapał zazwyczaj, lecz znów mrok zlewał kontury i zacierał rysy. Zdejmowała Kibalczyca ochota, aby cichaczem podnieść się i do łóżka towarzysza zbliżyć, ale tą ochotę rugowało widmo dzikiej, krwią nabiegłej twarzy, wychylającej się ze srebrem szytego kołnierza żandarmskiego. I Kibalczyc ze drżeniem odpędzał wszelką myśl krnąbrności i wtulał głowę w poduszki, aby nie budzić wspomnień, aby zagłuszyć ten ponury charkot, którym widmo ziało ku niemu.

A oboczeńnie paliła Kibalczyca uparta cieka-

wość, — ba, toć przecież od kijowskich konfrontacyj — żywego człowieka nie widział, krom tych zaszytych w mundury oprawców. Kibalczyc jednak, pomny na pogróżki, zwalczał w sobie tą ciekawość i pocieszał się, iż gdy noce krótkie nastaną, to może i sposobność się zdarzy.

Simonienko wszakże postrzegł, że Kibalczyc coraz zawzięciej zezuje w stronę numeru trzysta pierwszego a co gorsze, że i ten ostatni nienażarty zaczyna przychodzić do siebie a rozglądać się.

— Ja wam zadam! — bąknął półgłosem dozorca.

Bezpośredniem następstwem tej pogróżki było rozstawienie pośrodku izby parawanu i w ten sposób, że dozorca, leżąc na pryczy, mógł obu więźniów mieć na oku, ci zaś nawzajem widzieć się nie mogli.

Lecz Kibalczyc nie miał czasu wziąć do serca tej oczywistej perfidii dozorcy, bo ten, ustawiwszy parawan, wyciągnął z zanadrza zwój papierów i rzucił Kibalczycowi na łóżko.

— Naści twój akt oskarżenia! Naciesz się swojemi niegodziwościami! Jutro przyjdzie do ciebie adwokat...

— Do mnie!

— No, do ciebie! Co, sam czujesz, żeś takiego miłosierdzia nie wart!

— A na cóż adwokat? — zagadnął nieśmiało Kibalczyc.

— Milcz, naczalstwo wie na co, a tobie, nihilistyczny, nic do tego! Twoje prawo słuchać.

Kibalczyc pochylił głowę i miął machinalnie palcami akt oskarżenia.

Simonienko obruszył się.

— Co ty sobie myślisz! Łapy precz z rządowych papierów! — No tak, a teraz bierz z uszanowaniem i czytaj!

Kibalczyc wpatrzył się kornie w akt oskarżenia i probował go odczytać, lecz, mimo całego skupienia, mimo parokrotnego rozważania każdego zdania, nic a nic pojąć nie mógł z całego uroczystego wstępu. Zawiłe a pogmatwane okresy, nastroszone artykułami kodeksu a obficie wystrojone wyrazami „nihilizm“, „propaganda“, „konspiracya“ były dla Kibalczyca nierozwiązalnymi. Ten wstęp tak zraził Kibalczyca, że z rezygnacyą odłożył akt oskarżenia. Ale ruch zniechęcenia nie uszedł baczności Simonienki.

— Numer dwieście piętnaście, ty co!? Masz czytać!

Kibalczyc sięgnął po odłożony akt i zapatrzył się weń, przewracając od czasu do czasu arkusze, aby tem lepiej symulować spełnienie rozkazu.

Gdy naraz wzrok Kibalczyca, ślizgający się obojętnie po akcie oskarżenia, zatrzymał się i zaciął na słowach:

„był istotnie w Nieżynie pop tego nazwiska, Iwan Iwanowicz Kibalczyc, lecz ten umarł a żona tegoż również umarła...“

Słowa te załomotały pulsami Kibalczyca, przejęły mu pierś dyszeniem, spędziły wszystką krew z mózgu i targały nim i szarpały. Kibalczyc trwał

tak, ani widząc nachmurzonej twarzy dozorcy, ani słysząc jego długiej perory, ani postrzegając, że ten, wyrzuciwszy jakąś groźbę, wyszedł z izby, zatrzaskując drzwi.

Aż w tem, w uszach więźnia, zerwał się przejmujący, przeraźliwy szept.

— Hej, kolego, kolego... chcę z wami pomówić... dziś w nocy nie śpijcie!...

Kibalczyc w odpowiedzi na ten szept kiwnął się na łóżku, łzy gradem potoczyły się mu z oczu, pierś zaskowyczała łkaniem.

— Numer dwieście piętnasty do stu djabłów! — warknął znów Simonienko, wracając do izby.

— I pomarli... i ot starzy poczciwi nie wytrzymali... i Iwan Iwanowicz i Anna Iłarjewna...

— Będziesz ty cicho!

— To i cóż! Wieszajcie, bijcie... co mi tam — niech choć najgorsze!

Żałość tak buntownicza opanowała Kibalczyca, że na nic się nie zdały pogróżki i napomnienia dozorcy. Dopiero pod wieczór więzień przycichł i uspokoił się nieco.

Simonienko atoli uznał za właściwe uprzedzić Łubkowa, który zjawił się objąć nocny dyżur w izbie.

— Tego znów napadło. Od południa wyje! Ty jego potrząś — inaczej na całą fortecę hałasu narobi!

Łubkow machnął lekceważąco ręką i rzucił się na pryczę.

Simonienko spojrzał dziwnie na czerwoną, obrzękłą twarz kolegi.

— Lekką masz służbę aż póki nie wpadniesz!
Łubkow tchnął czkawką i bąknął gniewnie.
— Moja rzecz a nie twoja.
Simonienko strzyknął śliną przez zęby i wyszedł.
Łubkow zaś, ani myśląc zważać na przestrogę kolegi, ziewnął przeraźliwie i mruknął przez nos.
— A wy u mnie, syny sobacze, ani, ani... bo ani zęba nie zostawię... na amen zatłukę!...
Po wygłoszeniu tego ostrzeżenia, Łubkow przeciągnął się, ziewnął raz jeszcze i wpadł w miarową sapkę a z tej wnet przeszedł w przeraźliwe chrapanie.
Kibalczyc, który, świadom obyczaju Łubkowa, czekał na ten odgłos, jako na zapowiedź chwili, gdy żadne poruszenie jego nie potrzebowało liczyć się z badawczym, natrętnym wzrokiem dozorcy — uniósł się nieco na łóżku, wsparł głowę na słomianej poduszce i zatopił się w myślach.
Smutne to były myśli, gorzkie, ponure, lecz bodaj od lat kilku po raz pierwszy tak znów, jak niegdy, wyraziste, pełne. Kibalczyc bowiem, od chwili aresztowania go, pozostawał w jakimś letargu, w jakiemś osłupieniu, odrętwieniu, którego jedynym świadomym odruchem było uczucie strachu. Zresztą nie zdolen był nawet zadać sobie pytania, za co pogrzebano go żywcem, za co oddano go w ręce siepaczom, za co skazano na tak okrutną pokutę, co uczynił temu strasznemu carowi, że lada kat, w imię tego cara, znęca się, hańbi, poniewiera. Kibalczycowi zdawało się chwilami, że istotnie po-

pełnił jakąś wielką zbrodnię, że, choć nie pamięta jej, choć jej nie ogarnia, lecz przecież ta właśnie zbrodnia dławi go, miażdży, niweczy, że ona ku niemu wyciąga mściwą, nieubłaganą pięść carską, że ta pięść bierze zeń jeno należny porachunek.

I Kibalczyc sobie samemu wydawał się nędznym i nikczemnym, boć nie godnym ani więziennego chleba, ani tej celi, ani tego barłoga. Bo i cóż żył, żył, i na cóż żył? Czyż nie był jeno ciężarem i udręką dla rodziców? Czyż szedł, dążył do czegoś? Czyż nie zabierał wprost miejsca w akademii? Czyż, miast, jak drudzy, myśleć o obowiązkach, nie był rozwichrzonym próżniakiem? Czyż bodaj tu, w kazamatach, słuchał rozumnych napomnień, czy wnikał, iż tym ludziom jeno trudu i kłopotu przyczynia?

I Kibalczyca napadały paroksyzmy rozżalenia i pokory... I postanawiał wyznać wszystko i wyspowiadać się z całego swego nihilizmu i wypowiedzieć wszystkie swe niegodziwości, wszystkie winy wyłuszczyć — jeno ta pamięć, odmawiała mu posłuszeństwa, jeno ona, w stanowczej chwili, wszystkie jego pragnienia sprowadzała do tego, że dozorca, po kilku pierwszych zdaniach, przerywał niecierpliwie „nu tobie czas już do warjatów“.

To orzeczenie dozorcy niekiedy suggestyonowało Kibalczyca... I naraz, więźniowi świtała myśl, że dostał pomieszania zmysłów, że poprostu znajduje się w szpitalu dla furjatów i że wogóle trwa w nim od urodzenia, bo wszystko, co się stało, co on ma

sobie za oczywistość jest złudzeniem, chorobliwą imaginacyą szaleńca.

Aż te kilka wierszy aktu oskarżenia wróciły Kibalczycowi pełnię przytomności a te łzy były mu temi kroplami dżdżu, który, opadłszy na pyły upalne, spłukuje szarzyznę skwarów lipcowych, zmywa a niebo stroi przezroczami lazuru.

Kibalczyc, wsparty na ręku, trwał tak bez ruchu, wpatrzony w siebie, skupiony, zasłuchany w szmer własnej duszy, w gorączkowe, żałosne kołatanie własnego serca, w dolę swą ponurą.

Nagle, jakaś biała postać zarysowała się tuż przy wezgłowiu Kibalczyca. Kibalczyc drgnął i rzucił się w przeciwną stronę łóżka. Lecz postać pochwyciła go za ramię i szepnęła.

— Pozwólcie to ja, wasz sąsiad... chcę z wami pomówić...

Kibalczyca lęk zdjął.

— Na Boga, jeżeli nas pochwycą!

— Et, nie bójcie się, słyszycie, jak ten zbój chrapie... Zanim się poruszy, już będę za parawanem! Dajcie tylko bym się wsparł!... Okrutnie mnie potłukli! Wy tu za co?

— Kto ich, już czwarty rok...

— Wy nie z procesu studziewięćdziesięciu trzech?

— Nie... a zresztą, sam nie wiem!

— Boicie się mówić, nie nalegam! Wiecie, Goldenberg szpiegiem został...

— Nie znam!

— Macie słuszność — lepiej nie odpowiadajcie

na to, co wam nie przypada... Ja się nazywam Kołotkiewicz...

— Kołotkiewicz — Kołotkiewicz! — powtórzył przeciągle Kibalczyc — znałem jednego Kołotkiewicza... był na pierwszym filozoficznym...

— Znaliście!...

— Przyjaźnił się z Kwiatkowskim!

Kołotkiewicz zatrząsł się i wpił swe chude, żylaste palce w kiść ręki Kibalczyca.

— Człowieku strzeż się wymawiać tego nazwiska. Pogrzebiesz mnie i siebie...

— Mnie już i tak wszystko jedno!

— Nie mówcie tego, pamiętajcie, że rąk trzeba, że nam nie wolno ginąć bez celu, że nam nie wolno ulegać idei męczeństwa.

— Ja już żadnej idei nie ulegam.

— Mówcie ciszej. Nachylcie się do ucha. Dobrze. Więc mnie znacie... Jeżeli macie wątpliwość, jeżeli obawiacie się wymienić swego nazwiska, zapytajcie mnie o jakiś znany wam szczegół, dotyczący Kołotkiewicza...

— A to na cóż! Nie ma sekretu. Jestem Kibalczyc...

— Kibalczyc! — odszepnął Kołotkiewicz z uczuciem rozczarowania. — Więc to wy, Iwanie Mikołajewiczu!... Słyszałem o was — aresztowano was na Mieszczańskiej! I... właściwie za nic... Panna Korniłow dała wam paczkę broszur...

— Tak, tak, prawda, prawda!

— I dotąd was trzymają! Czekajcie, wszak wam

przynieśli akt oskarżenia... Byliście zdenerwowani, słyszałem...

— Starzy mi pomarli... ze zmartwienia... dowiedziałem się z aktu...

— Przypuszczałem coś podobnego! Hm! Jakiż wniosek prokuratora?...

— Mam odpowiadać za propagandę.

— I siedzicie cztery lata?

— Najmniej chyba trzy, nie pamiętam dobrze...

— No, to za trzy miesiące będziecie wolni!

— Ja wolny?!...

— Czekajcie, nie pamiętacie nazwiska prokuratora...

— Murawiew!

— Ta kanalja! No, ten conajmniej potroi wam karę.

— Kolega szkolny!

— I wasz! Pocieszcie się, że karyerę sądową rozpoczął od zadenuncjowania swojej własnej kochanki, jakiejś damy z cyrku! Zobaczymy, co wam powie jutro adwokat... W każdym razie wydostaniecie się prędzej odemnie... Słuchajcie, czy chcielibyście wyświadczyć mi przysługę?

— Ależ owszem!

— Otóż — gdy będziecie wolni, dajcie znać moim blizkim... Wiem, że istotnie jesteście ofiarą głupoty żandarmskiej... chyba, że może należycie do „czajkowców“...

— Do żadnych...

— Tak sądzę! Długo byliście na filozofii?

— Rok – po tem przeniosłem się do medyko-chirurgicznej...

— Wybaczcie to pytanie. Otóż, uczynicie mi wielką łaskę, dobrodziejstwo... Ujęto mnie raptownie. Moi dotąd nie wiedzą. Co gorsze, za sześć tygodni wyślą mnie do Charkowa...

— Wiecie na pewno?

— Muszą mnie tam wysłać... gdyż odpowiednio będę zeznawał... Pobyt mój w Charkowie potrwa najmniej dwa miesiące... Trzeba, żeby moi o tem wiedzieli.

— Jeżeli wasza przepowiednia się sprawdzi...

— Wszak wyście bywali u Perowskich, na Oficerskiej ulicy...

— Na Oficerskiej? — Na Żukowskiego!...

Kołotkiewicz uścisnął serdecznie rękę Kibalczyca.

— Darujcie — ostatnie zapytanie — pod którym numerem mieszkali Perowscy...

— Pod drugim!

— Na pierwszem piętrze, na prawo ze schodów...

— Nie, na drugiem i na lewo! Ależ bo, o co wam idzie?...

— Nic, nic! Widzicie, podłe przyzwyczajenie! Ale bo nigdy zadość ostrożności... Słuchajcie, lecz to, co wam powiem, musicie zachować pod przysięgą...

Kibalczyc potarł czoło.

— Lepiej nie mówcie... ja sam sobą nie władam...

Kołotkiewicz odetchnął z trudem.

— Więc, w takim razie, uczyńcie mi jedną łaskę —

i, wyszedłszy z więzienia, dajcie w „Głosie“ ogłoszenie tej treści... „Z powodu zwinięcia składu, partya wałków do okien do odstąpienia. Wiadomość Ozierny pereułek numer ośmnaście“...

Kibalczyc o mało nie zakrzyknął.

— Co wy, Kołotkiewicz!... Co wy?... Toż pod dziewiątym... mieszkał ten...

Kołotkiewicz z kolei zdumiał się.

— Więc wy wiecie...

— Na rogu był sklepik! A u niego była panna Wiera!...

Kołotkiewicz ukrył głowę w fałdach kołdry, aby stłumić paroksyzm sapania. Po chwili, odetchnął głębiej i jął szeptać gorączkowo.

— Wyście nasz! Nie ma co przed wami kryć! Jesteście bliżsi dobycia się niż ja. Zresztą niezawodnie przeniosą was, mogą już jutro zabrać. Gdybyście sami nie mogli, to, kto wie, czy nie znajdziecie sposobności dać znać przez kogoś... Jeżeli nie będziecie pewni pośrednika, — tedy proście tylko, aby dał ogłoszenie. Jeżeli zaś sami zdołalibyście — więc idźcie na Litejny prospekt, pod numer czterdziesty, do radcy Filinowa, inżyniera. Temu powiedzcie tylko, Kołotkiewicz kłania się Helfmanównie. Filinow udzieli wam wskazówek, możecie z nim mówić otwarcie... gdybyście potrzebowali pomocy lub schronienia, to Filinow ma zawsze adresy sympatyków!! Zgóry wam dziękuję... Niezapomnijcie powiedzieć o Goldenbergu — zdradza... mam pewne poszlaki. Trzeba uprzedzić komitet. Szpieg, Prym pojechał do Kijowa... To wszystko!

Skatowali mnie z rozkazu Majdla. Degajew jest do pochwycenia. Trzydziestu naszych ma być zesłanych do Nerczyńska... zresztą o tem oni będą wiedzieli. Najważniejsze, żeby zawiadomili Charków o mojem przybyciu... uczynię wszystko, żeby mój wyjazd do Charkowa opóźnić...

Kibalczyc chciał odpowiedzieć Kołotkiewiczowi, lecz naraz chrapanie dozorcy, które akompanjowało rozmowie więźniów, ustało. Kołotkiewicz rzucił się na podłogę i jął pełznąć ku swojemu posłaniu.

Kibalczycowi serce zamarło w piersiach, ileże Łubkow ziewnął, dźwignął się i rozejrzał wokół. Lecz snać Kołotkiewicz już zdołał dosięgnąć posłania, bo dozorca stęknął leniwie i wyciągnął się na pryczy.

Nazajutrz, około południa, w izbie szpitalnej zjawił się wysoki, chudy jegomość w tużurku. Jegomości towarzyszył oficer żandarmów.

Simonienko, za ukazaniem się jegomości, wyprostował się i napomniał Kibalczyca.

— Numer dwieście piętnasty, baczność!

Jegomość w czarnym tużurku podszedł do Kibalczyca.

— Wstań, niemrawo, kiedy naczalstwo do ciebie! — wtrącił groźnie dozorca.

Kibalczyc wstał.

— Tyś Kibalczyc? — zagadnął jegomość skrzeczącym głosem.

— Tak!

— Czytałeś akt oskarżenia?

— Czytałem!

— Jutro twoja sprawa. Będę cię bronił. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

— Ja? ja? na moje usprawiedliwienie?

— Głupi jesteś! Trzeba żebyś uczciwie i serdecznie się przyznał!...

— Do czego, panie adwokacie?

Jegomość uśmiechnął się do oficera.

— To jakiś idyota! — zaczem, zwracając się do Kibalczyca, dodał. — No do winy masz się przyznać, do tego coś przeskrobał!

— Cóż, ja już do wszystkiego mogę się przyznać!

Jegomość wzruszył ramionami i, skinąwszy ku dozorcy, stuknął palcem w czoło.

— Czy on czasem nie tego?...

— Tak jest, proszę waszej wielmożności, wczoraj cały dzień wył a chlipał, że ani wytrzymać!

— Proszę! No i czegoś tak wył wczoraj? Krzywda cię jaka spotkała?

Kibalczyc pobladł i głowę pochylił.

Adwokat roześmiał się sucho i rzekł do oficera.

— Co drugi to warjat... Nihilizm trzeba poprostu leczyć... to patologja, zwyrodnienie... tylko zwyrodnienie!... A no cóż! Nie mam tu co robić! Chodźmy!

Adwokat a za nim oficer i dozorca wyszli z izby. Kołotkiewicz skorzystał z tej chwili i ozwał się półgłosem do Kibalczyca.

— Iwanie Mikołajewiczu, zaklinam was, abyście się jutro w sądzie przyznali!...

— Do czego! Zastanówcie się, co mówicie.

— Do tego, co wam zarzuca akt oskarżenia.

Mówcie im, że żałujecie, potakujcie ze skruchą adwokatowi... jestem pewnym, że zrobi z was idyotę... to jego ulubiony konik, bo, dosiadając go, czyni zadość obowiązkowi obrony urzędowej i nie naraża się. Pamiętajcie, że byli już i tacy adwokaci, którzy za zbyt gorącą obronę dostawali się pod dozór policyjny! Ten wasz, to Pirogow, człowiek obojętny i dla tej swej znanej obojętności narzucany więźniom politycznym. Właściwie, po odebraniu aktu oskarżenia, moglibyście byli zażądać prawa wybrania sobie adwokata — ale dobrze się stało... Wasza sprawa jest błaha, — jakiś dzielny człek mógłby ją wam tylko popsuć a jeżeli i sąd by was uwolnił, no, to żandarmerya na złość potrzymała by was pod kluczem... Mezencew w ten sposób już nie jednego pogrzebał... Pirogow zaś sam przez się wyklucza możliwość liberalniejszego orzeczenia sądu... stąd, gdy wyrok wróci do Mezencewa — ten uzna go za dostateczny.

Kibalczyc z tego, jednym tchem wyrzuconego, wywodu nie wiele pojął.

— Ależ co wy, skądże, przecież no zawsze sąd, no zawsze...

— Komedya i koniec! Przekonacie się. W ostateczności, jeżeli nie chcecie sprzeniewierzyć się ani na chwilę swoim zasadom, no, to nic nie mówcie!...

Kibalczycowi ta ostatnia rada przypadła do serca, bo gdy następnego dnia, po męczącej podróży w karetce więziennej, zasiadł na ławie oskarżonych sądu okręgowego, — ledwie, że na jakieś pomrukiwanie twierdzące się zdobywał, ani tro-

szcząc się, jak podobało się przewodniczącemu je tłumaczyć.

Coprawda Kibalczyc miał kilkakrotnie ochotę skorzystać z zapytań przewodniczącego i dać upust nurtującemu buntowi, lecz uwaga oskarżonego była rozproszona a raczej pochłonięta wytworną postacią młodego prokuratora, który rozpierał się tuż przed nim na fotelu. Prokuratorem tym był Kola Murawiew.

I wzrok Kibalczyca wpijał się w znaną mu dobrze twarz „szczotki“ i ślizgał się po złotych haftach prokuratorskiego munduru i chwytał każde drgnienie białej, smukłej ręki szkolnego kolegi, ręki, kreślącej od czasu do czasu ołówkiem jakieś nerwowe zygzaki, i ścigał uporczywie niepewne błyski kosych oczu Koli.

A gdy, w toku rozpraw, zabrał głos Murawiew i z całym zapałem jął piętnować zbrodniczość czynów, popełnionych przez Kibalczyca, tego ostatniego ogarnęło takie zdumienie, że już nieomal chłonął rozwartemi oczyma prokuratora razem z podium i stołem.

Murawiew mówił długo i kwieciście aż, zażądawszy dla oskarżonego dziewięciu miesięcy więzienia, wybuchnął z patosem.

— Przywodząc wam, panowie sędziowie, ten paragraf kodeksu, muszę ubolewać, że jest tak bezsilnym, tak łagodnym! Boć tych wyrodków naszej wielkiej ojczyzny, tych zbirów, ośmielających się, podnosić swe nikczemne spojrzenie tam, kędy najmiłościwiej panuje i rozkazuje nasz ukochany sa-

mowładzca, kędy jego święta wola troszczy się o najostatniejszego z nas — tych, panowie sędziowie, łotrów, spotwarzających imię prawosławia, bluzgających jadem swej zgnilizny duchowej w czyste serca mużyków a prostaczków, tych podłych apostołów świętokradztwa należałoby kołami łamać!

W tem miejscu prokurator zatrzymał się, aby podnieść wrażenie wygłoszonych słów, lecz, zanim zdołał dodać sakramentalne amen, upoważniające adwokata do rozpoczęcia obrony, — Kibalczyc ozwał się w głos tonem wyrzutu.

— Nu i Kola, nu i zajechałeś!...

Dzwonek przewodniczącego i kułak żandarma, odpowiedziały Kibalczycowi.

Murawiew pobladł i usiadł ze złością, sędziowie spojrzeli po sobie. Adwokat Pirogow zaś odchrząknął i swym skrzeczącym głosem rozpoczął obronę a raczej traktat o obłędzie nihilistycznym.

Kibalczyc ani spostrzegł się, gdy ze zbrodniarza został idyotą od urodzenia, obłąkańcem, nie potrafiącym nawet uzasadnić swego stanu cywilnego, warjatem, cherlakiem, niedoukiem, potomkiem pijackiej rodziny, patologicznie bezmózgiem stworzeniem a w ostatku pigmejem, jęczącym, łkającym, przyznawającym się do winy a chylącym się ze skruchą do ręki karzącej sprawiedliwości.

Prokurator na tę obronę raz jeszcze warknął paragrafami, adwokat raz jeszcze upomniał się o litość dla idyoty, przewodniczący rzucił ostatnie pytanie Kibalczycowi, na które ten mruknął coś pod nosem, i sąd wyszedł na naradę.

Narada trwała krótko. Sąd wrócił. Kułak żandarma zmusił Kibalczyca do uszanowania wyroku przez powstanie z miejsca. Przewodniczący jął odczytywać cichym, nosowym głosem kolosalnie długi a kunsztownymi nawiasami upstrzony wyrok, z którego oskarżony tyle pojął, że sąd rozporządzać musi jakimiś piekielnie sprawnymi sposobami, jeżeli, w ciągu kilku minut, zdołał taki wielki wykoncypować referat i tyle w nim powiedzieć o cesarskiej miłości ku poddanym, o carskiej dobroci, o carskim smutku i carskim majestacie.

I prawdopodobnie Kibalczyc nie wiedziałby, jaką łaskawość okazali mu sędziowie, gdyby nie wartujący przy nim żandarm, który poczęstował go znów kułakiem i napomniał.

— Trzy miesiące więzienia! Podziękuj panu adwokatowi!

IX.

Z sali sądowej Kibalczyca odstawiono już nie do fortecy, lecz do, tak zwanego, „domu tymczasowego“ i tu osadzono go w celi razem z jakimś złodziejem kieszonkowym. Nie było to towarzystwo zbyt miłe ale dość znośne, ileże Kibalczyc swem cichem a pogodnem zachowaniem umiał sobie ująć opryszka a nawet wejść z nim w pewną zażyłość. Przyszło to Kibalczycowi tem łatwiej, że, razem z porzuceniem groźnych murów Piotropawłowskiej fortecy, odzyskał pełnię uspokojenia moralnego a z nią i skłonność do ulubionej filozoficznej gmatwaniny. Stąd, gdy raz i drugi rzucił swemu towarzyszowi uwagę o tem, że właściwie własność jest bezprawiem, Połuszka aż do ziemi przysiadł z ukontentowania i jął z całą serdecznością zwierzać się z genjalnego planu okradzenia Francuza-jubilera na Wielkiej Morskiej i zaręczać, że niech tylko swoje odsiedzi — a już raz na zawsze z podłą kieszonkową robotą rozbrat weźmie...

Kibalczyc słuchał cierpliwie dowodzeń Połuszki, poprawiał skrupulatnie wyraz „włamanie“ na określenie „działanie przez siłę“ a „kradzież“ na „ekspropriacyę“ i o tyle nie zgadzał się z kolegą po celi, że żądał rozszerzenia działalności w ten sposób, aby wszystkich posiadaczów i odrazu wywłaszczyć.

Połuszka aż się na ziemi kładł, na myśl o tak genjalnym planie, i gwałtował, że trzeba na to założyć „bandę". Kibalczyc prostował wyraz „banda", prostował i podnosił do miana organizacyi socyalnej. Połuszka nie upierał się przy nazwie i niezawodnie do największej harmonii doszedłby z Kibalczycem, gdyby nie kwestya podziału wywłaszczanych zdobyczy. Kibalczyc chciał je dzielić porównu między wszystkimi ludźmi — Połuszka zaś upierał się przy sprawiedliwości i twierdził z zapałem, że, kto w bandzie, temu należy się część — lecz, kto z bandą nie idzie, temu zasię.

Na takich dysputach czas piorunem schodził i Kibalczyc ani się nie spostrzegł, gdy nie trzy ale cztery miesiące zeszło.

Kibalczyc aż zaniepokoił się, iż wyrok przedłuża się... Ale Połuszka, świadom obyczaju, uspokoił go, że w „tymczasowym" już taki „porządek", żeby dodać parę tygodni.

Jakoż, na początku piątego miesiąca, wyprowadzono Kibalczyca z celi, kazano mu zrzucić aresztancką siermięgę i dano węzełek z jego własnym uniformem studenckim. Uniform ten, pokryty kurzem i pleśnią, zatęchłego magazynu, był właściwie już tylko zniszczonym, stoczonym przez mole, łachmanem, lecz Kibalczycowi zdał się wymarzonym strojem.

Po zmianie odzienia, nastąpiła długa i uciążliwa ceremonia wygotowania papierów a dalej jeszcze podróż, pod strażą, do najbliższego biura policyi. Tu, po kilku godzinach czekania, Kibalczyc dowie-

dział się, że jest oddany pod dozór policyi na dwa lata, co znaczy, iż co tydzień musi meldować się osobiście, no i że, po godzinie dziesiątej, nie ma prawa wydalać się z domu. Ten ostatni etap, wiodący do swobody o mało co nie zakończył się dramatycznie, ileże, gdy urzędnik zapytał Kibalczyca, gdzie mieszka, ten z całą potulnością odrzekł, iż obecnie mieszka... w biurze policyi... Urzędnik obruszył się na ten bezsens, zażądał kategorycznie dokładnego adresu — i chciał odrazu spisać protokół o tem, iż poddany pod dozór odmawia wskazania swego miejsca zamieszkania. Ale komisarz, człek mocny w prawie, wdał się i rozkazał obojętnie.

— Zapisz pan, że mieszka w „Grand" hotelu...

— Jakże bo, panie komisarzu, taki łapserdak!?

— Zapisz pan! No a dziś pójdzie obchód — w „Grand" hotelu go naturalnie nie będzie.... napisze się raport do trzeciego oddziału... no i, za kilka dni, kawalera wsadzą znów do kozy!... I w ten sposób jeden kłopot z dozorem mniej!

Urzędnik roześmiał się na ten „sposób", wykaligrafował zamaszyście „adres" Kibalczyca i skinął na pachołka, aby wypchnął delikwenta za drzwi.

Kibalczyc nacisnął czapkę, wsunął ręce w kieszenie i ruszył w stronę Newskiego Prospektu.

Było popołudnie jasnego dnia czerwcowego. Petersburg dygotał ostatniemi minutami swego biurokratycznego życia, wyrzucał na swą główną arteryę gromady, zaszytych w mundury, „czynowników", spędzał wyświeżonych oficerków i junkrów na słanie głupich, bezmyślnych spojrzeń ku roz-

maitym, mniej więcej bez gustu wystrojonym mieszczkom, ściągał na chodniki Newskiego i fale prostytutek i jaskrawe plamy „piękności“ zagranicznych, które w stolicy białego cara znajdują zawsze i wielbicieli dla wyszarganych w Europie wdzięków, i namiętnych kochanków dla swych spodlonych serc i nawet generałów świty na poprowadzenie lada francuskiego śmiecia do prawosławnego ołtarza.

Newski prospekt zaczynał wrzeć. Rozmaici penitenci, którzy zjechali na sezon przedogórkowy załatwić sprawy w ministeryach, wylegali z hotelów, gotując się do zamawiania nocnych libacyj dla potentatów administracyjnych. „Dyplomatyczne“ pojazdy, poznaczone specyalnie petersburską liberyą, mknęły, kończąc oficyalne wizyty. Wygalowani dostojnicy wracali z prezentacyj i audyencyj. Sklepy rozbrzmiewały zgiełkiem. Kibitki już czterema sznurami kłusowały. Policyanci z całem namaszczeniem oddawali się swemu petersburgskiemu zajęciu, polegającemu na salutowaniu lada gwiazdki na kołnierzu, lada srebrnego szychu na szlifach, lada wstążeczki w dziurce tużurka.

Kibalczyc z pewnem onieśmieleniem zasunął się w różnobarwny tłum, płynący szerokim chodnikiem Newskiego prospektu ku Litejnemu. Tłum ten, po szarzyźnie i mrokach więziennych, grał Kibalczycowi takimi kolorami, taką jasnością bił, że aż na blade policzki ex-studenta rumieńce trysnęły.

I szedł Kibalczyc śród tłumu tego, i radował się jego strojności, i z dziecinnem zaciekawieniem

przystawał przed wystawami sklepów, i uśmiechał się do, łopoczących kopytami, rysaków i z ukontentowaniem przysłuchiwał się, a przyglądał się dawno niewidzianemu, dawno niesłyszanemu życiu stolicy.

Aż, naraz, przed wystrojonym a lustrami wyłożonym sklepem złotnika zatrzymał się dłużej, z zachwytem rozpatrując błyszczące a skrzące się fatałaszki.

— Nu i Piter! — mruknął do siebie i, rozstając się z wystawą, rzucił raz jeszcze oczyma w głąb lustrzaną... Lecz tu nogi wrosły mu w ziemię a oczy uwięzły mu na szarej, brudnej, wyniszczonej postaci, która ku niemu z lustrzanej głębi spojrzała.

Kibalczyc potrzebował kilku minut czasu, aby oswoić się z myślą, że ten chudy, wynędzniały obdartus w sinożółtym łachmanie studenckiego uniformu, z włosami skłębionymi w konopiaste loki, z twarzą porosłą wystrzępioną, bezładną brodą — iest jego własnym portretem.

Kibalczyc posmutniał, głowę pochylił i, zboczywszy pod mury domów, powlókł się ociężałym krokiem.

Teraz dopiero naszło na Kibalczyca zastanowienie, że przecież ze sobą coś począć musi. Ale to zastanowienie nie trwało długo — Kibalczyc wspomniał na Kołotkiewicza i na radcę Filinowa i ruszył raźno na Litejny. Tu jednak spotkał go zawód, ileże powiedziano mu, iż radca Filinow wyjechał na objazd służbowy i że dopiero za dwa dni powróci.

Była to okoliczność bardzo niepomyślna, ileże

Kibalczyc układał sobie, że, jak mówił Kołotkiewicz, Filinow pomoże mu bodaj zahaczyć się, jakieś lekcye znaleźć a bodaj przytułek kilkodniowy wyszukać.

Ale Kibalczyc nie stracił fantazyi i umyślił iść do Korniłowych.

— Ot ludzie! Anna Pawłówna aż rękoma strzepnie ze zdumienia! A mały Borys aż do góry podskoczy.

Lecz i tu czekało Kibalczyca rozczarowanie, bo, gdy w pół godziny dowlókł się do domu, w którym mieszkali Korniłowy — zastąpił mu drogę stróż. Kibalczyc poznał go i skinął mu przyjaźnie.

— Marya Pawłówna Korniłow?

Stróż zmierzył nieufnem spojrzeniem Kibalczyca.

— Nie mieszka.

— Wyprowadziła się? a dokąd?

— Djabli wiedzą! Nie ma jej, no i porządek jest! Ot co!

— Ależ bo...

— Umykać, póki grzecznie mówię!

Kibalczycowi ciężar opadł na piersi. Sytuacya zaczynała być głupią. W kieszeni nie miał ani złamanego szeląga. Jedynym skarbem, który posiadał był paszport, wydany mu przez policyę, paszport opatrzony wielkim nadpisem o odsiedzeniu kary w więzieniu poprawczem... Oczywiście z taką rekomendacyą Kibalczyc nie mógł ani marzyć o zgłoszeniu się do kogoś obcego, tembardziej, że nadpis

nie mówił nic o tem, za co pokutował w więzieniu. Trzeba więc było kogoś ze znajomych szukać.

Po namyśle, Kibalczyc zawrócił na ulicę Żukowskiego, do Perowskich — tu znów dowiedział się, że pan gubernator jest, ale co o żonie jego i dzieciach słych zaginął. Naturalnie Kibalczyc ani próbował do gubernatora iść, zgóry wiedział, jakieby go spotkało przyjęcie. Najpraktyczniejszem zdawało mu się, pójść do medyko-chirurgicznej akademii i tam wziąć kilka adresów byłych kolegów. Wprawdzie to już świat czasu upłynęło, ale może przecież którego znajdzie.

W akademii, po długiem szukaniu, śród ciszą nadwieczorną spowitych kurytarzów, Kibalczyc odnalazł dyżurnego pedla. Ten, na pierwsze słowo, zagadnął surowo.

— Pan jesteś studentem?

— To jest, właściwie tak.

— Pokaż pan matrykułę...

— Nie mam, gdyż trzy lata temu wystąpiłem...

— Więc jak pan śmiesz nosić uniform akademii!?

Kibalczyc spojrzał na swe łachmany i uśmiechnął się smutnie.

— Jakiż bo to i uniform!

Pedel złagodniał.

— Zawsze ma krój. Wy go zrzućcie, bo was, według ustawy, mogą za to do sądu! Adresów wam nie dam, bo nie wolno! Przyjdźcie za dwa dni do kancelaryi, jak będzie sekretarz...

— A jutro!?

— Jutro niedziela, a pojutrze galówka.

Kibalczyc westchnął i powlókł się ulicami bez celu.

Tak czy owak Kibalczyc musiał czekać conajmniej na powrót Filinowa albo na otwarcie kancelaryi akademii, bo, choć przychodziło Kibalczycowi kilka adresów dawnych kolegów — aleć te odbierały mu zgóry wszelką nadzieję, bo któryż to akademik petersburgski przesiedzi pod tym samym dachem przez trzy lata. No a przytem większość kolegów musiała pokończyć studya.

Zresztą Kibalczyc uczuł się tak zmęczonym, że ani zdolnym do przedsiębrania nowych poszukiwań. Przytem i głód zaczął dokuczać Kibalczycowi i coraz natarczywiej przypominać mu, że od rannej polewki więziennej nie miał nic w ustach. Ale najpilniejszym zdał się Kibalczycowi spoczynek, w jakimś przytulnym a zacisznym kącie. Najdogodniejszem miejscem byłoby dobrać się hen, na skraj Aptekarskiej wyspy i tam, pośród ogrodów, zdrzemnąć się i przeczekać dwa dni. Kibałczyc nawet w tą stronę skierował swe kroki, lecz, tuż nad brzegiem Newy, ogarnęło go takie znużenie, że zsunął się na jej brzeg, ku kamiennej burcie i tu rozsiadł się wyczerpany, senny.

Dopiero po długiej chwili Kibalczyc otrząsnął się, otarł rękawem spocone czoło i rozejrzał się.

Tuż przed nim, w promieniach zachodzącego słońca, perliły się skrami rozwichrzone, skłębione fale Newy, unosząc pękate, wydętemi żaglami wpół

osłonione barki, szarpiąc tu i ówdzie smukłymi czółnami fińskich rybaków a dźwigając kilka leniwie sunących statków.

Widok zdał się Kibalczycowi dosyć malowniczym, choć niemile zagrodzonym, bo Newa wydawała się być jakiemś zacieśnionem zewsząd jeziorem. W górze i w dole rzeki dwa mosty drewniane, no a z poza nich wszędzie krzywizna spiętrzonych murów. Ba, gdybyż choć to pasmo zieleni, rysujące się na przeciwległym brzegu, pozwalało pomknąć w dal i nie miało znów nad sobą tej brudno szarej, postrzępionej dziwacznie wstęgi...

Kibalczyc uważniej w przeciwległy brzeg się zapatrzył i pobladł, ileże teraz dopiero łysnęła mu złota kopuła cerkwi Piotropawłowskiej, wystrzelającej ponad gromadą wałów i kazamat fortecznych.

Kibalczyc był więc naprzeciw swego niedawnego więzienia. Widok ten stał mu się nieznośnym. Dźwignął się więc z wysiłkiem i zawrócił ku schodom, wiodącym z burty na bulwark nadbrzeżny. Lecz tu zkolei przytłoczył go widok ponuro czerwonego, jakimś ołowianym renesansem wrzeszczącego gmachu. Kibalczyc przetarł oczy.

— Nu Zimowy pałac! — bąknął do siebie — i Dworskie wybrzeże! Ot, dokąd mnie licho zaprowadziło! Eh i mieli gdzie carską rezydencyę budować, naprzeciwko politycznych — a może i temu właśnie się to podoba. Kto jego wie!

Kibalczyc wyprostował zmęczone nogi, jakby siły badając, i ujął za poręcz schodów. Lecz w tej

samej chwili po schodach zaczął stępować barczysty mężczyzna w czapce z czerwonym lampasem i białej rubaszce z naszytemi wypustkami.

Mężczyzna schodził wolno, ileże niósł na ramieniu długą wędkę, która wyginała się gwałtownie za lada żwawszym ruchem.

Kibalczyc przystanął, aby dać zejść mężczyźnie. Ten jednak, zanim ostatniego stopnia dosiągnął, zaparł się swą szeroką piersią na poręczy i wpatrzył się natarczywie w Kibalczyca.

Kibalczyc ze swej strony rzucił okiem na jasną, pogodną twarz, wygoloną starannie na policzkach a zakończoną równą „łopatką“ rudej bródki a rozeznawszy po czapce jakiegoś dworskiego pachołka, odwrócił się odeń.

Nieznajomy wszakże miast zrozumieć odprawę, zeszedł pospiesznie i tuż do Kibalczyca się przysunął.

— Za pozwoleniem! — ozwał się Kibalczyc, chcąc skłonić pachołka do usunięcia się z przed schodów.

Lecz ten, na dźwięk głosu Kibalczyca, poczerwieniał i wybuchnął raptownie.

— Zdrowia życzę waszej wielmożności!

Kibalczyc mrugnął z wysiłkiem powiekami.

— Toże nie raczycie mnie poznać, a kogo dobrem żeście ugościli, a serdecznem podjęli za to, że on, szelma, chciał was ukrzywdzić.

— Chałturin! — zakrzyknął Kibalczyc.

— Uu! Wasza wielmożność, bo tu i te kamienie uszami strzygą!

— Bardzo się cieszę! Wszak wam Piotr Iwanowicz!? Widzę, że i powodzi się wam lepiej...

Chałturin nachmurzył się.

— A no jeszcze nie, ale musi...

— Myślałem, że ta czapka i te wypustki?

— No tak, mam miejsce, za stolarza meblowego jestem... o tu, w tym...

— W Zimowym pałacu!

— Co robić! Cesarskim zostałem...

— To dobrze, dobrze, zawsze to praca i chleb. Bardzom rad ze spotkania. Niechże wam wszystko najlepsze. Bywajcie zdrowi, idziecie na ryby — dobrego połowu! Czasu nie zabieram, bo to zresztą i nie zdrowo dla was z takim, jak mój, uniformem przestawać... Ja to rozumiem!... Bywajcie!

Chałturin stropił się.

— Pozwólcie, wasza wielmożność, toćże ja was czwarty rok szukam!...

Kibalczyc położył mu z uśmiechem rękę na ramieniu.

— Ba i nie dziw się, żeś mnie nie znalazł — spójrz no naprzeciwko... widzisz no, gdzie byłem?...

— O tem wiedziałem. Perowska mi mówiła.

Kibalczyc rozwarł szeroko oczy.

— Perowska?

— Zofia Lwowna — poprawił się Chałturin.

— To wy ją znacie?

— Przecież sami raczyliście.

— Prawda! Czekajcież, nie wiecie, czy jest w Petersburgu, bo ja dziś mało nóg nie uchodziłem...

Uważacie, przed kilku godzinami mnie wypuścili... no i tak łażę... żywego ducha...

— Jest, proszę waszej wielmożności, oni wszyscy teraz są.

— Z nieba mi spadacie! Dajcież mi adres.

Chałturin zafrasował się.

— Hm, adres to ciężko wam będzie... złe ich nosi po całem mieście. Zresztą i oni o was ani dbają!

— O znów, bo i czego!

— Ani dbają! Ja im drugi rok gadam, a oni zawsze swoje — „do partyi nie należy“, „mamy swoich do ratowania“, „trudno“, „żałujemy go szczerze“... Niech ich djabli! Ja im plunąłem wprost. Jeden Czernobajew, ten przynajmniej człowiek żywy — ale cóż, ten ma też na głowie, no ten choć wam życzliwy całą duszą.

— Czernobajew? Nie znam takiego!

— Jakżesz, toć on o was powiada!

— Może!

— Wasza wielmożność... raczcie usunąć się ku brzegowi, na lewo, a ja tu, z prawej, wędkę zarzucę!...

Kibalczyc na ten zwrot nie zdążył odpowiedzieć, gdy już Chałturin przykucnął na brzegu i z namaszczeniem jął do rybołówstwa się zabierać.

— Wasza wielmożność! — mruczał równocześnie odwrócony plecami — darujcie i siadajcie na lewo. Na moście tuż, wprost was, stoi ajent pałacowy... Nie dla siebie go się boję!

— Odchodzę, bo rzeczywiście...

— Nie czyńcie mi tego! Wasza wielmożność, nie chcecie, zawracam i idę z wami, niech sobie donos pisze, niech przepędza!

Kibalczyc, choć niechętnie, zastosował się do żądania Chałturina i o kilkanaście kroków odeń usiadł i patrzył przed siebie, niby ani zajmując się rybackimi przygotowaniami sąsiada.

— Czernobajew okrutnie poczciwie wypomina was. Ba a już ucieszy się, jak rodzonemu, gdy was zobaczy — zaczął po przestanku Chałturin.

— A gdzież mieszka?

— Nie ma go w Pitrze, wróci za tydzień.

Kibalczyca ogarnęło nagłe zniechęcenie. Chałturin mówił coś do niego, a perorował, lecz Kibalczyc ani zważał na jego słowa. Aż dopiero po chwili, ocknął się, postrzegł, iż zachód fioletami się stroił i rzekł z determinacyą.

— No, Piotrze Iwanowiczu, dłużej z wami nie mogę! Noc nadchodzi, trzeba myśleć o spoczynku. Kawał drogi przedemną... trzeba mi na skraj Aptekarskiej wyspy a może i dalej... gdzie krzaków poszukać i przeczekać!...

— Wasza wielmożność, toć aby chwilkę jeszcze i pójdziemy do Dagmary Heraldówny!

— Jakto?

— A no właśnie powiadam. Dagmara Heraldówna rzetelna kobieta, u niej choć wiek siedzieć!

— Przecież ja jej nie znam!

— Ale ona was zna! Ano i po chrześcijańsku zna! Pozwólcie, wasza wielmożność, dajcie sobie posłużyć!

— Co wam do mnie się mięszać, kłopoty sobie robić!

— Nic, nic, wasza wielmożność, siła czasu tego kłopotu wyglądałem! Ot i ściemnia się... aby odrobinę cierpliwości!... Dagmara Heraldówna aż do ziemi przykucnie, gdy jej takiego drogiego gościa przyprowadzę... Jeszcze chwilkę... jeszcze kruszynkę!

Kibalczyc chciał się opierać, lecz raptem zabrakło mu i sił i woli. Zmęczenie spętało mu nogi, zwarło powieki.

Gdy, w dobrą godzinę później, Kibalczyc ocknął się i ujrzał przed sobą barczystą postać chłopa w czerwonej rubaszce, z wielką czarną brodą i kołpaku kacapskim — zdumiał się tak, że ledwie po dłuższem zastanowieniu zrozumiał, że znajduje się pod mostem, nad Newą, i że ten czarny chłop jest tym samym Chałturinem, którego spotkał pod Dworskiem wybrzeżem.

Kibalczyc chciał pytać Chałturina, lecz ten ozwał się z mocą.

— Teraz w drogę. Jeszcze łyk wódki! Powietrze was odurzyło. Ani minuty nie ma do stracenia. I tak dziw, że nas dotąd nie pochwycili!... Choćby noc była a to czerwiec, że ani... ani... Zaraz, bierzcie tę czapkę a wasza do wody... Mamy niedaleko!... Wesprzyjcie się i ani słowa.

Chałturin ujął stalowym uchwytem przedramię Kibalczyca i ruszył żwawo nadbrzeżem, w stronę Admiralicyi, aż dosięgnąwszy Placu Piotrowskiego, skręcił w lewo, ku pomnikowi, i pociągnął Kibalczyca wprost do stojącego izwoszczyka. Izwoszczyk

zebrał lejce i, zaledwie Kibalczyc a zanim Chałturin zdołali się usadowić, ruszył z kopyta.

Chałturin zaśmiał się cicho i wskazał na izwoszczyka.

— To swój człek, dobry człek. To i najgorsze minęło! A wasza wielmożność, jakby was z nóg ścięło,... i byłoby nic, gdyby nie ta noc...

Kibalczyc rozejrzał się śród półmroku.

— At cóż dobrze, widzicie, różnica szerokości geograficznej, tedy zachód ze wschodem całują się... Znacie Puszkina?

— Niech go tam! A dla sprawy to wprost nieszczęście... ani kąta ciemnego nawet i w nocy.

Kibalczyca jakby uraziła ta uwaga. Zaparł się o kibitkę i zapadł w milczenie.

Dobrze mu było w tej rozpędzonej kibitce. Lekki wietrzyk muskał mu rozpalone skronie. Półmrok nocy koił oczy błękitno szarawymi tonami i nie raził mruganiem latarni miejskich, które Petersburg na czas ten zwykł był sprowadzać do znaczenia bezużytecznych, ślepych słupów. Koń parł, pruł ulice, zygzaczył, mijał gromadki roześmianych, rozgwarzonych przechodniów, prześcigał leniwiej sunące kibitki, prześlizgiwał się między jadącemi naprzeciw a parskaniem, zda się, sobie samemu dodawał ochoty. Kibalczyc przymykał oczy, przechylał głowę, chłonął pełną piersią fale powietrza, nasycone lekkim pyłem, i poddawał się bezwładnie ruchowi kibitki.

Kibalczyc ani myślał, ani rozważał — rozumiał, że ta kibitka niosła go, unosiła — a dokąd, to było

mu obojętnem, byle nie ustawała, byle nie zwalniała pędu.

Po godzinie drogi, śród ulic i zakamarków, kibitka zatrzymała się przed jednopiętrowym, rozpłaszczonym niedbale domem.

Chałturin wyskoczył z kibitki, pomógł wygramolić się Kibalczycowi i powiódł go ku bramie a stąd wprost na schody.

— No i, dzięki Bogu, jesteśmy w domu! Ale, wasza wielmożność, raczcie nie zapomnieć, że ja tu jestem Pawłem Pawłowiczem Osipowem!

— Przecież wam Piotr Iwanowicz...

— To dla was... lecz dla tych tak wypadło...

Kibalczyc nie miał czasu odpowiedzieć, bo Chałturin ściągnął szybko swą czarną brodę... i zastukał do drzwi na pierwszem piętrze.

Drzwi uchyliły się.

— Kto tam? Czego? — zagadnął niecierpliwy bas.

— Osipow! I nie sam a z gościem!...

Drzwi rozwarły się naścieżaj.

Na tle ciemnego, głębokiego korytarza zarysowała się długa, chuda sylwetka.

— Chodźcież prędzej!... Dalej... o tu, na lewo, do alkierzyka!...

Chuda sylwetka ruszyła naprzód, zamieniając urywane zdania z Chałturinem i wiodąc gości do małego, zastawionego rupieciami a oświetlonego małą, kopcącą lampką, pokoiku.

Tu dopiero chuda sylwetka przeistoczyła się w wysoką, zasuszoną kobietę o twarzy flegmatycz-

nej, pomarszczonej, wystrojonej w dwa kosmyki siwiejących włosów na skroniach i czarny czepiec. Kibalczyc ledwie zdążył ogarnąć nieco cudaczną postać nieznajomej, gdy Chałturin kilku słowami sprezentował go i gdy już wątła, nikła ręka Kibalczyca uwięzła w kościstej a guzami pokrytej dłoni kobiety.

— Dobrem słowem was witam, sercem was witam! — zagaił energiczny bas — Paweł Pawłowicz wiele mi powiadał, pokochałam was, uczciwie pokochałam! Rodzonemu lepiej nie życzę!... Paweł Pawłowicz wam zawdzięcza wszystko a ja jemu znów strach ile!...

— Paweł Pawłowicz? — wtrącił niepewnie Kibalczyc.

— Dagmara Heraldówna mówi o mnie! — objaśnił Chałturin.

— Pozwólcie do lampy! — przerwała żywo Dagmara Heraldówna. — Niech się wam napatrzę! Ooo! I umęczyli biedaczka i namordowali hycle!... I takiego chłopaka!... Czekajcież... toć chyba macie nie więcej, jak dwadzieścia cztery lat! I taki męczennik!... Śmierci na nich nie ma!

— I właśnie, Dagmaro Heraldówno, jego wielmożność, dziś wyszli... i, gdyby nie przypadek, strach powiedzieć... toże omdleli nad brzegiem Newy...

Dagmara Heraldówna zawinęła w powietrzu rękoma, niby śmigami, i wybiegła z alkierzyka.

Chałturin podsunął stołek Kibalczycowi.

— Ależ bo właściwie nie rozumiem...

Chałturin mrugnął znacząco.

— Aby pozwólcie, wasza wielmożność, ona wszystko wie!... Szczera baba, rzetelna baba... Wy nic, wasza wielmożność, — dajcie jej, a spoczniecie, wytchniecie, tedy rozpowiem! Tylko już Dagmarze Heraldównie nie przeszkadzajcie!

Ta ostatnia przestroga była bodaj zbyteczną, ileże w kilka chwil Dagmara Heraldówna, bez ceremonii, zabrała się do rozkazywania i rozkazywania tak energicznego, iż Kibalczyc ani marzyć mógł o oporze. Zresztą i nie miałby potemu serca, ponieważ tyrania Dagmary Heraldówny zaczęła się od filiżanki bulionu, kawałka mięsa, kieliszka wódki i herbaty.

Kibalczyc z upodobaniem jadł i zapijał. Chałturin siedział na wąskiej, starą szmatą okrytej, skrzyni i, ćmiąc papierosa, postukiwał sobie butami a uśmiechał się, ani probując przerywać Dagmarze Heraldównie, która, stojąc nad Kibalczycem, rozprawiała z zapałem.

— Widzisz dzieciaku! Dorwałeś się. A nie parz gęby bulionem! Powoli, powoli! Jakie toto wygłodzone. Posól sobie, posól... tak! A czekaj... nasmaruję ci „buterbroda"!... Naści! Co?... Myślisz, żem Niemka, bo mam akcent?!... Dunka jestem, z Kopenhagi jestem a co Niemcy to mi zaleźli tak za skórę, jak i wam! U mnie tak — gadam po waszemu, jak umiem, — mełtnę dobrze ozorem, to dobrze a nie mełtnę to niech *„Fanden gale mig"*. Wiesz, co to „fangalme"? Widzisz! Każdy po rodzonemu mądry. Weź chrzanu do kotleta — taak. Przegryź chlebem. Ojej, bo się zatkniesz...

gryźże, smarkaczu, wszystkimi zębami. Będziesz miał moje lata, to na półgębek zjedziesz. Co — jeszcze? Ani kawałka! Chcesz się rozchorować! Na dziś i tak zadużoś zjadł... Żłop herbatę. Chałturin, ukręć mu papierosa a i mnie!

Kibalczyc, po nasyceniu się, odetchnął, zapalił papierosa i rozkoszował się herbatą. Lecz ledwie że do połowy szklanki dopił, gdy znów przed nim stanęła Dagmara Heraldówna, ale teraz już w szarym, po szyję dochodzącym, fartuchu i z zakasanemi po ramiona rękami.

— Kola, chodź ze mną, trzeba z tobą zrobić porządek!

Kibalczyc spojrzał niepewnie na babę. Dagmara Heraldówna roześmiała się i ujęła go za ramię.

— Chodźże, dzieciaku, nie zjem cię! A na Pawła Pawłowicza się nie patrz, on ci niepotrzebny! Dalej, żywo, tak się nie możesz ludziom na oczy pokazać!

Kibalczyc, ani się spostrzegł, gdy znalazł się w wielkiej czworokątnej kuchni nad miską wody.

— Łeb i szyję najpierw a potem reszta! — zadecydowała Dagmara Heraldówna.

— Dobrze tylko...

Baba się obruszyła.

— Co dobrze? Dalej! Dawaj tą okrybidę. Ściągaj!... I koszulę — nie chcesz — ze mną ceregiele robisz — a cóż ty to masz na sobie — ścierkę! Widzisz — nawet zdejmować nie trzeba — o, trach! i leci w kawałki. Nie otrząsaj się! Ja cię muszę po duńsku, rogóżką i pytlikiem! Zamykaj oczy...

uch!... Nachyl głowę!... Ziup!... Jeszcze kubeł wody!... A co! Bierz za ręcznik! Zarzuć na siebie prześcieradło i siadaj... muszę ci te wiechcie ostrzydz i gębę ogolić a potem reszta!

Operacya trwała długo i coraz żywsze ze strony Kibalczyca wywoływało protesty, ale te, wobec arbitralności Dagmary Heraldówny, na nic się nie zdały.

Po ostrzyżeniu i ogoleniu, podczas którego baba nadrabiała brak wprawy temperamentem i tłumaczyła stękającemu Kibalczycowi, że mu nosa nie utnie, — nastąpiło generalne mycie a za niem zmiana bielizny.

Ale, gdy następnie Dagmara Heraldówna rozłożyła przed Kibalczycem stos rozmaitej odzieży, ten zaoponował energicznie i upierał się do swych studenckich łachmanów wrócić.

Dagmara Heraldówna, po długich perswazyach, skinęła pojednawczo.

— Czekaj, więc ci je wyczyszczę! Zaraz, masz co w kieszeni? A tu! Co to? Złodziejski paszport? Z tym najpierw trzeba zrobić porządek!

Przy tych słowach Dagmara Heraldówna odsunęła garnek na buzującym się kominie i rzuciła paszport w ogień.

— Co pani robi! — wybuchnął przerażony Kibalczyc, — toć cała moja legitymacya!

— Będziesz miał jutro lepszą! Tego by brakowało jeszcze, żebyś się komu na oczy pokazał z takim papierem.

— A nie, a zawsze może wypaść — frasował się Kibalczyc.

Baba tymczasem zakręciła pogrzebaczem w ogniu i, nim Kibalczyc, po stracie paszportu, się uspokoił, zwinęła w kłęb jego studenckie łachmany i wrzucila w ogień za paszportem.

— Naa, *Fanden gale mig*, teraz musisz się przebrać!

— A tak i nie można! I jakże! Ot żeście narobili!

— *Hold din Koeft, Brumbasse!* Rozumiesz? *Brumbasse* to jest bąk po duńsku a po waszemu to taki nieusłuchaniec! Dalej! Czekajno, na kogo ty wyglądasz!... Naa, kupczyk z ciebie! Naa, kupczyk żółtołepek! Cacanek. Eh, kiedy miałam białe zęby to takiego raz chciałam schrupać. Był u bławatnika na *Vimmelskaftet?*... Nie wiesz, co to *Vimmelskaftet?* No, to po waszemu, toż samo, co Newski prospekt w Kopenhadze, tylko że trochę krzywo idzie! Zaraz. Weźmiesz sobie te majtczyny czarne, aksamitne, buty długie, palone, rubaszkę w kwiatki, kamizelkę i szarą kacabajeczkę..!

Kibalczyc skwaszony i zrezygnowany wdział wskazane odzienie.

Baba roześmiała się na całe gardło.

— Pawle Pawłowiczu! Chodźcie! Naa, i jakby ulał na nim! Naa, kupczyk z Vimmelskaftet!... A teraz patrz w lustro... poznałeś się?...

— Rzeczywiście, Dagmaro Heraldówno, rzeczywiście...

— Ani poznać! Inny człowiek, aż miło... no, dawaj gęby!...

Baba mlasnęła z impetem Kibalczyca w same usta.

— Naa, kupczyk, kupczyk, subjekcik! Naa, daj jeszcze! Uh, a tom się uraczyła na stare lata! Teraz fora ze dwora, do herbaty i do rzeczy!...

Baba zawinęła się w alkierzyku, zastawiła samowar, herbaty nalała i rozsiadła się.

— Osipow dawajcie papierosa — no i gadajmy!

Chałturin odchrząknął. Kibalczyc muskał ręką po wygolonej twarzy. Dagmara Heraldówna stuknęła energicznie filiżanką i, nie czekając na zagajenie, ozwała się półgłosem.

— Tedy u mnie pokój wolny jest — nie ma się czem kłopotać... może siedzieć, jak u pana Boga za piecem... Najgorsze dziś, bo nie ma paszportu.

— Spaliliście sami!

— No z takim nie daleko byśmy zajechali... Tego jeszcze brakowało, *Gud bevares!* Rzecz w tem, iż ostatni zapasowy paszport oddałam dziś Helfmanównie! Powiem memu staremu dziś, zaraz, no ale prędzej nie będzie, jak jutro... Trudno, przebidujemy. Moje „pokoje umeblowane" mają dobrą reputacyę, przecież nie darmo jestem żoną urzędnika policyi... Tfu — powiedzcie no, Pawle Pawłowiczu, to ci szczęście dla Dagmary z domu Petersen, urodzonej w królewskim zamku! A ty, smyku, nie dziw się! Ojciec mój był starszym pomocnikiem młodszego podfurjera na dworze królewskim i na dworze nie żadnego Chrystjana, Niemca, Glücksburga, ale u Fryderyka siódmego!... A mnie samą król mało razy całował?! A panna Rasmussen,

z którą się nasz król ożenił! Ach, co wspominać — na to zeszło, że człowieka pasya zdejmuje, iż nosi takie samo imię, jak ta lala, wasza dzisiejsza następczyni tronu! Weźmie ona za swoje!...

Dagmara Heraldówna rzuciła złowrogie spojrzenie ku ścianie, na której w złoconych ramach wisiał sztych, przedstawiający rodzinę cesarską i, odetchnąwszy głęboko, ciągnęła dalej.

— Więc tak, — u mnie zbytku nie ma, lecz głodu także... Uspokoisz się, przyjdziesz do siebie, rozejrzysz się — to i zajęcie sobie znajdziesz... Roboty nie brak — to i wszystko!

— Bardzo wam dziękuję, Dagmaro Heraldówno, tylko, tylko, że doprawdy nie mam prawa narażać was na koszta, zwłaszcza, iż w mojem położeniu...

Baba żachnęła się.

— Masz, masz, już wyciąga trele! Boisz się, żebyś mnie nie zjadł — nie bój się — groszy mamy w tej chwili dosyć — niech cię o to głowa nie boli... Fanny dziś znów parę stówek przysłała. Wiesz czego nam braknie — główo mądrych, pięści jędrnych, bo z bibuły, z gadania nic nie przyjdzie... Jeden Czernobajew do rzeczy mówi...

— Święta racya, święta! — przytwierdził Chałturin z kąta.

— A może i nie! Naszych, jak much ginie — i za co — ot macie dowód żywy! Ale, zapomniałam ci dać chustki do nosa!

Dagmara Heraldówna podniosła się, sięgnęła do kosza w rogu alkierzyka, zaczem wcisnęła Kibalczycowi chustkę do nosa a równocześnie wsunęła

do kamizelki zwitek banknotów. Kibalczyc poczerwieniał.

— Już aby tego...

— Nie bój się, nie kapitał, aby trochę drobnych, bo inaczej ruszyć byś się nie mógł stąd.

Kibalczyc chciał dziękować, lecz go coś zatchnęło, baba zresztą wpadła w ferwor.

— Najważniejsza, abyś naszego obyczaju strzegł i nie wdawał się w lada głupstwa, bo i sobie i nam wszystkim biedy byś narobił. Żadnych politycznych druków u mnie, ani, ani! Taki regulamin, żadnych bazgrot! — Hartman póty u mnie wojował aż go precz przepędziłam. Chcesz czytać, to sobie czytaj, co chcesz, tylko nie żadne „Dzwony", nie żadne „rewolucye", bo tego nie wolno. Masz Pawła Pawłowicza on ci rozpowie — prosty człek, ale uczciwy człek i ma więcej rozumu od tego trznadla Rysakowa... Ale z tym już porządek...

Gwałtowne stukanie do drzwi wchodowych przerwało Dagmarze Heraldównie. Chałturin zerwał się, aby otworzyć, lecz baba zatrzymała go i poszła sama.

— Malinowska! — mruknął po chwili w przedpokoju bas Dagmary Heraldówny.

— Dziś do was policya! — rozległ się dźwięczny głos.

— *Fanden gale mig!* — zaklęła baba — ależ to nie może być... dwa tygodnie temu...

— Przyszły akta śledztwa o zabójstwie Gajkina w Kijowie... szukają...

— Co — co!? Gajkina zatłukli?...

— W biały dzień... na Kreszczatiku.

— *Gud ske Lov!...* A to się spisali...

— Trzeba dać znać, Czernobajew jest w drukarni... przygotowują proklamacyę... uprzedźcie pensyonarzy!...

Kibalczyc, na dźwięk głosu Wiery, zadrżał i zacisnął ręce na krawędzi stołu. Jakieś radosne wzruszenie wskróś go przejęło i wlekło go, aby biegł naprzeciw, aby witał przybyłą. Ale nieśmiałość wrodzona Kibalczyca przemogła, więc jeno zapatrzył się w ciemń, rozwartych do przedpokoju, drzwi, wyglądając zjawienia się Wiery a podczas napawał się tonami jej melodyjnego głosu, ani probując zrozumieć, o czem mówiła.

Naraz Kibalczyc usłyszał swoje nazwisko, wymówione basem Dagmary Heraldówny i teraz dopiero skupił uwagę.

— Kto? — kto? — rozległ się głos Wiery.

— Kibalczyc, pamiętasz ten, o którym Osipow, co go za książki Korniłównej... Dziś wypuścili go...

— A no, to bardzo dobrze. —

— Nie ma jeszcze paszportu, trzeba go stąd usunąć... więc, jeżeli macie wolne miejsce...

— Cóż znowu! — zaoponowała energicznie Wiera — Przecież on do nas nie należy! Naszym brak miejsca dzisiaj — gdzie tu się bawić w dobroczynność... niech sobie...

— Nie krzyczcie...

Rozmowa ścichła, przeszła w szept.

Chałturin, który siedział w kącie, na skrzyni, podniósł się i jął mierzyć niespokojnymi krokami

izdebkę. Po pauzie, Dagmara Heraldówna rzekła nieco głośniej.

— Może chcesz się z nim zobaczyć?

— Co mi potem, nie mam zresztą sekundy do stracenia... Do widzenia, weźcie się ostro do roboty, bo dziś może być gruntowna rewizya!...

Trzask otwieranych i zamykanych drzwi zakończył szepty. Do alkierza weszła Dagmara Heraldówna. Była wzburzona, namarszczona.

— Słyszeliście — policya!

Chałturin strzepnął czapką, którą trzymał w ręku.

— Ja, na miasto, za godzinę będę z powrotem... Trzeba dla nich co znaleźć...

— Byle nie w żadnym hotelu ani w żadnych „pokojach"... naganka pójdzie na kilka stron — bo jeżeli do mnie przychodzą, to musi być źle...

— No, coś się znajdzie! —

— Ale, Perowska ma wolny paszport!

— Czort ich bierz, obejdzie się i bez łaski — oburknął Chałturin i ruszył do przedpokoju.

Dagmara Heraldówna wyszła za Chałturinem, otworzyła drzwi, zamknęła i wróciła do Kibalczyca.

— Widzisz, ani się człowiek spodzieje, jak nań spadnie! Ale Gejkina urządzili, obwieś był, gałgan! Co z naszymi wyrabiał, to jeden Bóg wie! Ale bo, co ci to jest?... Hę?...

Kibalczyc dźwignął z trudem pochyloną głowę i spojrzał wyblakłymi oczyma na Dagmarę Heraldównę.

— Nic sobie...

— Ja to znam! Zaleciało cię więzieniem, nie

bój się, nie zginiemy. Moja ręka! Siedźże sobie tutaj — ja tymczasem muszę porządek zrobić z moimi lokatorami.

Kibalczyc pochylił glowę i zapadł w odrętwienie, ani troszcząc się, co się wokół dzieje.

Tymczasem ciche mieszkanie Dagmary Heraldówny a za mieszkaniem i cały dom napełnił się rozgwarem, zgiełkiem i zamętem. W kuchni, gruba, przysadzista dziewczyna operowała bez wytchnienia przy buzującym się ogniu a wrzucała weń zwoje papierów, które Dagmara Heraldówna znosiła, klnąc a pomstując po duńsku na cały świat. Niekiedy, na tle roztwartych drzwi, zarysował się mundur studencki a tuż bas Dagmary Heraldówny zahuczał ze zdwojoną siłą, niekiedy rozlegał się ociężały skrzyp przesuwanych mebli.

Wreszcie pantofle Dagmary Heraldówny jęły człapać wolniej, równomierniej — a zgiełk cichnąć, milknąć.

A Kibalczyc siedział nieruchomy, z twarzą stężałą w skurczu muskułów.

— Wasza wielmożność nam pora w drogę! —

Kibalczyc poruszył się, spojrzał na Chałturina, który stał przed nim i powstał.

— A no w drogę!

— Zaraz, zaraz, trzeba mu czapkę! Jest na szczęście! *Fanden gale mig!* Włazi ci na uszy! Co robić. Więc jutro do mnie, paszport będzie gotowy.

Dagmara Heraldówna mówiła coś jeszcze, lecz Kibalczyc ani słyszał. Na ulicy dopiero otrząsnął się, zaczerpnął powietrza i wrócił do równowagi.

— Słuchajcie, Chałturin, trzeba by gdzie iść do zajazdu...

— Wszystko gotowe, niech tylko wasza wielmożność raczy posłuchać, zanim wsiądziemy do dorożki, muszę rzecz rozpowiedzieć. Chodźmy tędy, na lewo.

— Gdzież bo jesteśmy?

— Na Piaskach, proszę waszej wielmożności...

— Aha! Ale nie tytułujcież mnie wciąż wielmożnością, bo i do czego.

— Wasza wola. Otóż, już drugi rok jestem stolarzem dworu jego cesarskiej mości. Dzięki wam, dostałem się do warsztatów Admiralicyi, stamtąd na jacht cesarski, aż wzięli mnie do Zimowego pałacu... No i dla tych znów jestem Matfiejem Matfiejewiczem Czerepkowem, włościaninem z Ołonieckiej gubernii... Tedy na dziś trzeba, żeby wasza wielmożność został moim stryjecznym i mówił mi stryju...

— Jakże to...

— A no, niby wy będziecie synem brata mego, Nikity — a wam na imię też Nikita, czyli dla mnie jesteście Nikita Nikitycz, syn Nikity Matfiejewicza, który umarł. Pochodzicie z Powienieckiego powiatu i miasta Powieńca, nad jeziorem Oneżskiem, o sto ośmdziesiąt wiorst od Petrozawodzka. — Byliście w handlu kolonialnym, w Petrowodzku, za praktykanta a teraz do stolicy żeście zjechali do stryja, lepszego chleba szukać... Aby nie mówcie dużo a na mnie zważajcie. Mnie tam mają za półgłupka... wam też nie wypada być mądrzejszym. Stolicy ani

widzieliście... Dziwcie się wszystkiemu... Zresztą gadania nie będzie długiego, bo czeladnicy są od wczoraj w Peterhofie a cesarz jutro jedzie do Moskwy — tedy dziś gwałt... Trzeba się spieszyć, bo wstąpimy jeszcze po walizkę z rzeczami dla was.

To przemówienie Chałturina rozweseliło Kibalczyca.

— Chałturin, co wygadujecie! Mam być waszym stryjecznym, wybornie, lecz co zamierzacie...

— Nie ma innej rady... zresztą już i zapóźno. Dziś dyżuruje w suterenach feldfebel Morozow... już go uprzedziłem... zaprosił nas na przekąskę na jutro... Ma dwie córki — dziwy, jak banie, starsza, Tatjana a młodsza Matrona. Feldfebel myśli, że ja do starszej! Mnie co, choćby nawet, byle swojego dojść... Tedy wy możecie do młodszej, to się zawsze przyda...

— Chałturin, — czekajcież, — bo nic nierozumiem, lecz dokądże wy chcecie mnie wieść! ?

— A no, gdzieżby — odparł flegmatycznie Chałturin — do Zimowego pałacu!

X.

Gdy Kibalczyc nazajutrz obudził się i rozejrzał, potrzebował całego natężenia umysłu, aby uprzytomnić sobie, skąd znalazł się w tej przepastnej, sklepionej izbie, zastawionej, niby jakaś sala szpitalna, szeregami łóżek. Lecz snop światła, padający wskos, z hen, pod sklepieniem, umieszczonego okna ozłocił, tuż u wezgłowia Kibalczyca, wielki, wystrzyżony, rudy łeb.

Kibalczyc uśmiechnął się, przeciągnął i mruknął do łba przyjaźnie.

— Nu i Chałturin!

Łeb kiwnął się.

— A wy tu z Chałturinem nie wojujcie...

— Prawda, stryju!

— O właśnie! Nic, jeszcze wcześnie! Byłem już w warsztacie i wyprosiłem sobie na dziś urlop!... Teraz jeszcze jedno przejście najgorsze to u Morozowa. Ale wy z nim mało. Do Matrony się przysiadajcie i z nią, o co nie bądź, się swarzcie!... — A starych to już ja biorę... Spieszyć nie ma czego. Wyjdziemy dopiero za godzinę, pójdziemy do Izaaka. Będę wam pokazywał Petersburg... Nie ma rady, trzeba regularnie — bo anibyśmy się obejrzeli, jakby nas chwycili... Tu, macie wodę, mydło, wszystko co trzeba. Po śniadaniu, u Morozowa,

musimy jeszcze dowiedzieć się, czy u Dagmary Heraldówny wszystko w porządku. Kto ich wie, czasem potrafią chwycić coś! Aż strach pomyśleć, bo gdzie taką drugą znaleźć...

Kibalczyc uniósł się na łóżku i przysiadł.

— Macie słuszność, to jakaś zacna istota, choć nie rozumiem jej dobrze, no bo i was także nie rozumiem...

Chałturin westchnął i machnął ręką.

— Et, krótkie o mnie rozumienie...

— Nie bierzcie za złe, — lecz... trudno mi was poznać, wydawaliście się mnie wówczas... ot dobrodusznym sobie...

Chałturinowi plamy czerwone trysnęły na czoło.

— Złodziejem!

— Co wy, co wy — dajcie pokój — także!

Chałturin podniósł pięść do góry.

— A kto mnie nim zrobił?! Ten! No i ja jemu odpłacę, ja mu pokażę... Z robotniczej ręki zginie...

Kibalczycowi zrobiło się przykro.

— Uspokójcie się, wyście mnie nie zrozumieli.

— Ja po swojemu biorę. A i cóż, przed wami nie mam co kryć. Robotnikiem byłem, spokojnym, uczciwym, dobra chciałem, i nie sobie a swoim rodzonym. W Jarosławiu byłem. Nauczyli mnie za młodu czytać i pisać a no czytałem, sobie czytałem, towarzyszom czytałem. Aże pochwycili, stłukli, w areszcie trzy tygodnie trzymali i ze służby precz wygnali! Za co? Sami nie wiedzieli za co. Bo ani temu... się buntowałem, ani do czego namawiałem... Powędrowałem do Kostromy. W Kostro-

mie, licho na mnie napędziło jarosławskiego strażnika. Zadenuncyował, zrobili u mnie rewizyę, pieniądze, co miałem, zrabowali, nic nie znaleźli, bo i nic nie miałem, zresztą i wygryźli ze służby. Poszedłem na piechotę do Petersburga, — rok szedłem, najmując się po drodze do robót a od wsi do wsi się wlokąc. Akurat świętowali wszędzie wyzwolenie z poddaństwa i nadanie ziemi chłopom. Patrzyłem własnymi oczyma na te gałgaństwa, patrzyłem na te oszukiwania i chłopów i panów, i na złodziejstwa czynowników, i na zapędzanie nahajkami ludu do cerkwi, aby modlił się za cara, za dobrodzieja i za jego zgraję rozbójników... Tu, w Pitrze, dwa lata byłem w fabryce za Narwskiemi rogatkami... Naszli do nas studenci. No, prawda, darłem się do nich, sercem się darłem. Jakże było inaczej, kiedy ci taki przyjdzie a czterema słowami chamską duszę ci otworzy, wszystko twoje bolenie dobędzie i okaże ci i wytłumaczy. Przedtem, bywało, chodzisz ze zmorą, wódkę chlasz, świętym świece stawisz a zmorę w sobie nosisz a na złe wyrzekasz i ani wiesz, gdzie złe, które złe... Sprawiedliwie, darłem się do nich... Jednego porwali, drugiego, dziesiątego aż się do robociarzy wzięli... i mnie na pierwszy ogień, że byłem piśmienny, do rewizyi i do aresztu... liczba była nas wielka aresztowanych, umknąłem w drodze z pod konwoju... Rozesłali za mną listy gończe, musiałem się wyrzec gospody... Tułałem się... bez paszportu... bez dachu... żebrałem, na śmietnikach szukałem ochłapów... chciałem się topić... ale pasya mną trzęsła, nie chciałem ginąć

tak podle, bodaj jednego łotra chciałem zadławić.. Nadeszła jesień... bieda żarła... Szedłem Mieszczańską ulicą... Na chybił trafił wstąpiłem do pierwszego z brzega domu, aby coś ukraść... Gwoździem otworzyłem drzwi wasze!... Pamiętacie resztę... Nazajutrz wróciłem, aby się wam wyspowiadać... Miałem plany swoje... chciałem przez was do nihilistów się dostać... Was nie było już. Stróż mię pochwycił, poturbowali mnie... Pani Perowska dała mi list do Sablina — ten mnie odesłał do Filinowa, w kilka dni byłem w warsztatach Admiralicyi... Zdarzyła się robota na jachcie cesarskim, przyszło mi na myśl, żeby dotrzeć się na dwór cesarski... i tam dopiero swoje zrobić. Sprawa była trudna, lecz pracowałem z całych sił, kłaniałem się cesarskim statkom, udawałem głupca, poczciwca, modlącego się raz na dzień do Boga a dziesięć razy do cara. Dali mi do politurowania drzwi na jachcie. Nie rękoma lecz jęzorem politurowałem, żeby tylko się podobało... ludzi unikałem, ze szpiegami i żandarmami tylko się kumałem... Aż i nagrodzili... Siedzę tu, ba i siedzę, jak Benjaminek, i... czekam...

Chałturin otarł spocone czoło.

— I doczekam się! Jemu sądzono z robotniczej ręki zginąć!... Tydzień temu, zawołano mnie na pokoje i kazano wziąć politurę... Nie wiedziałem, na nieszczęście, dokąd mam iść... Wprowadzono mnie do gabinetu i kazano biurko odświeżyć... kamerlokaj stanął przy mnie i pilnował. Gdym kończył robotę — naraz drzwi się otwarły i wszedł cesarz... W pierwszej chwli chciałem porwać się

i zadławić go... Lecz zastanowiłem się... kamerlokaj stał za mną... Ale ta jedna myśl, że nie mam przy sobie bodaj noża, tak mię skręciła, że, jak wpółsiedziałem na ziemi przy biurku, tak zdrętwiałem... aż kamerlokaj musiał mnie podnieść!... Sobacze szczęście!...

Kibalczyc dźwignął się leniwie z łóżka i zaczął się ubierać.

Chałturin rzucał niepewne spojrzenia, snać zdziwiony milczeniem Kibalczyca aż, z pewnem zniecierpliwieniem, dodał po przestanku.

— Ot i całe o mnie rozumienie!

Kibalczyc, który właśnie, po wypluskaniu twarzy, ocierał się ręcznikiem, rozejrzał się po sklepieniu izby i zauważył.

— Ale, bo tu i mury dopiero potężne, możnaby na nich nie pałac ale arsenał wybudować...

Chałturin wykrzywił twarz.

— Jego szczęście! — Niechbym miał tyle siły, żeby ten filar rozerwać tobym zagrzebał dawno i jego i siebie...

— Phi! Właściwie na to trzebaby może z pud dynamitu...

— Prochu! — poprawił Chałturin.

— Co tam proch! Żebyście tu i pięć beczek zatoczyli, to jeszcze i tyle by nie było, co z puda dynamitu... Dynamit ma dziesięć razy większą siłę rozrywczą, zapala się pewniej, spala szybciej...

— Skąd go wziąć, gdzie dostać!?...

— Ależ, moi drodzy, to bagatela! Samemu go można zrobić... Czekajcie, czekajcie... aha, już wiem,

najpierw — formuła nitrogliceryny... ce dwa, ha pięć, o dziewięć i en trzy równa się... ce trzy, ha pięć, o pięć i eno dwa na trzy... A potem, zwyczajne zmieszanie nitrogliceryny z piaskiem, z ordynarnym piaskiem!... No i powiedzieć, że za to proste zmieszanie nitrogliceryny z piaskiem Nobel ma więcej sławy od ojca, który wynalazł nitroglicerynę!

— Więc wy, więc wybyście mogli?...

— Dlaczegóżby nie...

— Bo to, uważacie, Czernobajew już mi coś podobnego wspominał, nawet ktoś podjął się tego, lecz podobno na wypadek się naraził, ręce sobie poparzył i na dobitek policya wpadła, bo ją huk zwabił i siedzi, biedak, już drugi rok w Szlisselburgu.

— Hm! Pewnie, o eksplozyę nie trudno... trzebaby nawet coś w rodzaju laboratoryum... Ale, w rezultacie, to bardzo przyjemna robota. Bo, widzicie, właściwie, po za chemią, to wszystko głupstwo!... Chemia jest treścią całego naszego bytowania — tlen, azot, chlor, wodór i wszędzie tlen, azot, wodór i chlor... Z chemią można nie wiem co!... Bo to nauka przyszłości... Tylko głupcy mogą kpić z kamienia filozoficznego! Patrzcie, wyśmiewana alchemia dała nam kamień piekielny, alkohol, sublimat, zbudowała nam alembik, licho wie, co zawdzięczamy postrzelonym alchemikom... I nawet nie postrzelonym — bo dlaczegóżby — na dnie chemii drzemią całe skarby!...

Chałturin porwał w obie dłonie rękę Kibalczyca.

— Wasza wielmożność, więc naprawdę, więc wy byście mogli, wy byście chcieli?!

— Czego, bo nie wiem.

— No tego, tego dynamitu!

— Ależ, człowieku, bo mi ręce połamiesz! No dobrze, dobrze... zrobię ci próbę!... Zrobię. Powiadam wam, że to nadzwyczaj ciekawe doświadczenie.

Tego samego jeszcze wieczoru Kibalczyc, wyposażony w paszport, na imię Nikity Nikitycza Czerepkowa, włościanina Ołonieckiej gubernii i subjekta z handlu win, osiadł na poddaszu w domu Dagmary Heraldówny.

Naturalnie, instalacya odbyła się nietylko w obecności Chałturina ale, co gorsze, przy wzmożonej jeszcze gadatliwości właścicielki pokoi umeblowanych, która, obok szerokiej perory, czuła się w obowiązku pokilkakroć powtórzyć każdy szczegół wczorajszej swej rozprawy z policyą. Ale gdy nakoniec Kibalczyc został sam, gdy rozejrzał się po schludnie urządzonej izdebce — to mu czegoś w duszy zajaśniało i tak, że nawet nie miłe perypetye tego dnia roześmiały się doń. Najnieznośniejszem ze wszystkiego było mu śniadanie u feldfebla Morozowa. Pominąwszy bowiem całą komedyę, którą musiał odgrywać — sam widok żandarmskiego munduru tak mocno mu dokuczał, iż sobie rady dać nie mógł. Na dobitek, młodsza feldfeblówna jakąś szczególniejszą pasyę powzięła do Kibalczyca, bo nie dość, że doń się przysiadła obces i posztur-

giwała go łokciem, ale, gdy siedli do śniadania, szczypała go raz po raz...

To zachowanie się feldfeblówny tak wystraszyło Kibalczyca, że ledwie śmiał spojrzeć na czerwoną, pyzatą twarz dziewczyny, ta zaś z tego skonfundowania tem większą czerpała odwagę.

Kibalczyc machnął ręką, jakby odpędzając jakieś wspomnienie, i przyglądał się z upodobaniem swej izdebce.

Wszystko mu się tu podobało, wszystko do gustu przypadało. I firanki białe perkalikowe, i kołdra bajowa w pasy, i stół pod oknem, i umywalka blaszana, i tapczanik, ceratą kryty, i dywanik nad łóżkiem, i szafa lakierowana, i wieszadła, i lusterko.. nawet ikona w rogu pokoju. Tylko, co Kibalczycowi zdało się zbytecznem, to portret cesarza, wiszący nad łóżkiem... Wprawdzie, Dagmara Heraldówna objaśniła Kibalczyca, że ten portret musi być, bo to dla policyi dowód wysokiej lojalności pokoi umeblowanych, lecz, pomimo to, Kibalczycowi zdał się zbytecznym.

Jednak Kibalczyc sobie samemu snać niedowierzał, bo pokilkakroć razy zatrzymywał się przed portretem i wpatrywał się weń — aż w ostatku mruknął do siebie:

— On wogóle jest niepotrzebnym.

Pierwsze dni pobytu Kibalczyca u Dagmary Heraldówny były dlań istnym rajem. Kibalczyc rozkoszował się swoją izdebką, odbywał długie spacery, bawił się serdecznie despotyzmem gospodyni, napawał pełnią ciszy i swobody, prowadził szero-

kie dysputy z odwiedzającym go Chałturinem a zresztą ani się troszczył o nic, co się wokół niego działo.

Lecz wkrótce, na jasnym, horyzoncie, zarysowały się chmury. Kibalczyc bowiem, powziął nagle myśl, żeby bądź co bądź wrócić do akademii, no i wyszukać sobie lekcyj, no i, w rozmowie z Dagmarą Heraldówną zwierzył się jej z tego zamiaru. Dunka jednak wyśmiała najbezwzględniej zamiary Kibalczyca.

— Co tobie się śni! Patrzżesz, kim jesteś, — na kupczykiem! Kibalczyc zginął, papiery jego także zginęły!...

— Uch — tam, toć przecież nikt nie może zaprzeć mi matury...

— Lecz jakże do niej się przyznasz? Wszak jesteś politycznym i pod dozorem, nigdzie cię nie przyjmą!

— No, to ja zdam egzamin dojrzałości, jako Nikita Nikitycz Czerepkow!

— Co — co? Ty, syn włościanina ołonieckiego, kupczyk! Ależ to szaleństwo, to waryactwo! Sam nie wiesz, co wygadujesz! Poprostu, zgubiłbyś i siebie i mnie i nas wszystkich i Osipowa!... — Zostaw, zostaw — ot kuczy ci się. Wypocznij sobie jeszcze, zastanowisz się, rozważysz — a wyklaruje ci się nie jedno! A tymczasem ot, co ci powiem, masz pieniądze, idź na miasto, nakupże sobie odrobinę chudoby, toć nic nie masz, krom tego, co na sobie!...

Kibalczyc, choć nieprzekonany, aby miał się

wyrzec medycyny, dał się skłonić dla myśli o poczynieniu zakupów i wybrał się na miasto.

Jakoż, gdy, po kilkugodzinnej wyprawie, powrócił obładowany paczkami, Dagmara Heraldówna aż krzyknęła z ukontentowania.

— No przecież, no i dobrze, no i właśnie!

Kiedy atoli Kibalczyc rozłożył z tryumfem swoje sprawunki — baba oniemiała ze zgrozy... ileże zawartość paczek składała się z brzoskwiń, różowych winogron, koniaku, cukierniczki kryształowej i wielkiego flakonu perfum.

— Co to? Jak to?...

— To — to dla was, Dagmaro Heraldówno.

— Masz źle w głowie, dla mnie, dla mnie?!

— No poprostu okazya!... Znakomita okazya! Wyobraźcie sobie brzoskwinie w czerwcu i raptem po pół rubla za sztukę!

— *Fanden gale mig!* To ty zamiast sobie kupić, zamiast sobie...

— O przecież ja i sobie też! — przerwał z tryumfem Kibalczyc, wyciągając z papieru grubą księgę. — Widzicie, ostatnie wydanie histologii...

Dagmara Heraldówna rzuciła się, jakby ją pies ugryzł, wyrwała Kibalczycowi książkę i wrzasnęła z pasyą:

— Katia! Katia! Zabierz to, wrzuć mi w komin, natychmiast! Ot, jeszcze tego brakowało!

— Dagmaro Heraldówno! — bronił się Kibalczyc, widząc, że książka przechodzi do rąk służącej. — Jakże można...

— Ani słowa więcej! Co ty chcesz, aby policya w pokoju kupczyka znalazła taką książkę!...

— Przysięgam wam, że to czysto naukowa rzecz.

— Naa! Czysto naukowa! Tedy syn chama z ołonieckiej gubernii będzie czytał czysto naukowe rzeczy!

Po tej przeprawie, Kibalczyc posmutniał, lecz po głębszym namyśle, postanowił zrehabilitować się i, na trzeci dzień, po raz drugi po zakupy poszedł, a choć i tym razem nie zyskał pochwały Dagmary Heraldówny dla tuzina zapinek do koszul i trzech kamizelek — atoli już ani myślał chwalić się, że przemycił dwa bombiaste tomy chemii.

Coś w tydzień, nowe chmury zawisły nad Kibalczycem, bo najpierw Chałturin zjawił się z prośbą, aby znów pojść do feldfebla Morozowa, który najusilniej dopytuje się o „Nikitę" a, tuż za Chałturinem, wpadła do izdebki Dagmara Heraldówna z dziennikiem wieczornym w ręku i zakomenderowała uroczyście.

— Masz, czytaj, patrz!...

Kibalczyc spojrzał na dziennik, dostrzegł wielkiemi literami wydrukowaną wiadomość o zabójstwie generała adjutanta, Mezencewa, i zauważył flegmatycznie.

— Co mam czytać?...

— No Mezencew, Mezencew... rozumiesz.

— Zabili go — hm, a cóż, niech sobie.

— Ale kto! Patrz teraz... widzisz, nasz komi-

tet... oto jego proklamacya! Nareszcie zabrali się do czynu! Nareszcie koniec mazgajstwa! To lubię, to mi się podoba!... I cóż ty na to?

— Ja?... Cóż ja — mnie nic!

Dagmara Heraldówna poprawiła czepiec na głowie.

— Jakto „nic"?... Więc ciebie nic to nie obchodzi, ciebie to nic?...

— No tak, bo właściwie cóż ja? — odparł spokojnie Kibalczyc.

Właścicielka pokoi umeblowanych przysiadła na stołku i zaczęła chropowato.

— Trzeba, żebyśmy się rozmówili. O tem, że nie należysz do partyi, o tem mówiono mi — jednak miałam cię za politycznego!...

— I ja już nie raz, Dagmaro Heraldówno, chciałem wam powiedzieć, że się mylicie, bo i cóż to ja jestem za polityczny? Czy dlatego, że mnie, z łaski tego tu, któregoście mi nad łóżkiem powiesili, trzymali w więzieniu?!...

Baba zatarabaniła palcami po stole.

— Hm-hm! Naa, to ja muszę wezwać do was Czernobajewa — niech on rozsądzi... Ja nie mam wam nic do zarzucenia, ale tu się czasem mówi i robi... tak nie może być... W moich pokojach musi być porządek. Zresztą to wina Osipowa... Miałam was za nihilistę!...

— Ależ, Dagmaro Heraldówno, skąd wam taka myśl mogła przyjść! Mnie ani się nie śniło. Bo i cóż to jest nihilizm? Przecież to *bon mot* Turgieniewa! Ot, staremu strzelił do głowy koncept

urodzenia nihilisty!... Nihilizmu nie było i niema... boć to abnegacya bezwzględna i zaprzeczenie! boć to właściwie obłęd, poprostu ideał powrotu do życia jaskiniowego...

— Więc powiadasz, że nihilistów niema na świecie?!

— No, oczywiście!

— A ja, ja?! — wykrzyknęła basem Dagmara Heraldówna, bijąc się kułakiem w piersi — i ty, śmiesz mi w oczy powiedzieć, że nie jestem nihilistką!?...

— Dagmaro Heraldówno, no rozważcie tylko, no zastanówcie się tylko... skądże was można mieć za nihilistkę...

Babie oczy kołem stanęły.

— Naa, *Fanden gale mig,* tego już zanadto! Wiesz ty kto tę... tę Dagmarę, tę Maryę Teodorównę, tę następczynię chce, chce ukamienować? Ja! — słyszysz, smarkaczu!... Tak, bo ja z nią mam porachunki, ja z nimi wszystkimi mam porachunki! Jakto, żeby mnie, urodzonej na dworze królewskim, pozwolić, żebym była żoną pospolitego urzędnika policyjnego, żeby mnie dziś rodzony ambasador nie dopomógł, żeby mnie śmiał za drzwi wyprawić, żeby mi taka Dagmara, co tu Dunkę udaje, na żadne nie odpowiedziała podanie! Taka Glücksburgówna! Ja im pokażę, gnębicielom! Wiesz teraz — no tedy język trzymaj — bo dopiero przekonałbyś się, z jaką nihilistką masz do czynienia!

— Zapozwoleniem, ale jakiż to ma związek z nihilizmem!?...

Dagmara Heraldówna zgarnęła przyniesioną gazetę i wybiegła z izdebki, trzaskając drzwiami.

Od tej chwili między Kibalczycem i właścicielką pokoi umeblowanych stosunki się oziębiły. Dagmara Heraldówna unikała go i poprzestawała na porozumiewaniu się za pośrednictwem Kati, służącej. Dla Kibalczyca ta rozprawa miała jeszcze i ten sens, że wspomniał na Kołotkiewicza i pobiegł, co tchu, do Filinowa. Tym razem zastał inżyniera. Filinow przyjął Kibalczyca serdecznie i, po wysłuchaniu relacyi, sam zapytał, czy nie mógłby być mu użytecznym. Ale Kibalczyc, zrozumiawszy, że inżynier ma ochotę wziąć go za nihilistę, oświadczył mu kategorycznie.

— Dziękuję — gdyż nie mam potemu kwalifikacyj, abym miał prawo korzystać...

— Dlaczegóż to?

— No bo pan bierze mnie prawdopodobnie za kogo z partyi... a ja do żadnej waszej partyi nie należałem i należeć nie myślę...

Filinow zmięszał się i zagadnął cierpko.

— Przepraszam, — lecz nie pojmuję, skąd pan ma tak rozległe wiadomości...

— Ot dopiero ważna rzecz. Kołotkiewicz prosił, więc przyszedłem.

— Lecz Kołotkiewicz nie mógłby mówić z panem tak otwarcie...

— A jednakże mówił. Zresztą wszystko mi jedno, co pan z tem zrobi — prosił, więc powtarzam.

— Czy niebyłby pan łaskaw powiedzieć swego adresu.

Kibalczyca przekora napadła. Rozdrażniony ton głosu Filinowa uraził go.

— A, mój adres? — w Grand hotelu!...

Kibalczyc wyszedł od Filinowa wzburzony — ileże ten ostatni pożegnał go z widocznem lekceważeniem, bo nawet ręki mu nie podał.

— Nu i fanatyk, nu i druga Dagmara Heraldówna. Zwaryowali ze swoim nihilizmem. Partya — u takich, kto nie z partyi, to nie człowiek... daliby sobie buzi z tymi z Piotropawłowskiej!... Mezencewa zabili — ot sztuka. Jutro będzie drugi Mezencew... Choć sobie Chałturin — a przynajmniej ten myśli a tamci to i nie myślą!...

Wizyta u Filinowa obudziła nadto w Kibalczycu uczucie wstydu, że korzysta z opieki takiej Dagmary Heraldówny i oczywiście zjada jakieś fundusze nihilistyczne, do których niema najmniejszego prawa. I Kibalczyc postanowił sobie dobyć się z tej fałszywej sytuacyi — zajęcie sobie znaleźć a babę spłacić. Nie miał wprawdzie narazie jasnego wyłożenia, w jaki sposób, to uczyni, ani co wogóle ze sobą pocznie — lecz nie mniej rozumiał, że tak trwać nie może, bo w ostateczności w pokojach umeblowanych Dagmary Heraldówny nawet pracować nie wolno ani poślęczyć uczciwie nad książką.

Ten ostatni wszakże zarzut najniespodziewaniej dla Kibalczyca raptem znikł, bo Dagmara Heraldówna nawet przez Katię nie narzucała się więcej

ze swymi przepisami a nawet zaczęła obiady i śniadania przysyłać do izdebki Mikołajowi Iwanowiczowi, z uwagi na to, że ma jakichś gości.

Kibalczyc tego widocznego unikania go do serca nie brał — i w całej pełni zaczął ze swobody i samotności korzystać, więc nakupił sobie za resztę pieniędzy książek, flaszeczek, baniek, chemikaliów i po całych dniach wertował, majstrował sobie odczynniki, ważył coś na lampce spirytusowej i mieszał.

Na takiem zajęciu zaszedł raz Kibalczyca Chałturin. Kibalczyc powitał go ze zwykłą dobrodusznością, podsunął papierosy, usadowił i, nie zważając nawet na dziwnie zasępioną twarz stolarza, — zabrał się do swoich chemikaliów a, od czasu do czasu, zagadywał do przybyłego. Ale, że Chałturin ledwie monosylabami odpowiadał, Kibalczyc zaś skupiał uwagę nad robotą, więc rozmowa się rwała i milczenie raz po raz zalegało izdebkę.

Aż raptem Chałturin odsapnął i ozwał się głucho.

— Czy Dagmara Heraldówna nic wam nie mówiła?

— Dagmara Heraldówna? — Nie widziałem jej chyba z tydzień... a może i więcej — ma gości...

— Bo to dziś na wieczór wybiera się do was Czernobajew z Filinowem... i jeszcze jakimś...

Kibalczyc, który pochylony nad stolikiem, był zajęty sączeniem kroplami jakiegoś gęstego białego płynu do słoja wypełnionego innym płynem — bąknął obojętnie.

— Aha, — no to dobrze.

Chałturin pogładził się po głowie.

— Czernobajew powiadał, że was zna, serdecznie powiadał, ale kto jego wie, zawzięty jest, rodzonego brata by zgubił, gdyby mu zawadzał.

— Proszę! — Ciekawy jestem bardzo — bo, jako żywo, nie mogę przypomnieć sobie tego Czernobajewa... Więc powiadacie, że przyjdą?

— We trzech!

— Co prawda, to ten Filinow wcale mi się nie podobał...

— Więc, więc wy go znacie!

— Znać właściwie nie znam, widziałem go przed kilku dniami...

— Wasza wielmożność, wam by trzeba stąd gdzieindziej...

— I mnie się tak zdaje — już myślałem o tem sam!...

— A ja myślę, że lepiej byłoby zaraz... dziś jeszcze, w tej chwili się wynieść!...

— Niepodobna... widzicie, muszę z tem skończyć jeszcze — dziś zacząłem drugą porcyę — no ani mowy...

— Ot lepiej niech to bodaj przepadnie, zmarnuje się.

— Ba-ba — kiedy tego nawet zmarnować nie można...

— Wasza wielmożność! — zaczął niespokojnie Chałturin, zniżając głos.

— Dajcież spokój z tą wielmożnością.

— Pozwólcie!... Wy... wy musicie stąd ruszać!...

Dopiero dziś się dowiedziałem... Oni was chcieli już żandarmom oddać...

Ręka Kibalczyca drgnęła z lekka. Kibalczyc zaprzestał sączenia płynu.

— Do licha, też wybraliście sobie porę — łapa mi się utrzęsła, na szczęście bez wypadku! Więc jakto, chcieli mnie oddać?

— A no tak! Oni i na to mają swoje sposoby — lecz namyślili się, bo boją się, że za wiele wiecie... tedy moglibyście coś rzec...

— Gdzie — komu?

— A no tam, w Piotropawłowsku.

— Nu, nu Chałturin, co wy dziś!

Stolarz jego cesarskiej mości stęknął.

— Ta na was doniosła do komitetu!

— Dagmara Heraldówna?

— Któżby!? Nie powinienem tego mówić, bo oni by i na mnie... Ale cóż, złem za dobre nie potrafię — niech sobie, co chce... Oni was mają za niebezpiecznego!

— Któż taki?

— Ano partya.

— Nihiliści?

— Tak! I oni mają tu przybyć na sąd. Mówią, że nie mogą dozwolić, abyście wy, jako człowiek nie należący do nich, mogli tyle wiedzieć!

Kibalczyc roześmiał się na całe gardło.

— Nic tam, banialuki!

— Sprawiedliwie! I gorzej, bo Filinow mówi, że was w fortecy przerobili... czort wie, co miamle zatraceniec.

Kibalczyc odwrócił się obojętnie do stołu i zabrał się do sączenia płynu.

— Chory człowiek! Niech gada, mnie do tego nic!

Chałturin pochylił się ku Kibalczycowi.

— Oni was na sąd swój — oni dziś tu mają!...

— No, więc zgóry im zapowiem, że żadnym nihilistą nie jestem, ani stracha na wróble udawać nie myślę...

— Wasza wielmożność, posłuchajcie, z nimi nie ma żartów!... Oni dwóch już tu, w tym domu, zagałuszyli, u nich nie kupić... Ale im się i nie dziwić, strach, co naszego brata ginie po więzieniach. Przed dwoma dniami Kuprianowa na śmierć zatłukli batami podczas śledztwa. Szpiegów tyle się namnożyło, iż za nikogo nie ręczyć. „Ziemla i wola" musi się bronić...

— „Ziemla i wola" — ładnie się nazywa!

— Wy tu zostać nie możecie... wy tu ani godziny dłużej nie możecie!... Im byle co i gotowi, nie wiem co. A przecież i wam nic do nich — lepiej ustąpić.

Kibalczyc zafrasował się.

— Pewnie, pewnie...

— Niech ich tam. Ja sam nie myślałem — ale kiedy się szczerzą — co wam z takiej gościny!

— Macie słuszność.

— O i właśnie. Mieszkanie i lepsze znalazłem... Tu nie ma czego żałować — zostawić im choć i te tu rzeczy...

Kibalczyc, który był wstał od stołu, potrząsnął głową i usiadł.

— Ani mowy — ani mowy! Jutro dopiero skończę z tem — wcześniej ruszyć się nie mogę!... Trudno, mnie samemu nieprzyjemnie być zawadą — ale cóż, trzymali mnie tak długo — muszą więc czekać jeszcze do jutra. Tak, na jutro, na wieczór, będę gotów zupełnie...

Chałturin stropił się tym niespodziewanym uporem i jął tem żywiej wystawiać Kibalczycowi niebezpieczeństwo spotkania się z „sądem" nihilistycznym a gdy i te argumenty nie skutkowały — ozwał się groźnie.

— Co tu kręcić, — oni mają was poprostu za szpiega!...

— Przyśniło się im!

— I oni wam nie dadzą nawet się wytłumaczyć!

— Ani myślę probować.

— Więc chodźcie stąd.

— Jutro!

Chałturin aż stęknął z pasyi. Wyczekał chwilę i po raz drugi i trzeci zaczął przekładać Kibalczycowi a namawiać go do opuszczenia umeblowanych pokoi Dagmary Heraldówny, lecz napróżno. Kibalczyc zbywał Chałturina i preparował swoje chemikalia i ledwie odpowiadał.

Aż Chałturin zachmurzył się i umilkł.

Tymczasem nadszedł zmierzch. Kibalczyc wstał, przeszedł się po izdebce, zatarł ręce i rzekł rażno.

— Ale, bo mówiliście, że musicie przed wieczorem wracać!

— Tu zostanę!

— Nie mrocz się, stary. Widzisz, nie upierałbym się, bo mnie co! Wynieść się stąd, no to wynieść...

Chałturin, który wzrok miał we drzwi wlepiony, zerwał się na równe nogi.

— Idą — idą! Czekajcie, weźcie to na wypadek... w kieszeń — w kieszeń! Ja będę w pobliżu...

Kibalczyc, któremu Chałturin wciskał rewolwer, cofnął się ku stolikowi.

— Ależ, cóż znowu — a ja cobym z tem robił.

— Bierzcie, bierzcie... żebyście się mieli czem bronić!

— Ani myślę! Ot ci dopiero broń!...

— Wasza wielmożność! — upomniał raz jeszcze Chałturin, lecz nie zdążył dokończyć, gdyż drzwi rozwarły się naścieżaj — na progu ukazał się Filinow, a za nim tęgi, barczysty mężczyzna z jasno-blond brodą a w ostatku, wysoki młody jegomość w złotych binoklach, w uniformie urzędnika intendentury.

— Pan Kibalczyc? — zagaił Filinow. — Mamy z panem do pomówienia!

— Proszę!

— Musimy być sami! A to wy, Osipow!...

— Osipow — Osipow! — rozległ się bas Dagmary Heraldówny z głębi schodów. — Mam do was coś!...

Chałturin zawahał się, — lecz Kibalczyc pośpieszył się wmieszać.

— Pozwólcie, — ponieważ sobie ci panowie życzą.

Po oddaleniu Chałturina, mężczyzna z brodą blond zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Kibalczyc uwagi nie zwrócił na ten szczegół i, zaprosiwszy przybyłych ruchem ręki do zajęcia miejsc, sam siadł bokiem do stołu.

— Słucham, czem mogę służyć!?

Filinow zwrócił się do mężczyzny z blond brodą.

— Niech kolega.

Mężczyzna z blond brodą spojrzał ku jegomości w mundurze i zaczął oschle.

— Jesteś pan oskarżonym o szpiegostwo. Co masz pan na swoją obronę?

— Nic! — odparł obojętnie Kibalczyc.

— Więc przyznajesz się do winy?

— Najpierw muszę wiedzieć, do jakiej winy mam się przyznać.

— Podawałeś się pan za członka partyi „Ziemla i Wola“, — korzystałeś pan z praw i przywilejów członka partyi, — dotarłeś tu...

— Zapozwoleniem — wmieszał się jegomość w uniformie — to nie może być brane pod uwagę, ponieważ Osipow wyjaśnił...

— Kwiatkowski! — zakrzyknął z ukontentowaniem Kibalczyc, poznawszy teraz dopiero szkolnego kolegę.

— Tu nie ma żadnego Kwiatkowskiego! — upo-

mniał surowo mężczyzna z blond brodą. — Proszę się z miejsca nie ruszać, bo każę pana związać! Idźmy dalej. W jakim celu zgłaszałeś się pan do, obecnego tu, inżyniera Filinowa, w jakim celu udzieliłeś mu fałszywej wiadomości o Kołotkiewiczu, w jakim celu dałeś mu adres do Grand hotelu...

— Powtórzyłem to, o co mnie proszono... i nie widziałem racyi udzielać temu panu dokładniejszego adresu...

— Więc dlaczegoż mówiłeś o wysłaniu Kołotkiewicza do Charkowa, gdy wysłano go do Odessy? — Milczysz pan? — Hm, a czemu przypisać, że, w godzinę po tobie, zjawiła się u inżyniera Filinowa żandarmerya... i szukała śladów Helfmanówny?

Kibalczyc namarszczył się, potarł czoło i odrzekł ostro.

— Mój panie, nie mam zaszczytu pana znać. Rozumiem tylko, że jesteś jakimś sobie nihilistą — co zresztą mało mnie obchodzi. Idzie ci zapewne o to, że tu mieszkam, — no tedy wiedz, iż jutro się stąd wyniosę, dziś jednak ani kroku stąd nie zrobię — bardzo żałuję, iż wam przyczyniłem kłopotu...

— Hm! — To zależy!

Filinow spojrzał znacząco na blondyna z brodą.

— Tu nie ma nad czem się namyślać...

— Proponowałbym wezwać Dagmary Heraldówny! — ozwał się Kwiatkowski.

— A ja bym proponował panom zostawić mnie samego.

— No, tego najłatwiej możesz się pan doczekać! — zagroził ponuro blondyn, zaczem zwracając się do Filinowa i Kwiatkowskiego, dodał — ja bym proponował dać oskarżonemu pięć minut czasu...

— Znając oskarżonego od szkolnej ławy, poczytuję zarzuty za niedowiedzione — wmieszał się znów Kwiatkowski.

— A ja mam je za oczywiste — mruknął Filinow.

— Ponieważ ja zgadzam się z Filinowem, przeto kolega jesteś przegłosowanym — zauważył oschle blondyn.

— Oponuję stanowczo! — upierał się Kwiatkowski.

— Masz pan pięć minut do namysłu — rozstrzygnął porywczo blondyn, zwracając się do Kibalczyca.

— A po pięciu minutach? — zapytał ironicznie Kibalczyc.

— Jeżeli pan się nie przyznasz, no to możesz się pan przygotować na śmierć.

Kibalczyc sięgnął po budzik i ustawił go przed sobą.

— To wasze ultimatum, a teraz moje. Otóż, jeżeli się panowie za cztery minuty nie wyniesiecie... to wylecimy w powietrze!... Dla przekonania, biorę oto na szklanną pałeczkę jedną kroplę płynu... z tego słoja... i puszczam na ziemię...

Mocny huk eksplozyi zakończył słowa Kibal-

czyca. Kłęb dymu wzbił się od podłogi. Filinow a za nim blondyn z brodą porwali się z miejsc.

— No, no, tylko powoli, panowie, zwracam waszą uwagę, że nitrogliceryna wybucha za lada wstrząśnięciem... a tej tu porcyi starczy na pogrzebanie trzech takich, jak ten, domów... Macie jeszcze trzy minuty do namysłu... Tymczasem puszczam drugą kroplę...

— Pan jesteś szalonym!... Zastanów się pan, usiłujesz pan sprowadzić policyę! — wołał Filinow.

— Bądź pan spokojnym. Policya wyleci w powietrze razem z nami.

— Na Boga, co wy, co wy!? — rozległ się za drzwiami wzburzony bas Dagmary Heraldówny.

— Jeszcze dwie minuty!...

Kwiatkowski skoczył do drzwi i otworzył je z klucza.

— Filinow, Żelabow, proszę stąd! Dalej!

— Jak to kolega rozumie!? – oburknął się Filinow.

— Rozkazuję imieniem komitetu wykonawczego! Ja tu sam dam sobie radę!

— *Fanden gale mig!* Co tu wyrabiacie! — darł się głos właścicielki pokoi umeblowanych.

— Kibalczyc sięgnął pałeczką do słoja, lecz nowa pogróżka była niepotrzebną. W izdebçe został tylko Kwiatkowski.

Rozmowa szkolnych kolegów trwała długo, lecz musiała snać wziąć niespodziewany obrót, ileże, po wyjściu Kwiatkowskiego, Dagmara Heraldówna, jęła zaglądać po dawnemu do izdebki Kibalczyca

a szukać widocznie sposobności do nawiązania pojednawczej gawędy. Kibalczyc jednak trwał w milczeniu i nie zwracał uwagi na zabiegi Dunki.

Dnia następnego, Kibalczyc od samego rana zabrał się do swoich chemikalij i pogrążył się z takiem oddaniem w swem zajęciu, że ani słyszał, gdy drzwi się otwarły a do izdebki weszły dwie strojne a szeleszczące jedwabiami damy.

— Mikołaju Iwanowiczu! — rozległ się łagodny, harmonijny głos jednej z dam.

Kibalczyc zatrząsł się i odsunął z hałasem krzesło. O dwa kroki przed nim stała panna Malinowska.

— To wy, wy Wiero Stanisławówno?

Malinowska uśmiechnęła się przyjaźnie i, usuwając się na bok, wskazała na swoją towarzyszkę, wysoką, smukłą kobietę o twarzy ściągłej z lekka zmęczonej a okolonej falami popielatych, wijących włosów, ujętych w białe ramy muślinowych woalów.

— Pan Kibalczyc — moja przyjaciółka, która życzyła sobie pana poznać.

Kibalczyc skłonił się, zmierzył otchłań czarnych, wilgotnych oczu nieznajomej i do Malinowskiej się zwrócił.

— Niech panie będą łaskawe... jestem do usług!...

— O niech pan sobie nie robi subjekcyi — ozwała się nieznajoma.

— Przychodzę do pana w delegacyi — zaczęła swobodnie Wiera — idzie nam o pozyskanie pana dla partyi... Wiem o tem, że pan zawsze z nami

sympatyzował, a choć zwalczał może, jednak naszym usiłowaniom współczuł... Pamięta pan nasze przekomarzania o Czernyszewskiego...

— Czy pamiętam! — westchnął Kibalczyc, zasłuchany w dźwięk głosu Wiery.

— Ach tak, lepsze to były czasy! Otóż, jeżeli argumenty nie zdołały pana przekonać, to niewątpliwie przejścia, których pan się stał ofiarą, musiały nań oddziałać...

Kibalczyc potrząsnął głową.

— Nie broń się pan. Wprost przeznaczenie łączy pana z nami!

— Wiero Stanisławówno, z całego serca chciałbym pójść za waszem zdaniem... lecz... nie podobna. Partya, o której pani wspomina, nie odpowiada moim przekonaniom...

— Jakto, więc niedola milionów, bezprawie, samowładztwo, zaprzeczanie człowiekowi najprostszych praw obywatela, ciemnota ludu, prześladowanie, tyrania władców nie budzi w was refleksyj!?

— Budzi wielkie i potężne — lecz równocześnie budzi niechęć do waszych zamierzeń!

— Czemuż to?!...

— Bo i cóż czyni partya? Rozprasza się, zabiega o zgładzenie jakichś pachołków, trutniów, pospolitych opryszków a tymczasem nie zwalcza tego, co jest rdzeniem złego, źródłem...

— Myślisz pan, że nie pamiętamy o potrzebie zgładzenia cesarza... Otóż wiedz, że przed miesią-

cem tylko fatalność udaremniła nam zamach w Mikołajewie!

— I cóżby z tego przyszło? mielibyśmy dziś drugiego cesarza!

— Lecz ten, nauczony doświadczeniem, sterroryzowany, byłby innym, lepszym!

— Otóż tu właśnie się rozchodzimy, Wiero Stanisławówno, wy jesteście za władzą. No tak, za jakąś dobrą, łagodną czy względną, lecz zawsze za władzą — a ja nie znoszę żadnej! Ja, dalej, nie przystaję na mięszanie do sprawy kwestyj ekonomicznych, socyalnych, oświatowych i tym podobnych. Wasza propaganda mnoży tylko ofiary a nie posuwa sprawy, wasze uświadamianie osłabia was...

— Ależ, Mikołaju Iwanowiczu, toż trzeba ramion silnych, trzeba kroci, trzeba zastępów!

— Na co!? Trzeba tylko nauki, wiedzy, pracy — a kilku ludzi zdziałać może więcej, niż miliony zrewolucyonizowanych. Weźmy przykład. Przypuśćmy, że człowiekowi, pragnącemu szczerze... zmiany stosunków, udało się rozwiązać problemat o sterowaniu balonami!... Cóż się dzieje? Człowiek taki siada, wznosi się i po kolei, za pomocą zrzucania pocisków, burzy i równa z ziemią wszystkie gniazda samowładztwa... W ciągu kilku godzin, nie ma ani Zimowych pałaców, ani ministeryów, ani fortec, ani więzień...

Wiera rozwarła szeroko oczy.

— Lecz to są niepodobieństwa!

— Bynajmniej, starczy tylko zbadać istotę lotu ptaków i ulepszyć mechanikę.

— Widzę, że różnimy się tylko co do środków walki!

— Oh, i co do celów. Weźmy waszą ulubioną śpiewkę o oświacie! Czemże jest ta wasza oświata — ano budzeniem licha, namawianiem prostaczków do ćwierćkultury, do poddania karku na obrożę pustych obyczajów, do wyrzeczenia się poezyi, do zaprzęgnięcia się w jarzmo materyalizmu, do przeczulenia i potargania zdrowych nerwów, do rozwodnienia jasnych myśli w tem nikczemnem kłopotarstwie, które my szumnie zwiemy cywilizacyą!

Panna Malinowska probowała oponować, lecz Kibalczyc wpadł w zapał i już nie tylko snuł teorye, ale i sam na obalenie ich gromadził zarzuty i sam je znów zbijał i niweczył. Aż w ostatku ustał, z czego skorzystała towarzyszka panny Malinowskiej i zagadnęła.

— Niech pan daruje ciekawość, — lecz mówiono nam, że udało się panu przygotować dynamit, czy nie byłby pan łaskaw, choć pozwolić rzucić nań okiem?

Kibalczyc za całą odpowiedź wziął ze stołu bezkształtny złom żółtawej masy i podał pytającej.

— Służę pani.

Nieznajoma wzięła złom do ręki.

— To z tego robi się dynamit?

— Nie — to właśnie już jest gotowy...

— Jakto? — jakto? Więc to — to jest ten!? — zakrzyknęła z rozradowaniem panna Malinowska. — I pan tak sobie, na stoliku... to zapewne

zbyt mała ilość, żeby mogła być niebezpieczną... Pozwól, Fanny!

Nieznajoma z lekkiem drżeniem ręki podała dynamit pannie Malinowskiej.

— Zawsze jest tu około dwóch funtów — mogłoby więc starczyć na wyrzucenie mnie przez dach. Choć to zależy od okoliczności. Taż sama ilość dynamitu, zamknięta w szczelnym kapslu metalowym i podpalona spowodowałaby trzykroć silniejszy wybuch. Pani rozumie, — idzie o przestrzeń. Jeden litr nitrogliceryny, boć dynamit jest tylko piaskiem z nitrogliceryną zmieszanym, daje tysiąc sto trzydzieści pięć litrów gazu, naturalnie w chwili wybuchu... O ile wokół jest przestrzeń wolna, no tedy eksplozya może wybić szyby, poparzyć, poranić nieszkodliwie... No, a o ile brak wokół przestrzeni — tedy gaz musi ją zdobyć, rwie zatem więzy i łamie zapory...

— To niezmiernie zajmujące, nieprawdaż Fanny?

— Zapewne, choć ten... dynamit tak niewinnie wygląda.

Kibalczyc się rozochocił.

— Panie pozwolą, zrobię próbę. Uch, najniewinniejszą w świecie. Proszę uważać. Biorę źdźbło dynamitu, prawie niewidoczna ilość... dodaję kilka granulek, preparatu starego Howarda... piorunianu rtęci, bo dynamit potrzebuje smolnej drzazgi... i teraz przytykam zapałkę...

Lekki huk wybuchu zakończył słowa Kibalczyca. Sinawy obłok gryzącego dymu wypełnił izdebkę.

Twarzyczka panny Wiery rozgorzała. Fanny siedziała nieruchoma.

— Świetne, znakomite, Mikołaju Iwanowiczu! I to wy, wy sami...

Kibalczyc spojrzał w ciemno-niebieskie oczy panny Wiery.

— Ach, toć nie wielka filozofia... to nawet bardzo proste...

— Widzicie, — mówiła gorączkowo Wiera — nam też zdawało się, ktoś z naszych nawet rozpoczął próby... ale, gdy przyszło co do czego... eksplozyi zabrakło.

— Bardzo możliwe. Dynamit się rozkłada, nitrogliceryna, choć pozornie zamieniona w ciało stałe, ulatnia się... dynamit traci na mocy. Potem i zapalenie samo jest dość trudnem!... Lecz to są drobiazgi.

Malinowska oparła się o stół i bawiła się niedbale złomem dynamitu.

— Wygląda to na zlepek piasku...

— Wina to braku stosownych aparatów... o, naprzykład, takich otworów być nie powinno... ale sama nitrogliceryna jest tak bajeczną kompozycyą, że z niej można całe poematy snuć...

Główka Wiery mocniej pochyliła się nad dynamitem, pukiel włosów musnął Kibalczyca a równocześnie ręka jego dotknęła smukłych, kształtnych paluszków. Kibalczyca przejęło rozkoszne drżenie.

— Mikołaju Iwanowiczu, gdybyście chcieli, gdy-

byście byli tak dobrzy i przygotowali nam tego... tylko, że nam trzeba dużo, bardzo dużo...

— Wam, wam Wiero Stanisławówno? — szepnął cicho Kibalczyc.

— No tak, mnie, mnie! — odrzekła z dziecinnym grymasem Wiera, wpatrując się zalotnie w płowe oczy Mikołaja Iwanowicza.

— Ja cóż, mnie to nic — tylko, że nie podobna tu ani prób, ani doświadczeń...

— To już moja głowa. My z Fanny bierzemy wszystko na siebie... Urządzimy wam laboratoryum, dostarczymy wszystkiego, co trzeba... O wszystkiem będziemy myślały. Same zapisujemy się na wasze pomocnice... Wy będziecie naszym chemikiem.

— Ale nie żadnym partyjnym...

— Nie, broń Boże, my utworzymy własną partyę!... Będziemy pracowali, szukali... a może i na balony się zdobędziemy!

— Rozkazujcie, Wiero Stanisławówno, toć ja wam winienem dziękować, ja wam! — odrzekł ze drżeniem w głosie Kibalczyc.

— Jedno pytanie niedyskretne — w jakim celu zaczęliście te doświadczenia?... Ale może wolicie zamilczeć?

— Cóż znowu — miałem plan dla jednego z moich znajomych, który się chce w Samsona zabawić i zawalić świątynię bałwochwalczą — ale to nie ucieknie mu!

— Więc ręka Mikołaju Iwanowiczu, że idziemy razem!

— Dokąd wasza wola, — byle z wami.

XI.

Od chwili zawartego z Wierą przymierza, życie zaczęło się Kibalczycowi układać niby jakiś rozkoszny sen. Bo oto, już we dwa tygodnie, ex-więzień Piotropawłowskiej fortecy zajął wspaniały apartament na Wielkiej Morskiej ulicy i przedzierzgnął się w Aleksandra Wasiljewicza Archangielskiego, adwokata przysięgłego tyfliskiego sądu okręgowego a kierownika jakichś kolosalnie bogatych przedsiębiorstw. Ta transformacya, przy wrodzonej nieśmiałości i dobroduszności Kibalczyca, byłaby niemożliwą, gdyby nie wytworność a obrotność sekretarza Sołowjewa... Sekretarz ten przyjmował interesentów, czuwał nad godnością patrona, prowadził kasę, słowem był zewnętrznym alter ego Kibalczyca. A że nadto pan adwokat miał i lokaja Andrzeja i pokojówkę i kucharkę i nawet stałego izwoszczyka, — tedy odrazu zajął wybitne stanowisko pośród lokatorów kamienicy, jako człowiek bogaty, wpływowy i godny. Czemu dzielnie sprzyjała okoliczność, że służba pod niebiosa wynosiła dobrego pana a po całej dzielnicy obnosiła jego zamożność, wspaniałomyślność i zacność rodu. Jakoż poczekalnię Kibalczyca zalegały fale klientów a nie było dnia, żeby i generalski ekwipaż nie zajechał lub żeby jakiś wyorderowany dostojnik

nie złożył Aleksandrowi Wasiljewiczowi swego uszanowania. Ba, lecz co osobliwe, Kibalczyc wcale a wcale nie troszczył się o swoich gości, ponieważ ci, po przejściu przez gabinet sekretarza, albo oddalali się, albo zasiadali sobie w jednym z salonów i zabawiali się konwersacyą z pokojówką, lokajem albo kucharką. Kibalczyc podczas siedział sobie za oszkloną galeryą w swoim pokoju i z całym spokojem pracował nad chemikaliami. Przychodziło mu to z łatwością, ileże pokój Kibalczyca a raczej szeroka, widna komnata była świetnie urządzoną pracownią, laboratoryum, którego nie powstydziłaby się europejska wszechnica. Kibalczyc miał tu wszystko pod ręką i czasopisma techniczno-chemiczne i dzieła stosowne i aparaty najkosztowniejsze i całe bele chemikalij i kufy preparatów.

Juści, od czasu do czasu, Kibalczyc musiał opuszczać ulubioną pracownię i z sekretarzem Sołowjewem odbywać spacery na wyspy, jeździć do cerkwi, czynić jakieś zakupy i wogóle reprezentować honor domu.

Ale za to, gdy znów wracał do laboratoryum, a gdy nadto fertyczna pokojówka weszła na palcach i jęła rozpytywać się a interesować każdym szczegółem prowadzonych doświadczeń, Kibalczyc promieniał, gorzał z rozradowania, ze szczęścia... Pokojówka bowiem miała ciemno-niebieskie oczy panny Malinowskiej i jej figlarnie zadarty nosek i jej rozkapryszony, dźwięcznie przytłumiony, głosik...

A ileż dopiero serdecznego niepokoju przyczyniała Kibalczycowi każda próba!... Toć gdy pierw-

szą partyę dynamitu zabrano wraz ze stosem elektrycznym do sprawdzenia w jakiejś głuszy za Petersburgiem, Kibalczyc przez dwa dni chodził jak błędny. — Niepokój trawił go, szarpał i tem dokuczliwiej, iż niedozwolono mu być przy eksperymencie, że za warunek postawiono, aby aparat działał tak dokładnie, by mógł nim się posługiwać nawet nie specyalista.

Aż gdy nareszcie panna Wiera wpadła do Kibalczyca z wieścią, iż próba przeszła wszelkie spodziewania — Mikołaj Iwanowicz odżył, odetchnął.

Kibalczyc pracował z całem zamiłowaniem, z całem oddaniem. Do każdej nowej myśli, nowej kombinacyi chemicznej śmiał się, jak dziecko... boć każda myśl taka była mu zwiastowaniem dłuższej niż zazwyczaj rozmowy z Wierą, serdeczniejszej pogawędki.

Praca Kibalczyca była i ciężką i niebezpieczną, bo z godziny na godzinę stawiała na kartę nie tylko jego życie i zdrowie, lecz nawet, wobec nagromadzonych w laboratoryum środków i materyałów wybuchowych, całej kamienicy groziła ruiną i zawaleniem.

Kibalczyc ani myślał się o to troszczyć. Toć ten okrutny dynamit był mu ogniwem, był mu talizmanem, który dawał mu się napawać głosem panny Wiery a tonąć w ciemnobłękitach jej oczu. Toć dla Kibalczyca nitrogliceryna była nieskończonym tematem do najmilszych sporów, była tem tłem, na którem twarzyczka panny Wiery zwracała się doń i jaśniała taką dobrocią, takiem zasłuchaniem, ta-

kiem zapamiętaniem serdecznem, że aż Kibalczyca lęk zdejmował przed ogromem szczęścia.

Trzeba przyznać, iż Kibalczyc nie zaniedbywał niczego, aby zasłużyć sobie na uznanie. Zresztą i los snać sprzyjał młodemu chemikowi, bo już w kilka miesięcy skonstruował znakomitej dokładności aparat zegarowy do wywołania wybuchu na czas — a wkrótce potem, sporządził bomby ręczne własnego wynalazku. Te bomby naraziły nawet Kibalczyca na bolesne poparzenie rąk, a to przy napełnianiu kapsla piorunianem rtęci, lecz wzamian dały mu zaznać tyle pieczołowitości panny Wiery, że chwilowy ból zamieniły mu na godziny rozkoszy.

Choć, z drugiej strony, i to nowe życie miało dla Kibalczyca swe, jeżeli nie ciemne, to conajmniej nie miłe rysy.

Więc najpierw stosunek do „służby" był mu prawdziwem udręczeniem... Kibalczyc bowiem potemu aż nadto był bystrym, żeby przekonać się, iż nie tylko pokojówka jego była panną Malinowską, ale i kucharka równie dystyngowaną osobą a ów Andrzej, lokaj, człowiekiem z uniwersyteckiem wykształceniem... A tu, żądano od niego wciąż, aby ani na sekundę nie wychodził z roli pana, no i zachowywano się wobec niego tak, jakby istotnie był panem i chlebodawcą. Wiera jedynie w laboratoryum przestawała być pokojówką — a po za niem, zmuszała Kibalczyca do przybierania względem niej wyniosłego tonu, tłumacząc to tem, że Kibalczyc tak mocno powinien się wdrożyć i za-

prawić do swego stanowiska, żeby nigdy nie dał się nikomu pochwycić na nieuwadze. Najnieznośniejszem z tego było, że ta „służba" istotnie spełniała wszystkie i najcięższe obowiązki a już wobec postronnych osób wpadała w całą pełnię petersbursko-rosyjskiego lokajstwa i płaszczenia się.

Z początku, Kibalczyc próbował opierać się a przynajmniej nie dozwalać, aby w wewnętrznych stosunkach Andrzej mu czyścił buty lub Wiera podawała do stołu lub trzepała dywany. Lecz te skrupuły panna Malinowska zwalczyła argumentem, że wszystko to jest nieodzownie potrzebnem dla bezpieczeństwa i ocalenia pozorów...

— Ale przecież buty mogę sobie sam czyścić i wody też mogę sobie przynieść sam i wiele innych...

— Jesteście w błędzie, Mikołaju Iwanowiczu, Andrzej jest przyjacielem stróża. Stróż i stróżowa zachodzą często... No i koniecznie trzeba, żeby zachodzili... więc muszą widzieć nas przy pracy!... Andrzej nawet kradnie wam cygara... z czego stróż niepomiernie się cieszy a szwajcar ciągnie znów wasz koniak! Komitywa znakomita a więc i spokój. Zresztą inaczej być nie może. Wam daliśmy rolę najłatwiejszą, abyście mieli ciszę i moc czasu.

— Ależ, bo jakże ja wam mam mówić „ty"...

Wiera rozśmiała się.

— Kola, Kola, dziwaku — ot, byłbyś u nas w partyi to zaniechałbyś tych ceregieli — a sam wyrzekasz na połowiczność cywilizacyi! Widzicie, że mnie nie robi różnicy być z wami na „ty".

Kibalczyc w rezultacie poddałby się zupełnie temu ładowi, gdyby nie okoliczność, że, z nastaniem nocy, „służba“ bardzo często pracowała i to ze zdwojoną energią... ileże majestatyczny kredens krył po za swoimi powszedniemi szufladami i półkami — kaszty z czcionkami i ręczną maszynę drukarską... Pokojówka, lokaj i kucharka a niekiedy i sekretarz pochylali się nad kasztami i, śród głuszy, bez szelestu prawie, bez głośniejszego zachrobotania, bez żwawszego bodaj westchnienia trawili długie godziny.

Ta praca nadmierna „służby“ była więc Kibalczycowi wyrzutem i tem dotkliwszym, iż jemu nie tylko kazano się wysypiać, lecz, o ile sekretarz nie wiózł go do teatru, wręcz niewolono do spoczynku.

Jeszcze, o ile panna Malinowska była w pobliżu, Kibalczyc mógł czasem wyłamać się z klauzuli — inaczej Andrzej był głuchym jak pień.

Wogóle kucharka z lokajem stanowili osobliwą parę. Dotąd, dopokąd Kibalczyc grał rolę pana i chlebodawcy, trudno było sobie wymarzyć uprzejmiejszych, potulniejszych a pogodniejszych ludzi, gdy atoli, Mikołaj Iwanowicz, bodaj lada znakiem uczynił alluzyę do ich rzeczywistego stanowiska społecznego, ciż sami ludzie zamieniali się w głuche, obojętne, nieruchome pnie.

Raz, gdy Kibalczyc układał się do snu a Andrzej pełnił zawzięcie swe lokajskie czynności, pierwszego takie ogarnęło zniecierpliwienie, że palnął Andrzejowi naukę, o tem, iż zadaleko posuwa komedyę, iż wogóle nawet taka komedya niema sensu,

iż jest bezcelowem poniżaniem się, uwłaczaniem swej godności, no i że nareszcie ta godność powinna go skłonić, bodaj do ludzkiego przyznania się do samego siebie.

Andrzej zmarszczył się, łysnął gniewnie oczyma i odparł ponuro.

— Chcesz wiedzieć, com za jeden? Jestem Łubkin! Ale ty do mnie tak się nie odzywaj! Twoje prawo czynić do czegoś się zobowiązał — a do moich spraw tobie zasię!

Kibalczyc nie miał czasu odpowiedzieć Łubkinowi, bo ten zgarnął rzeczy i wyszedł.

Po pannie Malinowskiej najwyrozumialszym był sekretarz, Sołowjew — lecz i ten niechętnie wychodził ze swej roli a nawet, gdy Kibalczyc wpadał na swe prace laboratoryjne, nie odpowiadał najczęściej lub zwracał przedmiot rozmowy na jakieś banalne, wielkomiejskie tematy.

Na dobitek tych, bądź co bądź, niemiłych warunków pożycia ze „służbą", wkrótce po osiedleniu się na Wielkiej Morskiej ulicy, zaczęły się kwasy z Chałturinem, który tu nibyto odgrywał rolę narzeczonego „kucharki" pana adwokata, a faktycznie coraz zawzięciej dopominał się o przygotowanie mu dynamitu, — o którym powziął był wiadomość od Dagmary Heraldówny. Kibalczyc możeby i był dawno zadowolnił Chałturina, gdyby nie fakt, że nie mógł podołać nawet zapotrzebowaniu panny Wiery, no i gdyby nie to, że właśnie panna Wiera najmocniej opierała się temu i przekonywała, iż wogóle plan Chałturina jest zawadyactwem a co-

najmniej gorączką, która niechybnie tylko o zgubę przyprawi stolarza jego cesarskiej mości. Chałturin upierał się, nalegał, wreszcie sprowadził Kibalczycowi Kwiatkowskiego, — ale ten wziął stronę Kibalczyca i ułagodził Chałturina perswazyami, że plan jego będzie wziętym pod uwagę. Ba, lecz za to najuroczyściej przyznał racyę Chałturinowi, iż Kibalczyc nie powinien odmawiać wizyt u feldfebla Morozowa.

I Kibalczyc, rad nie rad, musiał od czasu do czasu odbywać uciążliwe wyprawy do Dagmary Heraldówny, tam przeistaczać się w Nikitę Nikitycza Czerepkowa i wlec się do feldfebla żandarmeryi pałacowej, łgać niestworzone rzeczy a w ostatku padać ofiarą ataków zamaszystej Matrony. Wprawdzie Chałturin udzielił Kibalczycowi radykalnego środka na „przystawanie“ dziewczyny, bo zalecił mu, aby poprostu dał jej tęgą sójkę w bok. Kibalczyc jednak tak nieumiejętnie ową sójkę zastosował, iż naraził się na gwałtowniejsze niż kiedykolwiek zmaltretowanie.

Ale te drobne zresztą dolegliwości Kibalczyc znosił bez szemrania, uważając się za sowicie wynagrodzonego. Aliści, pod jesień, fatalność ugodziła w to, co Kibalczyc najserdeczniej ukochał i z czem każdy odruch myśli łączył — bo w laboratoryum. Kibalczycowi zabrakło naraz i kwasu azotowego i siarczanego i skrzyń żelaznych, cynkiem wykładanych, do nasycania bawełny strzelniczej i stu innych równie podstawowych składników i aparatów. Kibalczyc oddawna przewidywał te braki i nie-

jednokrotnie przypominał o nich pannie Malinowskiej, ta znów najsolenniej przyrzekała zająć się dostawą i tak zeszło. Co prawda nie podobna było pomawiać panny Wiery o nieuwagę — gdyż szło tu o całe balony kwasów, aż o całe worki ingredyencyj i przyborów, które, jeżeli łatwo było zakupić, to niezmiernie trudno, bez zwrócenia uwagi, sprowadzić do apartamentu adwokata przysięgłego.

Kibalczyc był skazanym na przymusową bezczynność. Nawet i z nią poradziłby sobie Mikołaj Iwanowicz, bo sama biblioteka laboratoryum starczyć była zdolna na kilka lat studyów, — lecz wraz z przerwą w robocie i Wiera zaglądała coraz rzadziej do pracowni, coraz krócej w niej bawiła, aż w ostatku nikła na całe dnie.

Kibalczyc nie śmiał skarżyć się, nie śmiał pytać o przyczynę tej zmiany — bo i znał ją, zgadywał. Drukarnia pracowała ze zdwojoną energią, narady odbywały się coraz gorętsze, coraz burzliwsze i aż tak zajadłe, że echa ich do laboratoryum trafiały. Kibalczyc nie interesował się wcale tem, co się wokół niego działo, a nawet unikał sposobności dowiedzenia się czegoś. Juści miał doskonałe wyobrażenie, iż tuż, obok niego, układają się jakieś programy propagandy, koncypują odezwy, organizują wyprawy na dobycie z więzień towarzyszów, piszą może i manifesty do narodu i wyroki śmierci. Ale że cała ta robota minowa wydawała mu się po dawnemu czczą, pustą i bezcelową, przeto wolał o niej nie wiedzieć. Jakoż obo-

jętność swoją posunął do tego, że gdy mu raz Wiera podała egzemplarz „Ziemli i Woli“ ze słowami.

— Trzeba, żebyście zobaczyli, Mikołaju Iwanowiczu, jak wspaniały numer dziś wydaliśmy.

Kibalczyc rzucił okiem na gazetę nihilistyczną i odrzekł obojętnie.

— Dla mnie to nie warte jednej stroniczki chemii.

— Lecz zobaczcie, przeczytajcie! Macie tu Michajłowa, Ławrowa...

— Dziękuję, lecz mnie nic potem.

Bezczynność tymczasem przedłużała się, transport materyałów, mimo obietnic, nie nadchodził. Kibalczyc posmutniał, spochmurniał, bo i panna Wiera od dni kilku nie zaglądała i sekretarz Sołowjew się nie pokazywał.

Pewnego popołudnia, gdy Kibalczyc siedział w laboratoryum nasępiony a rozdrażniony, iż, dla braku kilkunastu gramów kwasu azotowego, nawet na doświadczenie nie może sobie pozwolić, a choćby na wypróbowanie kompozycyi, która mu przyszła na myśl — nagle doszedł go dźwięczny głos Wiery. Kibalczyc orzeźwiał i, nie zastanawiając się, zawrócił przez gabinet ku salonowi. Lecz, zaledwie uchylił drzwi i rzucił okiem w głąb, nogi pod nim zadrżały — tuż, o kilka kroków przed sobą, zobaczył Degajewa, pochylonego ku pannie Malinowskiej.

Kibalczycowi oczy mgłą zaszły. Zmógł się jednak i cofnął do laboratoryum. Tu zaszła go panna Malinowska a spostrzegłszy Kibalczyca z twarzą

ukrytą w dłoniach, jęła go strofować a napominać raźnie.

— Co to, wciąż grymasy, niehumory. No już, już bieda skończona — jutro będziecie mieli wszystko, co trzeba. No, Mikołaju Iwanowiczu, głowę do góry! Także to mnie witacie... Cztery dni nie widzieliśmy się...

— Pięć — szepnął Kibalczyc z wyrzutem, dźwigając powoli głowę.

— Wam coś jest?... Może Sołowjew? Może Andrzej?... Już wiem, pewnie feldfeblówna wam dokuczyła...

— Nie, Wiero Stanisławówno...

— No, no, już niema kłopotu, niema nieróbstwa!... Jutro pędem pary możecie zabrać się do roboty!

— Widziałem was przed chwilą... z tym... pamiętacie... — ozwał się niespodziewanie Kibalczyc.

Wiera poczerwieniała z lekka.

— Nie rozumiem, o czem mówicie?...

— Tam... tam był Degajew!

Panna Malinowska poruszyła się niespokojnie.

— Choćby nawet, to cóż wam... do niego! Dziwadło jesteście, Mikołaju Iwanowiczu, nie pojmujecie, że, gdy idzie o sprawę, tam niema często dwóch dróg do wyboru. Niezawodnie wam dokuczyło wspomnienie... Usprawiedliwiam was... Co robić, — bez Degajewa obejść się nie podobna...

Kibalczyc milczał zapatrzony w ziemię.

— A jak to się stało, żeście go widzieli?

— Usłyszałem wasz głos, uchyliłem drzwi.

Wiera pokręciła głową.

— Jesteście nieostrożni. Wina Sołowjewa, że was zaniedbuje, a przytem i osamotnienie i bezczynność. Ale od jutra się to zmieni — bo, uważacie, jutro z kwasami razem... zjedzie wasza żona!

— Moja — żona?

— No tak, Mikołaju Iwanowiczu, zapomnieliście, iż jesteście żonatym! Cha-cha, cóż to za temat do farsy. Żarty na bok, — innego punktu wyjścia nie było. Jutro zjedzie wasza żona z dwiema pokojówkami... no i ze stosem kufrów... wypełnionych po brzegi chemikaliami. Niema się czego krzywić. Kto inny na waszem miejscu byłby w siódmem niebie, boć żona wasza jest skończoną pięknością. Znacie ją zresztą.

— Ja?

— Pamiętacie damę, która była ze mną u was? Którą nazywałam Fanny? — Właściwie jest to siostra Fanny, ale to was nie obchodzi... Jutro pojedziecie po nią na kolej, trzeba naturalnie, abyście umieli powitać ją dość czule, po tak długiem niewidzeniu... Mikołaju Iwanowiczu, ależ nie róbcie tak zdesperowanej miny — toż cały dom, cała Wielka Morska ulica wie, że żona wasza, Marya Dmitrjewna, wraca jutro z wód!... No — no, zaręczam wam, że żona nie pójdzie śladami feldfeblówny — choć mam pewne dane po temu, że żywi sporą dozę sympatyi i wcale nie oficyalnej.

Wiera wybuchnęła serdecznym śmiechem. Kibalczyc siedział skonfundowany.

— Darujcie, przebaczcie, — lecz, co robić, komizm jest komizmem.

— Niezawodnie i dlatego trudno mi jest zgodzić się na odgrywanie komedyi, do której brak mi zgoła talentu.

Wiera wystraszyła się i jęła z całym zapałem przekonywać Kibalczyca. Ten ostatni, pod wpływem argumentów panny Malinowskiej, już prawie stopniał, gdy niespodziewanie ostatni argument zmroził w nim uległość.

— Pani powiada, że ona tylko może panią zastąpić?

— To jest nie zastąpić, — lecz wyręczyć mnie w czuwaniu, we współdziałaniu wam, we wnikaniu w potrzeby laboratoryum...

— A wy, wy Wiero Stanisławówno?

— Ja? Biorę dymisyę. Żona wasza jest swarliwa i zazdrosna, tedy opuszczam służbę... no i dziś ostatni dzień obgaduję panią Archangielską...

— Więc wy opuszczacie, odchodzicie?!..

— Muszę!

— To i ja też muszę! — wybuchnął raptownie Kibalczyc.

Panna Malinowska długo przekładała Kibalczycowi i wystawiała mu gwałtowność spraw, które ją powoływały, zanim uspokoiła Mikołaja Iwanowicza, zanim dobyła odeń przyrzeczenie, że w dalszym ciągu pracować będzie dla partyi.

Kibalczyc całą tą rozmową był przybity, złamany.

— Proszę tylko nie kaprysić i pamiętać, że będę

wiedziała o jego sprawowaniu. Ale jeszcze jedno, czy nie macie pod ręką kilku tych waszych bomb?

Kibalczyc sięgnął do szuflady.

— Mam cztery gotowe...

— Więc starczy je rzucić?

— Najzupełniej, — bomba musi upaść na jeden z wystających kapiszonów...

— Od dziś, one będą mojemi strażniczkami. Od dziś bomby Kibalczyca będą czuwały nademną. A teraz bywajcie, bądźcie dobrej myśli... pamiętajcie na przyrzeczenie...

Kibalczyc schylił się do ręki Wiery, poruszony, drżący.

Panna Malinowska spojrzała nań przeciągle, melancholijnie.

— Zobaczymy się wkrótce i niezawodnie w lepszych, pomyślniejszych warunkach.

— Kiedy? — wyjąkał z trudem Kibalczyc.

— Niedługo.

Odtąd życie Kibalczyca nowej uległo zmianie tak zasadniczej, iż Mikołaj Iwanowicz niejednokrotnie aż oczy przecierał, aby zoryentować się, co jest znakomicie odgrywaną komedyą a co rzeczywistością, aby uprzytomnieć sobie, że ta wytworna, elegancka dama, z którą jeździł na spacery i widowiska, która była jego nieodstępną towarzyszką, która nazywała go *mon cher Nica* i którą on nawzajem mianować musiał *Marie* — jest dlań osobą obcą i prawie nieznaną. Poza tem, Kibalczyc nie miał powodu się uskarżać. Marie była aż nadto uważającą i dyskretną „wewnętrznie", ani się nie

naprzykrzała, ani nie przeszkadzała mu w pracy — za to, poza domem, tak pilnie strzegła swoich obowiązków małżeńskich, iż Kibalczyca wprawiała w nielada kłopot. Ale i z tem łatwiej przyszło oswoić się Mikołajowi Iwanowiczowi niż z tą codzienną, poza światową, wytwornością i subtelnością swej towarzyszki. Kiedy bowiem Marya Dmitrjewna wpadała w komedyowe tempo rozkochanej w swym mężu adwokatowej, była tak naturalna, tak swobodna, że Kibalczyc miał ją sobie za jakąś setną przyjaciółkę, za jakiegoś serdecznego kolegę-urwisa, z którym można śmiać się a żartować do rozpuku. Gdy przecież taż sama Marya Dmitrjewna jawiła mu się w swej właściwej roli, gdy zadumana, skupiona w sobie a zawsze strojna ukazywała się na tle salonu lub gdy stawała na progu laboratoryum, zapytywała, czy nie przeszkadza, zaczem, szeleszcząc jedwabiami, rozsiadała się w fotelu naprzeciw Kibalczyca, wówczas, choć nie podnosił głowy, czuł na sobie uporczywe spojrzenie podługowatych, skośnych czarnych oczu, wówczas uprzytomniał sobie całą swoją mizerną postać, swoje prostackie nawyknienia i wpadał w takie onieśmielenie, że często nie rozumiał, co do niego Marya Dmitrjewna mówiła.

Wogóle stanowisko Maryi Dmitrjewny wydawało się niekiedy Kibalczycowi albo niewyraźnem albo poprostu zbytecznem. Po za odgrywaniem roli damy i żony i nibyto odbieraniem od Kibalczyca partyi dynamitu, Marya Dmitrjewna nie mieszała się ani do drukarni, ani nie zajmowała się gośćmi,

których po dawnemu załatwiał Sołowjew, a o tem, co się dzieje w partyi, miała równie, jak Kibalczyc, niejasne wyobrażenie.

Ta myśl tak silnie utkwiła Kibalczycowi, że raz mimowoli prawie zdradził się z nią.

Marya Dmitrjewna uśmiechnęła się.

— Tak wam się zdaje, Mikołaju Iwanowiczu, a przecież i ja mogę posiadać środki, które są równie cenne jak wasz dynamit.

— No, to nie możliwe — ale, przypuśćmy nawet, lecz jeszcze niema odpowiedzi na pytanie... dlaczego wy...

— A dlaczego wy? — podchwyciła Marya Dmitrjewna.

— Uch tam ja!... Coż bym robił?... Właściwie nic innego nie mógłbym robić...

— Nie mówcie tak. Wasz pomysł aerostatu jest przepyszny... miałam sposobność pokazać go osobie bardzo znakomitej i bardzo interesującej się tym problematem... Szkic wasz wywołał zachwyt dla logiki, dla prostoty założenia...

— Lecz skądże, skądże mój szkic?

— Nie bierzcie mi za złe, porzuciliście go raz do kosza z papierami. Byle nie wyciągajcie z tego wniosków. Mówię to dlatego, żebyście uwierzyli w siebie... Wszak i to, co tu robicie, wszak to jedno mówi już o takiej sile charakteru, o takiej odwadze szalonej, że wprost trudno ją ogarnąć. No tak, tak!... Mieliśmy przed wami chemików i mieliśmy kalectwa, eksplozye, które nam sprowadzały policyę, no i mieliśmy zawsze złe preparaty.

— Maryo Dmitrjewno, — toć z dynamitem można, jak z chlebem.

— Ale nie przy fabrykacyi, no i nie wówczas, gdy, jak teraz, przerzuciliście się na nitrożelatynę i fulminiany! No a wasz sposób przygotowywania bawełny strzelniczej — toć żaden chemik, bez pancernych osłon i bez zgęszczenia pod ciśnieniem...

— Pani, Maryo Dmitrjewno... interesuje się chemią?...

— Mam niejakie wyobrażenie i dostateczne, aby ocenić wasze poświęcenie się dla sprawy.

— Ta mnie wcale nie zajmuje...

— Rozumiem, lecz sprawa na tem znakomicie wychodzi.

— Nie sądzę — na tę masę materyałów, które wzięto odemnie...

— Bądźcie spokojni, nie zginą...

— Lecz odbiegliśmy od przedmiotu, dlaczego więc, Maryo Dmitrjewno, podjęliście się tego... tu... stanowiska?

— Wiele złożyło się przyczyn, — zdecydowała najważniejsza — zaczęto was śledzić, sytuacya zaczynała być groźną. Najłatwiej byłoby uciec — lecz ucieczka narazić była mogła całą organizacyę, podwoić czujność — woleliśmy zmylić ślady.

— Jakto, więc i w tych warunkach jeszcze moja osoba?...

— Nie wy byliście przyczyną — wy, na szczęście, jesteście dla nich zamało popularni. Ukrywać niema czego, wpadli na trop Wiery... musiała się poświęcić tymczasem.

— A toż na co, a toż po co?!...

— Żeby odwrócić uwagę gończych, żebyśmy mogli spokojnie pracować, żeby cały ciężar pościgu przerzucić w inną stronę Petersburga.

— Ależ trzeba ją namówić, aby wyjechała, aby schroniła się.

— O tem nie może być mowy! Póki żandarmerya ma ją na oku, póki ściga, póki ufa, że Wiera jest tą, której pochwycenie zdolnem jest zadać cios organizacyi, póty i my będziemy mieli spokój. Gdyby zaś ukryła się, — no, to zaczęłyby się szpiegowania na ślepo... i, kto wie, do czego by doprowadziły.

— Może to bardzo nihilistyczne — lecz nierozsądne, żeby to choć jakiś mężczyzna...

— Nie trwóżcie się, Mikołaju Iwanowiczu, o nią. Da sobie radę jeszcze — nie darmo takiego niepokoju przyczyniła trzeciemu oddziałowi. Otóż i prawie cała przyczyna, dla której... zostałam waszą żoną... Jak widzicie, przychodzi mi to bez zbytniego wysiłku...

Kibalczyc nic nie odrzekł na to znaczące zakończenie.

W parę tygodni po tej rozmowie, w chwili, gdy Kibalczyc czekał w salonie na Maryę Dmitrjewnę, gotów do odbycia zwykłej poobiedniej przejażdżki,— wpadł raptownie Łubkin i zawrócił wprost do sypialni pani adwokatowej.

Kibalczycowi taka poufałość zdała się nieprzystojną — ale nie miał czasu dłużej zastanowić się nad nią, bo Marya Dmitrjewna ukazała się we drzwiach blada, drżąca, wzburzona.

— Nieszczęście się stało! Mikołaju Iwanowiczu, ani chwili niema do stracenia. Jedziecie ze mną!... Zaraz tylko woalkę włożę!... Ubierajcie się...

Kibalczyc spełnił machinalnie rozkazy Maryi Dmitrjewny, podał jej ramię i sprowadził do czekającego przed bramą powozu.

Powóz ruszył ku mostowi dworskiemu. Marya Dmitrjewna pochyliła się ku Kibalczycowi.

— Każ jechać do Michajłowskiego pałacu.

Kibalczyc wydał dyspozycye stangretowi. A gdy powóz skręcił ku Newskiemu prospektowi i Koniuszennej ulicy — zagadnął niepewnie.

— Co właściwie, Maryo Dmitrjewno? Co się stało?...

— Słuchajcie, mam kilka ważnych wizyt, będziecie czekali na mnie w powozie... Gdy stanie przed Michajłowskim pałacem, każcie stangretowi budę zapuścić... Może już nawet nie powrócimy na Morską... Dowiem się...

— Więc wpadli na trop?

— Gorzej — Wiera i Kalenkina uwięzione.

— Wiera, panna Wiera?...

— I z Kalenkiną!... Inaczej mówiąc, z naszą młodszą, Natalią... W głowę zachodzę, co się porobiło. Wiera była w wymarzonem schronisku... Dość wam powiedzieć, że mieszkała w Piotropawłowskiej fortecy, u żandarma!

Marya Dmitrjewna mówiła coś jeszcze, lecz Kibalczyc zasunął się w głąb siedzenia.

— Nie traćcie zimnej krwi. Możecie być mi bardzo potrzebni — napomniała Marya Dmitrjewna.

— Jak wam się podoba.

Wizyty tymczasem Maryi Dmitrjewny, rozpoczęte od Michajłowskiego pałacu, nie ustawały. Kibalczyc powtarzał stangretowi adresy, ani nie zważając, iż w następstwie powóz przystaje przed gmachami rządowemi i ani myśląc pytać się, co Marya Dmitrjewna może mieć za sprawy do załatwienia w biurach kancelaryi jego cesarskiej mości lub w zarządzie okręgowej żandarmeryi na Fursztackiej ulicy. Dopiero gdy, w ostatku, Marya Dmitrjewna podyktowała Kibalczycowi.

— Teraz do Marmurowego pałacu, na Dworskie wybrzeże.

Kibalczyc ocknął się.

— Jakto, dokąd powiadacie?

— Do Marmurowego pałacu, do Mikołaja Konstantynowicza!... Prawdopodobnie i ten nie wiele nam pomoże... Opowiem wam — jest źle ale lepiej niż myślałam.

Po krótkim pobycie w Marmurowym pałacu, Marya Dmitrjewna poleciła jechać na Striełkę.

— Muszę się uspokoić, muszę przyjść do siebie. Otóż tyle pewnego, że nam nic nie grozi, że możemy wracać spokojnie... Trzeba będzie upozorować jakoś zniknięcie służącej, ale z tem da sobie radę Sołowjew.

— A panna Wiera?

— Tymczasem bez ratunku! Wpadła w sidła przypadkiem... Agenci polowali na Kwiatkowskiego... a trafili na Malinowskę i Kalenkinę... Nikt tego nie spodziewał się — jest to robota Sudejkina, naczel-

nika kijowskiej żandarmeryi, który ze swoimi pachołkami dotarł aż tutaj... Gdyby to był kto inny — można byłoby być pewnym uwolnienia... Na nieszczęście, Sudejkin zna Malinowskę...

— Chcecie powiedzieć Degajew.

— Cóż znowu, z tem byłaby łatwa sprawa. Szukałam dróg, lecz, wyobraźcie sobie, Malinowska broniła się... waszemi bombami — okaleczyła samego Sudejkina. O wstawiennictwie mowy być nie może! Zobaczymy wreszcie. Obawiam się tylko, czy Kwiatkowski nie odczuje zanadto uwięzienia Wiery...

— Była, była tak pożyteczną dla sprawy...

— Niezawodnie — ale pozatem... łączyła ich więcej niż sympatya... Wam zimno. Przysuńcie się, okryję was moim pledem.

— Dziękuję, wolę tak.

Po powrocie do domu, na Morską, Kibalczyc powlókł się do laboratoryum i rzucił się ociężale na fotel.

Ale i tu nie danem mu było zaznać uspokojenia, gdyż niespodziewanie zjawił się Kwiatkowski w uniformie adjutanta sztabu.

Kibalczyc powitał zimno szkolnego kolegę, — lecz ten ani myślał zwracać uwagi na niezbyt zachęcające przyjęcie, zamknął drzwi do laboratoryum na klucz, odpasał nerwowo pałasz i zaczął gwałtownie.

— Mam z tobą do pomówienia! Słyszałeś, co się stało?

Kibalczyc skłonił głowę.

— No więc, dziś powiedziałem sobie dosyć!

Dosyć tych bezcelowych ofiar, dosyć tej smarkateryi, tego owczego męczeństwa! Zrywam z obłąkańcami. Mam ginąć, no, to do licha, nie za utwór literacki, nie za poezye Ogarewa, nie za akademickie wywody Michajłowa i nie za to, że się pięciu zebrało na przyznanie racyi Hercenowi! Nie chcą mnie słuchać — niech przepadają, niech marnieją, niech butwieją!... Ja nie myślę godzić się na dolę mierzwy, która, Bóg wie ile lat jeszcze, musi sycić wydmy samowładztwa, zanim w bezdusznej piersi carskiego raba zakołacze hasłem wyzwolenia! Historya za wolno się wlecze — dziś Aleksandrowi drugiemu posłałem wyrok śmierci!

Kibalczyc spojrzał na rozognioną twarz kolegi.

— Zgładzisz człowieka — cesarz zostanie...

— Nowemu postawię warunki, odrzuci je, zginie...

— A jak przyjmie?

— Postawię mu nowe, dalsze. To jedno nam pozostaje — wszelkie inne plany są trawieniem sił, pracowaniem na zaludnianie więzień, cielęcem wyglądaniem błysku litości w oczach rzeźnika.

— Pewnie.

— Słuchaj, Kibalczyc, podaj mi rękę i chodź ze mną!... Wiem, co chcesz mi powiedzieć... jesteś niezastąpionym i tak... ale to nie dość... Przy twej pomocy Petersburg zadygocze w posadach... Będzie nas kilku, ale i kilku starczy za dziesiątki stowarzyszeń ze składkami, racyami, głosowaniami. Znam cię do gruntu, możesz być pewnym, że nie narzucę ci nigdy obowiązku, którego byś nie chciał speł-

nić. Zresztą decydować będziemy bezwzględną jednomyślnością. Powiesz — nie — kroku nie zrobię. Nie dziw się memu wystąpieniu, sam nie wiem, dlaczego najpierw do ciebie z tem przychodzę... Ale dojęli mnie do żywego. Wyobrażenia nie masz, co się dzieje. Niema dnia, aby nam nie wyrwano kilkunastu z szeregów, niema dnia, aby nie torturowano, aby nie dławiono bez sądu, nie zsyłano bez wyroku. Żadnych względów dla nikogo, żadnych ustępstw. Winny czy niewinny, sprzysiężony czy nie, staje się pastwą oprawców. O sprawiedliwości mowy niema. Jestem bezstronnym, gdyby mnie jutro ogniem palili, kołem tratowali — nie pisnąłbym, chyba mógłbym wyć z bólu... Wypowiedziałem wojnę — więc muszę być przygotowanym na śmierć. Nie chodzi tu o takich, jak ja, lecz o te tysiące biedaków, Bogu ducha winnych, o takich, jak ty, naprzykład!... Wyobraź sobie teraz, że z dnia na dzień wloką setki tych niby podejrzanych... Cóż z tego, jedni zaciskają zęby i nikną, drudzy, przerażeni, gadają, denuncyują ze strachu, grzebią żywcem wszystkich najbliższych... a czasem karyerę kończą na szpiegostwie! Z tego prosty wynik, — że denuncyacya jest gromem, wiszącym nad głową każdego najspokojniejszego człowieka, że żandarm jest panem życia i śmierci, że podlejemy, jako partya, że podlejemy, jako naród, że z tego posiewu narodzą nam się nikczemne, zwyrodniałe pokolenia, które jeno hańbą i wstydem będą własnej ziemi.

Kwiatkowski odetchnął gwałtownie i targnął haftkami, spinającemi mu kołnierz.

— Otóż ja im dziś to poraz setny powtórzyłem, ja im znów wystawiłem głupotę podobnego zachowania. Cha-cha i cóż myślisz? Pół dnia rozprawiali, pół dnia dyskutowali i nic! Trzeba uświadamiać, trzeba agitować, trzeba oddziaływać na lud, trzeba oddziaływać na opinię!... Śmiech powiedzieć, czego nie trzeba... Poprostu za pomocą propagandy dojdzie się do tego, że sam car zostanie nihilistą! Zerwałem z nimi! Niech robią, co im się podoba, ale niech przynajmniej ja w tem udziału nie biorę.. bez terroru ani kroku naprzód zrobić nie podobna.

— Terror przecież był!

— A kto go podejmował? Kto przedsiębrał? Wiesz, z czyjej ręki zginął Nikonow i Mezencew? Wiesz, kto prowadził napad na konwój, wiodący Presniakowa — ja, a za mną jest nas kilku... a dalej masz deklamacye, sztubę, dziecinnady, demonstracye uniwersyteckie z kaloszami w ręku i śpiewanie „Dubinuszki“ w takt kozackich nahajek.

— A to, co ja preparowałem!?

— Bądź spokojny, o tem, poza gromadką wybranych, nie ma nikt pojęcia a ta znów gromadka równie mało wie.. W rezultacie ja nie mam nic ani przeciwko południowcom, ani przeciwko roboczemu związkowi, ani przeciwko żadnej poszczególnej organizacyi — tylko chcę, aby, poza niemi, stał terror, któryby terrorowi cesarskiemu umiał dotrzymać placu. Obecne stanowisko doprowadza nas

do tego, że, naprzykład, dziś uwięzili nam takiego Saburowa!

— I pannę Malinowskę.

— No właśnie, — uciął Kwiatkowski i jął mierzyć wielkiemi krokami laboratoryum.

— Cóż masz zamiar uczynić... z tem?

— Plany mam gotowe, rozpoczniemy grę na cztery strony, obsadzimy trzy punkty linij kolejowych... gdyby zawiodło, wysadzimy go w powietrze razem z Zimowym pałacem!...

— Lecz ja pytam, co uczynisz z panną Wierą?

— Ja, z Wierą?... A cóż chcesz, abym zrobił? Znasz szczegóły aresztowania? Żal mi jej serdecznie, oddana była sprawie, użyteczna niezmiernie — cha, nie ona ostatnia. A weź Serdiukowa, którego aż do samobójstwa przywiedli w Twerskiem więzieniu.

— Pozwól, wszak, zdaje mi się, że dla Wiery masz pewne obowiązki.

— Niezawodnie, koleżeński stosunek nasz datuje od kilku lat...

— Koleżeński? — powtórzył przeciągle Kibalczyc.

Kwiatkowski przeszył Kibalczyca błyskiem swych oczu i, wydarłszy mu myśl ukrytą, roześmiał się sucho.

— Cha-cha, mogę cię zapewnić, że mnie nie stać na sentymenty.

Kibalczyca dreszcz zimny przeszedł.

— W Malinowskiej — kończył głucho Kwiat-

kowski — ceniłem i cenię dzielną jednostkę, odważną rewolucyonistkę, dobrego towarzysza...

— A ona?

— Ona jest tylko kobietą, tylko podmiotową istotą... No i mnie nic do jej kobiecości, może z nią zrobić, co jej się podoba!

— Zdawało mi się...

— Zdawało! — przerwał szyderczo Kwiatkowski — że sielanki odprawiam... na to musiałbym zostać żandarmem!

— Co przez to rozumiesz?

— Że Wiera ma szczęście do „fioletów“ — czem doskonale, wybornie i dzielnie nam pomagała! Cha, no i sobie pewnie pomoże teraz. Taka dobra broń, jak i każda inna. Nie ma złych ani godziwych środków...

Kwiatkowski chciał się roześmiać, lecz śmiech mu zachrobotał w piersiach trzęsącem rzężeniem.

— Ale dosyć tej mitręgi. Wracajmy do tego, co nas boli. Idziesz ze mną!?... Utworzymy własne ognisko, chwycimy ster, dźwigniemy z posad ten dzisiejszy, przyziemny ruch, wskrzesimy ducha dekabrystów, ducha wyzwolonego z tego, co w dekabrystach nie było stężałem, skrzepłem, prężnem, silnem, niszczącem. Rozwiniemy sztandar „Narodnej Woli“ i pójdziemy naprzód, na bój śmiertelny, na uczynienie wyłomu, na okazanie nicości tym, którzy nam bogów chcą udawać! My staniemy się widmami satrapów i ciemiężców, my zmusimy ich, iż, i poza wałami bagnetów, drżeć będą przed ręką pomsty ludu, my staniemy się

gwiazdami, które na wieki wieków świecić będą każdemu rwącemu do wyzwolenia sercu. Nasze imiona staną się hasłem i sztandarem. Legniemy, lecz jako zwycięzcy! Kibalczyc! Patrz, tyś i tak w odmęt rzucony. Chcesz-że ginąć bez walki. Ciągnie cię wiedza, badania, nauka, olśniewa filozofja? Porywają cię te potęgi jowiszowe, drzemiące na dnie chemii? Gdzież je lepiej zużyjesz!?... Gdzież najdziesz dla gromów swych sprawiedliwszy cel!... Gdzież dla miażdżącej potęgi piorunów obrzydliwszą i zawziętszą znajdziesz hydrę! Podaj mi rękę i chodź ze mną.

— Pod jednym warunkiem.

— Mów.

— Że najpierw uwolnimy Wierę.

Kwiatkowski rzucił się z wściekłością.

— Zwaryowałeś! Co nam z niej! Przydała by się... ale gra nie warta świeczki. Trzeba czekać — w tej chwili mamy co innego na głowie... No i nie brak jej przyjaciół... Bądź spokojny — jest więcej takich i potężniejszych od ciebie, co zabiegają, aby jej na niczem nie zbywało. Mieszkała w fortecy, jako kochanka żandarma, może posiedzieć, jako polityczna...

— Od warunku nie ustąpię! Wybieraj!

— Ależ zastanów się! Jest to nawet daremny, bezcelowy trud... Sama i dobrowolnie wróci do żandarmów.

— Być może, ale teraz trzeba ją uwolnić.

— Lecz cóż tobie do Wiery!...

— Postanowiłem sobie, mam jej nie jedno do zawdzięczenia!

Kwiatkowski osunął się na krzesło. W laboratoryum zaległa głusza. Po chwili Kwiatkowski podniósł się.

— Warunek przyjmuję. Wiera dziś jeszcze będzie wolna, lecz wymagam słowa, że na przyszłość podobnych żądań nie będziesz stawiał.

— Dobrze, ale bo jakże? Wszak panna Wiera jest uwięzioną?

— Pojedziesz ze mną. Zmuszasz mnie, abym stawiał na kartę samego siebie... Mniejsza o to — jeden raz więcej... Może to i dobrze, przekonasz się naocznie, że ze mną jest dokąd iść. Dziesiąta godzina. Spiesz się. Zaraz, Łubkin ma wojskowy uniform, przebierzesz się...

— Cóż na to powie stróż domu...

— Weź palto cywilne i kapelusz, — a płaszcz wojskowy i czapkę w zawiniątko, u Filinowa dokończysz tualety... i tak musimy tam być, bo mi potrzeba będzie pewnego blankietu... Czekaj — masz bomby?

— Ani jednej — ale może starczą dynamitowe naboje, są silniejsze nawet.

— Dawaj!... Bierz sam — cztery a mnie daj pięć, no sześć...

— W kwadrans po tej rozmowie, Kibalczyc z Kwiatkowskim pędził już dorożką do Filinowa. U inżyniera Kibalczyc dokończył przebrania w uniform porucznika piechoty. Kwiatkowski odbył z Fi-

linowem krótką naradę i skinął na Kibalczyca, aby szedł.

Gdy wyszli na Litejny prospekt, Kwiatkowski ujął pod ramię kolegę.

— Teraz uważaj! Jedziemy do fortecy... Twoja rzecz milczeć, salutować i mieć pod ręką dynamit.

— Poznają mnie!

— Nic nie szkodzi — polegaj na mnie. Ani słowa więcej. Gdy wsiądziemy do dorożki, możesz mówić o pogodzie. Ale, weź ten pilnik do kieszeni — gdy będziemy wracali, rozpiłujesz jej kajdanki... Jeszcze jedno, pojutrze wyjedziemy do Odessy. Zaklinam cię, żebyś milczał, gdybyś nawet słyszał rzeczy, które by cię mogły dotknąć...

Kibalczyc poddał się bez wahania rozkazom Kwiatkowskiego, boć tak był zsuggestyonowanym energią i wolą, która w każdem wyrzeczonem przez tegoż, słowie dźwięczała, że ani śmiał zastanawiać się, czy wogóle całe ich przedsięwzięcie jest dobrze pomyślanem. Dopiero, gdy kibitka zadudniała na moście fortecznym a klekotem przejęła sklepienia bramy wjazdowej, Kibalczyca lęk zdjął, więc chwycił za ramię Kwiatkowskiego, lecz ten otrząsnął się i rzucił niedbałym, nosowym głosem rozkaz, salutującemu pod bramą, podoficerowi żandarmów.

— Ej — ty!... Naczelnik aresztanckiego oddziału, w domu?

— Tak jest, wasza wielmożność.

— No to siadaj na kozioł i pokaż drogę, mój zuchu, bo gamoń izwoszczyk nos sobie rozbije!

Żandarm przysiadł się. Kibitka ruszyła ku cerkwi a stąd wbok od mennicy.

— A co komendant zdrowszy?

— Potrochu, wasza wielmożność, dziś raczyli być na spacerze.

— Dzięki Bogu! — uradował się Kwiatkowski, zaczem, zwracając się do Kibalczyca, dodał głośno.— Słowo honoru, toć bez zacnego barona nawet wyobrazić bym sobie nie umiał fortecy! Trzeba staruszkowi w niedzielę się pokłonić... Od dziecka mnie zna! Z moim nieboszczykiem Andrzejem Andrzejewiczem w korpusie był... Nadieżdę do chrztu trzymał!... Ach... to i zajechaliśmy. Izwoszczyk niech zaczeka!... A ty dzwoń kochanku... Zameldluj — plac-adjutant Lwow!

W kilka minut Kwiatkowski z Kibalczycem weszli do elegancko urządzonego gabinetu.

Kibalczyc ledwie śmiał się poruszyć, Kwiatkowski wlókł niedbale ostrogami i przechadzał się z całą swobodą po gabinecie.

Nagle drzwi się otworzyły. Na progu stanął Degajew, lecz, zanim przyjrzeć się mógł przybyłym, Kwiatkowski już wysunął się naprzeciw.

— Plac-adjutant, Lwow, w pilnej służbowej sprawie z rozkazu szefa żandarmów.

— Pan będzie łaskaw zająć miejsce, — odrzekł nieco zdziwionym tonem Degajew, postępując do biurka i równocześnie wpatrując się w Kibalczyca.— A panu, panie poruczniku, czem mogę służyć?!...

Kibalczyc poruszył wargami, lecz Kwiatkowski, który był stanął za Degajewem wtrącił spokojnie.

— No siadaj, siadaj pan... sprawa pilna — idzie tu o ciebie...

— Przepraszam, lecz muszę najpierw wiedzieć...

— Dowiesz się pan natychmiast... powinieneś go pamiętać, jest to pański dawny pensyonarz... Kibalczyc...

Degajew wyciągnął rękę, aby nacisnąć dzwonek elektryczny.

— Nie rób pan głupstw!... Nie szukaj także rewolweru... mamy dziesięć nabojów dynamitowych... przyszliśmy nie na to, żeby wylatywać razem z panem w powietrze...

Degajew szarpnął się z wysiłkiem.

— Co to ma znaczyć!

— No siadaj pan, siadaj... Dam panu dzwonek pod rękę... i jeszcze mój rewolwer, ale najpierw dowiedz się, o co chodzi, a po tem, będziesz miał dość czasu, aby zaalarmować wartę i zesłać samego siebie na katorgę!

— Kto pan jesteś?

— Macie, Iwanie Iwanowiczu, słabą pamięć, jak na rangę sztabs-kapitana. — Adjutant Lwow... porucznik Szulgin...

— Kwiatkowski! — rzucił przez zęby Degajew.

— Ten sam! Teraz łatwiej nam będzie trafić do ładu... Wiera jest uwięzioną...

Degajewowi włosy się zjeżyły.

— I pan śmiesz do mnie w jej sprawie?!...

— Zostawmy na stronie pańskie erotyczne porywy! Idzie o to, żeby ona była wolna i żebyś pan

nie wisiał... Zresztą sam czujesz, co ci grozi... Sudejkin ma cię w ręku.

Oczy naczelnika aresztanckiego skryły się pod zwałami czarnych brwi.

— Więc dobrze, pomówmy, jestem gotów... ale niech ten pan stąd wyjdzie... Musimy być sami...

— Wpadłeś pan na genialną myśl dobycia się z matni!... Powiedziałeś sobie — muszę Kwiatkowskiego ująć... ten przecież jest kochankiem Malinowskiej... zdobycz jest tak znakomitą, iż każde wystąpienie Sudejkina odwrócę... nawet ten list, który Sudejkin pochwycił, będzie tylko dowodem, że działałem dla dobra służby. Na cztery łapy upadnę i order dostanę...

— Do czego pan zmierzasz?

— Do tego, że raz już podobnie się wykłamałeś, no i do tego, że kolega mój musi tu zostać...

— Oficerem jestem!

Żandarmeryi. Jeżeli pan nie godzisz się na obecność Kibalczyca — odchodzimy.

— Zapominasz pan, że stąd nie tak łatwo się wydostać!

— Niezmiernie łatwo, bo pan odprowadzisz nas aż do Newy — gdyż do dynamitu nie masz przekonania.

— Śmierci się nie boję!

— Wierzę — lecz ponieważ i my także nie mamy ochoty wynosić się w pańskiem towarzystwie na tamten świat — więc może przystąpilibyśmy do rzeczy. Wiera musi być dzisiaj wolną!

— Panie, pan nie jesteś przy zdrowych zmy-

słach! — Zastanów się, co mówisz i do kogo mówisz... Jeżeli rzeczywiście jesteś tak dobrze powiadomionym, no, to chyba wiesz... że, gdybym mógł...

— Ba, kiedy innej drogi wyjścia dla pana nie ma. Posłuchaj mnie. Sudejkin ma w ręku twój list, pisany do Wiery... Miał, szelma, pomimo rany, dość siły by ją zrewidować...

— Wiem o tem, — list nie miał daty.

— Przypuśćmy, że był i bez stempla pocztowego na kopercie... Ale Sudejkin wie o tem, że Wiera przebywała tu, u pana... Mam na to ten dowód, że, szukając mnie, wpadł na jej trop... Mnie ścigał Prym, który za mną przyjechał z Kijowa, Prym był u was dwa razy, u was Malinowskę zobaczył i zawiadomił telegraficznie Sudejkina... Oto masz pan numer i kopię depeszy...

Degajewowi pot kroplisty wystąpił na czoło.

— Jeżeli zaś dotąd was Sudejkin nie zadenuncyował to dlatego, że najpierw nie wie, w jakim stosunku jesteście wy do mnie! Obawia się, czy przypadkiem i wy nie wiecie o tem, że istnieje dowód, że kapitan Gejkin zginął z ręki zbirów, podkupionych przez Sudejkina...

— Więc to Sudejkin!

— Zawadzał mu, a że nie mógł go uchwycić, jak was, więc poprostu usunął go na swój sposób...

— Panie, panie, i pan masz dowód?

— Własnoręczny list Sudejkina z oznaczeniem godziny i dnia, kiedy zamach ma być dokonanym i zapewnienie, że list ten opiewa tysiąc rubli na okaziciela. Za list ten zapłaciliśmy dwa tysiące...

Sudejkin biedaka schwycił i dobył zeń, kto odeń list wydostał...

— Panie, gwarantuję panu pięć razy tyle...

— List ten może pan mieć darmo. — Teraz idźmy dalej. Partya ceni pańskie uprzejmości, partya oddała panu nawzajem pewne usługi, partya wyrobiła panu nawet order. Dobra komitywa jest obustronnym interesem. A nareszcie, Iwanie Iwanowiczu, i tej, która została uwięzioną, należy się coś więcej od pana, niż pobożne westchnienie!

Degajew zacisnął z trzaskiem stawów ręce.

— Nie ja chyba wodzę ją na te bezdroża, nie ja pcham w otchłań!...

— To zależy, co kto nazywa otchłanią — odparł ponuro Kwiatkowski — dla mnie otchłanią jest i wasze rzemiosło i wasze służalcze jarzmo.

— Co robić, taki ład, taki porządek, sam radbym, żeby było inaczej...

— Nie liberalizujmy lepiej. Otóż Wiera dziś jeszcze musi być wolną.

— Skąd, co, jak?!... Sam mówisz pan, że na Sudejkina jest sposób!

— Żądam tego i żądam dla dobra partyi, dla dobra jej i dla dobra pańskiego!

— Ależ ja nie mam władzy po temu.

— No ale ja mam. Tu masz pan rozkaz Drentelna, aby mi wydać natychmiast numer... Który ma numer?

— Trzydzieści dwa.

— Wpisuję.

— Rozkaz sfałszowany!

— Mylisz się pan — przyjrzyj mu się dobrze.

— Prawda, lecz skąd pan!

— Ba-ba, długoby o tem mówić. Otóż ja panu go przedstawiam, — pan dziwisz się, kłaniasz mi się i powiadasz: bez decyzyi komendanta fortecy nie masz prawa wydawać więźniów — jesteś formalistą... Wezwiesz dyżurnego oficera, oddasz mu ten papier i wyślesz go ze mną do komendanta. Kolega mój tu zostanie i będzie cię pilnował... Majdel podpisze... i wówczas ty umywasz ręce... Ciebie broni przed wszelkimi zarzutami to, że domyślałeś się, przeczuwałeś i odesłałeś mnie do Majdla, — a Majdlowi nic nie zrobią, bo podpis Drentelna jest, więc najwyżej Drenteln może sobie samemu w oczy pluć, że ma nihilistów w swojem biurze.

— A jeżeli Majdel się oprze? Jest chorym, zdenerwowanym.

— W takim razie, oddalimy się bez słowa i na jutro przygotujemy, przy pańskiej pomocy, podstawienie kogoś na miejsce Malinowskiej...

— Lecz jakże ją wyprowadzicie? Więźniów transportuje się w karetkach...

— Nie troszcz się pan! Pozostaw to dyżurnemu oficerowi. Nie ociągaj się pan.

— A Sudejkin?

— Dam panu jego autograf — będziesz go miał w ręku.

— Panie Kwiatkowski, czy to nie za ryzykowne. A jeżeli cię kto pozna?

— Imienia waszego nie wymówię. Ale, do pioruna, podziwiam waszą skłonność do poświęceń...

Degajew poczerwieniał, dobył z biurka zwój papierów i rzucił go ku Kwiatkowskiemu.

— Masz pan, czytaj... dowiedz się, w jaki sposób określa się pański stosunek do niej... a potem dziw się, że z tobą wchodzę w układy... Jesteś oficyalnym kochankiem...

Kwiatkowski zarechotał nerwowo.

— Chcesz się pan zamienić na rolę?...

— Pan ją zgubisz — dla niej szczęściem prawdziwem byłoby, gdybyście wogóle o niej zapomnieli...

— Ja nie mam nic przeciwko temu.

— Chcesz ją uprowadzić?

— Tylko wydostać ją z więzienia. Jutro zastaniesz ją pan na Wielkiej Morskiej... a dalej panu pozostawiam troskę o bezpieczeństwo.

— I nie będziesz pan wywierał na nią wpływu?...

— Owszem, aby pana nawróciła, abyś wyzbył się tchórzostwa i miał odwagę zasłużenia sobie na miłość nihilistki.

XII.

Gdy dnia następnego naczelnik aresztanckiego oddziału Piotropawłowskiej fortecy zasiadł w kancelaryi nad papierami, bił odeń taki spokój, taka powaga, że nikomu na myślby nie przyszło, ile wewnętrznej trwogi i zdenerwowania kryło rozpogodzone czoło Degajewa, ile wysiłku kosztowało go każde obojętne poruszenie, każde drgnienie powiek.

Około południa jednak Degajewa jakieś drżenie zdjęło, jakiś lęk przejął, a oddech mu zaparł. Naczelnik trzeciego oddziału był jak ten żołnierz, którego wyprowadzono na bój, który całą noc przeżył marami czekającej go walki, a który trawi długie godziny nie słysząc pobudki, a wyczekując daremnie ostrzegawczego trzasku tyraljerskich karabinów.

Aż gdy do kancelaryi wpadł służbowy podporucznik i zaraportował z przejęciem.

— Panie naczelniku — podoficer Matwiejew zabity — aresztantkę wykradli.

Degajew otrząsnął się, odetchnął z ulgą i podniósł hardo głowę.

Burza zawrzała. Poczęta na skraju Newy, gdzie na piasku, otoczony gromadką policyantów, sączył wodę obrzękły napęczniały trup podoficera żan-

darmeryi, zakotłowała się w murach Piotropawłowskiej fortecy, targnęła posadami trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości i znów wróciła między fosy forteczne a więzienne kazamaty.

Drenteln pienił się, Majdel zachrypł, cała sfora co najtęższych agentów skowyczała z bezsilnej pasyi, arkusze protokółów rosły, oficer służbowy mdlał z przerażenia — jeden Degajew był w miarę groźny, zasmucony wypadkiem i jak łza czysty.

Malinowskę, nihilistkę, kochankę Kwiatkowskiego, terrorystkę, która poważyła się skaleczyć dynamitowym pociskiem kapitana Sudejkina, wykradziono... na mocy wykradzionego Drentelnowi rozkazu!

Kto winien? Wszyscy, krom Degajewa, on jeden nie chciał decydować, on jeden nie ufał, on jeden przeczuł.

O zmierzchu burza ucichła, a raczej rozlała się w morze atramentu, zawały sekretnych papierów, stosy listów gończych i zamaszyście kaligrafowanych raportów.

Degajew powrócił do mieszkania, zasiadł do herbaty i czekał na drugą burzę, cichszą, mniej grzmotami warczącą, ale za to kryjącą jeden, lecz zabójczy łomot gromu.

Przeczucie Degajewa nie zawiodło, kapitan Sudejkin z ręką na temblaku stanął przed nim wyniosły, pyszny.

— Ach, co za gość! — ucieszył się szyderczo Degajew.

Sudejkin wyprostował się.

— Nie przychodzę jako gość.

— A – proszę, więc cóż pana sprowadza?

— Masz pan pięć tysięcy rubli w kasie?...

— Siedm!

— Tem lepiej. Napiszesz mi pan czek na siedm i nadto wystawisz mi weksli na trzy. Potrzebuję pieniędzy!

Degajew skrzywił się obojętnie.

— Żałuję, ale na pańską hypotekę nie dam ani grosza, bo jesteś pan niewypłacalnym!

— Zaraz zobaczymy — masz tu kopię zawiadomienia, które składam Drentelnowi.

Degajew spojrzał na papier i oddał go z ukłonem Sudejkinowi.

— Więc, w takim razie, nie wypada mi go czytać.

— Nie udawaj pan zucha. Dopuściłeś się zdrady stanu, dopomogłeś do wykradzenia Malinowskiej, przechowywałeś ją nawet tu, w fortecy! Mam pański list...

— A to zmienia postać rzeczy — jestem na pańskie rozkazy.

— Po raz drugi dopuszczasz się względem mnie nikczemności, — mogę cię zgubić — lecz nie chcę — dasz mi dziesięć tysięcy rubli.

— Bardzo chętnie, tylko, że, niestety, kapitalik mój ulokowałem w akcyach...

— Więc sprzedasz je...

— Ba, wątpię, czy znajdę na nie dość bogatego kupca... Racz pan spojrzeć... tu właśnie jest foto-

grafia jednej akcyi, zresztą na prędce zrobiona i bardzo zła...Podpisano na dole „Sud“...

Sudejkin wpatrzył się w fotografię i naraz parsknął serdecznym śmiechem.

— Cha, cha i wybornie i znakomicie. A toście mi, kochany Iwanie Iwanowiczu, wypłatali figla! Idę tu i myślę sobie, uszu mu natrę, strachu napędzę, po ojcowsku, po bratersku nagadam, bo kto to słyszał listy pisać i takie listy!... Nie mówcie, dzieciuch z was! Dzieciuch, a przy tem głowa!... Et głowa! Słowo honoru, gdym się dowiedział o tej synogarliczce, — patrzcie łapa na temblaku, — a kolnęło mnie. Przecież, wisus, teraz mi okoniem nie stanie. Zawsze zadzierał nosa, zawsze się indorzył — a teraz zmięknie, teraz pozna, że ma przyjaciela... A tu, masz dyable kaftan. Nos mu pokazałeś, a on, hyc, ciebie za nos!

Sudejkin aż fyrknął nosem dla zadokumentowania racyi i do reszty rozpromieniał.

— No pyszna historya, no znakomita, no z samego siebie się śmieję...

— I dobrze pan robi.

— Bo tak, drogi Iwanie Iwanowiczu, tak trzeba. Ale tak mało kto umie, bo do tego niezbędny jest talent i wy go macie... Ja wam przepowiadam karyerę, phi, byle wam dojść pełnego kapitana, to potem ruszycie do generała jednym tchem... Och i ten papier do Drentelna — na śmiecie z tą farsą!

Degajew zapalił flegmatycznie papierosa, ani nie zważając, z jakim zapałem Sudejkin darł w kawałki swoją denuncyacyę.

— Ja wam, Iwanie Iwanowiczu, odeślę ten list do tej...

— Jeżeli pan uważa za właściwe.

— No-no, nie indorzmy się... Farsa farsą, a sprawa sprawą. W tym celu istotnie przyszedłem. Zrobimy zamianę, wy mi ten kwit, — a ja wam list.

— List mój nic nie wart...

— Cha-cha, to mi w skórę daje... A mój kwit dwa tysiące rubli!...

— Milion — a ponieważ panu brak akurat miliona — więc kwit u mnie zostanie.

— Iwanie Iwanowiczu — jesteśmy przyjaciółmi!

— Dopiero od tej chwili...

— Więc nie masz pan do mnie zaufania, — przecież skoro ci doręczę twój autograf...

— Zostanie Prym, któregoś pan nasyłał mi. Stąd wolę, abyś się pan sam troszczył o milczenie Pryma. Nie mówmy o tem więcej.

Sudejkin próbował jeszcze trafić do przekonania Degajewowi, lecz ten się zaciął. W rezultacie czego kapitan wpadł w jeszcze lepszy humor i z całem wylaniem przyjaźni, oświadczył, iż tak wielką żywi ku Degajewowi sympatyę, że, aby mu dać dowód oczywisty tej sympatyi, godzi się na pozostawienie kwitu dobrowolnie.

Po oddaleniu się Sudejkina, Degajew odetchnął pełną piersią, — był ocalonym, znów dobytym z matni, a nawet raz na zawsze uwolnionym od Sudejkina. Prawda, Degajew ani wątpił, że taki Sudejkin będzie starał się zgotować mu odwet, a przynajmniej dobyć za wszelką cenę hańbiący

papier, — lecz Degajew postanowił nie tylko czuwać, ale i ustąpić Sudejkinowi z drogi.

Degajew był zmęczonym, zmordowanym służbą, a bodaj najwięcej zmordowanym tym nieustannym niepokojem, którego nabawiała go Wiera, i tem szamotaniem się między ogniami dwóch przeciwieństw.

Niegdy Degajew łudził się, że wyrwie się nierozsądnemu uczuciu dla Wiery, że zgłuszy w sobie sentymentalizm, że pójdzie za głosem żandarmskiego obowiązku, że stworzy sobie nowe, lepsze, rozumniejsze szczęście... Lecz, odkąd, po raz drugi, los go rzucił ku Malinowskiej, zmienił się bardzo, osłabł duchowo... czy zmężniał, dość, iż myśl jego coraz śmielej rwała się tam, kędy nie było ani żandarmskich mundurów, ani gwiazdek, ani rang, ani śledztw, ani więzień, ani brzęku kajdan.

Ta przemiana, oczywiście, odbiła się bezpośrednio i na zajęciach służbowych. Degajew coraz rzadziej zaglądał do cel, stronił od kurytarzy więziennych, a jeżeli pełnił obowiązki to bez żadnej ze swej strony inicyatywy, chyba w tym kierunku, aby nadchodzące papiery możliwie najszybciej załatwiać i najoschlej. Z tego powodu komendant, baron Majdel, niejednokrotnie karcił swego wychowanka za ospałość, za ustępstwa, czynione więźniom, za brak żandarmskiego serca. Degajew wysłuchiwał cierpliwie uwag i ani myślał, a raczej ani umiał się poprawić.

Sprawa uwolnienia Malinowskiej przepełniła czarę. Degajew postanowił podać się do dymisyi

i wyjechać za granicę. Szło tylko o to, czy Wiera się zgodzi, bo, choć od pewnego czasu okazywała mu więcej, niż kiedykolwiek, przyjaźni, przecież Degajew instynktownie zgadywał, że nie sama idea wlokła ją ku nihilistom, że nie tylko rewolucyjne hasła rzucały ją w wiry konspiracyi. Między nim a Malinowską stał zawsze jakiś cień. Dawniej Degajew upatrywał w nim Kwiatkowskiego, lecz powoli stracił przeświadczenie, a w ostatku przestał go podejrzewać zupełnie, boć Kwiatkowski święcie dotrzymał słowa i Malinowskiej nie uprowadził.

Stąd, gdy, po kilku dniach, Degajew udawał się na spotkanie z Wierą, zdjął go strach, jak będzie przyjętem jego postanowienie, czy wprost nie doprowadzi do okrutnej prawdy, że całą miłość, którą go darzyła Malinowska, zawdzięcza mundurowi żandarma i stanowisku naczelnika więzienia Piotropawłowskiej fortecy.

Wiera powitała Degajewa z roztargnieniem. Była blada, oczy miała czerwone, podpuchnięte. Na zapytania odpowiadała półsłówkami, nawet nie chciała wspomnieć o tem, jak Kwiatkowski z Kibalczycem pozbyli się podoficera Matwiejewa, a jak poradzili sobie z izwoszczykiem. Degajew próbował wyrzutami rozruszać nieco Wierę, ale napróżno. Nie broniła się, chyliła głowę i milczała.

Iwan Iwanowicz uczuł się dotkniętym do żywego tem zachowaniem i, sam nie wiedząc jak, wyjawił swe zamiary porzucenia służby i wyjazdu za granicę.

Wiera, na pierwsze słowo o tym planie, ożywiła

się, czem Degajewa podnieciła. Degajew wpadł w zapał, mówił długo szczerze, serdecznie, aż gdy umilkł, Malinowska ujęła go za rękę i odrzekła ze wzruszeniem.

— Tak, masz słuszność, dla nas tu niema miejsca. Ruszajmy w świat, dobędziemy się, rozpoczniemy nowe życie. Pracy nie brak, a z nią przyjdzie i uciszenie i równowaga... Widzisz, oboje jesteśmy na bezdrożu... trzeba, abyśmy podali sobie ręce... Chcesz zrzucić tę upadlającą liberyę — dobrze czynisz... Odródź się, otrząśnij, przejrzyj — z chwilą, gdy przestaniesz być żandarmem, zostaniesz człowiekiem... Nie domyślaj się, nie wpatruj, nie pytaj... przebyłam bolesne rozczarowanie... Ale to nic — musiało tak się stać — uciszę się powoli, dojdę do równowagi i już nic, nic zgoła nie zachmurzy nam pogody.

Degajew przypadł do ręki Wiery i jął jej dziękować, a snuć dalej zamysły o tem, gdzie się osiedlą, a jak nowe życie rozpoczną. Ale gdy w ostatku zapowiedział Malinowskiej, że natychmiast poda się do dymisyi — ta ostatnia zafrasowała się.

— Zaraz nie podobna. Będę szczerą, będę uczciwą. Koledzy moi domyślają się, że mam na ciebie wpływ... Zaczyna się gwałtowna akcya. Chcę być w porządku z sumieniem, zostań do Nowego Roku.

— Ależ, bo nie wiesz chyba, że, jeżeli dziś nawet zażądam uwolnienia, to i tak dopiero na stycznia doczekam się dymisyi.

— Nie-nie, zrób to dla mnie — zażądasz dymisyę na Nowy Rok.

— Lecz, Wiero, zapominasz o niebezpieczeństwie, które ci grozi.

— Przyrzekam ci unikać wszystkiego i poddać się wszelkim twoim wskazówkom.

Degajew nie nalegał i tak osiągnął więcej, niż roił, a zresztą i sam potrzebował czasu na uporządkowanie interesów i na przysposobienie się do podróży. A że nadto Wiera, bez oporu, dała się ulokować na Ełagińskiej Wyspie, w zaciszu rodzinnem właścicieli ogrodu i mleczarni, i ani próbowała wyłamać się z klauzuli zupełnego odosobnienia i zerwania z partyą, — przeto Degajew z całym spokojem wyczekiwał oznaczonego terminu. A kiedy nareszcie nadszedł — ani godziny nie zwlekał i gdy, po odbyciu noworocznych, urzędowych wizyt, zasiadł do obiadu z Majdlem, wprost od gawędy o tem, że sam cesarz na przyjęciu w pałacu do barona się odezwał, skręcił i jednym tchem do dymisyi się podał.

Majdel, który był z całem przejęciem żuł bezzębną szczęką kawał prosięcia „pod chrzanem“, zachłysnął się i ledwie nie zadławił. Aż, odetchnąwszy, bluznął potokiem przekleństw i wymysłów. Degajew przetrzymał mężnie pierwszy wybuch barona i wspomniał zręcznie na to, żeć sam Majdel jest żywym przykładem, iż nie warto służyć, boć jemu od dziesięciu lat należy się i ranga jenerał-porucznika i wstęga Aleksandra Newskiego, a, mimo tylu zasług, poniżają go, a wywyższają takich Drentelnów.

Majdel aż stęknął na tę racyę.

— Pewnie, że poniżają, że półgłówków rozmai-

tych głaszczą! A wiesz, kto teraz oczkiem w głowie — Loris-Melikow, wielki wódz armeńskiej armii, co dwa razy Kars brał i baty brał! Mówili dziś, że hrabią zostanie!... O niezawodnie, toć przecież tańczy około Katarzyny Michajłówny a cesarskiej kochanicy się przymila!... Bo i tego nie wiesz, że trzeci bękart w drodze!... Ciężko, Wania. Ot, żeby tak pod ręką jakąś żonę gładką mieć, a bodaj urodziwą kuzynkę, jeszcze byś się ruszył z generał-majorstwa, lecz kiedyś sierota — eh, zdechniesz, a na pełnego generała nie wyjdziesz. Kogut-car! Ale cóż, powiedział mi dziś, „bardzom rad"... zawsze miło cesarskie słowo słyszeć.

— Nie takie wujowi się należy...

— A nie, Wania, nie! Około „pełnych" przechodził, a przy mnie stanął raptem i powiada „ile lat na służbie", — a jak ja mu, trzydzieści cztery — to on do mnie „jak nazwisko?" i potem przypomniał sobie, „a baron Majdel, bardzom rad"...

Degajew skrzywił się i zauważył.

— Po trzydziestu trzech latach służby, nawet nazwiska się nie pamięta...

Majdel zakrztusił się. Krew uderzyła mu do głowy.

— Wania, nie mów mi o tem! — wyjąkał po chwili. — Lepiej niech tak...

Rozmowa się urwała. Po obiedzie, baron jął uskarżać się na zmęczenie i powlókł się do łóżka.

Degajew zrozumiał, że atak się udał i że obecnie wypada za dni kilka dopiero go ponowić.

Aliści już nazajutrz, przy raporcie, Majdel za-

gadnął Degajewa i kazał sobie wyłuszczyć powody, które go aż do żądania dymisyi przywodzą.

Degajew tłumaczył długo baronowi, że wogóle czuje się zmęczonym, zniechęconym, że obowiązki mu dokuczyły, że ma pociąg do życia cichego, spokojnego, że marzy o tem, aby zostać rolnikiem, kolonistą, że nie widzi w służbie rządowej przyszłości dla siebie, że nie podoła zadaniu...

Majdel wysłuchał z uwagą tego zawiłego wyjaśnienia i zakonkludował.

— Łżesz, bratku.

Degajew wyprostował się, sięgnął w zanadrze, i, podając z uszanowaniem papier, zaraportował:

— Panie generale, mam honor prosić o dymisyę!

Majdel wyrwał mu papier i podarł na strzępy.

— Ot, moja odpowiedź! Nie dam, nie pozwolę! Bałwan jesteś, smarkacz! Żandarmem jesteś! Rozumiesz? Więc masz wszystkie dane, masz drogę utorowaną do najwyższych zaszczytów, możesz zostać gubernatorem, ministrem oświaty, dyrektorem akademii, prokuratorem synodu, członkiem rady państwa, fligiel-adjutantem, ochmistrzem dworu, kanclerzem, opiekunem cesarskiego domu!... Rozumiesz!... Boś żandarm, więc toż samo, co dwadzieścia razy szlachcic, co pięć razy książę. Ty mnie słuchaj. Kanikuła cię naszła. Urlop dam, leż do góry brzuchem, pluj w sufit a żandarmską godność szanuj! Bo gdzież znajdziesz szczytniejszy, wznioślejszy zawód. Znasz koncept nieboszczyka Mezencewa? Wiesz, kto był pierwszym żandarmem

na świecie? A no Adam, bo doniósł na Ewę. A wiesz, dlaczego poszedł „w duraki“, bo najpierw zjadł, a potem oskarżył, a powinien był najpierw zadenuncyować żonę z wężem, a dopiero zjeść. Marny koncept a sprawiedliwy. Mezencew był „mazurek“, obwieś, ale rozum miał. Do podpułkownika ja cię dopchnę i szybko dopchnę, a przy ochocie dorobisz sobie resztę i wypłyniesz...

— Na to, żebym potem, jak wuj, truł się i gryzł...

— Uu-tam!... — mruknął Majdel, którego Degajew znów trafił pod skrzydło.

— Mam oczy, proszę wuja, i... doprawdy dłużej na to patrzeć nie chcę... i tu przyczyna mego nieodwołalnego postanowienia.

Baron wpadł w sapkę, zaczem uspokoił się.

— Nie namawiam cię więcej. Uczynisz, jak uważasz, — ale tymczasem złem mi nie płać. Mnie brakuje rok do emerytury... Zostań ze mną — po roku, zobaczysz, będziesz trwał przy postanowieniu, nie oprę się... Rok nie wiek. Jesteś zmęczonym — bierz urlop. Jedź gdzie, dam ci na drogę. Na południe jedź, do Szwajcaryi wstąp, — tam rozejrzyj się, od nihilistów aż się roi, jest czemu się napatrzeć. W twoich latach dobrze świata kawałek przejechać. I nie żałuj sobie, pobaraszkuj. Młody jesteś, więc korzystaj, żebyś potem rodzonej żonie rogów nie przystawiał... Więc rok minie ci piorunem, — a potem, pójdziemy razem ogórki podlewać czy inną botanikę sadzić!

Degajew, rad nie rad, musiał zgodzić się na układ, boć Majdel miał zawsze dość siły, aby dy-

misyę odwlec, a więc zniewolić go do karności i siedzenia na miejscu. A dalej, taki układ zapewniał mu na przyszłość pomoc barona, a ta nie była do pogardzenia, komendant bowiem żył z kredką, a kradł według rangi, co nazywało się półoficyalnie, że komendantura daje około dwudziestu pięciu tysięcy rocznie plus dodatki w latach remontu zabudowań fortecznych.

Najsilniej atoli na ustępstwo ze strony Degajewa wpłynął urlop i wyjazd za granicę, który nie tylko skrócał mu wyczekiwanie, ale i umożliwiał zawczasu rozejrzenie się i wybranie sobie miejsca na przyszłą instalacyę. A że nadto Wiera zgodziła się na podróż, przeto Degajew zabrał się natychmiast do poczynienia przygotowań. Po dwóch tygodniach, urlop dwudziestoośmiodniowy nadszedł z kancelaryi szefa żandarmów, no a z nim razem i pieniądze od barona i cicha zapowiedź, że może i całe dwa miesiące siedzieć.

Początek podróży jeszcze miał dla Degajewa ciężką chwilę niepokoju, bo Wiera, dla bezpieczeństwa, aż do Berlina jechała sama i za cudzym paszportem. Ale gdy za to, po dwóch dniach, Degajew dotarł do Berlina i zastał ją na dworcu kolei, radość go taka zdjęła, że aż drobna, biała twarzyczka Wiery pokraśniała.

Z Berlina młoda para jednym pędem stoczyła się ku włoskiej riwierze i zapadła w ustronnem zaciszu, pod Mentoną.

Sześć tygodni minęło Degajewowi niby krótki, parogodzinny sen, boć na rozkoszne jego upojenie

złożyła się i bogata natura południa, i życie pogodne, i otoczenie ludzi, chodzących z podniesionemi głowami, ludzi zadufanych w pełnię zdobytych swobód i, co najważniejsza, spojrzenie ciemnoniebieskich oczu Wiery, spojrzenie, które, pod wpływem śródziemnomorskich lazurów pojaśniało. Prawda, że uśmiech rzadkim bywał gościem na ustach panny Malinowskiej, a w chwili zadumy wzrok jej mknął ku melancholijnej dali widnokręgu i wracał często załzawiony, lecz wzamian Wiera umiała być tak przyjacielską, tak dobrą, tak uległą, że Degajewowi serce rosło.

Aż, pod koniec marca, nadszedł list od Majdla. Degajew wiedział z góry, że zawiera wezwanie do powrotu, lecz za to ani przypuszczał, iż tyle i tak wstrząsających przyniesie mu nowin.

— Wania — pisał Majdel — na naszą zacną ziemię rosyjską istne dopuszczenie boskie naszło, — istna zaraza ogarnęła półgłówków i na zbrodnie ich wodzi. Całe bandy nihilistów grasują w stolicy, w biały dzień, na Newskim prospekcie, sprzedają ci najbezecniejsze, bluźniercze piśmidła. W fortecy już jest stu łotrów politycznych ponad etat. Fedia nie może nastarczyć z moczeniem rózeg. Zbóje panoszą się. Zabili gubernatora, kniazia Kropotkina, zabili Reinsteina, agenta tajnej policyi, strzelali do Drentelna. Twój zastępca, Czerewin, awansował na porucznika z przeniesieniem do Zimowego pałacu. Wracaj natychmiast! Rady sobie nie mogę dać. Codzień sądzą i codzień na katorgę posyłają, a tu szubienic trzeba i nie rózeg, a pałek

poczciwych, mikołajewskich. Gdy ten list piszę nowa zbrodnia — pułkownika von Knoopa zabili w Kijowie. Znałeś go! Zacny Karol Gustawowicz. Nihiliści ogłosili swój dekret, że to z ich wyroku — taka mnie żałość ogarnęła, że jednemu „bujnemu" sto batów kazałem wsypać — zdechł. Nazywa się Sientanin, jednego opryszka mniej. Przyjeżdżaj".

Ten list przygnębił Degajewa. Sama myśl, że ma wracać na takie piekło, odejmowała mu odwagę, już zdala brzęczała ku niemu łańcuchami, już zdala jęczała skowykiem katowanych więźniów. Dawniej bywało mu to obojętnem, lecz teraz wydawało się nieznośnem, nieludzkiem. I nie dlatego, żeby Degajew powziął sympatyę dla nihilizmu, żeby na ich wyznanie się nawrócił — nie, boć szczerze potępiał rewolucyonizm, tylko, że i do terroru białego stracił przekonanie, nie wierzył, aby knutami można uczyć lojalizmu, a kajdanami ducha skuć.

I Degajew jął rozważać a zastanawiać się, jakby urlop przedłużyć, za chorego się podać, bodaj mosty spalić, a nie wracać a zostać.

Wiera atoli temu się oparła.

— Trzeba, żebyś wracał, trzeba żebyś dotrwał! Nie żądam od ciebie, abyś się sprzeniewierzał, abyś się ryzykował na oddawanie przysług partyi!... Dość mi będzie, gdy będę miała pewność, że jesteś człowiekiem... że czynisz, co musisz, lecz nie dajesz się znęcać! Jedź, dotrzymaj słowa — nie będziesz żałował. Dziesiątki desperatów błogosławić cię bę-

dzie i za to, że, choć oprzesz się na gruncie tego waszego zwyrodniałego prawa!

Degajew wahał się — ale gdy Wiera zaprzysięgła mu, iż zostanie za granicą i do żadnych ruchów politycznych mieszać się nie będzie — ustąpił, projektując sobie, iż zdoła dymisyę przyśpieszyć, a bodaj nowy urlop na jesień wydobyć.

Wiera miała odprowadzić Degajewa do Wiednia, a potem wrócić na Riwierę i tu na stałe osiąść.

Degajew z ciężkiem sercem jął zbliżać się ku północy. Pod Salzburgiem, a więc w pobliżu rozstajnego Wiednia, Degajewa opanowała nieprzezwyciężona chęć bodaj jeszcze dwa dni razem z Wierą spędzić. Malinowska nie miała nic przeciwko temu. Wysiedli więc w Salzburgu i ulokowali się w małym hoteliku nad brzegiem Salcy. Powoli z dwóch dni zrobiło się cztery. Dłużej ociągać się było niepodobna. Degajew jeszcze dzień jeden zmitrężył, — a dla uspokojenia Majdla wykoncypował depeszę, zwalając winę na przerwę w komunikacyi. Wiera podjęła się zanieść telegram do biura na dworcu kolei, Degajew został w hoteliku i porządkował kufer.

Gdy zaś załatwił się z kufrem, dla zabicia czasu, siadł w oknie i wyglądał powrotu Wiery.

Ulica nadbrzeżna świeciła pustkami, snać kontentując się poszumem wartkiej Salcy, która toczyła swe fale po krzemiennem łożysku, a wiła się i pieniła.

Stąd, kiedy w pobliżu zaturkotała leniwie ka-

reta, zaprzężona czwórką rosłych koni, Degajew, mimo woli, zwrócił na nią uwagę, lecz ponieważ ukazał mu się czarny kapelusz Wiery, więc ku niej patrzył. Wiera szła szybko i już mijała karetę, gdy, naraz, z karety wyskoczyło dwóch mężczyzn i złożyło Malinowskiej głęboki ukłon. Wiera przystanęła. Ale, zanim Degajew zdołał zorjentować się, co znaczyło to dziwne spotkanie, mężczyźni porwali ją pod ręce i rzucili w głąb karety i wskoczyli za Wierą. Stangret równocześnie zaciął konie i kareta ruszyła z kopyta.

Degajew, jak szalony, wybiegł na ulicę, kareta mignęła mu w oddali swym czarno-granatowym pudłem i zniknęła na zakręcie.

Degajew rzucił się w stronę, gdzie mu kareta zniknęła, lecz zanim dosięgnął do rogu ulicy, karety już ani widać było.

Iwan Iwanowicz, trawiony strasznem przeczuciem, biegł dalej, klucząc na oślep, aż dopadł dorożkarza, z tym ledwie się porozumiał zapomocą kilku guldenów i kazał się wieźć, każąc mu zygzakować na wsze strony, a tłumacząc łamaną niemczyzną, że szuka karety. Po kilku godzinach błądzenia, Degajew powrócił do hotelu, ogarnął się i poszedł na policyę. Tu ani dogadać się nie mógł, poszedł więc na dworzec kolejowy, lecz i tu powiodło mu się nie lepiej. Dopiero, kiedy zaczął się legitymować swym żandarmskim paszportem, objaśniono go, aby udał się na drugą stronę dworca, kędy urzęduje na pograniczu bawarski żandarm.

Wskazówka była wyśmienitą. Bawarski żandarm

przyjął Degajewa z całą serdecznością i w dodatku wcale nienajgorszą rosyjszczyzną.

Degajew zwierzył się ze swego utrapienia, starając się rzecz tak wyjaśnić, żeby bawarski kolega mniemał, iż chodzi tu o ucieczkę.

Bawar zainteresował się szczerze kłopotem Degajewa i przyrzekł zarządzić najściślejsze dochodzenie, obiecując rozesłać zapytania na całe pogranicze austryacko-niemieckie.

Degajew powrócił do hotelu, jeszcze łudząc się, że może Wiera zdoła wydobyć się, że może lada sekunda nadejdzie.

Minęło dwa dni. Degajew cały Salzburg schodził, okolicę zjeździł, wszystkie remizy powozowe zlustrował, napróżno. Aż Degajewa kolnęło przypuszczenie, iż Wiera dała się porwać, że może wróciła do partyi, że może powlókł ją odezw pobudki rewolucyjnej. Wszak ci Salzburg był w sąsiedztwie Szwajcaryi, tego nihilistycznego ogniska.

Ale te domniemania rozwiał bawarski kolega, który po trzech dniach, zjawił się z relacyą i, zapewniwszy Degajewa, że nigdzie ani śladu porwania nie udało się wykryć, zauważył, iż dziwnym zbiegiem okoliczności, właśnie w dniu porwania Wiery, dwóm agentom rosyjskiej tajnej policyi... w Wiedniu... udało się tu, w Salzburgu, ująć bardzo niebezpieczną nihilistkę.

Degajewa uderzyła ta uwaga.

— Czy nie mógłby pan powiedzieć mi, co to byli za ajenci...

— Nie pamiętam, mieli pełnomocnictwo poświadczone...

— Lecz przecież, bez asystencyi miejscowej władzy, nie mogliby aresztować, wszak to musiało pójść na drogę dyplomatyczną?

— A to po cóż? Z Austryjakami byłaby może ceremonia, ale tu my jesteśmy! Salzburska policya o tem nawet nie wie. Skręcili na terytoryum niemieckie — a my, dla panów jesteśmy zawsze gotowi do sąsiedzkiej przysługi. Lecz, pozwól pan, mam nawet fotografię tej nihilistki, bo mi ją z Berlina przysłano! Wcale miła dziewczynka...

Degajewowi serce zamarło w piersiach. Bawarski żandarm miał w ręku fotografię Wiery.

XIII.

Degajew zjechał do Petersburga na czas, gdy stolica białego cara łomotała jeszcze strzałami rewolwerowymi Sołowjewa, który nie tylko, że poważył się napaść na Aleksandra II., na placu przed Zimowym pałacem, ale i gonić go. Lecz, jeżeli Petersburg w gruncie rzeczy nie tyle się oburzał, ile kuł dowcipy na temat, jak to samowładzca zgrabnie zmykał przed kulami nihilisty, a jak zawile zygzakował, żeby ołowiu uniknąć, to wzamian trzeci oddział kancelaryi jego cesarskiej mości rázem z ministeryum dworu dygotał w posadach. Dymisye, rugi, degradacye posypały się, jak z rękawa, na winnych niedozoru... Właściwie żaden z tych ukaranych stróżów, agentów, łapaczów i argusów nie był winien, iż jakiemuś zdesperowanemu Sołowjewowi podobało się przebrać w mundur i pod jego osłoną pięć razy zrzędu spudłować. Ale ponieważ „najwyższe" wzruszenie musiało znaleźć swój wyraz w spotęgowaniu i wzmocnieniu środków ochronnych, przeto pierwsze jego uderzenie trafiło we dworską służbę, drugie w żandarmów, a dopiero dalej runęło z całej mocy w nihilizm wogóle, a w nieszczęsnego desperata w szczególności. A że ten ostatni osadzonym został w Piotropawłowskiej fortecy, stąd Degajew odrazu

wpadł w istny wir nadzwyczajnych inspekcyj, protokółów, śledztw, zdwojonych straży i obostrzonego regulaminu.

Majdel był tak rozgorączkowanym, że ani próbował dociekać, co znaczyło, iż Degajew z Salzburga aż trzy tygodnie jechał i nawet nie zważał na obojętne roztargnienie wychowanka przy relacyi o zamachu i o przypalaniu pięt zbrodniarzowi.

— Sława Bogu, sława Bogu jesteś nareszcie! Odżyję trochę — bo tu na nikim polegać, nikomu zaufać, nikomu się zwierzyć, a człeka rozpiera czasem. Bierz się na ostro, teraz odznaczyć się łatwo... Kto wie, czy z tego lepszy wiatr nie powieje!...

Degajew widocznie pragnął odpowiedzieć nadziejom barona, bo już nazajutrz rozwinął energiczną działalność. Obszedł cele więzienne, szpitalne izby, sprawdził spisy aresztantów, przewertował kontrole i jeszcze tem się nie zadowolnił, jeszcze kazał sobie przedstawić wykazy wszystkich aresztantów, których w ciągu ostatnich czterech tygodni wysłano, a nareszcie kazał sprezentować sobie wszystkie polityczne...

Degajew szukał — szukał śladu Wiery — daremnie, w Piotropawłowsku żaden świstek o niej nie wspominał. Ale Degajew nie myślał dać za wygranę. O tem, że Wiera była porwaną przez tajnych ajentów rosyjskich wiedział już nie tylko od pruskiego żandarma, ale i sprawdził fakt przejazdu Wiery przez granicę w Aleksandrowie, gdzie miejscowy żandarm bez wahania pośpieszył udzielić wiadomości tak dostojnemu koledze. Owóż,

według tych wiadomości, Wierę eskortował podporucznik Sadowskij z jakimś łapaczem i wiózł ją do Petersburga...

Coprawda Degajew, który w tem czuł rękę Sudejkina, nie wielką wagę przypisywał do informacyi żandarma kolejowego, jednak nie zaniedbał niczego, aby i poza Piotropawłowskiem przeszukać więzienia. Do tego znakomicie pomógł mu Sołowjew, ów straszny królobójca.

A mianowicie, gdy od Sołowjewa nie można było dobyć zeznań perswazyami, podstępami i przyrzeczeniami, wzięto go kilkakrotnie na tortury, — lecz tymi osiągnięto tyle, że Sołowjew, okaleczony i potarmoszony srodze, ledwie dyszał. Wówczas to doktór von Egert zaproponował, aby pozwolić Sołowjewowi przyjść do sił i poddać go dopiero działaniu narkotyków, które wywołałyby majaczenie przez sen... Owóż Degajew, po rozpoczęciu obserwacyi nad majaczącym Sołowjewem, ukuł sążnisty protokół o tem, że królobójca wypomina wciąż jakąś młodą, rzekomo siedzącą w więzieniu nihilistkę, która miała go podmówić do zamachu i zakonkludował, że byłoby pożytecznem, aby zebrać fotografie wszystkich politycznych i przedstawić je Sołowjewowi, a ten zdradzi się niezawodnie. Wniosek Degajewa podobał się i prokuratorowi i Drentelnowi, a że w Rosyi, gdy idzie o „nihilizm“, niema nic trudnego, tedy rozkazano natychmiast ze wszystkich więzień dostarczyć fotografie politycznych aresztantek... Dzięki temu, Degajew, w ciągu dwóch tygodni, sprawdził, że Malinowskiej niema

w więzieniach petersburskiego okręgu, a dalej kolejno przekonywał się, że niema jej ani w Kijowie, ani w Odesie, ani w Charkowie, ani w Warszawie...

Degajew chwycił się drugiej ostateczności, szuka łwiadomości u nihilistów, każdego nowo uwięzionego badał, dopytywał się o Wierę, — ale i to napróżno. Nie lepiej powiodło mu się z natrafieniem na jednego z tych rewolucyonistów, z którymi, dzięki Malinowskiej, obszedł się względniej, czy którym oddał usługi, — bo o tych i słych zaginął. Raz jeden zaledwie błysnął mu promień nadziei, bo w Kijowie rozpoczął się, w pierwszych dniach maja, proces terrorystów z Osińskim na czele. Osińskiego Degajew znał i, na prośby Malinowskiej, d›był niegdy z pułapki; miast go aresztować pozwolił mu uciec. Degajew pewnym był, że proces zakończy się apelacyą do Petersburga, czyli, że Osiński wysłanym zostanie do Piotropawłowskiej fortecy, — a tem samem zdarzy się sposobność zasięgnięcia odeń wiadomości. Rachuby te jednak zawiodły. Osińskiego powieszono w Kijowie.

Ale Degajew jeszcze nie ustawał w zabiegach, jeszcze rąk nie opuszczał i nie poddawał się złowróżebnym przeczuciom, rozumiejąc, iż ta natężona myśl daje mu siły, daje mu wytrwanie, pozwala mu żrący gę ból kołysać, rozpaczliwe porywy na wodzy trzymać.

I Degajew rad był temu rejwachowi i zamętowi, który, od zamachu Sołowjewa, zapanował w fortecy, ile że ten zamęt od wczesnego rana do późnego

wieczora niewolił go do nieustannej czynności, rozrywał, tłumił nurtujące niepokoje. Lecz bywały dnie, że, mimo największego utrudzenia, Degajew nie mógł, po powrocie do mieszkania, ani miejsca sobie znaleźć, ani oka zmrużyć. I wówczas bił się z myślami, fantastyczne plany snuł i dobywał ze skrytki w biurku autograf Sudejkina i zaczynał koncypować jakieś denuncyacye, któreby pogrzebać musiały i jego samego, lecz z Sudejkinem razem, a wreszcie zmagał się, przypasywał pałasz, zarzucał płaszcz i biegł między przekopy forteczne a więzienne kurytarze.

Niekiedy znów imię Wiery budziło w Degajewie współczucie dla tych, które tak, jak ona, pokutowały. I naczelnik aresztanckiego oddziału nie tylko kasował kary za krnąbrność, ale na książki zezwalał, i czas „spaceru“ przedłużał, i listy od rodziny nieznacznie uwięzionym oddawał, a nawet i sam podejmował się pośrednictwa w zawiadamianiu najbliższych.

Z tego powodu Degajew miał kilka zajść z baronem, zakończonych gwałtownem starciem. Degajew, podrażniony szpiegowaniem Majdla, wręcz mu oświadczył, że, jeżeli baron nadal podobnem „zaufaniem“ darzyć go będzie, — to on natychmiast kwituje ze służby. Majdel złagodniał i tem łatwiej, że w duchu podziwiał energię Degajewa i jego niestrudzoną czynność.

— Wania, ja do ciebie, jak ojciec!

— I dlatego u wuja każdy ostatni pachołek ma prawo mnie szpiegować!

— Przecież w tem niema nic złego...

— A żebym ja tak zaczął wuja podpatrywać...

— Choćby, ani bym się skrzywił. Ale już ust nie otworzę, — tylko ty ich na pasku trzymaj, — niechże nie myślą, iż są w hotelu...

— I w tem właśnie niekonsekwencya, bo co z tego dla nas za sens, — a no gawędy po mieście, że ludzi żywcem ze skóry obdzieramy...

— Tak być powinno.

— Nie sądzę. Inna rzecz, kiedy idzie o Sołowjewa, a inna, kiedy odsiaduje śledztwo bezbarwny głuptas, za którym cała sfora senatorów się ujmuje i który wychodzi na świat... Następstwo z tego, że my jesteśmy czarni, że do nas nie przyznają się ci sami, co niby to nadają nam kierunek.

Komendant ten argument próbował odeprzeć, ale że Degajew wtrącił zręcznie uwagę o orderach, rozdawanych przez księżnę Dołgorukow i o potędze partyi księcia Konstantego Mikołajewicza, przeto Majdel westchnął i zakończył pojednawczo.

— Rób, jak uważasz, — tyś młody, ty lepszy masz węch.

Po tej rozprawie, Degajew nie zaniechał czynić ustępstw więźniom, a jedynie strzegł się zbyt widocznych.

Podczas imię Sudejkina nie schodziło Degajewowi z pamięci. A, o ile Wiera nie uprzytomniła mu płowych faworytów kapitana, to, jakby na udrękę, wypominały go nadchodzące papiery i akta. Sudejkin w Kijowie działał i z takim zapałem, że zasypywał kancelaryę więzienia Piotropawłowskiego

zapytaniami, protokółami, a i nadsyłanymi na konfrontacyę aresztantami. Ba i Sudejkin rósł w oczach, był podobno ulubieńcem Drentelna, kandydatem na pierwszy awans do Petersburga i lada dzień podpułkownikiem.

Ale obocześnie rósł i Kwiatkowski! Cały trzeci oddział kancelaryi jego cesarskiej mości o Kwiatkowskim mówił, Kwiatkowskiego ścigał, wykrywał, łapał, a Kwiatkowski wciąż po świecie chodził i był głową terroru, i widmem, i jego ramieniem. Listy gończe, obławy, nagrody, wyznaczane za pojmanie nihilisty, do żadnego nie doprowadzały rezultatu, a raczej, że najtężsi policyanci zaczynali wątpić o istnieniu Kwiatkowskiego. Ale, po kilku miesiącach ciszy, dwa jeden po drugim zamachy, przygotowane na linii kolei żelaznych, któremi cesarz wracał z Liwadyi na Moskwę, nie tylko że ujawniły bajecznie wielką sprawność inżynierską, nie tylko, że zdumiały saperów rosyjskich dokładnością i starannością założonych min dynamitowych, nie tylko, że przeraziły pretoryanów samowładztwa, lecz znów imieniem Kwiatkowskiego zahuczały.

Aleksander II powrócił do Petersburga ledwie żywy z przerażenia, toć cudem nieomal ocalał, toć, gdyby nie fantazya, która mu podpowiedziała, aby wsiąść do pierwszego z dwóch pociągów, a nie do drugiego — to spotkałby go los dworskiej służby, która, wraz z drugim pociągiem, zamieniła się w bezkształtną masę zbluzganych krwią ludzką złomów.

Panika ogarnęła dwór. Drenteln aż tarzał się ze wściekłości, ładował więzienia, uwolnionych przez sądy, dla braku dowodów, słał bez pytania na Syberyę, rzucał krociami na urobienie szpiegów, rewidował, kogo mógł, za lada wyraz miał kazamaty, wszystkie uniwersytety otoczył policyą, na każdego studenta trzymał tajnego żandarma. A ponieważ wszechmocny naczelnik trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości posiadał najwyższe zaufanie — tedy, za jego przykładem, wszystkie ministerya rzuciły się do zwalczania nihilizmu, do organizowania szpiegostwa, no i do modlenia się uroczystego za rozmaite cudowne ocalenia.

Aż, snać natężone modlitwą, do których zapędzano batami poddanych białego cara, zostały wysłuchane — bo oto, w miesiąc po zamachu, pojmano Kwiatkowskiego!

Któż był tym wybrańcem losu, który tak wielką oddał przysługę tronowi Romanowych? Najpierw końskie kopyto, potem koło kibitki, a w ostatku upodobanie do kleptomanii urzędnika cyrkułu policyjnego.

Na rogu Newskiego prospektu, tuż pod magistratem, rozpędzona kibitka najechała na jakiegoś jegomości i pokaleczyła go. Ponieważ jegomość stracił przytomność i potrzebował pomocy lekarskiej, przeto, według rosyjskiego obyczaju, zabrano go do cyrkułu. Tu, zanim zjawił się cyrulik, dyżurny urzędnik uznał za właściwe zrewidować kieszenie okaleczonego, a ponieważ legitymacyi nie znalazł, przeto zadowolnił się wypróżnieniem port-

monetki i zabraniem pudełka cukierków, które jegomość miał przy sobie. Jegomości odwieziono do szpitala, urzędnik zaś cukierki zdążył ofiarować pani swego serca. Ta, ujęta galanteryą adoratora, pośpieszyła czemprędzej poczęstować go cukierkami, ale zaledwie pociągnęła za wstążeczkę, przepasującą pudełko, nastąpił ogłuszający wybuch naboju dynamitowego... Obdarowana padła poszarpana na strzępy, urzędnik okupił się dwiema lekkiemi ranami. W godzinę po tym wypadku, pluton żandarmów konnych i kareta więzienna przewiozły Kwiatkowskiego do fortecy. Tożsamość osoby stwierdzono odrazu i bez trudu, bo Kwiatkowskiemu przyprawiona broda się odkleiła i już w posługaczach szpitalnych obudziła domysły.

Degajew, na wieść o przywiezieniu Kwiatkowskiego, aż zakrzyknął z ukontentowania, wprawdzie ukontentowanie to nie miało żadnego związku z radością trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości, ale za takie uszło.

Degajew zaś cieszył się, że nareszcie posiadł nić, że nareszcie zdoła dowiedzieć się czegoś o Wierze. Wszak nikt nie był nigdy lepiej powiadomionym o tem, co się z uwięzionymi dzieje, jak nihiliści. A dopieroż Kwiatkowski, który Malinowską nie tylko znał...

Uwięzienie Kwiatkowskiego, obok uczucia radości, obudziło w Degajewie niepokój, bo, jeżeli Kwiatkowski odmówi wskazówek, a jeżeli wygada na śledztwie szczegóły uwolnienia Wiery!... Sprawa

ta przecież dotąd czyha w aktach na promień światła.

Fatalność chciała, że te niepewności Degajewa na długą i mordującą były wystawione próbę.

Nadewszystko Kwiatkowskiego, z rozkazu samego Drentelna, ulokowano w szpitalu i otoczono taką opieką, jakby szło o książęcia krwi... Konsylia lekarzów, najstaranniej dobierane środki odżywcze i co najkosztowniejsze medykamenty pracowały nad powróceniem pełni sił nihiliście. Szef żandarmów codzień go odwiedzał, Majdel niańczył, a czterech wypróbowanych żandarmów dzień i noc strzegło każdego poruszenia Kwiatkowskiego, każdego drgnienia powiek.

Degajew nie mógł narazie ani roić o sposobności pomówienia z Kwiatkowskim sam na sam i wprost musiał się strzedz wchodzenia do celi, gdyż więzień mógł, nie bacząc na świadków, rzucić jakiś kompromitujący wyraz...

I nie dość tego, w tydzień po ujęciu Kwiatkowskiego, wykryto jego mieszkanie, w którem znaleziono plan Zimowego pałacu i plan ze szczegółowem wyliczeniem grubości murów i dokładnem wyszczególnieniem rozkładu apartamentów cesarskich. Nadomiar sala jadalna była oznaczoną czerwonym krzyżem.

Juści, znalezienie planu rezydencyi cesarskiej wstrząsnęło znów kancelaryą, znów spowodowało natężenie działalności śledczej, rewizyę pałacu, obostrzenie kontroli nad służbą dworską, powiększenie etatu żandarmów pałacowych, uwięzienie kilkuset

osób zgoła niewinnych i znów skupiło się na kazamatach Piotropawłowskiej fortecy.

Drenteln wydał rozkaz, aby bodaj z żył wypruć Kwiatkowskiemu zeznanie. Młody towarzysz prokuratora już odbywał narady z doktorem von Egertem... Czekano tylko wyzdrowienia Kwiatkowskiego...

Degajew wiedział o wszystkiem, krążył bez wytchnienia około celi Kwiatkowskiego, przemyśliwał, jakby pozbyć się na chwilę bodaj argusów — napróżno, po wykryciu planów pałacu — czterem żandarmom dodano porucznika.

Równocześnie Majdel, ze swej strony, ręce zacierał na każdą wiadomość, że chory do sił przychodzi, z własnej kuchni posyłał mu najlepsze kąski, no a baczył, aby wszystko, co trzeba, było w pogotowiu...

Nareszcie zaczęły się badania. Po pierwszem, osadzono Kwiatkowskiego w „jajku", więc w celi, w której więzień nie mógł ani stać, ani chodzić, ani położyć się, ani nóg wyprostować. Po drugiem, wzięto go na śledzia i brak wody. Kwiatkowski po kilku dniach omdlał z głodu, lecz śledzia do ust nie wziął, a dalej odmówił wogóle pokarmów. Nakarmiono więc go siłą za pomocą bulionu, dano wypocząć i wzięto na tortury.

Kwiatkowski wył z bólu, klął oprawców, smarzył się żywcem, krwią bluzgał, zamierał, lecz ani słowa na zadawane mu pytania nie rzekł.

Degajew, który podczas tych operacyj z obowiązku służbowego musiał być w pobliżu, dostał

rozstroju nerwowego. Swąd przypiekanego ciała ludzkiego i jęki torturowanego ścigały go, nie milkły w uszach, nie przestawały drażnić powonienia.

Zawziętość więźnia podniecała oprawców, na coraz wyrafinowańsze, coraz wstrętniejsze wodziła ich pomysły. Von Egert znów doradził spróbować narkotyków i przekonać się, czy majaczeniem czegoś się nie dobędzie. Majaczenia tego bał się Degajew, bał dla siebie... Postanowił więc odwieść doktora, a kiedy mu się to nie udało, do belladony, którą miano wsypać do bulionu dla Kwiatkowskiego, dorzucił sporą dawkę morfiny... Miast majaczenia, wystąpiły objawy zatrucia. Drenteln, czuwający wciąż nad tem, co dzieje się z Kwiatkowskim, nawymyślał von Egertowi. Więźnia pozostawiono w spokoju, co znaczy, że dano mu czas do nabrania sił. Lecz teraz już sam Majdel postanowił się do niego zabrać, aby okazać, że poczciwy stary mikołajewski system więcej wart, niż wszystkie nowomodne wymysły. Dewizą Majdla było rózgami siec a solą goić.

Degajew skwapliwie przyznał racyę komendantowi i tak zręcznie umiał go nastroić, że wystawił mu cały bezsens tych straży, tego trzymania więźnia w izbie wielkiej, widnej, na materacami wysłanem łóżku, kiedy loszek, nad Newą, ten przytulny loszek, w którym już tylu większych łotrów zginęło — stoi pustkami.

Majdel zawziął się i wyjednał u Drentelna ustępstwa na rzecz... mikołajewskich czasów. Drenteln nie opierał się, bo i stracił nadzieję, żeby do-

być zeznanie z Kwiatkowskiego, więc było mu obojętnem, czy więzień zamrze przed, czy po wyroku.

Lecz tu nowa wynikła zwłoka, a tym razem z przyczyny Majdla, bo Nowy Rok 1880 nadszedł i minął, nawet bez cesarskiego słowa, nawet bez zeszłorocznego „bardzom rad"...

Majdel, po przyjęciu w pałacu, dostał ataku sercowego. A kiedy przyszedł po kilku dniach do siebie, na przypomnienie Degajewa, żeby Kwiatkowskiego przenieść do lochu i straż skasować, odrzekł gniewnie:

— O niczem nie chcę wiedzieć, do niczego się nie mieszam, niech się cała forteca zawali!

— Wszak wuj sam życzył sobie wziąć go na rózgi.

— A teraz sobie nie życzę! Są na to tłumy błaznów, gamoniów, bałwanów, szefów, senatorów, prokuratorów, dyabłów! Ja mam dosyć!

Degajew jeszcze nie zorjentował się, czemu przypisać zmianę prądu, gdy Majdel warknął ponuro:

— Słuchaj, Wania, podajemy się do dymisyi...

Degajew zmieszał się.

— Powiedziałem sobie — jeszcze pół roku czekamy... Nadchodzi jubileusz, dwudziestopięciolecie panowania... Dadzą co — zabieramy i idziemy, nie dadzą też idziemy...

— Ja już rok temu mówiłem! — zauważył śmielej Degajew.

— I dobrze mówiłeś! Służyć „wiarą i prawdą"

dziś nie warto. Nieboszczyk Mikołaj Pawłowicz w zęby generałów bił, ale szanował. Gdyby nie oficyna, która się buduje, to bym plunął!... Lecz napychać kieszeni jakiemuś nowomodnemu lizusowi nie myślę!

— Niezawodnie — więc z tym Kwiatkowskim?....

— A dajżesz mi święty pokój. Palcem nie kiwnę. Drenteln kazał — niech sobie będzie... Niech sobie warta stoi, choćby sto lat!

Dopiero w miesiąc po tej rozmowie udało się Degajewowi skłonić Majdla i rozkaz o przeniesieniu Kwiatkowskiego dobyć.

Naczelnik aresztanckiego oddziału z całym zapałem zabrał się do usunięcia argusów i osadzenia więźnia w takiej celi, któraby najmniej była na oczach straży.

Zaczem, mając już pełną władzę nad nihilistą, doczekał wieczora i, poleciwszy Fedi przygotować sukienny pokój, kazał przyprowadzić Kwiatkowskiego, a faktycznie przynieść, bo więzień miał tak poszarpane i okaleczone ścięgna u nóg, że chodzić nie mógł.

Dopiero, gdy Degajewowi dano znać, że Kwiatkowski czeka — pośpieszył na spotkanie.

Więzień, na widok Degajewa, brwi ściągnął i nawet nie odpowiedział na powitanie.

Degajew zagaił uwagą, że nie na śledztwo wezwał Kwiatkowskiego, że chce z nim pomówić, że wogóle radby mu czemś pomódz.

— Przysuń mi pan ławkę do okna i otwórz je, duszno mi!

— Ależ, panie, toć zima, mróz, zaziębisz się pan!...

— I choćby, i tak półtrupem jestem. Boisz się, żebym przez te kraty nie przeskoczył? Nie turbuj się — kaleką jestem, nie mam po co wracać...

Degajew spełnił żądanie nihilisty. Kwiatkowski wsparł rękę na framudze okna i zapatrzył się w białe, lodami skute, koryto Newy.

— Gdyby nie ten fatalny plan pałacu, który u pana znaleźli... mógłbym niezawodnie coś uczynić już dla was... Sam jednak strzedz się muszę...

— Kiedy mnie powieszą — zagadnął obojętnie Kwiatkowski.

— Nie wiem nic — jeszcze sąd nie wyznaczony... jeszcze śledztwa właściwego nie było.

— Na cóż te ceremonje!... Choć może lepiej — chciałbym pożyć z miesiąc! Czy ten jest w Petersburgu?

— Kto taki?

— No ten... z przeciwka, — objaśnił Kwiatkowski, wskazując na ciemną sylwetkę, spiętrzonych na przeciwległej stronie, murów Zimowego pałacu.

— Mówmy rozsądnie. Nie myśl pan lepiej o tych okropnościach.

— Tego mi nie zabronicie!

— Pamiętajcie, że już raz, tylko dzięki morfinie, którą wsypałem do przygotowanego dla was narkotyku, uniknęliście majaczenia!... Zastanówcie się, coby się stało, gdybyście zaczęli mówić przez sen?...

Kwiatkowski poruszył się nerwowo.

— Masz pan słuszność, to byłoby straszne. Panie,

dajcież mi morfiny! Dajcie koniecznie... toć i o was idzie... Od tygodnia czuję, że słabnę duchowo... że nie władnę sobą... Mniejsza o te tam rany... Uważacie, mózg, mózg! Zdaje mi się, iż mi się odrywa od czaszki, iż się rozpada... A najgorsze, to wyczekiwanie... Codzień czekam... Codzień wytężam słuch — niema odzewu. Głusza! Czy wy pojmujecie teraz?

Degajew sięgnął po karafkę z wodą.

— Dam wam proszek uspakajający.

Kwiatkowski potrząsnął głową.

— Ten nie poradzi... mnie...

Naraz huk piorunujący rozległ się w oddali, szarpnął murami fortecy, zadygotał ziemią i skonał w skowyczącem żałośnie echu. Równocześnie fala powietrza wdarła się do sukiennego pokoju i zatoczyła stojącym przy stole Degajewem.

Naczelnik więzienia zaparł się plecami o ścianę, spoglądając z przerażeniem ku Kwiatkowskiemu, który zacisnął kiście na kratach okiennych i rozognionym, lśniącym wzrokiem wpatrywał się w przeciwległy brzeg Newy.

Degajew ochłonął z pierwszego wrażenia i ku oknu się skierował.

— Na Boga, to jakaś straszliwa eksplozya...

Kwiatkowski wskazał ręką na obłok czarny, unoszący się ponad zamglonymi konturami Zimowego pałacu.

— Tego czekałem!... Wiesz pan teraz, co znaczył czerwony krzyż na planie! Dziesięć pudów

dynamitu i o pięćdziesiąt lat naprzód posunięty cywilizacyjnie naród rosyjski, o pięćdziesiąt lat...

— Ależ tam jakaś katastrofa... płomienie się ukazują!...

— To po resztki cesarskiej purpury! Niema Aleksandra drugiego, niema następcy tronu, niema carowej — tam, w gruzach, nie odróżnisz, co jest ścierwem pałacowego lokaja, a co drogocennym tłuszczem pasożyta milionów! Tego pragnąłem! Nie patrz pan na mnie tak — jam trzeźwy, jam przytomny! Daj rękę, niech ją uścisnę — tobie zawdzięczam tego kreta, który miesiącami całymi znosił dynamit do suteryny, który, dla okruszyny szacownej materyi, co minuta życie narażał, co minuta gotował się na śmierć, który całymi miesiącami na dynamicie spał, dynamitem oddychał!... Ten człowiek przez te miesiące przeżył stulecia! Pan żeś go zaprotegował do Admiralicyi! Pamiętasz, gdym jako Szulgin przyszedł prosić o zaświadczenie prawomyślności pewnego dzielnego, tęgiego stolarza! No, Iwanie Iwanowiczu, chyba ten wam wstydu dziś nie zrobił!...

Degajew stał, jak wryty, pot strugami spływał mu po czole, mimo ostrego, mroźnego wiatru, który szedł przez okno.

— Doczekałem się nareszcie! A patrz, Iwanie Iwanowiczu, poświęciłem wszystko, wyrzekłem się wszystkiego i rodziny, i majątku, i godności, i sumienia, i ludzkich uczuć... oddałem ci nawet Wierę!... Oddałem dobrowolnie — tyś mi był potrzebny... Biedna ona — poszła na ofiarę. — Nie oszczędziłem

jej, ale i siebie także... Wiem, czego żądasz odemnie. Nie uchroniłeś jej, nie ustrzegłeś i ty... Sudejkina patrz! Tego jednego tylko żałuję, że z tym nie mogę załatwić rachunku...

— Więc żyje, więc jest uwięzioną!

— Nie wiem, zgłoś się pan do partyi, — a, co prostsze, na Sudejkina zważaj. Choć mam przeczucie, że ja prędzej się z nią zobaczę, niż ty... A mnie daj dużo, dużo morfiny... Nie obawiaj się, Iwanie Iwanowiczu, nie otruję się. Dziś po raz pierwszy będę spał spokojnie!...

Gwałtowne warczenie bębnów na odwachu fortecznym zatrzęsło szybami, a tuż za niem dzwonek sygnałowy zaterkotał przeraźliwie nad drzwiami.

Degajew nawpół przytomny wybiegł na korytarz. Fedia stał tuż.

— Co to za alarm?

— Nieszczęście, proszę waszej wielmożności, Admiralicya w gruzach, pożar, mnóstwo zabitych!

Degajew rzucił się na podwórze forteczne, gdzie już dwie roty żołnierzy kończyły się formować i dokąd zbiegali się żandarmi, dozorcy, posługacze, oficerowie i urzędnicy. Zgiełk pomieszanych głosów wraz ze szczękiem broni, warczeniem bębnów, powiększał zamęt, potęgował popłoch.

Degajew, w świetle migających latarek, dostrzegł dowódzcę pierwszej roty.

— Co się stało!... Gdzie komendant?!

— Nie wiem! Alarm! Admiralicya zburzona. Czekamy na rozkazy...

— Sobór Izaaka runął! — zwierzał się drugi oficer.

— Eksplozya gazu! — poprawił trzeci.

Około Degajewa utworzyła się gromada. Dwudziestu mówiło naraz, najfantastyczniejsze domysły rosły — naczelnik więzienia nie mógł przyjść do słowa, — aż z boku huknął zachrypnięty głos Majdla.

— Baczność. Milczeć! Sztabs-kapitan Degajew — wrota zawrzeć, cała załoga pod broń, żywego ducha nie wpuszczać. Dowódzca brygady artyleryi! Armaty nabić. Ostre ładunki wszystkim. Pierwsza i druga rota za mną, do Zimowego pałacu, cesarza ratować!... Naprzód!

Majdel ruszył na czele dwóch rot piechoty na miasto. W fortecy popłoch zamienił się w gorączkowe przygotowania. Właściwie nikt nie umiał odrzec, do czego się przygotowywano, lecz ten brak świadomości nie umniejszał bynajmniej czynności, a bodaj ją powiększał, bo każdemu wdrażał przekonanie, że należy się spodziewać wszystkiego. Stąd w kazamatach nakładano wszystkim więźniom kajdanki, stąd w pralni i kuchni czyszczono co tchu kotły, stąd dwojono straże i rychtowano armaty i zbrojono niefrontową komendę i żołnierzy zamieniano w objuczonych wielbłądów, i stąd, na przypadek, kazano im i łopaty brać i dziurawe płótna do namiotów i szuwaksu na miesiąc i sucharów na trzy dni i wszelkiego przegniłego, zepsutego a cuchnącego śmiecia z magazynów conajwięcej.

Degajew, uniesiony wirem popłochu, bez czapki,

w niedopiętym mundurze chodził po podwórzach, przebiegał więzienne korytarze, wydawał jakieś gwałtowne rozkazy, których ani sensu, ani racyi sam nie rozumiał. Głowa mu gorzała, pulsowały skronie. Huk wybuchu szumiał w uszach, a z mroków fos i przekopów fortecznych wychylała się ku niemu szyderczo wykrzywiona twarz Sudejkina.

Około północy zamęt w fortecy zaczął cichnąć, a wieści z Petersburga napływać i coraz jaśniejsze, coraz pełniejsze.

Nad ranem wrócił Majdel i jął powiadać. Szczegóły były krótkie. Wysadzono w powietrze skrzydło Zimowego pałacu wraz z salą jadalną i kordegardą. Cesarz z rodziną ocalał, dzięki przypadkowi, bo opóźnieniu się pociągu z bułgarskim księciem... inaczej nikogo z potomków Mikołaja Pawłowicza nie byłoby na świecie... Stu ludzi zginęło... Cesarzowa zemdlała... Drenteln pójdzie w „duraki“ — następca tronu od bałwanów mu nawymyślał.

— Więc Drenteln! — bąknął Degajew.

— Jutro go nie będzie!... Odetchniemy nareszcie!...

— A któż na jego miejsce?

— Hm! Nie wiadomo... Jest nadzieja, że zwrot nastąpi i wielki zwrot, że przyjdzie czas na najwięcej zasłużonych, najgodniejszych... No, a wówczas my pokażemy!

Majdel odchrząknął znacząco.

— Teraz, Wania, do roboty! Poszlij do popa — nabożeństwo dziękczynne na siódmą rano. Niech Piotropawłowsk uprzedzi stolicę. Forma paradna.

Na dziesiątą nabożeństwo za ofiary! Głowa cię boli?

— Jestem zmordowanym.

— Wódki się napij — orzeźwi cię. Ale, każ mi natychmiast tego łotra Kwiatkowskiego związać i natrzeć terpentyną i niech czekają na mnie... na dole, wiesz, w gabinecie Fedi... Idę herbaty z rumem się napić i zabieram się sam do niego... Do nabożeństwa mózg mu do góry nogami przewrócę... ja z nim pogadam!...

Degajew był tak znużonym, osłabionym, że chciał po dyżurnego posłać, aby mu rozkaz Majdla powtórzyć, lecz myśl, że Kwiatkowski może nie wytrzymać tortury, dodała mu sił. Degajew narzucił płaszcz, wziął ze sobą słoik z morfiną i poszedł do kazamat. Tu wziął od dozorcy klucze i skierował się do celi Kwiatkowskiego.

Więzień chrapał smacznie. Degajew zaświecił latarkę i targnął nim.

— Wstawajcie!

— A!... To wy!...

— Macie tu morfinę! Zażyjcie natychmiast... Wezmą was na badanie!

— Wybornie! Będę miał z kim pomówić. Zaręczam wam, że ich żółć zaleje...

— Nie mówcie głupstw! Bądź pan rozsądnym!... Uczyń pan to dla mnie! Będziesz miał z Majdlem do czynienia!...

— A no, żeby zrobić panu przyjemność!... Tylko odrobinę wody!... Choć to doprawdy zbyteczne! Jutro tu, po mnie, przybędzie adjutant wielkiego

księcia... pojutrze, będziemy mieli konstytucyę... i parlament, a wówczas, Iwanie Iwanowiczu...

— Jeszcze pan roisz!?

— Partya posiada zaręczenie... że nowy cesarz zniesie...

— Wam się śni!... Cesarz żyje, ocalony — pogrzebaliście kilkudziesięciu pachołków... nikomu z rodziny włos nie spadł z głowy...

Kwiatkowski skulił się, włosy zjeżyły mu się na głowie, oczy kołem stanęły, wargi drgnęły szeptem.

— Więc znów tylko zamach!?

— Nieudany.

Kwiatkowski zachwiał się i padł na pryczę więzienną.

XIV.

Wróżby barona Majdla sprawdziły się, ileże, po zamachu roku 1880, dokonanym w Zimowym pałacu, nastąpiły zmiany i wielkie zmiany i tak gwałtowne zmiany, że zasłużony komendant Piotropawłowskiej fortecy trzy ataki apoplektyczne musiał przebyć, że miesiącami nie pokazywał się w kazamatach, że ledwie zdobywał się na załatwianie obrachunków z kasyerem.

Zmiany szły piorunem, w trzy dni po zamachu księżna Dołgorukow, kochanka cesarska, zajęła apartamenty naprzeciwko cesarzowej, w tydzień Loris-Melikow został już nie tylko szefem żandarmów i prezesem jakiegoś najwyższego komitetu egzekucyjnego, ale i faktycznym dyktatorem, w dwa dni potem nihilista strzelał do Loris-Melikowa, no a na trzeci dzień tenże nihilista wisiał, co zdało się Majdlowi zupełnie niesprawiedliwem...

W czerwcu umarła cesarzowa, w sierpniu zaś cesarz ożenił się z księżną Dołgorukow!

Lecz, co sercem barona targnęło — w tym samym czasie — wypuszczono na rozkaz dyktatora około dwóch tysięcy tych, których Majdel rad był sam powiesić!... A co na dwa miesiące powaliło komendanta na łoże boleści, — to ukaz najwyższy

o zniesieniu trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości!

Majdel zapłakał i zapłakał gorzkiemi łzami, bo gdybyż miał przed kim się wywnętrzyć, przed kim użalić! Ale już i z wychowankiem swym dogadać się nie mógł, bo i ten pomrukiwał coś o konstytucyi, bo i ten dał się nowym prądom unieść i na dobitek nowe porządki w więzieniu zaprowadzać. Z początku komendant opierał się, wtrącał, a choć dla samego obyczaju zacnego podpatrywał a śledził Degajewa, — lecz, gdy razu pewnego Loris-Melikow na inspekcyę więzienia zjechał i nagadał baronowi dziwów o humanizmie, o hygjenie, o sprawiedliwej surowości — Majdel machnął ręką i wiedzieć nie chciał, co się w więzieniu dzieje. A jeżeli niekiedy jednookiego Fedię spotkał, to jeno postukiwał laską i sapał a mruczał groźnie.

— Widzisz, stary, na co zeszło! Piąty „piorunochron“ na rękawie nosisz, a tegoś jeszcze nie widział! Doczekasz się jeszcze tego, że politycznych do „café concert'ów“ każą ci wozić!...

Zresztą Majdel zarzekał się, że dłużej nie myśli na tę ruinę patrzeć i niezawodnie dymisyi by zażądał, gdyby nie trzy nowe pawilony, a więc i obawa, by jakiś karyerowicz nie zarobił na tem, co się należało mikołajewskiemu słudze.

Rosya tymczasem przeżywała dni pełne gorączkowego wyczekiwania. Co dnia zrywały się radosne wieści o pogrzebaniu samowładztwa i o wschodzącej jutrzence swobód konstytucyjnych i co dnia głuchły w odmęcie niedomówień i półsłówek. Jedni

zapewniali, że Loris-Melikow toczy zajadłą walkę z pychą i samolubstwem Romanowych, drudzy mieli go za zażartego wyznawcę knuta i wroga liberalizmu księżny Dołgoruków, jedni zwracali swe oczy ku Konstantynowiczom, drudzy rozpowiadali dziwy o tem, jakim to następca tronu jest wolnomyślnikiem!...

Równocześnie zamachy ucichły, „wyroków" „Narodnej Woli" nie było, — ale za to ona sama rosła, potężniała, wydawała odezwy, słała żądania do Loris-Melikowa, do cesarza...

Raz i drugi cesarz jeszcze zębami zgrzytnął, raz i drugi żandarmerya wpadła w spazmatyczny wybuch dławionej pasyi, niby za świetnych czasów Mezencewa, — lecz plon był ubogim, kilka drukarni, moc broszur, a w rezultacie kilku fanatyków, od których niczego się dowiedzieć, nic dobyć.

Aż pod koniec roku 1880, „Narodnaja wola" posłała cesarzowi ultimatum razem z pudełkiem dynamitowych cukierków, a że te przypomniały o Kwiatkowskim, więc, w odpowiedzi, powieszono go...

W dniu wykonania wyroku na Kwiatkowskim, cesarz odebrał wyrok „Narodnej woli"... a w cztery miesiące później padł rozszarpany bombami nihilistów.

Wieść o zabiciu cesarza lotem błyskawicy dosięgnęła Piotropawłowskiej fortecy, tu bowiem przywieziono jednego z carobójców, Rysakowa.

Degajew podczas siedział w kancelaryi, pogrążony w zadumie. Gdy mu dano znać o zabójstwie

i zabójcy, podniósł się obojętnie zza stoła, wydał dyspozycye, gdzie należy więźnia umieścić, posłał dyżurnego z nowiną do Majdla, a sam zatopił się w myślach. Były one dnia tego ciężkie, gnębiące.

Bo oto, po dwóch latach, kiedy już na Degajewa, po porwaniu Wiery, uciszenie spływać zaczęło, kiedy blizny zażyły, a chęć zemsty coraz leniwiej nurtowała, — naraz zaszedł wypadek, który wszystkiemi wspomnieniami weń uderzył, całem piekłem udręki napełnił.

Degajew, idąc za radą Kwiatkowskiego, długi czas szukał u nihilistów wiadomości o Malinowskiej, nawiązywał rozmyślnie stosunki z nihilistami, ryzykował się dla nich, — lecz niczego dowiedzieć się nie mógł, — nihiliści nie umieli nic rzec, nic powiedzieć i radzili udać się do komitetu wykonawczego „Narodnej woli“, co może byłoby znakomitą wskazówką, gdyby do niej dołączonem było objaśnienie, gdzie owego komitetu szukać... u kogo się oń pytać!...

Na tych bezowocnych zabiegach cały rok zeszedł Degajewowi, aż, niespodziewanie, wczoraj doszła go wiadomość, że podpułkownik Sudejkin bawi w Petersburgu. Degajew zdecydował się na stanowczy krok — iść wprost do Sudejkina i zaproponować mu, aby, za cenę zwrotu owego listu do zabójcy Gajkina, — odpowiedział, co dzieje się z Wierą.

W tym celu wysłał Degajew ordynansa do sztabu po adres Sudejkina, sam zaś sięgnął do skrytki po ów fatalny dla podpułkownika cyrograf —

skrytka była pustą — listu nie było, zginął razem ze swojemi fotografjami!...

Degajew przerzucił całe biurko, rozbił skrytkę, przypuszczając, iż list zasunął się w podwójne dno — dokumentu nie było. W pierwszej chwili Degajew chciał rzucić się na ordynansa swego, Wasyla, boć on jeden mu usługiwał, on jeden gabinet sprzątał... Lecz rozwaga wzięła górę, a raczej wzięła górę pomsta, którą zadygotała pierś Degajewa. Awantura, gwałt, chryja do niczegoby nie doprowadziły — chyba Sudejkina do większej uciechy.

Degajew zęby zacisnął i poszedł do kancelaryi, tam doszła go wieść o zabiciu Aleksandra drugiego, lecz i ona nawet nie zdołała zagłuszyć burzy, która szalała w Degajewie.

Tymczasem wieść o śmierci cesarza dosięgnęła Majdla i widocznie silnie wzruszyła, bo komendant w kilka chwil już zjawił się rozczerwieniony, zasapany w kancelaryi.

— Ot co robi konstytucya, ot i prostytucya! Ot i świętokradztwo, carobójstwo! Ot wasze porządki liberalne!

— Coprawda, to dotąd ani liberalizmu, ani konstytucyi nie było!...

— Jakto nie było! Lew Lwowicz Perowski tydzień temu mówił, że podpisana i płakał, prawosławnemi łzami się zalewał! Miała być za dwa dni ogłoszona...

— Gdyby była ogłoszona, możeby się to nie stało...

Majdel stuknął laską.

— Wania, ty do mnie tak nie mów. Stary jestem, niedołęgą jestem, ale daj mi zamrzeć poczciwie. Za Mikołaja Pawłowicza myśmy też mieli swoich nihilistów, mieliśmy „Pietraszewców"... Po dwa tysiące pałek i ani mrumru!... Eh, Wania, żal sercu. Cóż, około cerkwi szedłem, pokłoniłem się od duszy na grobie ojca-cara i westchnąłem za syna. Oni tam już razem! Jakbym słyszał. Paweł Mikołajewicz, na widok syna, aż się zatrzęsie i krzyknie — miesiąc odwachu! — U niego było tak, syn nie syn w kozie siedział, a i w gębę brał! Ciebie to nie obchodzi.

— Owszem!

— No tak, byłby Mikołaj Pawłowicz, tegoby nie było!... Ale, podobno jednego carobójcę pojmali?

— Jest uwięziony!

— I co — i co?!

— Nic, przyjedzie prokurator — nie moja rzecz.

Majdel stęknął.

— Masz racyę, Wania, lepiej się nie mieszać... Niech go sobie naczelnikiem stołu zrobią w konstytucyi!... Czekajże, muszę też go zobaczyć — tego carobójcę — okrutna musi być morda!

— Młody chłopak.

— Pójdę, przez samą ciekawość pójdę!

Degajew wezwał porucznika, aby towarzyszył komendantowi, — a sam wrócił do dręczących myśli.

W niespełna pół godziny wpadł do kancelaryi komendant zadyszany, zachrypnięty, siny.

Degajew poskoczył do Majdla.

— Co, proszę wuja!... Co się stało? Niech wuj wody!

Komendant łypnął białkami, chwycił haust wody i odetchnął.

— Gada! Rozumiesz, wszystko gada... Co chcesz wygada!!

— Kto taki, bo nie wiem...

— No ten, carobójca!... Jakżem spojrzał na szelmę, nie wytrzymałem i kijem w gębę!... On mi do nóg!... Cha! Myślę, kiedy tak, bratku, zaczynasz, — więc ja po Fedię... dwadzieścia rózeg i soli a na sól pięć węgielków — i zagadał... Całe towarzystwo wykrztusił.... Porucznik ma zapisane! Są trzy adresy... a na czwartym zemdlał... Nic mu nie będzie.

Degajew skrzywił się.

— Lecz, proszę wuja, prokurator może protokół spisać, Loris-Melikow zakazał.

Majdel rzucił się na fotelu.

— Co mi Loris-Melikow! Ja tu jestem, ja tu rządzę, ja rozkazuję. A dopóki ja tu jestem to, tak rządzę, jak mnie nauczono!... Wołaj porucznika! — Aha! Patrz, widzisz... co nagadał...

— Mógł zełgać, naplesć!

— Zaraz zobaczymy. Poruczniku, wziąć mi sześciu ludzi i natychmiast pochwytać mi tych tu wymienionych, zrewidować domy od góry do dołu!...

Degajew próbował tłumaczyć Majdlowi, że wkracza w nie swoje obowiązki, lecz komendant się zaciął. Degajew musiał ustąpić.

Porucznik gotował się do wyprawy — Degajew rozpatrywał dobyte z carobójcy zeznania. Tu, obok adresu rzekomej kryjówki konspiracyjnej na Teleżnej ulicy, było wymienione nazwisko Kibalczyca.

Ta okoliczność uderzyła Degajewa.

Kibalczyc był tym, którego Degajew szukał oddawna, boć Kibalczyc i znał Malinowskę i, o czem nieraz śledztwa wypominały, był jednym z najniebezpieczniejszych terrorystów.

Stąd, gdy porucznik udał się na wyprawę, Degajew zaszedł do kazamat i kazał sobie sprowadzić Rysakowa do sukiennego pokoju.

Nihilista stanął przed Degajewem blady, trzęsący się.

— Gdzie mieszka Kibalczyc!?

— Nie wiem.

— Mów! Jeżeli powiesz prawdę, uwolnię cię od tortury! Inaczej... wiesz!...

— Na Teleżnej mieszka...

— Kłamiesz!...

— Na... na... obok... na Czernorieckim pereułku...

— Numer?

— Dziesiąty.

— Pod nazwiskiem...

— Nie pamiętam!

Degajew zadzwonił. Wszedł Fedia. Rysakow szczęknął zębami.

— Węgli przygotuj! Bądź gotów!

Fedia wyszedł.

— Masz pół minuty czasu. Najpierw przypomnij sobie przybrane nazwisko Kibalczyca, — a potem sprawdź adres... Jeżeli skłamiesz, oszukasz...

— Kiedy ja wam prawdę!... Ja wszystkiego zapomniałem...

Degajew dźwignął się z za stoła.

— Pozwólcie, ja mam tu kartkę zaszytą, tu, pod kamizelką... miałem do niego potem iść... ja go właściwie nie znam.

Degajew wyrwał zza podszewki kamizelki Rysakowa kartkę. Kartka nosiła napis: „Cylinder — Niłow. Czernoriecki dziesięć".

Rysakow nie kłamał. Przezwisko „Cylinder" było znanem Degajewowi ze stosunków z nihilistami.

Rysakow podczas drżał a bełkotał.

— Ja prawdę... ja sam nie wiem... ja nikomu zła nie życzę...

Degajew zmierzył Rysakowa pogardliwem spojrzeniem.

— Słuchaj, miałeś odwagę rzucić bombę, miejże odwagę nie być podlecem!

W godzinę później Degajew w cywilnem ubraniu zadzwonił do mieszkania Niłowa. Po małej chwili, drzwi otworzyły się, na progu stanął Kibalczyc.

— Przychodzę do pana w pilnej sprawie!

Kibalczyc, na dźwięk głosu Degajewa, poczerwieniał z lekka.

— Przychodzę z prośbą o pomoc...

— Namyśl się dobrze, zanim ten próg przestąpisz — odparł głucho Kibalczyc.

— Jestem bezbronnym.

Kibalczyc zawahał się nieco — lecz, w ostatku, wpuścił Degajewa do przedpokoju, a stąd powiódł do obszernego, widnego laboratoryum i wskazał na krzesło.

— Czego pan żądasz?

— Najpierw muszę pana ostrzedz... Rysakow ujęty.

— Wiem o tem...

— Mówi... masz pan dowód, że dał mi pański adres...

— Smarkacz.

— Musisz dziś stąd ujść.

Kibalczyc potrząsnął głową.

— Nie mówmy o tem. Więc czego pan chcesz?

— Szukam Wiery... drugi rok szukam!...

Kibalczyc pochylił głowę, czoło sfałdowało mu się w podłużne, chude zmarszczki, w kątach ust zarysowały się czarne bruzdy.

— Porwali ją, uwieźli... w moich oczach... Panie, jeżeli możesz mi dać jakąś wiadomość, nie odmawiaj! — Drugi rok się morduję, drugi rok chodzę błędny... Zawiniłem wobec pana — lecz cóż chcesz, ledwiem oczy rozwarł, a na świat spojrzał, już mi mundurem żandarmskim zaświecono, — a po tem zaszyto weń... Pomyśl pan, byłżebyś innym, gdybyś tak, jak ja, od dzieciństwa!... Nie sądź, abym pragnął dowiedzieć się czegoś, coby w twojem pojęciu było tajemnicą... Starczy, żebyś

rzekł mi, iż żyje, iż jest szczęśliwa. O mnie tu nie chodzi, klnę ci się, że ani się będę jej narzucał, ani próbował zbliżyć. Niech tak, niech choć tak... A może czegoś potrzebuje? — Wybaczcie, nie potrafię wypowiedzieć... żandarmskie kruczki mi się plączą... Widzicie sami. Jej rad byłem nieba przychylić — nie umiałem! A mogło być inaczej, niż było, inaczej niż jest — lecz i ona była dziwna... Prawda, nie żałowała mi piołunu, nie wahała się memu mundurowi... mówić, umiała poniewierać — a przecież w nim kazała mi trwać... aż dopiero, po tem uwolnieniu ostatniem, zmieniła się... Dobra była, serdeczna...

Kibalczyc milczał. Degajew wyczekał.

— Twardy z was, panowie, naród! Cha, kiedy i tego nie wart jestem — pójdę. Taki snać los, taka dola.

— Czemu pan z tem do mnie przychodzisz?

— Byłem wszędzie, szukałem, do was się zwracam, bo wiem, żeście ją znali, bo zdawało mi się, że może wróciła...

— A czemuś pan nie poszedł do Sudejkina?

— Bo nie miałem śladu, bo przeglądałem protokóły, bo sprawdzałem spisy uwięzionych... bo nie mogłem się o nic zahaczyć!... Więc wy przypuszczacie, — ależ rzeknijcie słowo, a uczynię wszystko!

— Nic już nie możesz uczynić! Słyszysz pan — nic — zapóźno...

— Wiera!? —

— Umarła — odrzekł głucho Kibalczyc.

Degajew schwycił Kibalczyca za rękę.

— Panie, na Boga... nie rań, nie szarp!...

— Umarła przed czterema miesiącami.

Degajew próbował poruszyć wargami — daremnie. Twarz w konwulsyjnym skurczu stężała mu, oczy jeno paliły, drgały aż zaszkliły się, zgasły.

Naczelnik więzienia dyszał ciężko, długo.

— Czy możesz mi pan powiedzieć wszystko — wyszeptał po chwili.

— Niema tajemnicy... Półtora roku trzymał ją Sudejkin na łańcuchu, w swojem mieszkaniu... a potem rzucił ją na etapy... W kazańskim domu etapowym... poprzerzynała sobie żyły glinianą skorupą.

Degajew ukrył twarz w dłoniach.

— I to wszystko — dodał po przestanku Kibalczyc — i to bardzo wiele... Na etapach, najbliżsi koledzy nie poznawali jej, — przez te półtoraroku przeżyła lat czterdzieści... Wiadomości te doszły mnie niedawno przez kolegę, który się wydostał... Mówiła o was — często mówiła... i dobrze mówiła... o was...

U drzwi wchodowych rozległo się gwałtowne dzwonienie. Kibalczyc podniósł się i poszedł otworzyć. Ciężkie buty zastukotały, a równocześnie rozległ się dźwięczny, młody głos.

— Żandarmi na Teleżnej, — Sablin się zastrzelił!

— Sablin, dzielny Sablin...

— Podpalił archiwum, bombami ich przywitał, a potem sobie w skroń... Helfmanównę uwięzili.

— Nu i Sablin, nu i Mikołaj Aleksiejewicz! — mruczał Kibalczyc.

— Nikita! Trzeba stąd natychmiast...

— Ani myśli, ani mowy, już ci powiedziałem... i gościa mam...

Kraśna twarz zuchowatej dziewczyny ukazała się we drzwiach. Degajew podniósł machinalnie głowę.

— Ten pan... ten pan!? — zdziwiła się dziewczyna — wysuwając się na środek laboratoryum.

— Matrona, zostaw nas, idź do kuchni...

Dziewczyna wyciągnęła rewolwer z pod chustki i zmierzyła do Degajewa.

— To jest żandarm!...

Kibalczyc porwał ją za rękę, — kula ugrzęzła w suficie.

— Marsz do kuchni! — rozgniewał się Kibalczyc. Dziewczyna nasunęła chustkę i odeszła.

— Przepraszam pana... Słyszałeś pan, wpadła podniecona...

— Gdyby nawet trafiła!

— A niechże Bóg broni.

— Jednakże, panie Kibalczyc, niech pan uchodzi stąd, tu lada godzina może pan być wykrytym, Rysakow jest rozdrażniony... Odemnie nie wyjdzie słowo... ale tu, obok, na Teleżną, on naprowadził...

— Nie możliwe...

— Dam panu paszport — ukryję pana tak, że lata całe...

— Muszę tu zostać, — widzi pan, pracuję, kończę obliczenie, mam swój warsztacik urządzony, mam tu aparaty, bez nich nie mógłbym się obejść... Proszę się tem nie zajmować.

— Więc... dziś jeszcze dostarczę panu dwa znakomite rewolwery...

Kibalczyc uśmiechnął się.

— No-no, jeżeli będę miał ochotę się bronić, to chyba i Aleksandro-Newska Ławra zawali się prędzej, niż mnie kto tknie. Mam tu w skrzyniach czterdzieści nabojów, dwie beczki mojej kompozycyi i dziesięć pudów dynamitu!... A w dodatku jeszcze, baterye elektryczną, która łączy się z założonemi minami pod ulicą!... Lecz nie myśl pan, że dla siebie tę fortecę budowałem, to dlatego... desperata, co puścił w ruch nabój pod pałacem!...

— A pomimo tego, panie Kibalczyc...

— Nie skorzystam z pańskiej rady.

— Odchodzę, — z głębi serca dziękuję ci, żeś mnie wysłuchał — straszna to wiadomość... ledwie ją ogarniam!... Dziękuję... Czy mogę panu podać rękę?...

— Nie — lepiej tak...

Degajew skłonił się i zmierzał ku drzwiom.

— Ale, jeszcze jeden szczegół... dla zmylenia śladów, nazwano ją Tumanową... Gdybyś pan chciał o grobie pamiętać, to nie zapomnij nazwiska Tumanow, umarła w listopadzie.

Degajew powrócił z wyprawy do Kibalczyca ogłuszony, ledwie przytomny. Tu, na samym wstępie, powitał go Majdel wybuchem tryumfu, że połów dał jedną żywą nihilistkę, jednego trupa i moc dowodów. Degajew za całą odpowiedź wybełkotał.

— Jestem chory, bardzo chory.

— Wania, zlituj się chłopcze, toż trzeba to roz-

patrzeć... prokuratorowi ani świstka nie pokażę... ja bez ciebie...

— Nie mogę, ustać nie mogę...

Degajew powlókł się do mieszkania i rzucił się na łóżko. Cztery dni leżał na poły przytomny, nie zważając ani na lekarstwa, zalecane przez von Egerta, ani na zabiegi Majdla, ani na pieczołowitość Wasyla, jeno herbatę chłonął.

Aż, piątego dnia, dźwignął się, wódki półszklanki wychylił i do kancelaryi poszedł.

Tu, mimo wczesnej pory, zastał już Majdla. Komendant uradował się widokiem Degajewa i zaczął mu recytować z dumą:

— Widzisz, stary system, dobry system. Mamy w klatce czterech ptaszków, piątego będziemy mieli jutro, a szóstego pojutrze!... Cesarz wydał manifest — po Bożemu powiedział... a co lepiej jeszcze starego mikołajewszczyka ucieszyło — babę-zwodnicę, tę... tę morganatyczną żonę za łeb i won z pałacu, won z Rosyi świętej, z ziemi prawosławnej!...

Majdel rozwodził się jeszcze o podkopie, wykrytym na Sadowej ulicy, o żałobie, o pogrzebie, o gwałcie w cerkwi Piotropawłowskiej fortecy, boć tu ciało cesarza, a raczej kadłub z dwoma kawałkami nogi spocznie obok przodków, o porządkach, które już się czynią na wymoszczenie drogi konduktowi, o zjeździe książąt i o wszystkich wróżbach, któremi wrzał Petersburg.

Degajew słuchał z roztargnieniem, a w ostatku zasiadł przy biurku i jął gwałtownie pisać coś.

Komendant uraził się.

— Cóż takiego pilnego znalazłeś?

— Ważna depesza do Kazania.

— Pokaż! Fotografję zmarłej w listopadzie Tumanowej wraz z papierami? Cóż to za historya?

— We czwartek, po wuju, próbowałem Rysakowa, mówił coś o tej... o jej rodzinie, trzeba to sprawdzić. Może być znakomita wskazówka — myślę, że wpadniemy na ważne odkrycie...

Majdel ujął Degajewa za ramię.

— Aha! Na moje podwórko przychodzisz! A co!... Przekonałeś się! I dobrze, dobrze — razem idźmy, razem się trzymajmy... Murawiew dorwał się za prokuratora, młody człowiek, ale na cztery nogi kuty... ale my go potrzymamy tak, że dla niego nic się nie zostanie...

Degajew, po oddaleniu się Majdla, kazał sobie okazać listę uwięzionych. — Kibalczyca w niej nie znalazł. — Naczelnik więzienia rozchmurzył się nieco, a chcąc dokładnie poznać sprawę carobójstwa, zapytał o akta, lecz podano mu jedynie poszyt z protokółami przedwstępnymi. Akta i dokumenty były u Majdla.

Przy obiedzie, Degajew zagadnął komendanta w tej mierze, — lecz baron palec na ustach położył.

— Psyt, Waniutka, nic — sza!... Skarby mam, czytam, co noc, i łzy mi się kręcą! Nu i pokażę im mikołajewskiego sługę!...

— Pragnąłbym zapoznać się...

— Ni-ni! Powiadam ci, słowo honoru, boję się

o nich myśleć, żeby mi kto z czoła nie wyczytał. Polegaj na mnie! Ja ciebie stawiam obok siebie — zobacz rozkazy aresztowań — wszędzie jesteś wymieniony. Nie marszcz się, gołąbku, to będzie moje ostatnie arcydzieło! Prokurator nie wie nic — nie ma pojęcia, że ten Żelabow, co od miesiąca siedzi, to herszt główny!... Ja z nimi potańcuję, ja im wielkiego księcia do sukiennego pokoju wsadzę! Milcz i nie mieszaj się. Jutro będziemy mieli Perowskę!... Biedny Lew Lwowicz! — Ot córka gubernatorska, ot zaraza, ale ja ją po ojcowsku! A ładna dziewczyna, — i wygładzę ją jeszcze, że chrupać będzie, jak szatkowana kapusta!

Degajew w duchu podrwiwał z planów komendanta i rad był, że w ten sposób unikał zetknięcia się z carobójcami, — lecz w kilka dni przekonał się, że istotnie baron musiał zdobyć kolosalne dokumenty, bo z dnia na dzień, jeżeli kogoś wybitnego nie aresztował, to przynajmniej zbierał całe wozy proklamacyj i wszelkiego materyału dowodowego, jak listy, fotografje, ręczne maszyny drukarskie, chemikalia i tym podobne. Przyczem komendant posługiwał się najczęściej lada wachmistrzem, a poruczników nawet nie dopuszczał. A ponieważ działał na swoją rękę, przeto, z dnia na dzień, zagarniał wszystkie nici okręgowi żandarmskiemu. Uchodziło to Majdlowi, bo żandarmerya śledcza w takiem była poruszeniu, w takim szale rewidowania i aresztowania na ślepo, że nikt z niej ani zorjentować się nie mógł, że w osobie barona przybył Petersburgowi nowy szef-ochotnik. Z tego

wynikło, że w czasie, gdy śledztwo głowiło się nad wykryciem nazwiska nihilisty, który legł, rozszarpany przez bombę razem z Aleksandrem drugim, gdy czekało na wyzdrowienie Rysakowa i Helfmanówny, którzy „raptem" zapadli ciężko na zdrowiu, Majdel śród mroków chodził i znajdywał.

Tak nadszedł dzień pogrzebu cesarskiego. Forteca Piotropawłowska, która, przez dziwne zrządzenie losu, zawiera nie tylko groby nihilistów, ale i groby wszechrosyjskich samowładzców, przez szereg dni była w gorączce przygotowań żałobnych. Majdel, pochłonięty ceremonjałem i zarzucony rozkazami ministeryum dworu, musiał przerwać swą akcyę śledczą.

Degajew tymczasem, ku wielkiemu zdumieniu Fedi, czuwającego nad królobójcami, złagodził obostrzenia Majdla i zastosował do nich zwykły regulamin.

Fedia doniósł komendantowi. Majdel, wróciwszy z pogrzebu, wezwał wychowanka i zgromił go surowo, Degajew bronił się rozkazami Loris-Melikowa, baron parsknął śmiechem.

— Cha-cha! Loris-Melikow! Oczu chyba nie masz! Wiesz, czem on jest dzisiaj!? Niczem! Won poszedł... Cała ta banda won idzie!... Kpij sobie z niego — Pan Bóg da, dobre czasy wrócą... Zawsze miałem przeczucie, że, póty nie będzie ładu, póki... tego... nowego sarkofagu nie postawią!... Podałem „zapiskę"... Pobiedonoscew przyrzekł cesarzowi oddać!... Zobaczymy!... Wania, a ty mi na spacery

każesz łotrów prowadzić, ty ich głaszczesz... a przecież dziś jest dzisiaj, a nie wczoraj!

Degajewa coś kolnęło.

— No, proszę wuja, lecz, jeżeli zaczyna być lepiej — to ich zasługa. Gdyby nie oni... sam powiadałeś, że mielibyśmy konstytucyę!...

Majdel wpatrzył się bystro w Degajewa, lecz, po chwili rozpogodził twarz.

— Urąbałeś, bodaj cię!... Masz racyę — trzeba im bal wyprawić — przez cztery dni — dostaną obiady z mojej kuchni, a potem posmarzę im angielskie „bifsteks'y"!... Nic nie szkodzi — twoja filozofia — też filozofia. Rachunki tylko pogrzebowe dokończę — i potem do nich. Brak mi do kompletu jeszcze chemika, fabrykanta bomb i dynamitu... No i temu dopiero pokażę!... Odżywam powoli, pięć godzin na nogach dzisiaj i patrz, bez laski chodzę! Jeszcze są siły i będą siły.

Tego samego dnia Degajew wysłał do Kibalczyca ostrzeżenie anonimowe, po kilku dniach wysłał drugie, a w tydzień trzecie. Kibalczyc ani myślał się ruszać z Czernorieckiego pereułka, co Degajew sam sprawdził, bo, krążąc po drugiem ostrzeżeniu w pobliżu Teleżnej, spotkał upartego chemika.

W trzy tygodnie nadeszły papiery z Kazania, zawierające akta sprawy Tumanowej i fotografję chudej, pomarszczonej, skamieniałej w bolesnym skurczu, twarzy kobiecej...

Degajew zagarnął papiery razem z fotografją i uciekł z kancelaryi do mieszkania. Tu zamknął się w gabinecie i noc całą prześlęczał. Akta nie

wiele powiedziały Degajewowi, bo właściwie, krom notatki, że Tumanowa dostawioną została z Moskwy z partyą kijowskich zesłańców i kilku szematów więziennych, nie zawierały nic więcej. Ale za to, blada, żółto-bronzowa fotografja powiedziała Degajewowi więcej, niż mógł znieść, niż chciał wiedzieć.

XV.

Dwóch personatów, dwóch gości upragnionych, śnionych przez Majdla, zjechało do Piotropawłowskiej fortecy jednego i tego samego dnia, więc Mikołaj Iwanowicz Kibalczyc i cesarz Aleksander trzeci. Pierwszy skierował się do katakumb rewolucyonistów — drugi zawrócił do grobów carów. Pierwszy przybył na śledztwo — drugi na trzecią z rzędu „panichidę"...

Komendant obu powitał u bramy wjazdowej, wezbranem sercem uszanował, — a jeżeli musiał Kibalçzyca, który zjechał pierwszy, oddać w ręce Degajewowi, jeżeli nie mógł takiego, jak pragnął, zgotować mu przyjęcia, to jeno dlatego, że tuż nadciągnął sznur cesarskich pojazdów.

Stąd, gdy Majdel zginał się w pałąk przed samowładzcą, Degajew spisywał protokół przyjęcia w sukiennym pokoju.

Protokół ten był jednak tak niepowszednim, iż bodaj szaro - rudy wojłok sukiennego pokoju zawyłby ze zgrozy, gdyby mógł.

Oto, zaledwie drzwi sukiennego pokoju zamknęły się za eskortą, Degajew mruknął stłumionym głosem:

— Panie, czemuś pan nie uciekł! Trzy razy pisałem!...

— Miałem pilną robotę...

— Lecz patrz pan, co teraz!...

— Cóż — inaczej być nie powinno!

— Więc — więc trzeba było wysadzić się w powietrze!...

— Toby pociągnęło za sobą szereg ofiar, skazałoby na śmierć najniewinniejszych ludzi...

— Boję się myśleć o was! Pan nie znasz Majdla... ja, wobec niego, byłem mizernym uczniem... Dam panu dziś morfiny... Czekaj pan, bierz zaraz!

— Przypuszczasz pan? — zagadnął cicho Kibalczyc, — Mówiono, że to przybrało... ludzkie formy...

— Nie łudź się pan, — wracamy do mikołajewskich czasów...

— Więc i ten zaginie!

— Słaba pociecha! Majdel grozi, Majdel zdobył jakieś piekielne dokumenty!...

Kibalczyc zadrżał.

— To nie podobna, to byłoby straszne, przyszłość, cała przyszłość, cała nadzieja!... Mylisz się pan, niezawodnie...

— Nie wiem. Milczy!... Ale musi kryć piekielną tajemnicę — jeżeli grozi aż wielkiemu księciu Mikołajowi Konstantynowiczowi... Bierz pan morfinę...

Kibalczyc bez wahania połknął proszek i popił wodą.

— Dziękuję. To mnie wzmocni...

— Uczynię, co będę mógł, — ale nie mogę wiele, — Majdel nikomu nie ufa... Nadeszły papiery z Kazania — i fotografja jej — odebrał mi ją!

— Widzieliście ją, — jakże?...

— Nie pytajcie lepiej!... Panie Kibalczyc, wybaczcie, okrutną propozycyę — dam wam... rewolwer...

Kibalczyc spojrzał smutnie na Degajewa.

— Zapewne — lecz wy?

— O mnie się pan nie troszcz. Wina spadnie na tych, co pana aresztowali i nie zrewidowali dokładnie.

— Nie, to byłoby tchórzostwo... to byłaby dezercya. Rozumiesz pan, proces musi mieć reprezentacyę, musi wdrażać wiarę w siły! „Narodnaja wola“ musi wystąpić uroczyście... Nie, nie!

— Nie macie jakiej sprawy do załatwienia?... Bo, kto wie, ten pies wściekły gotów i mnie do was nie dopuścić!... Toć on i mnie śledzi...

Kibalczyc zamyślił się, zaczem rzekł:

— Skorzystam z waszej ofiary, — oto zajmijcie się pewną bardzo biedną dziewczyną, Matroną Morozow, córką żandarma... Znajdziecie ją na poddaszu domu, w którym mnie aresztowano... Jest to bardzo biedna, bardzo nieszczęśliwa dziewczyna. Wzamian ona da wam promień siwych, białych włosów... Połowę rzućcie mi w mogiłę, — a połowę zatrzymajcie sobie, — to są włosy Wiery...

Degajew pochylił się nad papierami, a gdy po chwili podniósł zamglone oczy, tuż przed sobą zobaczył sino-czerwoną twarz Majdla.

— Co tu wyrabiasz!?...

— Protokół...

— Hę? Proto-kół! Fedia!... Czterdzieści rózeg aresztantowi, — brać go! Po naszemu brać...

Czworo rąk wczepiło się we włosy Kibalczyca i wywlekło z izby. Baron zmierzył od stóp do głów Degajewa i rozkazał.

— Chodź ze mną!

Majdel powiódł Degajewa do swego mieszkania i tu dopiero zionął nań potokiem najordynarniejszych wymysłów.

Degajew wyprostował się jak struna. Majdel klął, pienił się, sapał, pluł a nogami tupał.

— Zgniotę cię jak wesz, żywcem obcasami stratuję! Ja cię nauczę mnie sztuczki stroić! Pod sąd oddam, na Sybir wyślę!... Tak mi płacisz za dobro! Co?... Komu zawdzięczasz to, czem jesteś, kto cię w ten mundur wystroił!...

— Wuj! — bąknął ponuro Degajew.

— No i ja potrafię cię z tego munduru rozebrać!... Ot dochowałem się podrzutka, ot żmiję wykarmiłem!...

Degajewa drżenie przejęło, kości w nim zatrzeszczały, łzy strumieniem trysnęły z oczu.

Komendant umitygował się.

— I widzisz, widzisz, a czemu okoniem stajesz, czego konszachty zaprowadzasz!...

Degajew schylił się i jął raptem bić się w piersi, tłumaczyć się najlepszemi chęciami, wypominać Loris-Melikowa, a korzyć się przed baronem.

Majdel ochłonął i złagodniał.

— I uparty jesteś i zakamieniały. Loris-Melikow! Pluń że raz! Głuchy jesteś, ślepy!... Nie widzisz, co się dzieje!?... A wiesz ty, kim ja, ja, będę za miesiąc? Naczelnikiem trzeciego oddziału, szefem żandarmów! Szefem, niezależnym od ministra spraw

wewnętrznych! — Gębę rożdziawiasz!... Wiesz ty, z kim najjaśniejszy pan dziesięć minut rozmawiał... tuż przed cerkwią, w obliczu dworu i książąt! — Ze mną!... A wiesz, kto za godzinę jedzie do Aniczkowskiego pałacu? — Ja! — Teraz wiesz!

Degajew rozpromieniał jakiemś dziwnem ukontentowaniem.

— Wuju, wuju... z głębi duszy raduję się!

Majdel wydął policzki.

— Dziś jestem generał-porucznikiem, mam wstęgę Aleksandra Newskiego i dwadzieścia tysięcy zapomogi! Dziś ten maleńki papierek składam i dziś książę Mikołaj Konstantynowicz zostaje uwięzionym! Spójrz na tą skrzyneczkę — pełna! Świstek za świstkiem pójdzie do gabinetu cesarskiego... zanim połowę doręczę, będę generał-adjutantem, szefem! — A co? A tobie się zdawało, że Majdel zniedołężniał! Myślisz, iż ja zapomniałem Konstantemu, że mnie przed nieboszczykiem za złodzieja podał!... Dziś zabiorę mu synka, jutro ojczulek pójdzie!

— Wuju, toć stryj cesarza!

— To mniej zawsze w poczciwem państwie, niż jeden żandarm! — Pamiętam o tobie. Dostaniesz pięć tysięcy nagrody i Annę drugiej klasy. Za rok podpułkownikiem zostaniesz. Sudejkina ściągnę do Petersburga — będzie przy mnie razem z tobą. Tylko, mój drogi, daj mi słowo, że zaniechasz mazgajstwa, zaprzestaniesz...

— Daję słowo honoru!...

W kilka godzin po tej rozmowie, baron Majdel

wracał z audyencyi u cesarza, wracał rozrzewniony, szczęsny, drżący ze wzruszenia.

Boć jak go cesarz przyjął, jak rozmawiał łaskawie, jak potakiwał, jak, na widok dokumentu zachmurzył się, a wyrzekł uroczyście.

— Tak czyń zawsze! Na mnie patrz, jedno prawo u mnie, kto przeciw mnie, dla tego niema miejsca.

A jak potem pięść swą cesarską zacisnął i zakonkludował:

— Gangrenę trzeba płatami ciąć!

Krew, szczera krew mikołajewska!

Powóz, wiozący Majdla, kłusował ku fortecy, parł na przełaj przez sznury kibitek, a łyskał groźnie puszystym, białym ogonem na kasku barona. I rozsuwały się pojazdy i policyanci prężyli, salutowali oficerowie i poglądali z pod oka cywilni przechodnie.

Ale komendant ani zważał na ciżbę. Myśl unosiła go i wiodła go ku wstęgom, gwiazdom orderowym, cyfrom cesarskim. A oboczeŝnie gigantyczne snuła zamysły, piorunowe kreśliła zygzaki.

— On pokaże! On nauczy! On bodaj całą Rosyę zakuje w łańcuchy, on z nihilizmu każdą kroplę krwi wytoczy... on szpiegów musi mieć wszędzie... on lada myśl obcęgami wyrwie!...

Powóz stanął na podwórzu fortecznem. Baron wyskoczył żwawo i jął wstępować na schody, — ale tu sapka go napadła. Kołnierz złoty dławił.

Na progu powitała generała stara kucharka Praskowja.

— Z carską łaską pozdrawiam! — zaskrzeczała baba piskliwie.

Komendant dmuchnął.

— Duszno! Zabierz płaszcz!... Uf... Pomożesz mi się rozebrać!

— Cały dzień takie umęczenie...

— Był kto?

— Iwan Iwanowicz raczyli.

— A!... Czego chciał?

— Nie wiem, — z godzinę siedział i poszedł.

— Hm! — Daj mi laskę...

— Pan generał ot położyłby się...

— Zaraz, czekaj! Godzinę siedział!

— Pan generał zapomina, że pan doktór...

— Nu-nu, zaraz, zaraz! — mruczał Majdel i, opierając się na kiju, poszedł do gabinetu. Tu rzucił okiem w róg pokoju, kędy stała na etażerce pękata skrzynka żelazna i uśmiechnął się — poczem zbliżył się do niej, dobył kluczyki i z upodobaniem a namaszczeniem jął skrzynkę otwierać. Lecz zanim klucz przekręcił — wieko uchyliło się... skrzynka była pustą...

Majdel oczy wytrzeszczył, posiniał i runął bez życia.

. . . .

. . . .

Minęło dwa lata. Cesarz Aleksander trzeci spokojniej zaczął w przyszłość patrzeć, bardziej ufać swemu boskiemu powołaniu i natchnieniu, bo oto nihilizm, ten trąd zbrodniczy, ten pasożyt i truci-

ciel zdrowego organizmu rosyjskiego zamilkł, przycichł...

Prawda, tę ciszę okupiło życiem kilkunastu dzielnych sług cesarskich, tę ciszę sprowadziło szereg rozkazów bardzo tajnych, na tę ciszę dwa lata pracowały i tajgi syberyjskie, i kopalnie merkuryuszu, i tyfus głodowy, i suchoty, i żelazo oprawcy, i stryki szubienic, i spowiedź, i szliselburskie tortury i knuty, i ruble i ordery, i donosy, i wszystko, co jest z ludzkiej niedoli, z carskiej łaski i carskiego gniewu.

Prawda, ta cisza była kosztowną, krwawą, — lecz nie dla bogactw białego cara, nie dla olśniewającej jaskrawością purpury tronu Romanowych, nie dla Holstein-Gottorpów.

Prawda, ta cisza mogła była wydawać się aż groźną, aż złowróżebną, lecz nie temu, który znał nowomianowanego naczelnika petersburskich pretoryanów, kto znał Sudejkina!

Sudejkin działał — i działał tak, żeby nawet poszum nadmogilny nie ważył się przypomnieć poddanemu cesarskiemu imienia Chałturina, żeby matka wyparła się płodu, który na świat wydała, żeby, na chwałę majestatu, ten, co chciał płakać, śmiał się z całego serca i cieszył.

I dobry pan radował się dobremu słudze.

Aż wieść straszna dosięgnęła raz cesarskiego gabinetu.

Oto Sudejkin, brylant między brylantami, niestrudzony bojownik, rycerz, oczko w głowie, niepożyta zasługa, — legł pod uderzeniami siekiery,

legł obok swego siostrzeńca, legł w zabłoconej sieni domu śródmieścia, legł na stanowisku, idąc na pościg, na rewizyę.

Lecz druga wieść, która za pierwszą nadbiegła w tropy, była bodaj straszniejszą. Sudejkina i Sadowskiego zamordował Degajew, wychowanek nieboszczyka Majdla, najwierniejszy pomocnik Sudejkina, chluba Piotropawłowskiej fortecy, żandarm z krwi i kości... nihilista...

I zachmurzyło się wielkie czoło cesarza i blado niebieskie, bawole oczy Aleksandra trzeciego łysnęły.

— Ziemię i niebo poruszyć, a Degajewa schwytać!...

Rozkaz carski skrami trysnął, drżeniem Rosyę przejął, tysiącami mundurów zatrząsł — i pozostał niespełnionym.

KONIEC.

Paryż we wrześniu 1907 roku.

Wydawnictwa Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie

WIESŁAW SCLAVUS (Autor „Ugodowców“).

KRÓLOBÓJCY Cena kor. 5·—.

ANARCHIŚCI Cena kor. 4·—.

FINIS POLONIÆ Cena Kor. 4·—

JASEŁKA

NAPISAŁA

MARYA KONOPNICKA

Muzykę skompon. **Piotr Maszyński.** Ozdobił na motywach ludowych **Jan Bukowski.** Część I: Słowa. Część II: Muzyka. Układ na fortepian i do śpiewu.

Cena kor. 5, rb. 2.

Pierwsze krytyczne, zupełne wydanie

Pism Zygmunta Krasińskiego

wydane z autografów przez **prof. Tadeusza Piniego,**
ze słowem wstępnem przez **prof. dra Józefa Kallenbacha.**

Cena za 6 tomów kor. 12, w ozdobnej oprawie kor. 20

Z głosów prasy:

„Z pomiędzy wielkiej trójcy poetów polskich XIX wieku doczekał się pierwszy zupełnego, krytycznego wydania pism swych ten, wobec którego społeczeństwo polskie zachowywało się dotychczas najobojętniej. Pracy tej podjął się prof. Tadeusz Pini, nie szczędząc żadnych trudów, ażeby wydanie jego odpowiadało ścisłym wymaganiom naukowej krytyki. Mając ułatwiany dostęp do autografów poety, po raz pierwszy wydrukował cały szereg utworów w tekście poprawnym, w tej formie, w jakiej wyszły z pod pióra poety; pousuwał też owe legiony błędów, od których roiły się dotychczasowe wydania. Porównanie wydań i autografów przeprowadził wydawca z wielką sumiennością i starannością tak, że na niem w zupełności można polegać. Ponadto wydanie obecne objęło po raz pierwszy całą spuściznę literacką po wielkim poecie, nie wyłączając utworów, pisanych po francusku, które prócz tekstu oryginalnego, są podane także w starannym przekładzie polskim. Wydanie p. Piniego można tedy bez przesady nazwać istotnie zupełnem. Nakładca wydania, jak widać, nie wahał się ponieść znacznych nawet kosztów, ażeby zewnętrzna szata wydania była jak najokazalsza i stworzył w ten sposób całość, mogącą zadowolić najwybredniejsze nawet wymagania.